

KJELL ERIKSSON

KSIĘŻNICZKA

BURUNDI

Przekład ELŻBIETA FRĄTCZAK-NOWOTNY  
Tytuł oryginału *Prinsessan av Burundi*



Talerzyk zadrżał i uderzył o szklanke. Mleko się rozlało – biały kwiat na ceracie.

A mamy tak mało mleka – przeszło jej przez myśl. Szybko podniosła szklanke, starta ściereczką mleko.

– Kiedy tata wróci?

Odwróciła się. W drzwiach stał Justus.

– Nie wiem – powiedziała, wrzucając ściereczkę do zlewu.

– Co jest na kolację?

Stał oparty o futrynę, w rękę trzymał książkę. Zaznaczył palcem miejsce, w którym skończył czytać. Chciała spytać, co to za książka, ale nagle przyszło jej coś do głowy. Podeszła do okna.

– Zrazy – odpowiedziała nieobecny głosem.

Powiodła wzrokiem po parking. Śnieg znów zaczął padać.

Może dostał pracę? Wiedziała, że rozmawiał z Mickem. Na pewno potrzebują ludzi do odśnieżania. Ostatnio śnieg padał niemal codziennie. A John nie ma lęku wysokości.

Uśmiechnęła się, wspominając, jak kiedyś wspiął się po rynnie na jej balkon. Było to co prawda tylko pierwsze piętro, ale mimo wszystko. Gdyby spadł, złamałby kark. Jak jego ojciec, pomyślała i uśmiech zniknął z jej twarzy.

Pamiętała, że była na niego wściekła, a on tylko się roześmiał. A potem objął ją i ucisnął tak mocno, że aż się zdziwiła. Kto by pomyślał, że w jego wątłym ciele było tyle siły.

Potem często wracała do tego zdarzenia, opowiadając z niejaką dumą o jego zapale. To było ich pierwsze wspólne wspomnienie.

Śnieg. Mały traktor z pługiem przejechał przed domem, zrzucając kolejne hałdy na już przysypane ciężkim śniegiem krzaki przy szczycie parkingu. Za kierownicą siedział Harry. Rozpoznała jego czerwoną czapkę, wyraźnie widoczną z kabiny.

To właśnie Harry pierwszy zaczął zatrudniać Justusa. Załatwił mu pracę w czasie wakacji, kiedy chłopak nie mógł niczego znaleźć. Justus kosił trawniki, zbierał śmieci, pielął

chwasty. Narzekał, ale był dumny jak paw, kiedy dostał swoją pierwszą wypłatę.

Berit śledziła wzrokiem traktor. Śnieg padał nieprzerwanie. Reflektor na dachu kabiny rozsiewał czerwono-żółte światło. Powoli nad budynkami i parkingiem zapadał zmrok. Światło omiatało budynki wokół dziedzińca. Harry nie przerywał odśnieżania. Ciekawe, ile godzin pracował przez te ostatnie kilka dni?

– Z tego śniegu będą Kanary – rzucił niedawno zadowolony, kiedy przypadkiem wpadli na siebie na podwórku.

Oparł się wtedy na łopacie i spytał, co u Justusa. Zawsze o niego pytał.

Odwróciła się od okna, żeby przekazać synowi pozdrowienia, ale Justus zdążył już zniknąć.

– Co robisz? – zawołała w głąb mieszkania.

– Nic – odkrzyknął jej.

Berit domyślała się, że syn siedzi przed komputerem. Od sierpnia, kiedy John któregoś dnia przyszedł do domu z wielkim pudłem pod pachą, Justus każdą wolną chwilę spędzał przyklejony do monitora.

– Oczywiście, że chłopak musi mieć komputer. Nie może być gorszy od innych – powiedział John, kiedy Berit stwierdziła, że komputer to zbędny luksus.

– Ile za niego dałeś?

– Kupiłem okazji – odpowiedział. Widząc jej ponury wzrok, który znał aż za dobrze, sięgnął pospiesznie po rachunek z El-Giganten.

Berit rozejrzała się po kuchni, usiłując znaleźć sobie jakieś zajęcie, ale obiad był już gotowy. Wróciła do okna. John obiecał, że będzie przed czwartą. Zbliżała się szósta. Zwykle dzwonił, jeśli miał się spóźnić. Kiedy pracował w warsztacie i okazywało się, że musi zostać po godzinach, zawsze ją uprzedzał. Niechętnie zostawał, ale Sagge zwykle prosił go o to w taki sposób, że nie wypadało mu odmówić. Jakby te kilka godzin miało decydować o przetrwaniu firmy.

Kiedy stracił pracę, stał się bardziej milczący. Prawdę mówiąc, nigdy nie należał do osób szczególnie rozmownych, w przeciwieństwie do Berit, ale kiedy Sagge wręczył mu wypowiedzenie, stał się jeszcze bardziej małomówny.

Dopiero jesienią coś się zmieniło. Berit była przekonana, że to miało coś wspólnego z rybami. Z nowym akwariem, o którym mówił od lat, a które teraz wreszcie stało się rzeczywistością.

Akwarium przysparzało mu sporo pracy, a tego właśnie było mu trzeba. Przez kilka tygodni, niemal przez cały wrzesień, ciężko pracował. Harry pomagał mu je zainstalować. A

potem on i Gunilla przybyli na jego „inaugurację”. Berit uznała pomysł za nieco dziwny, ale przyjęcie okazało się udane.

Wpadł też ich najbliższy sąsiad, Stellan, matka Johna i jego brat, Lennart, który wyjątkowo był trzeźwy i w dobrym humorze. Stellan, zwykle dość nieśmiały, objął ją ramieniem i powiedział, że jest bardzo miła. John tylko się roześmiał. Ze strony Stellana nie miał się czego obawiać. Zwykle jednak w podobnych sytuacjach bywał dość drażliwy, szczególnie po kilku głębszych.

Harry skończył odśnieżać parking. Światelko na dachu kabiny rzucało kaskady światła na ścieżkę prowadzącą do pralni i do osiedlowej świetlicy. Odśnieżanie. Berit miała dość mętne pojęcie, na czym tak naprawdę polegało. Czy nadal wchodziło na dachy, tak jak kiedyś? Z dzieciństwa pamiętała ubranych w kozuchy mężczyzn z wielkimi łopatami i przewieszonymi przez ramię zwojami lin. Pamiętała nawet tablice ostrzegawcze, które robotnicy ustawiali na podwórzu i od ulicy.

Może był u Lennarta? U brata Tucka, jak go nazywał. Nie lubiła, kiedy do niego chodził. Przypominały jej się dawne czasy, kiedy Lennart szpanował udawaną pewnością siebie. John przyglądał się temu, milcząc zawzięcie. A ona nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim sądzić.

Berit miała zaledwie szesnaście lat, kiedy się poznali. Ich trójka. Najpierw poznała Johna, a wkrótce potem także Lennarta. Bracia wydawali się nierozłączni. Lennart, z opadającą na oczy długą ciemną grzywką, zawsze w ruchu, nieobliczalny, zawsze czymś zajęty, rozprawiający o czymś nerwowo. I John, jasny blondyn, o wąskich ustach i łagodnym usposobieniu, czym natychmiast ujął Berit. Blizna nad lewym okiem dziwnie kontrastowała z jego jasną twarzą o nieco kobiecych rysach. Była pamiątką po wypadku na motorowerze. Oczywiście brat prowadził.

Nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że John i Lennart byli rodzeństwem. Tak różni, zarówno z wyglądu, jak i z zachowania. Kiedyś nawet spytała o to Ainę, ich matkę, ale było to pod koniec dorocznej uczty rakowej, więc Aina zacisnęła usta i zbyła ją jakimś żartem.

Berit szybko zrozumiała, że bracia zdobywali pieniądze na swoje utrzymanie na różne sposoby. John co prawda pracował od czasu do czasu w warsztacie, ale miała wrażenie, że głównie dla zachowania pozorów, przede wszystkich wobec Albina, swojego ojca.

John popełniał drobne przestępstwa nie dlatego, że był zły czy chciwy. Po prostu zwykle życie mu nie wystarczało, podobnie zresztą jak wielu innym w jego otoczeniu. Z pozorów były to zwykle dzieciaki, przystosowane do życia nastolatki, które wieczorami

włączyły się gromadami po wschodnich dzielnicach Uppsali, dopuszczając się drobnych kradzieży. Ktoś zwinął komuś torebkę, ktoś inny podprowadził skuter czy nawet samochód, czasem włamywali się do piwnic albo rozbijali wystawę sklepową, jeśli akurat przyszła im na to ochota.

Niektórzy, między innymi John i Lennart, byli stałymi członkami gangu, inni przychodzili, a potem znikali po pół roku albo po roku.

Niektórzy uczyli się w Bolandsskolan, żeby w przyszłości zostać malarzami pokojowymi, betoniarzami, mechanikami samochodowymi, czyli tym, kim zostawali młodzi ludzie ze środowisk robotniczych na początku lat siedemdziesiątych. W tych kręgach młodzież nie uczyła się dalej w liceach o profilu humanistycznym. Brakowało im chęci i odpowiednich wyników w nauce. Byli też tacy, którzy szli do pracy od razu po podstawówce.

Większość mieszkała w domu z rodzicami, którzy na ogół byli bezradni, gdy odkrywali, że ich dzieci ćpają, kradną czy szaleją po nocach samochodami po mieście. Mieli własne problemy. Podczas rozmów z pracownikami socjalnymi, psychologami czy innymi zawodowymi naprawiaczami społeczeństwa bezradnie rozkładali ręce. Nie rozumieli języka, jakim do nich mówiono, byli skrępowani własną niemożnością, niekiedy czuli wręcz palący wstyd.

Po szkole John zaczął pracować w warsztacie mechanicznym, przyuczał się do zawodu spawacza. Wzywano go, kiedy było dużo zleceń, powierzając mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Szybko zdobył opinię zdolnego pracownika. Był dokładny, zbierał pochwały, może nie od Saggego, ale jego trzech współpracownicy byli zadowoleni.

– Gdyby nie oni, nie poradziłbym sobie – zwierzył się kiedyś Berit.

Jego kontakty z kumplami z ulicy zaczęły się rozluźniać. Miał teraz regularną pracę, był ceniony, przyzwoicie zarabiał, no i poznał Berit.

Lennart w ciągu dnia rozwoził towary ze sklepu na swoim dostawczym motorowerze, wieczorami zaś grywał w bilard w Sivia.

John też tam bywał. Prawdę mówiąc, grał lepiej od brata, ale Lennart się tym nie przejmował. Spędzał czas głównie piętro niżej, gdzie grano we flippera.

To właśnie tam Berit spotkała ich obu. Przyszła tam kiedyś w towarzystwie swojej przyjaciółki. Anna-Lena kochała się w chłopaku, który był stałym bywalcem klubu.

Berit zobaczyła Johna i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Patrzyła, jak krąży wokół stołu z kijem w ręku, podobało jej się, jak skupia się na grze. Rzadko się odzywał.

Miał wąskie dłonie. Przyglądała się jego rozcapierzonym palcom na zielonym suknie,

widziała, jak uważnie przygotowuje się do kolejnego ruchu, jaki jest skupiony, poważny. Przede wszystkim widziała jego powagę. I jego długie rzęsy. I oczy. I skupione spojrzenie.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego właśnie teraz przypomniała jej się sala bilardowa. Nie była tam od lat. Może dlatego, że pomyślała o Lennarcie? Może John był u niego? Nie chciała do niego dzwonić. Zdarzało się, że czasem pili razem. Niekiedy John po prostu oświadczał, że musi się spotkać z bratem. Ostatnio nie zdarzało się to często, ale kiedy już podjął taką decyzję, nikt nie był w stanie jej zmienić. Nawet Justus. Chłopak dobrze o tym wiedział, znał ojca na wylot, więc jego protesty nigdy nie trwały długo ani też nie były szczególnie silne.

Raz się zdarzyło, że John uległ synowi i wrócił do domu. Justus miał wtedy dwanaście lat. Sam zadzwonił do wujka i poprosił tatę do telefonu. Nie chciał, żeby matka słyszała rozmowę, więc zamknął się w łazience. John wrócił po pół godziny, chwiał się na nogach, ale wrócił.

Coraz rzadsze wieczory i noce spędzane z bratem były jakby powrotem do ich wcześniejszego życia. Berit nie wiedziała, o czym rozmawiają. O dawnych czasach, o dzieciństwie w Almtuna czy może o czymś zupełnie innym?

Nie mieli wspólnych zainteresowań, łączyła ich tylko przeszłość. Berit czuła niekiedy pewnego rodzaju zazdrość o świat, z którego była wykluczona, który był jej obcy. Dzieciństwo Johna i Lennarta, ich wczesne wspólne lata, kiedy jednak chyba byli szczęśliwi. Tak to przynajmniej wyglądało, gdy zaczynali o tym rozmawiać. Nawet w głosie Lennarta pojawiło się wtedy ciepło, którego zwykle w nim nie było.

Do tego świata Berit nie miała dostępu. Miała nawet wrażenie, że w takich chwilach jej lata spędzone z Johnem stawały się jakby mniej ważne. Weszła do jego życia w momencie, kiedy ono już zaczęło się zmieniać, kiedy dzieciństwo definitywnie się skończyło. Nie uczestniczyła w jego jasnych, radosnych latach, tych, do których wciąż wracał, o których wciąż opowiadał.

– Kiedy wróci?

– Pewnie niedługo – zawołała, zadowolona, że Justus jest w swoim pokoju. – Pewnie odśnieża. Ciągłe pada, to niewiarygodne.

Chłopiec milczał. Czekala na kolejne pytanie, chciała usłyszeć jego głos, ale on nadal milczał. Co teraz robi? O czym myśli? Odważy się do niego pójść? Opuścić półmrok kuchni? Nie czuła się na siłach. Nie tęskniła do światła, nie chciała oglądać szybko poruszających się postaci na monitorze, nie chciała czuć na sobie pytających spojrzeń syna.

– Może pomógłbyś Harry’emu? – zawołała. – Zarobiłbyś trochę.

Żadnej reakcji.

– Na pewno przyda mu się pomoc przy odśnieżaniu zejść do piwnicy.

– Mam gdzieś jego śnieg – powiedział Justus, stając nagle w drzwiach.

– To nie tylko jego śnieg – odpowiedziała cicho.

Chłopiec zachnął się, sięgnął do włącznika na ścianie.

– Nie, nie włączaj światła!

Natychmiast pożałowała swoich słów.

– Lubię taki półmrok. Mogę zapalić świece – dodała pospiesznie. Czują na sobie jego wzrok. – Zarobiłbyś trochę – powtórzyła.

– Nie potrzebuję pieniędzy. Poza tym tata ma pieniądze.

– To prawda, ale nie za dużo. Podobno chcesz kupić aparat fotograficzny?

Justus posłał jej niechętne spojrzenie. Czyżby w jego wzroku był triumf?

– Tak czy inaczej uważam, że mógłbyś z nim pogadać – nie poddawała się.

– Okropnie marudzisz – stwierdził chłopak. Odwrócił się, tak jak to on potrafił, i zniknął w swoim pokoju.

Słyszała, jak trzasnęły drzwiami, a potem skrzypienie łóżka, kiedy się na nie rzucił. Wróciła do okna. Harry i jego traktor zniknęli. W domu po drugiej stronie podwórza w większości okien paliło się światło. Widziała siedzące wokół stołów rodziny. Niektóre okna rozświetlało niebieskawe światło telewizorów.

Nagle gdzieś na parkingu zobaczyła poruszający się cień, już chciała zawołać coś uradowana, spodziewając się, że za chwilę przy śmietniku pojawi się John, ale tak się nie stało. Gdzie podział się cień? Coś jej się przywidziało? Jeśli ktoś szedł między garażami, to po chwili musiał wyjść obok śmietnika. Ale Johna nie było. Berit wpatrywała się w ciemność. Nagle cień znów się pojawił. Wrócił na krótką chwilę. Miała wrażenie, że ktoś tam jednak jest. Jakiś mężczyzna w zielonej kurtce. Nie był to jednak John.

Więc kto? I dlaczego czał się za śmietnikiem? Nagle przyszło jej do głowy, że może jest to brat Harry'ego, który czasem pomagał mu odśnieżać. Na pewno jednak nie był to John. Chwilę ulgi zastąpiło poczucie samotności.

Ziemniaki były jeszcze ciepłe, postawiła patelnię ze zrazami na wolnym ogniu. Zaraz tu będzie, wmawiała sobie, grzejąc dłonie na garnku z ziemniakami.

O wpół do ósmej zadzwoniła do Lennarta. Brat Johna odebrał po piątym sygnale. Był trzeźwy. Nie miał wiadomości od Johna już od wielu dni.

– Na pewno się pojawi – rzucił lekko, ale ona usłyszała w jego głosie nutkę niepokoju. Miała go przed oczami, niemal widziała, jak stoi w holu, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Podzwonię trochę – powiedział. – Pewnie poszedł gdzieś z kumplami. Strzelili sobie po browarku.

Berit nie znosiła, kiedy tak mówił. „Strzelili sobie po browarku”. Rzuciła słuchawką.

Zadzwoniła do matki Johna, nie wspominając, że czeka na niego już kilka godzin. Miała nadzieję, że może John zajrzał do matki i się tam zasiedział, ale nie. Rozmawiały chwilę, Berit cały czas krążyła niespokojnie po pokoju.

Kwadrans po ósmej zadzwonił Lennart.

– Nie musiałaś, kurde, od razu rzucać słuchawką – zaczął.

Natychmiast się domyśliła, że zdążył już się napić. Wiedziała dlaczego.

– Gdzie on może być? – spytała, folgując swojej rozpacz.

Z pokoju wyszedł Justus.

– Jestem głodny – oświadczył.

Dała mu znać ręką, żeby się uspokoił, i pospiesznie zakończyła rozmowę z Lennartem.

– Wiesz może, dokąd tata mógł pójść? – spytała syna.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale była coraz bardziej roztrzęsiona. Justus wykonał niezdecydowany gest ręką.

– Nie wiem – powiedział. – Pewnie niedługo wróci.

Berit zaczęła płakać.

– Mamo, on zaraz przyjdzie!

– Tak, pewnie tak – odpowiedziała. Spróbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech zamienił się w grymas. – Przykro mi, kiedy nie uprzedza, że się spóźni. Ziemniaki będą do wyrzucenia.

– Możemy chyba zacząć jeść?

Nagle poczuła niczym nieuzasadnioną złość. Czyżby odczytała słowa syna jako brak lojalności, czy też może nagle zrozumiała, że stało się coś złego?

Usiedli do stołu. Harry znów pojawił się na parkingu ze swoim traktorem, Berit pomyślała, że wróci do tematu odśnieżania, ale zrezygnowała, kiedy zobaczyła minę chłopca.

Ziemniaki były rzeczywiście zimne, ale mięso kruche i jeszcze ciepłe. Po kolacji Justus w milczeniu sprzątnął ze stołu. Śledziła wzrokiem jego mechaniczne ruchy. O dwa rozmiary za duże jeansy wisiały na nim, ledwo się opierały na pośladkach. Jesienią stopniowo zmienił sposób ubierania się, zaczął też słuchać innej muzyki. Od grzecznego angielskiego popu, którego Berit niejednokrotnie też z przyjemnością słuchała, przeszedł do ostrego,



surowego rapu o agresywnym brzmieniu. Jego nowy sposób ubierania się miał związek z muzyką, której teraz słuchał.

Zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła dziewiąta. Teraz wiedziała już na pewno, że czeka ją długa noc. Bardzo długa.

## 2

Przyglądał się kobiecie, która siedziała za kierownicą autobusu. Prowadziła mało płynnie. Podjeżdżała za blisko innych samochodów, zbyt gwałtownie przyspieszała, a potem nagle hamowała.

– Baby – zamruczał pod nosem niezadowolony.

Autobus był w połowie pełen. Przed nim siedział jakiś obcokrajowiec. Imigrant. Pewnie Irańczyk albo Kurd. Niekiedy miał wrażenie, że niemal połowa okolicznej ludności to czarnuchy. Trzy miejsca dalej siedziała Gunilla. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył przed sobą jej kark. Zawsze należała do najładniejszych dziewczyn w szkole, miała długie, kręcone jasne włosy i błyszczące oczy, ledwie widoczne spod długiej grzywki. Teraz wyglądała trochę jak troll, szczególnie kiedy się śmiała. Jej włosy straciły dawny blask.

Autobus zbliżał się do ronda ze zbyt dużą prędkością, zahamował tak gwałtownie, że stojący obok drzwi pasażerowie polecili na siebie. Torba, którą miał na ramieniu, uderzyła Gunillę w głowę, kobieta się odwróciła. Jest taka jak dawniej, ale jednak inna, pomyślał, patrząc na jej przerażoną, ale i lekko oburzoną minę. Ileż to razy widział ją w podobnej pozycji, z lekko odwróconą do tyłu głową. Wtedy jednak było w jej oczach coś figlarnego, jakby kusiła tego, na kogo patrzyła. Na Vincenta nigdy tak nie patrzyła. W ogóle rzadko go zauważała.

– Nigdy – wymamrotał pod nosem. – Mnie nigdy nie kusiła.

Nagle zrobiło mu się niedobrze.

– Wsiadaj, żebym nie musiał cię dłużej oglądać! – syknął. Siedzący przed nim Irańczyk miał łupież.

Autobus przedzierał się mozolnie przez uliczny ruch.

Gunilla utyla, zrobiła się gruba. Figlarność w jej oczach zastąpiło zmęczenie.

– Wsiadaj! – syknął ponownie Vincent.

Siedział wpatrzony w jej głowę. Kiedy autobus mijał lokal, w którym w czasach jego dzieciństwa był skup złomu Uno Lantza, a który teraz został zamieniony na nowoczesne

biuro, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. To chore, pomyślał. Totalnie chore, ale i cholernie cudowne.

Roześmiał się. Irańczyk odwrócił się i też zaczął się śmiać.

– Masz łupież – powiedział Vincent.

Irańczyk skinął głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Łupież – powtórzył Vincent głośniej.

Gunilla, podobnie jak garstka innych pasażerów, odwróciła się. Vincent schylił głowę. Zaczął się pocić. Wysiadł przy autobusowej kafejce, zatrzymał się, stał chwilę na chodniku. Autobus pojechał dalej Kungsgatan. Vincent przyglądał się swoim stopom. Zawsze wysiadał za wcześnie. Moje biedne stopy, pomyślał. I biedny ja.

Stopy zaprowadziły go w stronę Bangårdsgatan, w dół do, a potem w stronę mostu Nybron. Stał tam z rękami opuszczonymi biernie wzdłuż ciała. Tylko jego oczy się poruszały. Wszyscy zdawali się gdzieś spieszyć. Ale Vincent Hahn mógł sobie pozwolić, by robić wszystko we własnym tempie. Spoglądał w dół na czarną wodę. Był siedemnasty grudnia 2001 roku. Jak zimno, pomyślał, czując, jak pot zastyga mu na plecach.

– Biedni talibowie – powiedział głośno. – Wszyscy jesteście biedni.

Ruch za jego plecami gęstniał. Na moście przybywało ludzi. Uniósł głowę, spojrzał w stronę kina Spegeln. Na zewnątrz, na ulicy, zebrał się tłum ludzi. Zorganizowany protest czy może zdarzył się wypadek? Jakaś kobieta śmiała się głośno. Pewnie po prostu jakiś zabawny film. Śmiech. Ludzie przed kinem po drugiej stronie ulicy sprawiali wrażenie śmiejącej się demonstracji.

Dzwony katedry wybiły szóstą; sprawdził godzinę na swoim zegarku. Uśmiechnął się triumfująco w stronę kościelnej wieży. Zegar spieszył się o pięćdziesiąt pięć sekund. Chłód i zimny wiatr znad rzeki skłoniły go do przejścia na drugą stronę ulicy, skierował się w stronę rynku, Stora Torget.

– To było tak straszne, że nawet się nie odważyłem... – Usłyszał głos jakiegoś przechodnia, odwrócił się zaintrygowany. Chętnie posłuchałby dalszego ciągu opowieści. Co mogło być takie straszne? – zastanawiał się.

Zatrzymał się, spojrzał na mężczyznę, który – jak sądził – wypowiedział te słowa.

Niedługo będzie jeszcze gorzej, miał ochotę wykrzyknąć. Dużo gorzej.

Ola Haver słuchał żony z rozbawionym uśmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – spytała.

– Z niczego – powiedział, broniąc się.

Rebecka Haver zachnęła się.

– Mów dalej, chętnie posłucham – powiedział, sięgając po solniczkę.

Spojrzała na niego, nie mogąc się zdecydować, czy kontynuować opowieść.

– Facet stanowi zagrożenie dla społeczeństwa – stwierdziła, wskazując na zdjęcie w gazecie samorządowej.

– Więc trzeba coś z tym zrobić.

Rebecka pokręciła głową, wskazując cały czas palcem na twarz brodatego działacza samorządowego.

Nie chciałbym się znaleźć na jej celowniku, pomyślał Haver.

– Chodzi o ludzi starych i słabych, którzy albo nie potrafią, albo boją się mówić w swojej sprawie.

Haver słyszał to już wiele razy, jej wypowiedzi zaczynały go męczyć. Znów sięgnął po solniczkę.

– Sól jest niezdrowa – upomniała go Rebecka.

Spojrzał na nią, odstawił solniczkę, sięgnął po łyżeczkę i w milczeniu dokończył jeść gotowane zbyt długo jajko. Ugotowało się na twardo.

Wstał, sprzątnął po sobie, wstawił filiżankę, talerzyk i podstawkę do jajka do zmywarki, starł pospiesznie blat i zgasił światło nad kuchenką. Po wykonaniu tych rutynowych czynności zwykle zerkał na termometr, tego ranka jednak zatrzymał się na środku kuchni. Coś powstrzymywało go przed podejściem do okna, jakby jakaś niewidzialna ręka. Rebecka rzuciła mu pospieszne spojrzenie, ale zaraz wróciła do swojej lektury. Wtedy zrozumiał. Po sprawdzeniu temperatury na zewnątrz zwykle pochylał się nad żonę, całował ją w czubek głowy i mówił kilka miłych słów. Zawsze tak było, każdego ranka, kiedy siadali

razem do śniadania.

Tym razem zawahał się, czy raczej jego ciało się zawahało, odmówiło zrobienia dwóch kroków do okna. Poczł się zmieszany.

Rebecka przestała czytać, obserwowala go z zawodową wręcz uwagą, nabytą podczas lat pracy na oddziałach opieki. Haver schylił się, jakby chciał zamknąć zmywarkę, ale zmywarka była już zamknięta.

– Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku, po prostu się zamyśliłem.

– Boli cię głowa?

Zaprzeczył. Całą jesień dręczyły go powracające napady niezwykle ostrego bólu głowy, ale od ostatniego minęło już dobrych kilka tygodni. Czyżby zauważyła jego wahanie? Nie sądził.

– Dzisiaj do wydziału zabójstw przychodzi nowy pracownik. Z Göteborga.

– Rozbróćcie go – ucięła Rebecka.

Nie zamierzał jej odpowiadać, nagle zaczęło mu się spieszyć. Wyszedł z kuchni i zniknął w sąsiednim pokoju, pełniącym funkcję gabinetu i biblioteki.

– Wrócę późno – rzucił po chwili już z garderoby.

Odsunął na bok dres i sweter, który kiedyś zrobiła mu Rebecka. Pod stosem kartonów leżała foliowa torba z KappAhla. Sięgnął po nią, zasunął drzwi i szybkim krokiem przeszedł przez kuchnię.

– Wrócę późno – powtórzył.

Zatrzymał się na chwilę w holu, otworzył drzwi i szybko wyszedł w chłodny grudniowy poranek. Zacerpnął powietrza i ruszył przed siebie z pochyloną głową.

Grudzień. Czas ciemności. Rebecke ta ciemność wydawała się bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek wcześniej. Nie przypominał sobie, żeby kiedyś była tak bardzo przygnębiona. Obserwował jej próby zachowania spokoju, ale pod cienką powierzchnią drzemały jesienne lęki, czy cokolwiek to było, szarpiąc i rwąc cienką błonkę, którą naciągnęła na swoją zmęczoną twarz.

W powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu. Zobaczył Josefssona spod trójki, który szedł na spacer ze swoim pudlem. Sąsiad, który podziwiał policjantów i zawsze jak najlepiej się o nich wyrażał, uśmiechnął się do niego i rzucił coś o zbliżającej się zimie. Haver, który kiepsko znosił entuzjazm Josefssona i jego wylewność, wymamrotał coś o czekających wszystkich trudnych tygodniach.

Pomyślał o Rebecke. Powinna wrócić do pracy. Brakowało jej ludzi, codziennej dawki

stresu, kontaktu z pacjentami i kolegami z pracy. Wieczorne pogawędki, kiedy opowiadali sobie o wydarzeniach dnia, zostały zastąpione gderaniem i narzekaniem, oczekiwaniem na coś, co być może się zdarzy. I sprawi, że ich życie nabierze nowego sensu. Kiedy na świat przyszła Sara, ich drugie dziecko, ich życie nagle zostało pozbawione napięcia, które zawsze dodawało ich związkowi pewnej pikanterii.

Obok zawodowej rutyny pojawiła się teraz rutyna w domu, senna pustka. Był czas, kiedy wracał do domu z radością. Tęsknił za Rebecką, chciał być blisko niej.

Czy wina leżała wyłącznie po jej stronie? Dużo o tym myślał. Sammy Nilsson, jego kolega z wydziału zabójstw, uważał, że to oznaka starzenia się. „Przeżywacie kryzys wieku średniego, kiedy pary odkrywają, że lepiej już było”, powiedział kiedyś z uśmiechem na ustach. „Bzdura”, skwitował wtedy jego wynurzenia Haver. Teraz jednak nie był już tego taki pewien. Kochał Rebeckę, kochał ją od pierwszej chwili, kiedy się poznali. Ale czy ona kochała jego? Ostatnio odkrył nowy rys niezadowolenia na jej twarzy. Jakby patrzyła na niego nowymi oczami. To prawda, że od czasu, kiedy Ann Lindell poszła na urlop macierzyński, więcej pracował, ale wcześniej też mu się to zdarzało, tylko że wtedy Rebecka nie miała większych zastrzeżeń.

Zadzwoniła jego komórka.

– Cześć, to ja – odezwał się szef wydziału zabójstw, Ottosson. – Zapomnij o dzisiejszym strzelaniu, mamy umarlaka.

Haver zatrzymał się. Pudel Josefssona zaczął obszczekiwać labradora spod piątki.

– Gdzie? – spytał.

– W Libroäck. Facet wyszedł biegać i trafił na trupa.

– Wyszedł biegać?

Spojrzał na horyzont, słońce ledwie zdążyło wstać. Ludzie naprawdę uprawiali jogging o tak wczesnej porze i w taką pogodę?

– Technicy są w drodze – ciągnął Ottosson.

W jego głosie słychać było zmęczenie, a nawet lekki brak zainteresowania, jakby codziennie jakiś biegający zapaleniec natrafiał na trupa.

– Morderstwo?

– Najprawdopodobniej – powiedział Ottosson, ale zaraz się poprawił. – Zdecydowanie tak. Ciało zostało okaleczone. – Haver słyszał nutkę beznadziei w głosie szefa.

To nie zmęczenie, tylko poczucie bezradności wobec tkwiącego w ludziach zła sprawiało, że głos szefa brzmiał obojętnie.

– Gdzie w Libro?

– Zaraz za wyjazdem z miasta, po prawej stronie, obok gminnych magazynów.

Haver otworzył drzwi samochodu. Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądało przedłużenie Börjegatan.

– Przy stacji kontroli pojazdów?

– Dalej. Tam, gdzie gmina zwykle wywozi śnieg.

– Już wiem. Kto zajmuje się sprawą?

– Fredriksson i Bea.

Zakończyli rozmowę. Powiedział Rebecce, że wróci późno, teraz już nie miał co do tego żadnych wątpliwości, chociaż powód był inny niż jeszcze przed kwadransiem. Zamiast iść na zebranie związku zawodowego policjantów, czeka go praca. Sprawy związkowe będą musiał odłożyć na później. Podobnie jak wyprawę na strzelnicę.

John Harald Jonsson bardzo krwawił. Jego jasna kurtka była przesiąknięta krwią. Śmierć zapewne była dla niego wybawieniem. U prawej ręki brakowało trzech palców, zostały odcięte na wysokości drugiego stawu. Na szyi były ślady po oparzeniach, ciemne wylewy i krwiaki na twarzy dawały pojęcie o jego cierpieniach.

Policyjny technik, Eskil Ryde, stał jakiś metr od ciała i patrzył gdzieś na północ. Haver pomyślał, że przypomina Seana Connery'ego. Ponure spojrzenie, lekki zarost, wysokie czoło. Spoglądał w dal, jakby miał nadzieję, że gdzieś tam, na równinie wokół Uppsali, znajdzie odpowiedź. Tak naprawdę przypatrywał się startującemu samolotowi Viggen.

Beatrice i Fredriksson przykucnęli obok ciała. Z zachodu wiał silny wiatr. Funkcjonariusz w mundurze wygradzał teren taśmą policyjną. Wokół unosił się słodkawy zapach. Haver obejrzał się do tyłu.

Fredriksson podniósł wzrok, skinął mu głową.

– Mały John – powiedział.

Haver też zdążył już rozpoznać ofiarę. Kilka lat temu natknął się na Małego Johna, zajmując się sprawą, w którą był zamieszany jego brat. To on podał Johna jako swoje alibi. Haver zapamiętał go jako sympatycznego chłopaka, byłego drobnego złodziejaszka, który jednak nigdy nie stosował przemocy. Jak można było się spodziewać, potwierdził zeznania brata. Haver był przekonany, że kłamał, ale nie potrafił podważyć jego słów. W zeznaniach Lennarta Jonssona nie było luk.

Haver przypomniał sobie, że rozmawiali wtedy o rybach. Mały John pasjonował się rybami akwariowymi, a od tego do wędkarstwa nie było już daleko.

– Niech to szlag – rzuciła Beatrice, podnosząc się z wyraźnym wysiłkiem.

Przy poboczu zatrzymał się wóz Ottossona. Trójka funkcjonariuszy przyglądała się, jak szef rozmawia z gapiami, którzy już zdążyli się zebrać jakieś pięćdziesiąt metrów dalej przy drodze krajowej numer 272. Gestem ręki pokazywał, że pobocze nie służy do parkowania samochodów.

– Gdzie jest nasz sportowiec? – spytał Haver, rozglądając się dookoła.

– Na pogotowiu. Poślizgnął się, kiedy wybiegł na jezdnię, żeby zatrzymać przejeżdżający samochód. Niewykluczone, że złamał rękę.

– Został przesłuchany?

– Tak. Mieszka w Luthagen i biega tu każdego ranka.

– W tym śniegu?

– Biega ścieżką rowerową, w tym miejscu zwykle zawraca. Najpierw jednak trochę ćwiczy i wtedy schodzi z jezdni. Tak nam tłumaczył.

– Widział coś?

– Nic.

– Ciało leży tu od wczorajszego wieczoru – przerwał im technik.

– Są ślady kół?

– Całe mnóstwo – powiedziała Beatrice.

– Ciężarówka zwożą tu śnieg z całego miasta – dodał Fredriksson.

– To już zrozumiałem – wszedł mu w słowo Haver.

Przyjrzał się dokładniej ciału. Mały John został pobity. I nie było to przypadkowe pobicie. Ktoś zrobił to z premedytacją albo w napadzie furii. Ślady po oparzeniach, pewnie po papierosach, były bardzo wyraźne. Haver schylił się i zaczął się przyglądać nadgarstkom mężczyzny. Ciemno czerwone ślady świadczyły o tym, że ofiara miała mocno związane ręce.

Kikuty palców były czarne. Cięcie było dokładne, zapewne zrobione ostrym nożem, może nożyczkami albo obcęgami.

Haver zobaczył idącego powoli Ottossona i ruszył mu na spotkanie.

– Mały John – stwierdził.

Szef skinął głową. Wyglądał zaskakująco świeżo. Może to zasługa porannego powietrza?

– Słyszałem, że został okaleczony – wyjaśnił po chwili.

– Jakież to ważne wiadomości mógł posiadać Mały John? – zastanawiał się Haver.



– Co masz na myśli?

– Mam wrażenie, że go torturowano.

Nagle pomyślał o rybkach, które John hodował. Piranie. Wzdrygnął się na samą myśl.

Ottosson zamruczał coś pod nosem. Kolejny podmuch wiatru zmusił ich do podniesienia głów. Haver nadal był pochłonięty własnymi myślami. Czuł się rozkojarzony, nieprofesjonalny.

– Wygląda mi to na porachunki.

Ottosson wyjął dużą kraciatą chustkę, wytarł głośno nos.

– Cholerny wiatr. Na miejscu są jakieś ślady?

– Jak dotąd niczego nie znaleźliśmy. Prawdopodobnie został tu przywieziony samochodem.

– Jest otwarty – powiedział szef, wskazując głową w stronę szlabanu, który rzeczywiście był niedomknięty. – Często tędy przejeżdżam, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś tu wjeżdżał, chyba że zimą. Ciężarówki wysypują tu śnieg.

Haver wiedział, że Ottosson ma letni domek położony niedaleko miasta, gdzieś przy Gysingevägen.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zawołał za szefem.

Ottosson rzadko pojawiał się osobiście na miejscu zbrodni.

– Zatrzymałem Małego Johna, kiedy miał szesnaście lat. To był jego pierwszy kontakt z policją.

– A teraz ile ma lat?

– Skończył czterdzieści dwa – rzucił Ottosson i ruszył do samochodu.

Była całkowicie zaskoczona. Obejrzała się do tyłu, miała wrażenie, że słyszy czyjeś kroki na parkingu, a potem rozległ się krzyk kobiety.

Kiedy znów spojrzała przed siebie, zobaczyła go stojącego przed sobą – Świętego Mikołaja z za dużą brodą i makabryczną maską.

– Przestraszyłam się!

– Wesołych świąt – powiedział Święty Mikołaj, naśladując jedną z postaci z Disneya.

Idź do diabła, pomyślała Ann Lindell, ale się roześmiała.

– Nie, dziękuję – zbyła go, na wypadek gdyby chciał jej coś zaoferować. Najwyraźniej zresztą miał taki zamiar, bo natychmiast stracił nią zainteresowanie i rzucił się na parę, ciągnącą za sobą trójkę małych dzieci.

Przeszła przez drzwi i znalazła się w supermarkecie. Lepiej wzięłyby się do odśnieżania, łatwiej byłoby wejść, pomyślała. Otrzeпаła się ze śniegu i wyciągnęła z kieszeni listę zakupów. Była tak długa, że natychmiast poczuła się zmęczona.

Na samej górze napisała: świeczki, potem różne gotowe produkty i najróżniejsze dodatki. Nie żeby sama tego chciała, ale musiała. Po raz pierwszy jej rodzice mieli spędzić święta w Uppsali. Mama obiecała co prawda przywieźć wiele rzeczy ze sobą, ale lista i tak była długa.

Kiedy doszła do działu warzyw, była spocona.

– Jest brukselka? – spytała kogoś z personelu, kto akurat przechodził obok. W odpowiedzi zobaczyła rękę wyciągniętą w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Dziękuję za precyzyjną informację – powiedziała z naciskiem.

Nagle poczuła czyjaś dłoń na swojej ręce. Odwróciła się i zobaczyła Astę Lundin.

– Ann – rzekła kobieta – dawno się nie widziałyśmy.

Nadal trzymała dłoń na jej ręku, Ann poczuła, jak powracają dawne wspomnienia. Asta była wdową po Antonie, działaczu związkowym i dawnym przyjacielem Edvarda Risberga. Ann spotkała ją kilka razy. Pili kawę w jej kuchni, a potem Edvard pomagał jej w

przeprowadzce do miasta.

– Asta – powitała ją krótko. Nie była w stanie jasno myśleć.

– Masz dziecko – powiedziała Asta, wskazując głową na nosidełko na plecach Ann.

– Synka. Ma na imię Erik.

– Wszystko w porządku?

Ann patrzyła na siwe włosy okalające twarz kobiety, i chciało jej się płakać. Przypomniała sobie słowa Edvarda, który kiedyś powiedział, że Asta i Anton to jedni z najcudowniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek miał okazję poznać.

– Tak, wszystko w porządku – przytaknęła, chociaż jej twarz mówiła coś zupełnie innego.

– Widzę, że robisz wielkie zakupy – zauważyła Asta. – Straszny tu ruch.

Ann miała ochotę spytać ją o Edvarda. Nie rozmawiała z nim już niemal od półtora roku, czyli od tamtego wieczoru, kiedy w przychodni Östhammar, bez ogródek powiedziała mu, że jest w ciąży z innym mężczyzną. Potem nie miała już od niego żadnych wiadomości. Jakby cała przeszłość została wymazana gumką. Zastanawiała się, czy nadal mieszka na Gräsö, w wynajętym pokoju na górze u Violi. Gdzie pracuje? Czy ma kontakt ze swoimi nastoletnimi synami? No i czy jest z jakąś kobietą, pomyślała i poczuła, że kręci się jej w głowie.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Asta, zaczerwieniona.

– Dziękuję. A co u ciebie?

– Siostra przyjeżdża do mnie na święta.

– To dobrze. Do mnie przyjeżdżają rodzice. Chcą zobaczyć Erika. Wiesz może, czy...  
– zaczęła Ann i urwała. Nie była w stanie powiedzieć niczego więcej.

– Pewnie chciałaś spytać o Edvarda, tak? – weszła jej w słowo Asta, kładąc dłoń na jej rękę.

Ann przypomniała sobie, że Edvard wspomniał jej kiedyś, że Asta i Anton często się obejmowali, całowali, nawet w obecności innych ludzi. Dla Edvarda małżeństwo Lundinów było wzorem wierności, wobec siebie i życia w ogóle.

– Rozumiem, że brakuje ci wiadomości z Gräsö? – spytała Asta.

– Nadal tam mieszka?

– Tak. Viola trochę niedomaga. Jesienią miała chyba zator, ale już doszła do siebie.

– Cieszę się – skwitowała Ann bezdźwięcznym głosem.

– Napijemy się kawy? – zaproponowała Asta.

Usiadły przy niewielkim stoliku i poczęstowały się darmową kawą w papierowych

kubeczkach. Erik zaczął marudzić, Ann wyjęła go z nosidełka i rozpięła mu kombinezon.

– Dzielny chłopak – stwierdziła Asta.

Ann chciała by wypytać ją o wiele rzeczy, ale milczała. Dziwnie się czuła, siedząc tu razem z nią. Miała wrażenie, że znają się od zawsze, a przecież tak nie było. No i było jej też trochę wstyd. Zawiodła Edvarda, a tym samym także jego najbliższych przyjaciół. Zraniła go, wiedziała, że wyrządziła mu krzywdę, ale w słowach Asty nie było ani goryczy, ani złości.

– U Edvarda wszystko w porządku. Odwiedził mnie jakiś miesiąc temu. Wpada do mnie od czasu do czasu.

Był w mieście, pomyślała Ann. Może nawet gdzieś się minęliśmy, może mnie widział?

– Odniosłam wrażenie, że jest bardzo zajęty – ciągnęła Asta. – Pracuje tak jak dawniej.

Wszyscy w rodzinie Risbergów są bardzo pracowici. Wiesz, że znałam jego ojca i dziadka?

Ann skinęła głową. Pamiętała Alberta Risberga, starszego mężczyznę, który mieszkał na piętrze w Ramnäs Gård, gdzie pracował Edvard, kiedy go poznała.

– Zrobił się z niego prawdziwy tubylec.

Asta zamilkła, wypła łyk kawy, spojrzała na Ann.

– To było straszne – powiedziała po chwili. – Bardzo przykre.

– Też nie wspominam dobrze całej tej historii – przyznała Ann.

– Edvard nigdy nie był silny. Anton często to powtarzał.

Ann nie miała ochoty słuchać więcej. Asta najwyraźniej to wyczuła, bo natychmiast zamilkła.

– Życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy tego chcieli – powiedziała po chwili, uśmiechając się smutno.

– Czy on... – zaczęła znów Ann.

– Nie, jest samotny – uspokoiła ją Asta.

– Czytasz w moich myślach – stwierdziła Ann.

– Jesteś jak otwarta książka. Nadal go kochasz?

Ann skinęła głową w milczeniu. Nie chciała się rozpłakać. Nie tutaj, w supermarkecie, wśród tłumu ludzi. Kiedy zostanie sama, wtedy nadejdą łzy. Oczywiście, że go kochała.

– Musi minąć trochę czasu – wyjaśniła Asta. – Przekonasz się, że za jakiś czas spojrzysz nieco jaśniej na życie.

Za jakiś czas, pomyślała Ann. Zastanawiała się, czy Asta rozmawiała z Edvardem. Może chciałby się ze mną spotkać, może jest w stanie mi wybaczyć? Chciała spytać o to siedzącą po drugiej stronie stolika kobietę, ale nie starczyło jej odwagi. Bała się odpowiedzi.

– Może – rzuciła więc krótko.

Wstała.

– Muszę dokończyć zakupy. Dziękuję za rozmowę.

Asta się nie odezwała. Została przy stoliku. Siedziała tam nadal, kiedy Ann po jakimś czasie przechodziła obok w drodze do stoiska z wędlinami. Siwe włosy i szczupłe dłonie na blacie stolika. Ann pomyślała, że kobieta pewnie myśli o Antonie.

## 5

Lubił patrzeć na wystający spod śniegu mech. Gdyby było lato, położyłby się na nim. Tylko na chwilę. Żeby trochę odpocząć. Wziął głęboki oddech. Jeden, potem drugi. Zapaliła lampę w dużym pokoju. Przez krótką chwilę widział za szybą jej sylwetkę.

– Jestem leśnym wojownikiem – powiedział głośno.

Sama idea była ciekawa. Lubił myśleć, że przyszedł tu z zewnątrz, z krainy mchu i ciemności.

Nagle w drugim pokoju też zapaliła się lampa. Kobieta rozebrała się, została w samym staniku. Otworzyła drzwi do szafy, wyjęła bluzkę i jednym ruchem wciągnęła ją przez głowę tak szybko, że zaklął. Chciał na nią chwilę popatrzeć. Tyle czasu marzył o jej piersiach.

Nadal stała w pokoju, odwracała się, przeglądała w lustrze, coś poprawiała. Podeszła bliżej, pochyliła się do przodu. Chcąc ją lepiej widzieć, też musiał się schylić. Dobre pięć metrów dzieliło okno od drzewa, za którym się ukrył. Powąchał pień. Zapach wilgoci. Nic poza tym.

Kobieta zgasiła światło i wyszła z pokoju. Odczekał dziesięć minut, zanim ostrożnie zbliżył się do balkonu i skulił obok balustrady. Co zamierzał? Nie wiedział, ciągle jeszcze się wahał. W pierwszej chwili pomysł wydał mu się dobry, nagle jednak stracił swoją atrakcyjność. Właśnie teraz, kiedy był tak bliski jego realizacji, kiedy miał jednego ze swoich dręczycieli dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Vincent Hahn miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie o dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści lat. Wówczas też miewał swoje wielkie chwile, podejmował ważne decyzje, które jednak nigdy nie wytrzymały konfrontacji z rzeczywistością. Nadal go onieśmielała, co budziło jego wściekłość. Był zły, że nie potrafi się wyzbyć poczucia niższości i zależności.

Nóż, pomyślał Haver. Kto zabija nożem?

Rany na klatce piersiowej i na rękach, odcięte palce, poparzenia. Był torturowany, ktoś się nad nim znęcał. Haver nabazgrał coś w notesie, zanim podjechał krzesłem do komputera, by sporządzić raport. Zdążył spisać podstawowe informacje, kiedy usłyszał pukanie. Drzwi się uchyliły, do pokoju wszedł Fredriksson.

– Mały John – powiedział.

– Zebrałem już trochę informacji.

– Niech to szlag, jak zimno.

Fredriksson rzeczywiście wyglądał na zmarzniętego.

– Jego brat nadal od czasu do czasu bywa aktywny – oznajmił i usiadł.

Haver odsunął krzesło od biurka i spojrział na kolegę. Wolałby dokończyć raport, ale widział, że Fredriksson potrzebuje pogadać.

– Ostatnio jakby mniej – stwierdził.

– Lennart Albert Jonsson był wiosną przesłuchiwany w sprawie kradzieży i grózb karalnych.

– I co?

– Sprawa została umorzona – wyjaśnił Fredriksson. – Świadkowie się wycofali.

– Grożono im?

– Tak podejrzewamy.

– Ściągniemy go tu.

– Natomiast John już od wielu lat był praworządnym obywatelem – powiedział Fredriksson. Wstał i oparł się o szafkę z aktami. Wydawał się odprężony, jakby morderstwo było tym, czego właśnie potrzebował tuż przed świętami. – Wiesz, że się ożenił? Poznałem jego żonę. Niezła laska. Mają dzieciaka, syna. Ma na imię Justus.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale polubiłem ich. Jego żona to niezwykła kobieta.

Ładna, prawdziwa *donna*, ale nie chodzi tylko o urodę. Ma coś w sobie.

Haver czekał cierpliwie, aż kolega wyjaśni mu, co to „coś” znaczy, ale Fredriksson najwyraźniej nie zamierzał już do tego wracać.

– Rozumiem, że laska i *donna* to mniej więcej to samo?

– Dobrze rozumiesz – roześmiał się Fredriksson.

– Bea jest u niej – dodał Haver.

Cieszył się, że nie musiał jej towarzyszyć, chociaż pewnie powinien. Pierwsze spotkanie z rodziną zawsze było ważne, często też dostarczało bardzo istotnych informacji.

Przypomniał sobie żonę pewnego samobójcy. Facet wysadził się w powietrze za stodołą w okolicach Hagby, a kiedy Haver i jego koleżanka, Mia Rosën, zapukali do mieszkania żony ze smutną wiadomością, ona zaczęła się śmiać. Śmiała się przez dobre pół minuty, aż w końcu Mia chwyciła ją za ramiona i mocno nią potrząsnęła. Wtedy kobieta oprzytomniała, wymamrotała jakieś przeprosiny, ale nadal nie potrafiła ukryć swojego zadowolenia z powodu śmierci męża.

Okazało się, że mężczyzna był pijany, miał 2,8 promila alkoholu we krwi. Nie można było wykluczyć, że ktoś mu pomógł. Za stodołą, na wąskiej gliniastej drodze były ślady opon. Ktoś niedawno podjechał tam samochodem, a potem się cofał. Samochód najprawdopodobniej był granatowy, na pniu sosny obok drogi zostały ślady lakieru.

Kiedy po kilku dniach wrócili, żeby ponownie przesłuchać kobietę, znaleźli ją w towarzystwie mężczyzny. Facet miał czerwone audi.

Rozmyślenia Havera przerwał Fredriksson.

– Kto morduje nożem? – powiedział, jakby czytał w myślach kolegi.

– Facet za dużo wypił, wpadł w szał. Może doszło do bójki, która skończyła się zabójstwem?

– Zimny drań, który nie lubi, kiedy jest za dużo hałasu? – wszedł mu w słowo Fredriksson.

– Wcześniej też się zdarzało, że ktoś go poturbował.

– A te odcięte palce?

– Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to szantaż. Chociaż pewnie oglądam za dużo telewizji – dodał, widząc spojrzenie Fredrikssona.

– Może Mały John wiedział coś, na czym komuś cholernie zależało – ciągnął nierażony, odsuwając się nieco od biurka.

– John był twardym facetem, nie był zbyt wylewny – stwierdził Fredriksson. Zrobił kilka kroków w stronę okna, odwrócił się i spojrzał na Havera. – Masz jakieś wiadomości od



Ann?

– Sprzed kilku tygodni. Prosiła przekazać pozdrowienia.

– Bardzo dziękuję. Kilka tygodni temu, mówisz. Kiepsko się sprawdzasz w roli posłańca. Co u niej?

– Siedzenie w domu nie jest jej ulubionym zajęciem.

– Z dzieckiem wszystko w porządku?

– Tak sędzę. Rozmawialiśmy głównie o pracy. Mam wrażenie, że Ann kiedyś przesłuchiwała Małego Johna.

Fredriksson wyszedł, a Haver zaczął się zastanawiać nad tym, co jego kolega powiedział o żonie Johna. Był ciekaw, jakie spostrzeżenia będzie miała Bea, ale znał ją i wiedział, że przyjdzie mu na to jeszcze trochę poczekać. Bea miała dobre podejście do ludzi, była miła, ale nie nachalna, dokładna, ale nie pedantyczna. Budziła zaufanie. Nigdy się nie spieszyła, może dlatego potrafiła dotrzeć do informacji, które inni przeoczyli.

Haver zadzwonił do Rydego, który, jak słusznie przypuszczał, nadal był w Libro.

– Coś ciekawego?

– Nic, poza tym że znów sypie.

– Daj znać, jeśli traficie na coś interesującego – polecił Haver lekko zniecierpliwiony.

Ryde powinien już coś znaleźć. Haver lubił, kiedy sprawy posuwały się naprzód.

Oby wszystko poszło dobrze, pomyślał. Miał nadzieję, że pierwsze prowadzone przez niego dochodzenie zakończy się szybkim zatrzymaniem sprawcy. Doświadczenia mu nie brakowało. Przy wielu sprawach współpracował z Lindell, powinien sobie poradzić, a jednak czuł jakąś niepewność, przenikała całe jego ciało, niecierpliwił się.

Ponownie sięgnął po słuchawkę, zadzwonił do prokuratora. Potem odszukał niejakiego Andersa Lundemarka, odpowiedzialnego za składowisko śniegu w Libro. Chciał wiedzieć, jak funkcjonuje. Na pewno przyjeżdża tam wielu kierowców, świadczyły o tym choćby ogromne ilości składowanego tam śniegu. Może ktoś coś widział? Trzeba będzie wszystkich przesłuchać.

Przez centralę gminy zdobył numer komórki Lundemarka, ale mężczyzna nie odbierał. Zostawił mu wiadomość.

Odłożył słuchawkę, wiedział, że teraz nie wolno mu popełnić błędu. Położył przed sobą dokumenty dotyczące Johna i jego brata, Lennarta. Przejrzał wszystko dokładnie. Sporo się tego uzbierało, jednak większość spraw dotyczyła wyłącznie Lennarta Jonssona. Haver zanotował pojawiające się w różnych kontekstach nazwiska, w sumie było ich pięćdziesiąt dwa. Wszystkich należało przesłuchać.

Najważniejsze było środowisko, w którym przebywał Lennart. „Najbliżsi znajomi”, zanotował Haver. Złodzieje, paserzy, kumple od kieliszka i inni, z którymi Lennart utrzymywał kontakty.

Pogrążył się w rozmyślaniach. Powrócił myślami do Rebecki. Był dobrym śledczym, ale gdy chodziło o sprawy domowe, kapitulował. Nie potrafił dotrzeć do żony, nie wiedział, co ją gryzie. Kiedy urodziło się ich pierwsze dziecko, też przez jakiś czas była w domu, ale wtedy wydawała się radosna i zadowolona.

Może po prostu powinien z nią o tym porozmawiać? Usiąść obok niej, kiedy dzieci już usną, i przeprowadzić regularne przesłuchanie? Nie pozostawiać nic przypadkowi, drążyć systematycznie i starać się nie myśleć o tym, że być może on sam też nie jest bez winy.

– Dzisiaj wieczorem – powiedział głośno, świadom, że sam siebie oszukuje. Po pierwszym dniu nowego dochodzenia nie będzie miał siły na taką rozmowę. Poza tym na pewno wróci bardzo późno. – Muszę pamiętać, żeby zadzwonić do domu – wymamrotał pod nosem.

Beatrice stała na klatce i przyglądała się liście lokatorów. Stwierdziła, że jest dwóch Anderssonów. Ramirez i Oto. Skąd pochodził Oto? Z zachodniej Afryki, z Malezji czy z jakiegoś innego równie odległego miejsca? No i byli też J. i B. Jonsson, drugie piętro.

Była sama. To dobrze, pomyślała. Przekazać komuś wiadomość o śmierci bliskiej mu osoby było trudne. W takich sytuacjach Beatrice wołała być sama, koledzy tylko by jej przeszkadzali. Musiała poradzić sobie z własnymi emocjami, siedzący obok kolega, który albo by milczał, albo próbowałby nerwowo zagadać sytuację, nie był jej potrzebny.

Klatka schodowa była świeżo odnowiona, czuć było jeszcze zapach farby. Próbowała sobie wyobrazić, że przyszła w odwiedziny do kogoś, kogo dawno nie widziała, poczuła dreszcz napięcia. Przeciągnęła ręką po chropowatej zielonej ścianie. Zapach farby mieszał się z zapachami kuchennymi, głównie smażonej cebuli. Pewnie Oto przyrządza swoje danie narodowe, pomyślała. Wyobraziła sobie, że to właśnie do niego idzie. „Witaj, Oto, miło cię znów widzieć. Smażona cebula, moje ulubione danie!”

Zrobiła krok do przodu, zatrzymała się. Poczowała wibracje komórki w kieszeni. Sprawdziła, kto dzwoni. Ola.

– Właśnie dostaliśmy zgłoszenie. Berit Jonsson zgłosiła zaginięcie męża. Johna nie ma od wczorajszego wieczora.

– Jestem u niej na klatce – powiedziała Bea.

– Powiedzieliśmy, że kogoś do niej przyślemy.

– I ja mam być tym kimś?

– Tak – odpowiedział Ola poważnie.

Do diabła, zaklęła w duchu Bea. Berit wie, że jestem w drodze. Pomyśli, że przychodzę w związku z jej zgłoszeniem, a ja muszę przekazać jej wiadomość o śmierci męża.

Nagle przypomniała sobie swojego kolegę, który kiedyś został wezwany do wypadku. Starszy mężczyzna wpadł pod samochód i zginął na miejscu. Kolega znał go jeszcze z dzieciństwa, pamiętał, że mężczyzna przyjaźnił się z jego rodzicami. Kiedy wyprowadził się ze swojego rodzinnego miasteczka, długo jeszcze utrzymywał kontakt z nim i z jego żoną.

Zgodził się przekazać kobiecie wiadomość o śmierci męża. Na jego widok starsza pani szczerze się ucieszyła, zaprosiła go do pokoju, chciała poczęstować kawą, powiedziała, że mąż zaraz wróci, poszedł się przejść. zaproponowała, żeby na niego poczekali, potem wspólnie wypiją kawę i porozmawiają. Tak dawno się nie widzieli.

Beatrice ruszyła powoli przed siebie. „John, Berit i Justus Jonsson”, widniało na tabliczce na drzwiach. Sygnał dzwonka nie należał do jej ulubionych, głucho brzęczący dźwięk. Cofnęła się, drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Beatrice Andersson, jestem z policji – przedstawiła się i wyciągnęła rękę na powitanie.

Berit Jonsson ujęła jej rękę. Miała szczupłą, drobną dłoń, ciepłą i wilgotną.

– Szybko się pani zjawiała – stwierdziła i odkaszlnęła. – Proszę wejść.

Korytarz był wąski, długi i ciemny. Tuż obok drzwi piętrzyły się buty. Beatrice zdjęła kurtkę, sięgnęła po wieszak. Berit stała nieruchomo, całkowicie biernie. Policjantka odwróciła się, spróbowała się do niej uśmiechnąć, ale daremnie.

Twarz kobiety była bez wyrazu. Patrzyła na policjantkę obojętnym wzrokiem. Weszły do kuchni, nie odzywając się do siebie. Kobieta wskazała ręką na krzesło, sama stanęła obok blatu. Miała około trzydziestu pięciu lat. Jej kiedyś jasne włosy były teraz w brązoworudawym odcieniu. Mahoń, pomyślała Beatrice. Zebrane dość niechlujnie w koński ogon. Lewo oko uciekało lekko w bok. Chwyciła się blatu obiema rękami.

Bez makijażu jej twarz wydawała się naga. Widać było, że jest bardzo zmęczona.

– To pani jest Berit? – zaczęła Beatrice. – Na tabliczce na drzwiach jest napisane Justus. To pani syn?

Berit Jonsson skinęła głową.

– Tak, mój i Johna.

– Jest w domu?

Kobieta pokręciła głową.

– Zgłosiła pani zaginięcie Johna... – powiedziała Beatrice i urwała, niepewna, co powinna powiedzieć, mimo że wcześniej wszystko już sobie dokładnie przygotowała.

– Miał wrócić do domu wczoraj po południu, około czwartej, ale nie przyszedł.

Kobieta wzdrygnęła się. Puściła się blatu, przeciągnęła ręką po twarzy.

Beatrice pomyślała, że jest ładna, mimo zdenerwowania, ciemnych cieni pod oczyma i zmęczonej, nieco zastygłej twarzy.

– Przykro mi, ale John odszedł. Znaleźliśmy go dzisiaj rano martwego.

Słowa zawisły w powietrzu, zmroziły je. Ręka Berit znieruchomiała, jakby kobieta chciała się za nią skryć, żeby nie musieć słuchać, patrzeć. Beatrice widziała, jak wiadomość powoli dociera do jej świadomości. Kobieta opuściła rękę, wysunęła przed siebie otwartą dłoń, jakby o coś prosiła. Źrenice jej oczu rozszerzyły się, przelknęła głośno ślinę.

Beatrice wstała, wzięła dłoń Berit. Była lodowato zimna.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła – ale John odszedł.

Berit przyglądała się uważnie jej twarzy, jakby chcąc się upewnić, czy nie ma w niej jeszcze cienia wątpliwości. Cofnęła rękę, przyciągnęła do siebie, po chwili podniosła ją do ust. Beatrice czekała na krzyk, który jednak nie nastąpił.

Przelknęła ślinę. Przed oczami miała okaleczone ciało Małego Johna, posiniaczone, poparzone, porzucone w zaspie brudnego śniegu zebranego z ulic miasta.

Berit zaczęła kręcić głową, najpierw powoli, niemal niezauważalnie, potem coraz silniej. Otworzyła powoli usta, z jednego kącika pociekła jej strużka śliny. W końcu dotarło do niej znaczenie słów wypowiedzianych przez Beatrice, jakby przeniknęły do jej świadomości. Zamarła, żaden jej mięsień nie drgnął. Próbowwała się oswoić z myślą, że jej John już nigdy do niej nie wróci, że już nigdy jej nie obejmie, nie wejdzie tu do kuchni, do niej, już nigdy.

Nie protestowała, kiedy Beatrice podeszła i objęła ją ramieniem, a potem poprowadziła do okna i posadziła na krześle przy stole. Sama usiadła naprzeciwko niej. Złapała się na tym, że przygląda się stojącej na stole azalii w doniczce. Najwyraźniej miała za mało wody, bo zaczynała więdnąć, obok leżała poranna gazeta, w adwentowym świeczniku stały trzy do połowy wypalone świece, przy ścianie, na pustym talerzu leżały nóż i widelec.

Beatrice nachyliła się nad kobietą, chwyciła jej rękę, ścisnęła lekko. Po jej policzku poleciała łza.

– Może chce pani, żebym do kogoś zadzwoniła?

Berit odwróciła się do Beatrice, spojrzała jej w oczy.

– Jak? – spytała schrypniętym szeptem.

– Został zamordowany – odpowiedziała policjantka cicho, jakby podświadomie dostosowując się do głosu kobiety.

Spojrzenie, które Berit jej posłała, przywołało w niej wspomnienie z dzieciństwa. Postanowiono zaszlachtować owcę. Wyprowadzono beczące zwierzę z zagrody na podwórze. Owca była przerażona, ale wujowi Beatrice udało się ją uspokoić.

Pamiętała wzrok, jakim owca w pewnym momencie na nią spojrzała, jej oczy, nie tyle zalęknione, co pytające, jakby na dużym dziedzińcu nie było już miejsca na strach i przerażenie.

– Zamordowany? – powtórzyła Berit.

– Może chce pani do kogoś zadzwonić? Ma pani rodzeństwo?

Berit pokręciła głową.

– Rodziców?

Kobieta znów pokręciła głową.

– Justus – powiedziała nagle. – Muszę skontaktować się z Justusem.

– Gdzie on jest?

– U Dannego.

– To gdzieś w pobliżu?

– Na Salabacksgatan.

Nie dam rady, pomyślała Beatrice, chociaż wiedziała, że ona najgorsze ma już za sobą. Przekazała Berit to, co miała jej do przekazania. Teraz musi zrobić wszystko, żeby złagodzić jej ból i spróbować odpowiedzieć na wszystkie jej pytania. Poczula niemal podniosły nastrój. Nie była religijna, ale potrafiła zrozumieć, czego ludzie szukają w religii, w jej przesłaniu i rytuałach. W pracy często ocierała się o sprawy ostateczne, o ludzkie marzenia.

Zauważyła, że policjanci niekiedy musieli przyjmować na siebie rolę spowiedników, ludzie często im się zwierali. Nawet funkcjonariuszom w mundurze, którzy przecież mieli reprezentować władzę i siłę i prowokować zwykłych obywateli do wyrzutów sumienia. A im też się zwierzano. Takie przynajmniej były jej doświadczenia. A może to jej cechy charakteru prowokowały tę bliskość? Nie potrafiła powiedzieć, ale ceniła sobie te chwile. Przyrzekła sobie, że nigdy nie pozwoli sobie na cynizm.

Drzwi zewnętrzne otworzyły się gwałtownie.

– Justus – wydobyła z siebie Berit.

Ale do kuchni wpadł nie chłopiec, tylko mężczyzna. Zobaczył Beatrice i nagle się

zatrzymał.

– Pani pastor, czy jak?

– Nie – odparła Beatrice, wstając.

Mężczyzna oddychał ciężko. W jego spojrzeniu była agresja.

– Więc kim jesteś, do diabła?

– Policjantką.

– Zabili mi brata.

Zamachał prawą ręką przed twarzą Beatrice.

– Lennart – wyszeptała Berit.

Mężczyzna zamarł, stłumił w sobie wściekłość, spojrzał na Beatrice, jakby dopiero w tym momencie odkrył jej obecność. Opuścił ręce, skulił się i zapadł w sobie, jak dmuchana lalka, którą ktoś nakłuł, wypuszczając z niej całe powietrze.

– Berit – wyszeptał, robiąc krok w jej stronę.

– Ty draniu – powiedziała kobieta i plunęła mu w twarz.

Przyjął jej wybuch ze spokojem, przeciągnął ręką po twarzy. Beatrice zauważyła, że ma podarty rękaw pod pachą, przez dziurę prześwitywała krwistoczerwona podszewka.

– To było niepotrzebne – rzekł cicho.

W jego twarzy Beatrice widziała zmieszanie i smutek.

– To wszystko twoja wina – wycodziła Berit przez zaciśnięte zęby.

Była tak wściekła, że z trudem można było zrozumieć, co mówi.

– To twoja wina, do cholery, że John nie żyje!

Jej głos przeszedł w falset.

– Zawsze wciągałeś go w jakieś bagno. To była zawsze twoja wina!

Lennart pokręcił głową. Jego twarz była pomarszczona, pokryta wyjątkowo gęstym czarnym zarostem. Nikt chyba nie domyśliłby się, że mężczyzna, który przed nią stał, i Mały John byli braćmi.

– Przysięgam, że nic nie wiem – powiedział.

Beatrice wierzyła mu.

– Jak pan się dowiedział o śmierci brata?

– Od twoich kumpli, którzy nie potrafią trzymać języka za zębami – odparł i odwrócił wzrok. – Całe miasto już wie – dodał, odwróciwszy się do okna. – Jeśli ktoś przez policyjne radio mówi, że Mały John nie żyje, to natychmiast wszyscy o tym wiedzą.

Niepojęte, pomyślała Beatrice. Jak to możliwe, że imię zamordowanej osoby pada przez policyjny nadajnik?

– Mój braciszek, mój mały braciszek, jedyny, jakiego miałem – płakał Lennart oparty o parapet, z twarzą przyciśniętą do szyby. – Zabiję tych drani! Obiecuję! Znajdę tego, który to zrobił i zatłukę bydlaka, zadreczę na śmierć.

Beatrice zaczęła się zastanawiać, jakie szczegóły związane ze sprawą zdążyły już wyciec na zewnątrz. Berit siedziała skulona na krześle, całkowicie bezwładna, ze wzrokiem utkwionym gdzieś, gdzie Beatrice nie miała dostępu.

– Zostanie pan z Berit? – spytała. – Potrzebuje kogoś przy sobie.

Czy akurat jej szwagier był osobą, której Berit najbardziej w tej chwili potrzebowała, trudno było powiedzieć, ale Beatrice uznała, że tak będzie najlepiej. Byli ze sobą na zawsze połączeni, przez wspólne życie, wspomnienia, a teraz także przez żałobę.

Lennart odwrócił się do Beatrice, pokiwał głową. Nieco śliny Berit nadal tkwiło na jego brodzie.

Dostała adres do kolegi Justusa i do matki Johna i Lennarta; wyszła do przedpokoju, zadzwoniła do Havera, poprosiła, żeby dopilnował, aby ktoś zawiadomił matkę.

Kiedy wróciła do kuchni, Lennart pił piwo z butelki. Pomyślała, że sama też chętnie by się napiła.

– Berit, wie pani może, dokąd John wczoraj się wybierał?

Berit pokręciła głową.

– Miał coś do załatwienia? Zamierzał się z kimś spotkać?

Berit nie odpowiadała.

– Muszę zadać to pytanie.

– Nie wiem.

– Wychodząc, nic nie powiedział?

Berit schyliła głowę, jakby próbowała sobie przypomnieć przebieg wczorajszego dnia. Pewnie wracała w myślach do ostatnich minut przed wyjściem Johna z domu, zanim zniknął za drzwiami i z jej życia, już na zawsze. Pewnie niejedną raz będzie powracała do tych chwil.

– Zachowywał się jak zwykle – stwierdziła w końcu. – Mam wrażenie, że wspomniał coś o sklepie zoologicznym. Miał odebrać jakąś pompę, którą zamówił.

– W którym sklepie?

– Nie wiem. Bywał we wszystkich.

Berit zaczęła pociągać nosem.

– Miał ogromne akwarium – wyjaśnił Lennart. – Nawet w gazecie o nim pisali.

Zapadło milczenie.

– Myślałam, że najął się do odśnieżania. Mówił coś, że może zatrudni się u znajomego

blacharza.

– Pewnie u Mickego – wszedł jej w słowo Lennart.

Berit spojrzała na szwagra i skinęła głową. Micke, pomyślała Beatrice. Kolejne imię do zapamiętania.

Haver, Beatrice, Wende, Berglund, Fredriksson, Riis, Lundin i Ottosson siedzieli skupieni wokół gigantycznego pudełka ze świątecznymi pierniczkami. Fredriksson wziął garść i ułożył je w stos obok swojej filiżanki. Jedenaście pierniczków, policzyła szybko Beatrice.

– Chcesz być jeszcze słodszy?

Fredriksson skinął głową, nieobecny. Ottosson, który najwyraźniej uznał, że jest dostatecznie słodki, zrezygnował w ogóle z pierniczków.

– Poczęstuj się – zachęcał go Riis.

– Nie, dziękuję – odparł szef.

– Mały John zmarł w wyniku utraty krwi – zaczął w końcu Haver. – Został pchnięty nożem. Albo jakimś innym ostrym narzędziem. Wykrwawił się. Napastnik mógł być jeden, ale mogło też być ich kilku.

Ludzie wokół stołu słuchali w skupieniu. Haver zamilkł na moment, żeby koledzy mogli stworzyć sobie własny obraz tego, co się wydarzyło.

– Wcześniej ofiara została pobita. Liczne urazy twarzy i pośladków. Poza tym ślady po poparzeniu, najprawdopodobniej po przypalaniu papierosem, na rękach i organach płciowych.

– Szukamy sadystycznego palacza? – spytał Riis.

– Czyż nie wszyscy palacze to sadyści? – odpowiedział natychmiast Lundin.

Haver spojrzał na niego z wyrzutem, po chwili mówił już dalej.

– Zgon nastąpił prawdopodobnie wczoraj, między czwartą popołudniu a ósmą wieczorem. Jest zimno, ciało było mocno wychłodzone, więc trudno ustalić dokładną godzinę śmierci.

– Miał we krwi alkohol albo narkotyki? – spytał Ottosson.

– Był czysty. Patolog stwierdził jedynie początki wrzodów żołądka i nie najlepszy stan wątroby.

– Alkoholik?

– Nie, ale wątroby nie oszczędzał – stwierdził Haver i nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Mógł zginąć przez przypadek? – zapytała Beatrice. – Wykrwawił się, bo dźgano go



nożem, długo, systematycznie. Jeśli chce się kogoś zabić, robi się to inaczej, szybko i skutecznie.

Absurdalne, pomyślał Haver.

– Był torturowany – powiedział głośno. – Na pewno.

– To twardy facet. Nie było łatwo go złamać – wszedł mu w słowo Ottosson.

– Co my możemy wiedzieć – stwierdził Fredriksson, sięgając po ósmego już pierniczka. – Kiedy przesłuchujesz faceta podejrzanego o kradzież, możesz odnieść wrażenie, że jest twardzielem, ale kiedy ktoś zacznie się nad nim znęcać...

Ottosson nie należał do ludzi, którzy zawsze upierali się przy swoim, tym razem jednak nie ustępował i bronił swoich racji.

– Mały John był uparty. I odważny. Mimo drobnej postury, nigdy się nie poddawał.

– Ale chyba się nad nim nie znęcałeś? – wtrącił Riis.

Ottosson kilka razy przesłuchiwał Małego Johna. Pamiętał, kiedy zatrzymał go pierwszy raz. John był wtedy szesnastoletnim chłopakiem. Potem, przez następne pięć, sześć lat, natykali się na siebie od czasu do czasu.

– To dawna sprawa czy coś nowego? Przyznam, że trudno mi uwierzyć, żeby John ostatnio popadł w jakieś tarapaty. Byłaś u niego, Bea, poznałaś jego żonę, syna. Przez ostatnie dziesięć lat John był przykładnym obywatelem. Dlaczego nagle miałby się w coś wplątać?

Bea pokiwała głową, spojrzała na Ottossona, wyraźnie zachęcając go, żeby mówił dalej. Zgadzała się z jego słowami. Kiedy przyszła do wydziału, Ottosson już tu pracował. Był mądrym człowiekiem, bardzo konkretnym, rzadko wdawał się w długie, skomplikowane wywody. Chciała, żeby mówił dalej, ale on zamilkł. Przejął od Fredrikssona ostatnie pierniczki i rzucił Beatrice nieco figlarne spojrzenie.

– Żona wydawała się w porządku, syn też. Ostatnio John był jakiś czas bez pracy, co pewnie nie było łatwe, ale się nie poddał. Od czasu do czasu szedł się zabawić z kumplami, ale raczej się nie upijał, twierdzi żona. Może go trochę wybielała, ale nie sądzę, żeby szalał. Głównie zajmował się swoim akwariem. W życiu nie widziałam tak dużego. Ze cztery metry długości i pewnie metr szerokości. Zajmuje całą ścianę.

– Lepiej nie myśleć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby zaczęło przeciekać – stwierdził Riis.

Ottosson spojrzał na niego, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma dosyć jego niezbyt mądrych komentarzy. Riis uśmiechnął się krzywo.

– To była jego wielka pasja – mówiła dalej Beatrice. – Działa w Stowarzyszeniu Akwarystów, był nawet w zarządzie. Marzył o własnym sklepie z rybkami.

Ottosson pokiwał głową.

– A jego brat? – spytał Haver. – Wydaje się mieć niejedno na sumieniu. Może to on go w coś wciągnął?

– Nie sędzę – odpowiedziała Beatrice. – W każdym razie na pewno nie zrobił tego świadomie. Wydawał się autentycznie zdziwiony. Był zszokowany, ale to normalna reakcja, kiedy ktoś się dowiaduje, że jego brat padł ofiarą morderstwa. Nic nie wskazywało na to, żeby podejrzewał, że John wplątał się w jakieś ciemne interesy.

– Nie sprawia wrażenia szczególnie bystrego – wtrącił Ottosson. – Może nawet nie jest świadomy, że narozrabiał. I że to mogło mieć takie konsekwencje.

Beatrice nie była przekonana.

– Może teraz to do niego dotarło – kontynuował Ottosson.

Do pokoju wszedł Morenius, szef policyjnego wywiadu kryminalnego. Rzucił na stół grubą teczkę dokumentów, usiadł i ciężko westchnął.

– Przepraszam za spóźnienie, wiem, że jest późno – powiedział i ponownie westchnął, jakby dla podkreślenia swoich słów.

– Napij się kawy – poradził Ottosson. – Orzeźwia.

Morenius roześmiał się i sięgnął po dzbanek z kawą.

– Ciasteczka? – zaproponował Ottosson.

– Lennart Jonsson – zaczął Morenius – jest naszym stałym gościem. I nie tylko naszym. Czternaście razy był zatrzymywany za drobne wykroczenia drogowe, ma na sumieniu szesnaście kradzieży, w tym trzy napady, jedno pobicie, to znaczy my wiemy o jednym, próbę oszustwa, był zatrzymany za posiadanie narkotyków, chociaż akurat to było już dawno, był też oskarżony o groźby karalne i o zakłócanie pracy sądu podczas rozprawy. Tak to wygląda. Poza tym ma mnóstwo wezwań do zapłaty zaległych opłat i około trzydziestu tysięcy koron długu u komornika. Ma przyznany zasiłek, być może wkrótce przejdzie na wcześniejszą emeryturę.

– A niby dlaczego? – wykrzyknął Lundin.

Morenius sprawiał wrażenie zmęczonego długą wyliczanką, wypił jednak łyk kawy i mówił dalej:

– Podobno stara kontuzja. Jakies pięć lat temu spadł z rusztowania i od tamtej pory jest właściwie niezdolny do pracy.

– A więc kiedyś pracował?

– Głównie na budowach. Kiedyś nawet u Ragnsellsa, przez krótki czas jako wykidajło. Zdarzały mu się okresy, kiedy żył jak normalny człowiek.

– Myślicie, że to Lennart jest kluczem do tej tragedii?

Pytanie Ottossona zawisło w powietrzu. Fredriksson zaopatrzył się w nowy zapas ciasteczek, które systematycznie pochłaniał. Riis wyglądał na ogólnie znudzonego. Lundin spuścił głowę i przyglądał się swoim dłoniom, wszyscy czekali, kiedy wstanie i pójdzie do łazienki je umyć. Jego strach przed bakteriami był powszechnie znany, nawet trochę sobie z niego żartowano. Od czasu, kiedy Lundin zaczął pracować w wydziale, wydatki na ręczniki papierowe znacznie wzrosły.

Haver zaproponował, żeby przyjrzeć się bliżej kręgowi znajomych rodziny Jonssonów, a także ich finansom.

Beatrice początkowo słuchała w skupieniu, szybko jednak pogрузzyła się we własnych myślach. Próbowwała przypomnieć sobie, co zwróciło jej uwagę podczas wizyty u Berit Jonsson? Zastanawiała się, czy może chodziło o syna? Coś w twarzy kobiety, jakiś niepokój?

Nagle Ottosson przerwał jej rozmyślenia.

– Bea, zadałem ci pytanie. Czy Berit wspomniała coś o finansach Johna? Czy rodzina miała kłopoty finansowe po tym, jak John stracił pracę?

– Nic na to nie wskazywało. Nie zauważyłam, żeby rodzina była biedna. Berit pracuje na pół etatu, opiekuje się starszymi ludźmi, a John pobierał zasiłek.

– Trzeba będzie wszystko sprawdzić, jak zwykle – stwierdził Ottosson. – Zajmiesz się tym Riis?

Riis skinął głową. Takie zlecenia lubił.

– Pomyślałam, że podjadę do nich jutro – wtrąciła Beatrice. – Porozmawiam z Berit, może też z Justusem, przejrzę rzeczy Johna. Mogę?

– Oczywiście – powiedział Haver. – Wizyty w sklepach zoologicznych nic nie dały, ale będziemy je kontynuować. Jest wiele mniejszych sklepów, niektórzy hodowcy pewnie sprzedają też coś na własną rękę. Trzeba będzie się tym zająć. Musimy się dowiedzieć, co John wczoraj robił.

Ottosson zakończył spotkanie kilkoma okrągłymi zdaniem, których co prawda nikt już nie słuchał, ale wszyscy zostali do końca. Ottosson cenił sobie takie spotkania i starał się, żeby przebiegały w „miłej” atmosferze, bez zgrzytów.

Zbliżała się ósma wieczorem. Rozdział zadań został dokonany.

O wpół do jedenastej Mikael Andersson zadzwonił na policję. Telefon odebrał dyżurny, czyli Fredriksson, ponieważ wszyscy inni byli akurat w Eriksbergu, wezwani do pobicia.

Fredriksson siedział zadowolony w pokoju. Było cicho, spokojnie, miał czas, żeby przemyśleć różne sprawy i uporządkować papiery. Opracował własny system postępowania z dokumentami. Układał je w osiem kupek na biurku, największe były przeznaczone do głównego archiwum, czyli do kosza. Niekiedy zastanawiał się, jak wyglądałoby biuro bez papierów? Ostatnio coraz częściej o tym mówiono, ale na komisariacie w Uppsali pomysł się nie przyjął.

Właściwie nie miał nic przeciwko papierom. Był typem urzędnika, który lubi teczki na dokumenty, katalogi, segregatory. Większość jego kolegów, szczególnie ci młodszy, miała wszystkie dane w komputerze, on jednak lubił szelest papieru. Dziurkacz i zszywacz zajmowały centralne miejsce na jego biurku.

Gdy zadzwonił telefon, przerywając mu pracę, odebrał, starając się nie okazywać swojego niezadowolenia.

– Znałem Małego Johna – usłyszał głos po drugiej stronie słuchawki. – Tego, który został zamordowany.

– Jak pan się nazywa?

– Micke Andersson. Właśnie się o tym dowiedziałem. Byłem w pracy, a komórkę zostawiłem w domu. Zajmuję się odśnieżaniem...

– Okej – przerwał mu Fredriksson spokojnie. – Rozumiem, że wrócił pan do domu i zastał wiadomość na komórce, że John nie żyje. Kto panu ją przesłał?

– Brat Johna.

– Lennart Jonsson?

– Ma tylko jednego brata.

– Znał pan Johna?

– Zналиśmy się całe życie. Co się stało? Wiecie coś?

- Trochę, ale może pan wie coś, czego my nie wiemy?
- Widziałem się z nim wczoraj, zachowywał się jak zawsze.
- Kiedy to było?
- Koło piątej.
- Gdzie?

– U mnie w domu. John był w sklepie monopolowym, a potem wpadł do mnie.

Fredriksson wszystko zanotował, po czym kontynuował pytania.

John pojawił się u Mikaela Anderssona w jego mieszkaniu na Väderkvarnsgatan. Mikael właśnie wrócił z pracy, z zakładu blacharskiego, w którym pracował. Zdążył wziąć prysznic, więc pewnie było koło piątej. John był na zakupach w Kvarnen, w sklepie monopolowym. Sprawiał wrażenie zadowolonego, nie wydawał się zaniepokojony. W ręku trzymał dwie zielone foliowe torby.

Rozmawiali o różnych sprawach. John opowiadał o swoim akwariu, ale nie wspominał, że planuje kupić jakąś pompę. Mikael mówił o swojej pracy, rzucił, że pewnie będzie musiał wieczorem stawić się do roboty. Miał oczyścić dachy ze śniegu.

- Przyszedł do pana z jakąś konkretną sprawą? Pytał o coś?
- Nie, po prostu był w pobliżu i wpadł. Tak przynajmniej zrozumiałem. Spytałem, czy może też chce trochę poodśnieżyć, zawsze brakowało nam ludzi, ale nie był zainteresowany.
- Nie interesowała go praca?
- Nie odmówił, ale też nie okazał szczególnego entuzjazmu.
- Zdziwiło to pana?
- Mały John należał do ludzi, którzy lubią mieć zajęcie. Dlatego sądziłem, że się zgodzi.
- Potrzebował pieniędzy?
- A kto ich nie potrzebuje?
- Miałem na myśli teraz, przed świętami.
- Nic na to nie wskazywało. Właśnie kupił alkohol.

John został u Mikaela około pół godziny, może trzy kwadranse. Kwadrans po szóstej Mikael Andersson wyszedł, miał odśnieżyć dach na Syslomanngatan. Odniósł wrażenie, że John wybiera się prosto do domu.

- I jeszcze jedno – dodał Mikael Andersson. – W pewnej chwili spytał, czy może pożyczyć telefon, ale potem chyba o tym zapomniał.
- Nie powiedział, do kogo chciał zadzwonić?
- Pewnie do domu. Mówił, że jest spóźniony.

Mikael Andersson odłożył słuchawkę i sięgnął do kieszeni na piersi po paczkę papierosów, nagle przypomniał sobie, że przecież dwa miesiące temu przestał palić. Zamiast zapalić papierosa, nalał sobie kieliszek wina, chociaż wiedział, że wino tylko zwiększy jego pragnienie papierosa. John żartował sobie z niego, mówił, że pije wino jak baba. Początkowo trochę się tego wstydził, ale potem wszyscy już wiedzieli, że Micke pije czerwone wino.

Cztery lata mieszkał z kobietą, która miała na imię Minna. Pewnego dnia po prostu wyszła z domu i nigdy już nie wróciła. Nie zabrała nawet swoich mebli i rzeczy osobistych. Micke odczekał dwa miesiące, potem spakował wszystko i zawiózł do Rangsellsa w Kvarnbo. Zappełnił pół kontenera jej „drobiazgami”.

To ona nauczyła go pić wino. I to była jej jedyna zaleta, jak później mawiał. „Gdybym ją bił czy był dla niej niedobry, to może bym zrozumiał. Ale tak po prostu wyjść? Nie rozumiem tego...” – zwierzał się znajomym, którzy pytali, co się z nią stało.

Usiadł w pokoju dziennym, w fotelu, w którym siedział dzień wcześniej, kiedy odwiedził go John. Siedzieli wtedy naprzeciwko siebie. John nie zdjął nawet kurtki. John, którego znał całe życie. Jego najlepszy przyjaciel. Właściwie jedyny, pomyślał i zaczął szlochać. Nie potrafił się powstrzymać.

Wypił łyk wina i trochę się uspokoił. Rioja. Przekręcił butelkę, przeczytał etykietę, nalał trochę do kieliszka. Nagle to ostatnie pół godziny spędzone z Johnem nabrało szczególnego znaczenia. Próbował przypomnieć sobie wszystko, o czym rozmawiali, wyraz jego twarzy, każdy jego grymas, uśmiech, spojrzenie. Bo przecież się śmiali, on i John...

Wypił wino i zamknął oczy.

– Dobrze nam było razem, prawda, John? – powiedział cicho. Widział go przed sobą, jak stoi, trzymając w ręku reklamówki, i mówi coś o zbliżających się świętach. Nagle pomyślał, że może John zostawił foliowe torby w przedpokoju, wyszedł sprawdzić, czy nie stoją gdzieś pod wieszakiem. Ale znalazł tylko tenisówki i własne przemoczone buty, których używał do pracy i które powinien postawić bliżej grzejnika, żeby wyschły.

Zamyślony wyszedł do kuchni. Zastanawiał się, co mówił John. Spojrzał na zegar na ścianie. Może zadzwoni do Berit? Był pewien, że nie śpi. A może powinien do niej pojechać? Z Lennartem nie chciał rozmawiać. Pewnie zacząłby wrzeszczeć, drzeć się.

Na stole w kuchni leżał program wyścigów konnych. Założę się, że teraz, kiedy już nie żyjesz, okaże się, że wygraliśmy dziesięć milionów, pomyślał. Zrzucił program i wypełnione kupony na podłogę. Obstawiali od lat, chociaż nigdy nie udało im się wygrać. Mieli jednak nadzieję, że kiedyś w końcu uda im się zgarnąć pulę. Mikael poczuł dobrze mu znane napięcie, rodzaj oszołomienia, niemal szczęście.

– Kiepsko nam szło, bo nie znaleźliśmy się na koniach – powiedział głośno.

Gdyby chodziło o ryby, sprawa wyglądałaby inaczej, pomyślał i schylił się, żeby podnieść coś z podłogi. Poza piciem wina Minna nauczyła go czegoś jeszcze, mianowicie tego, że jeśli pozwoli, żeby różne rzeczy leżały na podłodze, będzie to początek końca.

Przyłożył czoło do szyby, wyszeptał imię przyjaciela, wpatrując się w padający śnieg. Lubił święta, lubił też przygotowania do świąt, wiedział jednak, że od tej chwili widok z jego okna na okno sąsiadów, gdzie na parapecie stał świąteczny świecznik i gwiazda betlejemska, już zawsze będzie mu się kojarzyć ze śmiercią Johna.

Lennart Jonsson brnął przez śnieg. Kiedy mijał Vaksalagatan, usłyszał wściekle trąbienie samochodu. Uniósł do góry pięść. Czerwone tylne światła samochodu zniknęły gdzieś na wschodzie. Miał poczucie niesprawiedliwości. Inni jeździli samochodami, a on musiał skakać przez zasy i kluczyć w poszukiwaniu odśnieżonych kawałków chodnika.

Kiedy odwrócił wzrok, zobaczył dekoracje świąteczne, sznur światełek, prowadzący do centrum. Śnieg skrzypiał pod nogami. Jakaś kobieta powiedziała mu kiedyś, że kiedy słyszy taki dźwięk, miałaby ochotę go schrupać. Od tamtej pory zawsze, kiedy szedł po śniegu, przypominał sobie jej słowa. Podobały mu się, chociaż nie do końca je rozumiał. Zastanawiał się, co miała na myśli.

Na Salabacksgatan minął go samochód z choinką na dachu, poza tym ulice były puste. Zatrzymał się, zwiesił głowę, jakby był pijany, i nagle złapał się na tym, że płacze. Najchętniej położyłby się na śniegu i umarł jak jego brat. Jego jedyny brat. John nie żył. Został zamordowany. Pragnienie zemsty wypełniło jego ciało, tkwiło w nim niczym cierni. Wiedział, że ból ustąpi dopiero, kiedy morderca Małego Johna też umrze.

Tęsknota za bratem nie minie, będzie musiał z nią żyć. Zaciągnął suwak kurtki, pod nią miał tylko zwykły T-shirt. Szedł ulicą krokiem tak innym niż zwykle, że niemal fizycznie mu obcym. Zwykle parł do przodu, teraz szedł zamyślony, przyglądając się fasadom domów. Zwracał uwagę na szczegóły takie jak przepelniony kosz na śmieci przy przystanku autobusowym czy zasypany śniegiem porzucony balkonik. Rzeczy, na które w innej sytuacji w ogóle nie zwróciłby uwagi. Jakby śmierć brata wyostrzyła jego zmysły. Wypił tylko kilka piw. Piw, które kupił John. Został u Berit dłuższą chwilę, czekając, aż Justus zaśnie. A teraz szedł ulicą trzeźwy i skupiony jak nigdy i patrzył, jak biała welon otula całą okolicę.

Śnieg skrzypiał mu pod nogami, miał ochotę zjeść nie tylko sam dźwięk, ale pochłonąć całe miasto i całe piekło, wymieść wszystko do czysta.

Dotarł do placu Brantinga, jeszcze kilka przecznic i będzie w domu, ale zamiast iść dalej, zatrzymał się. Pokonując zasy, przez plac przedzierał się traktor wyposażony w pług.

Odsńiezał miejsca parkingowe i podjazdy.

Czy John nie żył, kiedy porzucono go w Libro? Nie wiedział tego, zapomniał spytać. Pamiętał natomiast, że John szybko marzył. Jego drobne ciało nie było odporne na mróz. Miał szczupłe dłonie. Powinien zostać pianistą. Ale został spawaczem i ekspertem od ryb akwariowych. Wuj Eugen zawsze żartował, że John powinien zgłosić się do jakiegoś telewizyjnego turnieju. Potrafił nazwać każdą rybią pręgę, znał każdą płetwę.

Lennart przyglądał się traktorowi, mijając go, uniósł rękę w geście pozdrowienia. Kierowca pomachał mu. Młody chłopak, koło dwudziestki. Przyspieszył nieco, kiedy zauważył, że Lennart mu się przygląda, nonszalanckim gestem ręki wrzucił wsteczny; coś zatrzeszczało, zawrócił i zaczął się zmagać z kolejną zaspą.

Lennart pomyślał, że może zatrzyma traktor, zamieni kilka słów z kierowcą, powie coś o Małym Johnie. Czuł potrzebę rozmowy z kimś, kto wie, co to znaczy pracować rękami.

Nie był w stanie myśleć o bracie inaczej jak we fragmentach. Pamiętał jego dłonie, jego niepewny uśmiech, szczególnie kiedy znajdował się w obcym dla siebie środowisku. Na pewno nie był natrętny. Przypomnił sobie jego drobne, ale zadziwiająco silne ciało.

John dobrze grał w kulki. Kiedy grali na podwórku, zawsze wygrywał, wracał do domu z torebką pełną kulek i kieszeniami wypchanymi ołowianymi żołnierzykami. Tylko Teodor, dozorca, był lepszy od niego. Przechodził czasem obok, brał kulkę i posyłał ją szerokim łukiem, obalając żołnierzyka. To było wbrew zasadom, ale nikt nie protestował. Teodor traktował wszystkich jednakowo, więc każdy miał nadzieję, że następnym razem pomoże właśnie jemu.

Teodor często się śmiał, może dlatego, że lubił od czasu do czasu napić się piwa, ale chyba przede wszystkim dlatego, że nie bał się okazywać uczuć. Wszyscy wiedzieli, że kochał kobiety, cierpiał na lęk wysokości i bał się ciemności. Poza tym był pracowity i dobrze dbał o budynek. W tym nie miał sobie równych.

Lennart często myślał, że gdyby w szkole mieli takich nauczycieli jak Teodor, z jego siłą i z jego słabościami, to pewnie wszyscy zostaliby profesorami. W takiej czy w innej dziedzinie. Teodor był mistrzem w sprzątanu zejść do piwnicy tak, żeby wokół w ogóle się nie kurzyło. Utrzymywał porządek na podwórzu, grabił ścieżki i dbał o kwietniki, a na dodatek potrafił robić kilka rzeczy jednocześnie.

Tego wszystkiego powinni nas nauczyć w szkole, pomyślał Lennart, przyglądając się traktorowi. Wierzysz mi, John? Tobie jednemu na mnie zależało. Nie, nieprawda, ojcu i matce też. To oczywiste. Ojciec, ojciec. To jego cholerne jąkanie i te przekłete dachy. Całe to piekło.



Teodor nie miał specjalnego pługu do odśnieżania, musiała mu wystarczyć łopata i stary, jednoosiowy belos z doczepionym z przodu kawałkiem blachy.

John i Lennart pomagali mu odśnieżać schody do piwnic, a pewnej zimy w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy opady śniegu były niezwykle obfite, Teodor wysłał ich na dach, piętnaście metrów nad ziemią. W końcu byli synami dekarza. Owinął ich sznurem, dał każdemu niewielką łopatę do ręki. Sam, trzymając w rękę drugi koniec liny, usadowił się przy wyjściu na dach, skąd mógł wszystko kontrolować. Chłopcy wyszli na śliski dach i zaczęli zwałąć śnieg na ulicę. Na dole stał Svensson i kierował ruchem pieszych.

W pewnym momencie Lennart spojrzął w dół i pomachał mu ręką. Svensson mu odpowiedział. Był trzeźwy? Być może. Teodor stał w okienku, śmiertelnie przerażony wysokością. Na zachodzie widać było dach zamku i wieże katedry. Na wschodzie kościół Vaksala z ostro zakończoną wieżą, wskazującą na niebo niczym igła. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Pod kurtką waliło mu serce.

Kiedy w końcu wspięli się szczyt dachu i zeszli przez otwór na strych, Teodor poczuł taką ulgę, że zaczął się śmiać. Zeszli razem do kotłowni, gdzie w ogromnym piecu spalano wszystkie śmieci. Tu mogli się ogrzać. Powietrze było gorące i suche, pachniało kwaśno, ale przyjemnie.

W pomieszczeniu obok pieca stał stół pingpongowy, przy którym zdarzało im się czasem rozegrać partyjkę. John zawsze był od niego szybszy. Lennart najchętniej rozstrzygałby wszystko od razu, jednym smeczem.

Czasem dozorca stawiał im oranżadę. Sam pił piwo. John zawsze wybierał zingo. Lennart uśmiechnął się na samo wspomnienie. Dawne czasy. Od lat nie wracał myślami do kotłowni, teraz próbował odtworzyć tamten klimat. Zapachy, stopy pustych butelek, sterty gazet. Dawne czasy. Profesor Teodor nie żył już od kilku lat.

Lennart spuścił głowę jak stojący nad grobem żałobnik. Marzył, ale chciał pozostać wśród wspomnień. Wiedział, że kiedy wróci do domu, szybko dogoni go główniana rzeczywistość. Wtedy wypije kieliszeczek, może dwa.

Kierujący pługiem chłopak podjechał bliżej, mijając go, posłał mu badawcze spojrzenie. Lennartowi było obojętne, co sobie pomyśli. Jeśli uzna, że Lennart zwariował, to trudno.

Kiedyś zrobili Teodorowi niespodziankę. Miał urodziny, chyba nawet okrągłe, któreś z rodziców musiało im coś szepnąć. Zebrali się w piwnicy i czekali na niego. Teodor bał się ciemności. Kiedy szedł długim, krętym piwnicznym korytarzem, słyszeli, jak śpiewa, żeby zagłuszyć strach. „Już siódmy wieczór czekam na ciebie w mojej samotni...” Głos odbijał się

echem od ścian wąskiego korytarza. Kiedy dozorca minął pomieszczenie na rowery, zaczęli śpiewać. Teodor zamarł ze strachu. Dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje. Ze łzami w oczach słuchał, jak śpiewają mu *Sto lat*. Jego dzieciaki. Łobuziaki, na które czasem krzyczał, z którymi czasem grał w pingla, którym zabierał piłkę, kiedy grali w nogę na mokrym trawniku, żeby potem zonglować nią w kotłowni.

Dziesięciu chłopaków i dozorca w piwnicy. Dawne czasy. Dzieciństwo jego i Johna. Kiedy jeszcze nic nie było przesądzone. Wziął głęboki oddech. Zimne powietrze wypełniło jego płuca, zaczął się trząść. Czyżby już wtedy zostało postanowione, że John umrze młodo? To powinien być on. Tyle razy prowadził samochód po pijaku, pił bimber z niepewnego źródła, zadawał się z różnymi podejrzanymi typkami. To powinien być on, a nie John, który miał Berit i Justusa, swoje akwarium i dłonie, którymi potrafił wszystko zespawać.

Zaczął iść. Śnieżyca nieco ustała, między chmurami pokazały się gwiazdy. Pług szalał teraz we wschodniej części placu. Po chwili maszyna stanęła i Lennart zauważył, że młody chłopak wyciąga termos, wyjmując kubek i nalewa sobie łyk kawy.

Mijając go, skinął mu głową. Nagle zatrzymał się na chwilę, jakby coś przyszło mu do głowy, podszedł bliżej i ostrożnie zapukał w drzwi kabiny. Siedzący w środku chłopak otworzył szybę.

– Cześć – powiedział Lennart. – Dużo pracy?

Chłopak skinął głową.

– Pewnie się zastanawiasz, co tu robię w środku nocy?

Wspiął się na pierwszy stopień, tak że zrównał się z siedzącym w kabinie chłopakiem. Czuł płynące ze środka ciepło.

– Wczoraj zmarł mój brat. Dlatego mam doła.

– Niech to szlag – rzucił chłopak, stawiając termos na desce rozdzielczej.

– Ile masz lat? – spytał Lennart.

– Dwadzieścia trzy.

Lennart nie bardzo wiedział, co ma teraz powiedzieć, ale bardzo chciał podtrzymać rozmowę.

– Ile lat miał twój brat? – spytał chłopak.

– Był moim młodszym bratem, ale był starszy od ciebie – Lennart spuścił głowę, przyglądał się swoim przemoczonym butom. – Był moim młodszym braciszkiem – powtórzył cicho.

– Napijesz się kawy?

Lennart posłał chłopakowi przelotne spojrzenie, skinął głową.

– Mam tylko jeden kubek – wyjaśnił chłopak.

– W porządku.

Chłopak dał mu do ręki kubek z parującym napojem. Kawa była z cukrem, ale trudno. Lennart wypił łyk i znów spojrzał na chłopaka.

– Właśnie wracam od żony brata. Mają syna, ma czternaście lat.

– Chorował?

– Nie, został zamordowany.

Chłopak otworzył szeroko oczy.

– W Libro, jeśli wiesz, gdzie to jest. Jasne, że wiesz. Gmina wysypuje tam śnieg.

– To był twój brat?

Lennart wypił resztkę kawy, oddał chłopakowi kubek.

– Dobrze mi zrobiło, potrzebowałem napić się czegoś gorącego – powiedział, ale nadal drżał. Jakby zimno już na dobre przeniknęło do jego ciała. Chłopak zakręcił termos, włożył go do torby za fotelem. Jego ruchy wydały się Lennartowi znajome, poczuł ukłucie zazdrości. – Chyba powinienem wracać – rzucił.

Chłopak patrzył przed siebie.

– Niedługo przestanie padać. Robi się zimniej.

Lennart nadal stał na stopniu, jakby jeszcze się wahał.

– Dbaj o siebie – powiedział w końcu. – I dzięki za kawę – dodał.

Powoli ruszył do domu. Słodki smak w ustach sprawił, że zatęsknił za piwem. Przyspieszył kroku. Przez okno zobaczył kobietę, która pucowała kuchnię. Kiedy ją mijał, podniosła głowę. Otarła dłonią czoło, rzuciła mu szybkie spojrzenie i powróciła do swoich zajęć, zaczęła ustawiać ceramiczne krasnoludki na parapecie.

Kiedy dotarł do domu, była już prawie druga. Zapalił lampę nad kuchenką, wyjął z szafki piwo i usiadł przy stole.

John nie żył już od trzydziestu godzin. I od trzydziestu godzin jego morderca pozostawał na wolności. Z każdą sekundą Lennart utwierdzał się w swoim postanowieniu, że musi zabić tego, kto zamordował jego brata.

Postanowił dowiedzieć się, co wie policja, o ile w ogóle zechcą z nim rozmawiać. Ponownie spojrzał na zegarek. Powinien był od razu rozpocząć poszukiwania. Powinien był obdzwonić ludzi. Z każdą minutą narastało w nim poczucie niesprawiedliwości. Morderca jego brata nadal korzystał z wolności, nadal oddychał tym samym powietrzem, co on.

Wziął kartkę i coś do pisania, siedział chwilę i gryzł pióro, a potem szerokim pismem wypisał osiem nazwisk. Były to nazwiska ośmiu mężczyzn, wszyscy w jego wieku. Drobnymi

kieszonkowcy, jak on. Paserzy, ćpuny, dwóch pędziło bimber, jeden był dilerem, wszyscy byli przyjaciółmi z czasu, kiedy siedzieli razem w zakładzie karnym w Norrtälje.

Stara paczka, pomyślał, patrząc na listę. Ludzie, których praworządni obywatele omijają z daleka, udając, że ich nie widzą.

Postanowił odstawić alkohol. Potem, kiedy już będzie po wszystkim, będzie mógł zapisać się na śmierć.

Otworzył kolejne piwo, wypił kilka łyków, odstawił butelkę i poszedł do pokoju dziennego. Miał dwupokojowe mieszkanie. Był dumny z tego, że przez wszystkie te lata udało mu się utrzymać swoją twierdzę. Sąsiedzi czasem narzekali, to jasne, zdarzało się też, że się spóźniał z czynszem i umowa najmu wisiała na włosku.

Na jednej z półek na ścianie stały dwa zdjęcia. Wziął jedno z nich do ręki i zaczął mu się przyglądać. Wujek Eugen, John i on na rybach. Kto zrobił zdjęcie, tego nie pamiętał. John trzymał w ręku szczupaka i wyglądał na przeschęśliwego. On zaś miał zawziętą minę, ale nie był zły, po prostu poważny. Eugen jak zwykle sprawiał wrażenie zadowolonego.

Zadowolony głupek, mawiała Aina o swoim bracie. Lennart przypomniał sobie pewną sobotę, kiedy matka położyła jedną rękę na karku Eugena, drugą na karku Albina. Siedzieli przy stole kuchennym. Matka podała pieczone, szła pewnie do spiżarni i przechodząc obok stołu, dotknęła dwóch mężczyzn, których kochała najbardziej na świecie. Zatrzymała się, żeby skomentować coś, co powiedział jej brat, a wszystko trwało moment, może dziesięć sekund.

Lennart pamiętał jej wzrok, kiedy patrzyła na ojca. Sprawiał wrażenie dobrotliwego, jak zwykle kiedy wypił sobie jednego. Można było odnieść wrażenie, że nawet nie poczuł jej dłoni, w każdym razie nie zareagował, nie wzdrygnął się, nie wyglądał też na zawstydzonego.

Ile on sam miał lat na tym zdjęciu? Może czternaście? To chyba właśnie wtedy wszystko zaczęło się zmieniać. Skończyły się wyprawy na ryby. Lennart pamiętał walkę, jaką wtedy toczył sam ze sobą. Nadal oczywiście zdarzały się chwile, kiedy czuł się szczęśliwy. Jak wtedy, kiedy po zakończonym odśnieżaniu stał z Johnem i Teodorem na strychu. Albo w tych rzadkich momentach, kiedy przychodził do Albina do warsztatu. Wtedy jękanie ojca nie miało znaczenia. Czy jego wieczne zmęczenie. Kiedy Lennart był mały, sądził, że jedno ma związek z drugim, że ojciec zacinął się, bo męczyło go wypowiedzenie słów. Ale w warsztacie zmęczenie znikało. Nawet poruszał się inaczej.

Nagle przypomniał sobie, jak twarz ojca czasem się kurczyła. Z bólu czy ze zmęczenia? Czy dlatego się przewrócił? Ludzie mówili, że było ślisko. A może ojciec skoczył, z głową do przodu? Nie, jego kolega widział, jak się ześlizguje, słyszał jego krzyk,

czy raczej krzyki. Czy wtedy też się jąkał? Kiedy bezwładny leciał w dół? Czy to jękanie sprawiło, że jego krzyk odbijał się echem o masywne ceglane ściany katedry?

Musiał krzyczeć tak, że słyhać go było aż u arcybiskupa. Ten w niebie został uprzedzony, żeby zrobić miejsce dla Albina. Jego głos dotarł do Niego z wysoka, znad wszystkich dachów i wież, na które się wspinał. Teraz pewnie naprawia dachy w niebie, pomyślał Lennart. Musiał przecież mieć jakieś zajęcie. Nie potrafiłby nic nie robić. Więc pewnie kładzie teraz w niebie dachy ze złota albo z miedzi.

Nagle Lennart poczuł, że tęskni za staruszką, jakby smutek po śmierci Johna pociągnął za sobą ten wcześniejszy, po śmierci Albina.

– Tylko chwilę – powiedział głośno, ulegając wspomnieniom.

Siedział w źle oświetlonym mieszkaniu, godzinę, dwie, może nawet trzy. Czuwał. Usta mu zeszywniały, rozboleł go kręgosłup. Czuwał, powracając myślami do chwil spędzonych z Johnem. Tych dobrych; te złe starał się wyprzeć. Niejeden raz zastanawiał się, dlaczego wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. W swoim życiu musiał odpowiedzieć na wiele pytań: zadawano mu je w szkole, w poradni psychologicznej, na policji, w więzieniu, w różnych miejscach.

Próbował powiązać nitki, które wszystkie kończyły się na wysypisku śniegu w Librobäck, miejscu, o którym pewnie nikt nigdy nie myślał.

Wiedział, że jego pytania pozostaną bez odpowiedzi. Życie było zbiorem przypadkowych okoliczności i zawiedzionych nadziei. Dawno już przestał się zastanawiać. Tor jego życia został już wybrany. Czy był to jego własny wybór, nad tym też przestał już się zastanawiać. Wiedział jednak, że wiele, zbyt wiele potoczyło się źle, cholernie źle. Ale nikogo o to nie obwiniał, już nie. Życie było takie, jakie było.

To drugie życie, to przykładne, istniało tuż obok. Oczywiście, że próbował. W pewnym momencie, w latach osiemdziesiątych, dostał pracę w firmie budowlanej Bygg & Mark. Ubijał ziemię, układał tłuć i nabrał tężyzny fizycznej jak nigdy wcześniej.

Spotykał ludzi, którzy znali Albina, poznał ojca od innej strony. Starzy budowlańcy wypowiadali się z uznaniem o świetnym fachowcu, jakim był jego ojciec. Chłonał ich słowa. Jakby pamięć o ojcu, o jego umiejętnościach, przydawała blasku także synowi.

Oczywiście, że były też lepsze czasy. No i był John. Jego młodszy braciszek. A teraz John już nie żył. Został zamordowany.

Berit po raz trzeci w ciągu pół godziny uchyliła drzwi do pokoju Justusa, spojrzała na zmierzwione włosy syna i jego nagą twarz, na której wciąż jeszcze widać było ślady płaczu.

Zamknęła drzwi, stała chwilę z ręką na klamce. Co teraz będzie? – powtarzała w duchu. Poczucie nierzeczywistości pokrywało jej twarz niczym maska. Nogi miała ciężkie, ręce zdawały się wyrastać z ciała, które było jej, ale jednak nie do końca. Poruszała się, mówiła, odbierała otoczenie wszystkimi zmysłami, cały czas jednak dystansując się od samej siebie.

Justus się załamał. Przez kilka godzin trząsł się, płakał i krzyczał. Berit zmusiła się do spokoju. W końcu on też się uspokoił, zapadł się w róg kanapy. Na jego młodej twarzy pojawiło się coś obcego.

Po jakimś czasie oboje zgłodnieli. Berit ugotowała makaron, zjedli go z kielbasą parówkową i keczupem.

– Czy śmierć boli? – spytał Justus.

Co miała mu odpowiedzieć? Funkcjonariuszka powiedziała, że John został pobity. Berit nie chciała znać szczegółów.

– Tak, Justus, tata cierpiał – powiedziała cicho. Głośno zaś odpowiedziała, że John prawdopodobnie nie cierpiał. Chciała pocieszyć syna.

Nie uwierzył jej. Zresztą dlaczego miałby?

Dłoń na klamce. Zamknięte oczy.

– Mój John – wyszeptwała.

Wcześniej się pociła. Teraz marzła. Na zdrętwiałych nogach poszła po koc. Stała nieruchomo na środku pokoju, niezdolna do niczego. Dopóki Justus nie zasnął, czuła się jeszcze potrzebna. Teraz z każdą minutą John stawał się coraz bardziej martwy. I coraz bardziej odległy.

Podeszła do okna. Poczowała duszący zapach hiacyntów, stłumiała odruch, żeby stłuc szybę i zaczerpnąć powietrza, świeżego powietrza.

Śnieg znów zaczął padać. Nagle zauważyła jakiś ruch. Między domami po drugiej stronie ulicy przebiegł mężczyzna. Wszystko trwało sekundę, ale jego sylwetka wydała się Berit znajoma, już gdzieś go widziała. Ciemnozielone ubranie, czapka z daszkiem. Spojrzała w stronę rogu, za którym zniknął, dostrzegła ślady na śniegu. Pomyślała, że właśnie tego mężczyznę widziała poprzedniego wieczoru, kiedy stała w oknie, wyglądając Johna. Wtedy sądziła, że to pewnie brat Harry'ego, który pomagał mu przy odśnieżaniu, teraz jednak zaczęła mieć wątpliwości. Czy to John jej się pokazał? Może chciał jej coś powiedzieć?

Ola Haver wrócił do domu tuż przed dziewiątą.

– Oglądałam *Wiadomości* – przywitała go Rebecka, spoglądając na niego przez ramię.

Ola zdjął wierzchnie ubranie i poczuł, jak zmęczenie przejmuje nad nim władzę. Z kuchni doszedł go nieprzerwany odgłos siekania. Nóż uderzał o deskę do krojenia.

Wszedł do kuchni. Rebecka stała odwrócona do niego plecami. Jakaś siła ciągnęła go do niej, jakby on był opiłkiem żelaza, a ona magnesem.

– Cześć – powiedział, zanurzając twarz w jej włosach.

Poczuł, jak się śmieje. Nóż nadal uderzał rytmicznie o deskę.

– Wiesz, że w Hiszpanii kobiety poświęcają dziennie cztery godziny zajęciom domowym, a mężczyźni zaledwie trzy kwadransy?

– Rozmawiałaś z Monicą?

– Nie, czytałam w gazecie. Między odkurzaniem, karmieniem piersią a praniem – odparła, śmiejąc się.

– Mam coś zrobić? – spytał.

Wyciągnął ręce, objął ją, chwycił jej dłonie i zmusił, żeby przestała kroić.

– Badanie przeprowadzono w kilku krajach Europy – opowiadała dalej, próbując się oswobodzić.

– Jak wypadła Szwecja?

– Lepiej – odpowiedziała krótko.

Domyślił się, że chce, żeby dał jej spokój, pozwolił dokończyć sałatkę, czy cokolwiek to było, ale nie potrafił oderwać się od jej ciała. Pragnął przywrzeć do jej pleców, pośladków.

– Było okropnie?

– Jak zawsze w takich sytuacjach. Najgorzej miała Bea.

– To ona zawiadomiła rodzinę?

– A co u ciebie? Jak dzieci?

– Miał żonę?

– Tak – odpowiedział Haver.

– Dzieci?

– Czternastoletniego chłopca.

Rebecka wysypała pokrojone warzywa na patelnię, przeciągnęła nożem po desce, żeby zebrać resztki. Ola przyglądał się nożowi w jej ręce. Kamień pierścionka, który kupił jej w Londynie, błyszczał, czerwony rubin.

– Postanowiłam wypróbować coś nowego – oznajmiła.

Ola domyślił się, że chodzi jej o sałatkę. Wstał i poszedł wziąć prysznic.

Za dwadzieścia czwarta nad ranem Justus Jonsson wstał z łóżka. Obudził się nagle, w głowie miał tylko jedno. Słyszał głos ojca: „Synku, wiesz, co masz robić”.

Że też nie pomyślał o tym wcześniej.

Wstał, podszedł na palcach do drzwi, otworzył je, zobaczył światło w holu. Zaczął nasłuchiwać. W mieszkaniu było cicho. Drzwi do pokoju rodziców były uchylone. Zajrzał do środka i zdziwiony zobaczył, że łóżko jest puste. Patrzył na nie chwilę zdezorientowany. Czyżby matka gdzieś poszła? Wtedy spostrzegł, że nie ma jej kołdry, i zrozumiał, co się stało.

Znalazł ją na kanapie. Podszedł do niej tak blisko, że słyszał jej oddech. Po chwili, już spokojny, wrócił do sypialni. Drzwi szafy zaskrzypiały lekko, kiedy je otworzył. Ostrożnie przysunął krzesło, żeby dosięgnąć do najwyższej półki, w głębi szafy.

Były tam kartony z rzeczami Johna, części rezerwowe do akwarium, pompy, filtry, puszka z kamykami, torebki foliowe i różne inne rzeczy. Za tym wszystkim, w głębi, Justus znalazł to, czego szukał. Ostrożnie wyciągnął karton. Matka zakasłała, zamarł w bezruchu, odczekał pół minuty, zanim odważył się zejść. Postawił karton na łóżku, usiadł na krześle i ostrożnie zamknął drzwi.

Karton był nadszpiewanie ciężki. Wziął go pod pachę, wyrzał do holu, nasłuchując. Pocił się. Podłoga była zimna. Zegar w salonie wybił czwartą.

Uratował ojca. Tak przynajmniej czuł. Przeszła go fala ciepła.

To nasza tajemnica, pomyślał. Nikt się niczego nie dowie. Obiecuję.

Wślizgnął się z powrotem pod kołdrę, podciągnął nogi, złożył dłonie. Modlił się, żeby John mógł go zobaczyć, usłyszeć, dotknąć go. Jeden ostatni raz. Dałby wszystko, żeby tylko ojciec wyciągnął do niego rękę.

Na drugim końcu miasta Ola Haver wstał z łóżka. Zastanawiał się, czy obudził go ból głowy, czy może któreś z dzieci? Rebecka spała głęboko. Zwykle budził ją najmniejszy jęk dziecka, więc pewnie jednak to ból głowy nie dawał mu spać, pomyślał.



Łyknął kilka alvedonów, popijając je szklanką mleka. Stał chwilę pochylony nad kuchennym blatem.

Potrzebuję snu, stwierdził. Spojrzał na zegarek. Wpół do piątej. Może jest już gazeta? W tym momencie usłyszał trzaśnięcie drzwi na dole.

Wyszedł do holu, postanowił zaczekać na roznosiciela. Zobaczył gazetę w szparze na listy i natychmiast ją wziął. Nagle pomyślał, że nigdy nie widział człowieka, który codziennie przynosił im gazety, domyślał się jedynie, że to mężczyzna. Słyszał jego kroki na klatce. Kroki człowieka, który każdego ranka wyświadczał im przysługę, człowieka bez twarzy. Tylko stopy i ręka sięgająca do szpary na listy.

Rozłożył gazetę i zapalił lampę w kuchni. Pierwsze, co zobaczył, to zdjęcie z Libro. Tekst był taki jak zwykle w podobnych przypadkach. Liselotte Rask, rzeczniczka prasowa policji, mówiła o brutalnym morderstwie, dodając, że policja „zabezpieczyła pewne ślady”. Haver się uśmiechnął. Tak, tak, pomyślał z ironią. Ślady butów Ottosona, rozmiar czterdzieści pięć, i Beatrice, rozmiar trzydzieści sześć.

Zdjęcie zamordowanego nie oddawało mu sprawiedliwości, ale w porównaniu z tym, jak John wyglądał, kiedy go znaleźli, i tak było prawdziwym dziełem sztuki.

Ludzie nie mają pojęcia, co musimy znosić, pomyślał Haver. Nawet Rebecka tego nie rozumie. Zresztą, czy to w ogóle możliwe?

Odsunął gazetę na bok. Zaczął się zastanawiać, co go dzisiaj czeka. Przeszedł w myślach listę zadań, którą przygotował sobie wczoraj wieczorem.

Beatrice miała przeszukać mieszkanie Johna w Gränby. Może wyśle z nią Sammy'ego? Miał dobry kontakt z dziećmi. Syn Johna był nastolatkiem, pewnie wolałby rozmawiać z funkcjonariuszem, z mężczyzną, nie z kobietą.

Muszą też przesłuchać brata Johna, i jego żonę. Bea rozmawiała z nią wczoraj, ale niewiele udało jej się dowiedzieć.

John podobno pojechał do centrum autobusem. Jakim? Może uda im się skontaktować z kierowcą? Może ten przypomni sobie, na którym przystanku John wysiadł? Należy też sprawdzić sklepy zoologiczne, dowiedzieć się, czy John rzeczywiście kupił pompę, a jeśli tak, to kiedy, o której godzinie? Takie szczegóły pozwolą im ustalić, jak wyglądało ostatnie popołudnie Johna.

Haver oderwał się na chwilę od myśli o śledztwie, ponownie sięgnął po gazetę i zagłębił się w lekturze. Miał dużo czasu. Ból głowy złagodniał. Poranny głód zaspokoił bananem i talerzem płatków z jogurtem.

Nie czuł się zmęczony, raczej spięty przed czekającym go pracowitym dniem. Jeśli

uda im się ustalić, co John robił w ostatnich dniach życia, będą mieli szansę rozwiązać sprawę.

Zabójstwo Johna nie było przypadkowe. To nie było działanie pod wpływem chwili. Mordercy lub morderców należało szukać w kręgu znajomych Johna. Dotarcie do nich nie powinno być trudne.

Motyw? Pieniądze, tak twierdziła Beatrice. Riis sugerował narkotyki, ale Ottosson to odrzucił. John Jonsson nie był dilerem. Wręcz brzydził się narkotykami, tak przynajmniej twierdził szef.

Haver skłaniał się do tego, że motywem były pieniądze. Może jakiś nieuregulowany dług? Ktoś nagle zażądał zwrotu? Może został sprowokowany i wpadł w szal? Sammy powinien sporządzić listę najbardziej znanych egzekutorów długów. Haver sam znał kilku, przede wszystkim Sundina z Gävle, który czasem zjawiał się na gościnnych występach w Uppsali, poza tym byli też bracia Häll i „Dyrektor”, kulturysta, związany kiedyś z kręgiem facetów, ćwiczących karate. Kto jeszcze? Sammy na pewno będzie wiedział.

A więc dług. To musiała być pokaźna suma, doszedł do wniosku Haver. Inaczej pewnie sprawa nie zakończyłaby się tak dramatycznie. „Pokaźna suma”, czyli ile? Sto tysięcy, pół miliona?

Nagle przyszło mu na myśl, że być może morderca, podobnie jak on, siedział w tej chwili i czytał poranną gazetę. Tyle że w przeciwieństwie do dziennikarzy i Havera, on znał prawdę. Nie przestając o tym myśleć, Haver podszedł do okna. Na zewnątrz padał śnieg. W kilku oknach po przeciwnej stronie ulicy paliły się światła. Może gdzieś tam, w którymś z tych mieszkań, był morderca?

Haver zachnął się, ale nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że morderca już nie śpi. Zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle? Z jednej strony dobrze, doszedł do wniosku, bo to znaczyłoby, że wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju, że nie czuje się bezpieczny, że zaniepokojony czyta o tym, że policja „zabezpieczyła” pewne ślady. Pewnie po raz setny odtwarza w myślach, jak przetransportował martwego czy może umierającego Johna do Libro. Czyżby zostawił jakieś ślady? Może coś zgubił? Może czegoś nie dopilnował, może popełnił jakiś błąd, coś, co teraz nie daje mu spać.

Nie był natomiast zachwycony faktem, że morderca nadal jest na wolności, że czyta poranną gazetę, pije poranną kawę, a za chwilę pewnie wyjdzie z domu, wsiądzie do samochodu, może nawet do samolotu, i zniknie, stanie się dla nich nieuchwytny.

– Zostań tam, gdzie jesteś – wymamrotał Haver pod nosem.

– Mówiłeś coś?

W drzwiach pokazała się Rebecka. Nie słyszał, kiedy wstała. Miała na sobie zieloną koszulę nocną. Była potargana, wyglądała na zmęczoną. Domyślił się, że wstawała w nocy i karmiła małą.

– Mówiłem do siebie – powiedział. – Właśnie przeczytałem artykuł o morderstwie.

Rebecka ziewnęła i zniknęła w toalecie. Haver posprzątał po sobie, nalał wody do ekspresu do kawy, włączył go. Znów dopadły go mieszane uczucia. Poranny bezruch minął, a wraz z nim możliwość spokojnego przemyślenia różnych spraw. Z drugiej strony lubił obecność żony, szczególnie o tej wczesnej porze lubił czuć jej bliskość.

Miał to jeszcze z dzieciństwa. W jego domu poranki zawsze były wyjątkowo spokojne. To był czas dla rodziny. Byli dziwną rodziną, w której wszyscy wcześnie wstawali i każdy, już od rana, chciał się pokazać od najlepszej strony.

Haver próbował podtrzymać ten rytuał, mimo że Rebecka rano zwykle była zmęczona. Parzył kawę, robił grzanki, podawał jej jajka z kawiozem, to znaczy zanim zaszła w ciążę, bo potem na sam zapach jajek z kawiozem dostawała mdłości.

Jadł więc sam, ale miał wyrzuty sumienia.

Rebecka wróciła z łazienki, przyciągnął ją do siebie, przytulił, przywarł nosem do jej brzucha. Dobrze wiedział, że ona nad jego głową czyta rozłożoną na stole gazetę. Nie przejmował się tym, chłonał jej zapach, zapominając na chwilę o wszystkim innym.

Modig odebrał alarm o siódmej trzydzieści pięć. Miał nocny dyżur, ale nadal był na posterunku. Tunander, który powinien go zastąpić, zaliczył stłuczkę w drodze do pracy i zawiadomił kolegów, że będzie dopiero koło ósmej.

Modig specjalnie się nie zmartwił. Nie czuł się zmęczony, a w domu nikt na niego nie czekał. Poza tym wkrótce rozpoczynał urlop. Wykupił podróż do Meksyku, wylatywał dzień przed Wigilią. Kiedy zadzwonił telefon, zastanawiał się właśnie, jak będzie mu smakować meksykańskie jedzenie. Doświadczenia z meksykańskich restauracji w Szwecji sprawiały, że nie miał szczególnych oczekiwań w tej dziedzinie.

– Ktoś udusił Ansgara. – Usłyszał wzburzony głos kobiety.

Modig nie lubił, kiedy ktoś głośno oddychał czy wzdychał w słuchawkę. Przeszkadzało mu to.

– Proszę się uspokoić – powiedział.

– Nie żyje!

– Kto?

– Ansgar! Mówiłam już!

– Jak pani się nazywa?

– Gunilla Karlsson.

Oddech kobiety nieco się uspokoił.

– Gdzie pani mieszka?

Kobieta z wielkim trudem podała adres. Modig notował wszystko dokładnie lekko rozchwianym pismem.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Wysłałam na balkon i zobaczyłam, że wisi na poręczy.

– Ansgar?

– Tak. Od razu zrozumiałam, że nie żyje. A w dodatku nie jest mój. Boże, jak ja to im wytłumaczę? Malin strasznie to przeżyje.

– Kto to jest Ansgar?

– Królik sąsiadów.

Modig nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Spojrzał na Tunandera, który właśnie wszedł do pokoju. Napisał na kartce „Martwy królik” i podsunął kartkę koledze.

– Znalazła go pani na swoim balkonie?

– Opiekuję się nim. Sąsiedzi wyjechali, więc zgodziłam się wziąć Ansgara do siebie. Codziennie rano daję mu jeść i zmieniam wodę.

– Ktoś powiesił go na tej balustradzie czy może sam się zaklinował?

– Ma sznurek na szyi. Został zamordowany.

Morduje się króliki? – zastanawiał się Modig. Zanotował w bloczku: „zamordowany”.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Tunander, śmiejąc się, wyszedł z pokoju.

– Wczoraj wieczorem, kiedy dawałam mu jeść – powiedziała kobieta. – Boże drogi – westchnęła po chwili.

Modig zrozumiał, że kobieta pewnie pomyślała o Malin, właścicielce królika.

– Domyśla się pani, kto mógłby chcieć powiesić królika? – spytał.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Kobieta zaczęła opowiadać, jak opiekowała się królikiem. Modig siedział i patrzył przed siebie. Gdzieś z głębi dochodziły go głosy kolegów.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział uprzejmie.

– Czy ktoś tu przyjedzie? Spieszę się do pracy. Mam nie zdejmować Ansgara z balustrady?

Funkcjonariusz zamyślił się.

– Niech go pani tam zostawi – zdecydował w końcu.

Do pokoju wszedł Tunander z filiżanką kawy w ręku.

– Jak można nazwać królika Ansgar? – zastanawiał się Modig, kiedy odłożył słuchawkę.

– Co to za rasa? – spytał Tunander.

– Rasa?

– Jest całe mnóstwo różnych ras. Nie wiedziałeś?

Funkcjonariusz usiadł na krześle.

– Jakaś poważna stłuczka? – zaciekał się Modig.

– Kilka wgnieceń – odpowiedział Tunander, natychmiast poważniejąc. – Jakaś baba wjechała we mnie z boku – wyjaśnił, kiwając głową. – A tu coś się działo? – zwrócił się po

chwili do Modiga, który właśnie zaczął się podnosić.

– Spokojnie. Odebrałem kilka rozmów dotyczących Małego Johna.

– Coś ważnego?

– Może. Jeszcze nie wiem. – Modig był wyraźnie roztargniony.

Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Dobrze, że jednak zdecydowałem się na wyjazd, pomyślał.

– Był biały – oznajmił głośno.

– Kto?

– Ansgar – odpowiedział Modig i podniósł się z krzesła.

Modig opuścił budynek komisariatu, do którego miał wrócić dopiero za dwa tygodnie. W tym momencie w sali odpraw rozpoczynało się właśnie spotkanie, poświęcone zabójstwu Małego Johna. Uczestniczyli w nim jak zwykle ludzie z wydziału zabójstw, był też Morenius z policyjnego wywiadu, prokurator, Ryde, policyjny technik, Julie i Aronsson z wydziału porządku publicznego, i Rask, która odpowiadała za kontakty z mediami. Razem około dwudziestu osób.

Spotkaniu przewodniczył Ottosson. Z czasem nabrał doświadczenia, pomyślał Haver, który, siedząc po lewej stronie szefa, czyli na miejscu Lindell, obserwował go z boku. Ottosson jakby czytał w jego myślach, bo właśnie w tym momencie położył dłoń na rękę Havera, spojrzął na niego i się uśmiechnął. Tak jak zawsze to robił, kiedy Ann Lindell siedziała na tym miejscu.

Wszystko trwało sekundę, ale jego uśmiech był ciepły i napełnił Havera radością. Rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy inni też zauważyli ten gest pewnej poufałości czy może przyjaźni. Siedzący naprzeciwko Havera Berglund uśmiechnął się krzywo.

Haver czuł dziwne podekscytowanie. Zwykle nie lubił spotkań w tak licznym gronie. Fakt, że byli tu wszyscy, świadczył o tym, że zostało popełnione jakieś szczególnie groźne czy brutalne przestępstwo. Nie żeby miał dosyć swojej pracy, ale podobnie jak jego koledzy wiedział, że morderstwo zawsze wymagało wzmożonego zaangażowania i odciągało ludzi od innych zadań. To, że teraz wszyscy tu siedzą, znaczyło, że jakiemuś przestępcy się upiecie. Po prostu. Przemoc rodzi przemoc, mówiono, i tak rzeczywiście było. Jeśli z powodu dzisiejszej odprawy ucierpi inne dochodzenie, może się to okazać zachętą dla jego sprawcy.

Szef zawsze podkreślał, że należy wysyłać „właściwe sygnały”. Dochodzenie w sprawie morderstwa było sygnałem, że wzrasta przestępczość. Haver zawsze to wiedział, ale tego ranka dotarło to do niego szczególnie wyraziście. Być może dlatego, że tuż przed wejściem do sali Sammy Nilsson zaczął mu opowiadać o nowym projekcie, nad którym

właśnie pracował. Dotyczył on przemocy ulicznej, a został wdrożony po ostatnich incydentach, które miały miejsce w noc świętej Łucji. Doszło wtedy to trzech poważnych pobić z udziałem kilku młodocianych gangów.

Teraz Sammy musiał odłożyć projekt na bok i zająć się dochodzeniem w sprawie zabójstwa Małego Johna. Haver widział malujące się na twarzy kolegi przygnębienie i doskonale go rozumiał. Sammy zajmował się przede wszystkim młodzieżą. Razem z wydziałem do spraw narkotyków udało mu się doprowadzić do rozbicia kilku gangów. Potrafił nawiązać kontakt z młodymi chłopakami, którzy krążyli stadami po mieście niczym dzikie bestie. To były jego słowa. „Są jak stado dzikich zwierząt, wypędzonych ze swoich terenów”, powiedział kiedyś, nie wchodząc jednak w szczegóły. To właśnie ci rozwydrzeni młodzi ludzie sprawili, że zwykli, spokojni obywatele coraz rzadziej wychodzili na ulice.

Ottosson poprosił o ciszę, rozmowy przy stole natychmiast ucichły. Odczekał jeszcze kilka sekund, aż w pokoju zapadło całkowite milczenie. Jakby chciał uczcić pamięć Małego Johna minutą ciszy. Wszyscy wiedzieli, że szef znał zamordowanego mężczyznę niemal od małego. Może dlatego nagle wszyscy zgodnie porzucili swoje zajęcia i zamilkli. Niektórzy patrzyli na Ottossona, inni po prostu spuścili głowy.

– Mały John nie żyje – rozpoczął Ottosson. – Na pewno znajdą się tacy, którzy uznają, że nie ma co z tego powodu rozrywać szat.

Mężczyzna zamilkł. Haver zerknął na niego, wyczuwając jego wahanie. Pewnie się zastanawiał, czy ma mówić dalej i jaki wpływ jego słowa będą miały na zebranych na sali policjantów. Zawsze przykładął dużą wagę do odpowiedniego nastroju. Haver wiedział, że na pewno nie chciał powiedzieć niczego, co mogłoby źle wpłynąć na ogólną atmosferę spotkania.

– Kiedy Mały John był chłopakiem – mówił Ottosson, zdecydowanym głosem – popełniał wiele błędów. Wielu z nas zna jego brata, Lennarta, i być może w nim należy szukać wytłumaczenia tego, co się stało. Osobiście miałem zaszczyt znać rodziców Małego Johna, Albina i Ainę. To byli przykładni obywatele.

Do czego on zmierza? – zastanawiał się Haver, zaniepokojony. Przykładni obywatele. Ottosson używał niekiedy tego określenia, które znaczyło zarówno pracowici, jak i przestrzegający prawa.

Haver spojrział na Beatrice, która zdążyła już odwiedzić matkę Johna. Chciał zobaczyć, jak zareagowała na słowa szefa, ale kobieta siedziała ze spuszczoną głową.

– Wiem, że bardzo się starali, żeby synowie wyszli na ludzi, ale najwyraźniej niewiele mogli zrobić. Tak mało wiemy o tym, co sprawia, że ludzie są tacy, jacy są – powiedział

zamyślony.

Filozoficzne dywagacje szefa sprawiły, że Beatrice podniosła głowę. Ottosson rozejrzał się nieco zmieszany, świadom, że pewnie nieco się zagalopował, wspominając o takich sprawach podczas porannej odprawy, i zmienił temat. Haver odetchnął z ulgą.

– Ola, podsumuj, co wiemy – zwrócił się Ottosson do Havera władcym tonem.

Haver zaczął od przekazania pozdrowień od Ann Lindell. Natychmiast zauważył, że popełnił błąd. Szybko przeszedł więc do zdarzenia, które było powodem ich dzisiejszego spotkania. Zarysował tło, a potem pozwolił kolegom uzupełnić informacje. Podsumowano przeprowadzone rozmowy, przedstawiono dane techniczne. Czego jeszcze udało im się dowiedzieć? Co mówili ludzie, którzy zgodzili się rozmawiać z policją? Jakie wyniki dała obdukcja?

Haver systematycznie realizował kolejne punkty z listy, którą rano sobie przygotował. Nikt mu nie przerywał, a kiedy skończył, zapadła cisza.

Czyżbym o czymś zapomniał? – zaczął się zastanawiać. Zerknął do notatnika.

– Doskonale – powiedział Ottosson i się uśmiechnął.

– Ryde!

Technik zaczął opowiadać o swoich odkryciach nieco zaspanym głosem. Wysypisko w Libro okazało się bardzo interesującym miejscem, chociaż oczywiście nie wszystkie znalezione tam rzeczy miały bezpośredni związek z morderstwem.

W zwiezionym z ulic miasta śniegu było sporo zwykłych śmieci. Były tam opakowania po papierosach, zabawki, opony, pachołki drogowe, szyld pewnej cukierni, dwie plastikowe piłki, martwy kotek, trzy skrobaczki do szyb i mnóstwo innych rzeczy. Najdziwniejszym eksponatem był martwy, wypchany ptak, mewa srebrzysta, jak twierdził Hugosson, jeden z techników, który był także wielbicielem ptaków.

Dwie rzeczy były szczególnie ciekawe: kawałek nylonowej żyłki i rękawica robocza, na której znaleziono ślady krwi. Właśnie przesłano ją do analizy. Mogła to być krew Johna, ale niekoniecznie. Niewykluczone, że któryś z kierowców skaleczył się, a potem wyrzucił albo może zgubił zakrwawioną rękawicę. Tak czy inaczej, była to porządna robocza rękawica, ocieplana, firmy Windsor Elite.

Kawałek linki miał niecałe pół metra długości i wydawał się mieć bezpośredni związek z zabójstwem Małego Johna. Wzór na lince odpowiadał śladom na nadgarstkach ofiary, poza tym – co było najważniejsze – na żyłce znaleziono kilka włosów Johna. Linkę – podobną można było zapewne kupić w pierwszym lepszym sklepie albo nawet na stacji benzynowej – znaleziono jakieś trzy metry od ciała.



Na miejscu znaleziono też rozliczne ślady opon. Większość należała do wielkich ciężarówek z szerokimi oponami i spychaczy, które gmina wynajęła do usuwania hałd śniegu.

Bardziej interesujące były ślady opon samochodu osobowego, znalezione najbliżej ciała Johna. Miejscami były dość niewyraźne – padający niemal bez przerwy śnieg zdążył większość zasypać, ale ponieważ w nocy nagle spadła temperatura i chwycił mróz, część zachowała się w nieco lepszym stanie i technikom udało się zrekonstruować wzór opon.

Ryde rozdał kolegom kopie zdjęć.

– Opony radialne o szerokości dwustu dwudziestu milimetrów, z kolcami. Takie ślady mogła zostawić furgonetka albo jeep. Na pewno nie była to jakaś stara, zardzewiała ascona – dodał.

– Może zostawił je któryś z wozów gminy? – spytał Fredriksson, dotykając czubkami palców czarno-białej kopii zdjęcia. Jakby miał nadzieję, że w ten sposób wyczuje ich wzór.

– To oczywiście możliwe – powiedział Ryde. – Przedstawiłem tylko, co znaleźliśmy, wnioski zostawiam wam.

– Doskonale – powtórzył Ottosson.

Zebranie trwało dalej. Riis przedstawił wyniki swoich dociekań odnośnie do finansów rodziny. Informacje były bardzo wstępne, nie do wszystkich danych udało mu się dotrzeć, ale na pewno można było stwierdzić, że Jonssonowie mieli raczej niskie dochody, na pewno nie było ich stać na większe wydatki.

Fakt, że John był bez pracy, odbił się na ogólnej sytuacji rodziny. Częściej robiono zakupy na kredyt, w ciągu ostatnich dwóch lat kilka razy spóźniono się ze spłatą raty.

Rodzina nie dostawała dodatku mieszkaniowego. Czynnosc, jaki płacili, był znośny, jak to określił Riis. Administracja domu nie miała żadnych uwag, sąsiedzi też nie.

Rodzina posiadała tylko jedną kartę, należącą do IKEA. Wykorzystano siedem tysięcy kredytu. Ani John, ani Berit nie odkładali na emerytury, nie mieli też żadnych akcji czy papierów wartościowych. John miał konto w kasie oszczędnościowej Föreningsparbanken, na nie wpływał też jego zasiłek. Pensja Berit wpływała na konto w Nordbanken. Jej miesięczne zarobki kształtowały się na poziomie około dwunastu tysięcy koron brutto.

– Tylko John miał ubezpieczenie na życie. Polisa była powiązana z ubezpieczeniem związkowym, suma, na którą opiewała, na pewno nie była wysoka – stwierdził Riis i westchnął głęboko.

– Czyli żadnych szaleństw i żadnych większych wydatków w ostatnim czasie – podsumował Haver.

– Jeszcze jedno – dodał Riis. – W październiku na konto Johna wpłynęło dziesięć

tysięcy koron. Był to przelew internetowy z konta, którego jeszcze nie zdążyłem sprawdzić. Zajmę się tym dzisiaj przed południem.

Riis powiedział to, jakby z góry bronił się przed zarzutem, że nie przygotował się dostatecznie dobrze do odprawy.

Haver zastanawiał się chwilę. Ostatnia informacja była zdecydowanie najciekawsza.

– Dziesięć tysięcy koron – powiedział i znów zamilkł. Jakby się zastanawiał, na co on sam przeznaczyłby taką sumę. – Możemy jedynie spekulować, co to za pieniądze, ale rzeczywiście wygląda to nieco podejrzanie – skwitował w końcu.

Fredriksson zakasłał.

– Proszę, mów – zachęcił Haver, który znał kolegę nie od dziś.

– Wiemy, co John robił wczoraj późnym popołudniem – odezwał się Fredriksson skromnie. – Był w sklepie monopolowym, kupił kilka butelek, a potem odwiedził kolegę, Mikaela Anderssona, na Väderkvarnsgatan. Facet zadzwonił wczoraj wieczorem, ma tu dzisiaj wpaść.

– Kiedy John był u niego?

– Przyszedł koło piątej i został jakieś pół godziny, może trzy kwadranse – raportował Fredriksson. Zrelacjonował pokrótce rozmowę z Anderssonem.

– Okej – wszedł mu w słowo Haver. – Zawsze to coś. Mikael Andersson mieszka na Väderkvarnsgatan, czyli przecnicę od rynku. Jak John zamierzał wracać do domu?

– Na pewno autobusem – odezwała się Beatrice. – Nie szedłby na piechotę do Gränby z dwiema torbami pełnymi butelek. Ja na pewno pojechałabym autobusem.

– Z Vaksalagatan chodzi trójka – powiedział Lundin, który ostatnio coraz rzadziej miał cokolwiek do dodania podczas ich porannych odpraw.

Koledzy podejrzewali, że jego wycofanie ma związek z narastającym lękiem przed bakteriami i coraz silniejszą manią czystości.

– Musimy przesłuchać kierowców autobusów – stwierdził Haver.

– Może powinniśmy postawić kogoś na przystanku ze zdjęciem Johna. Może ktoś coś widział...

– Dobry pomysł – skwitował Haver. – Ludzie często podróżują o stałych godzinach. Lundin?

Lundin spojrzał na niego zdziwiony.

– Nie bardzo mam czas...

– Ja się tym zajmę – zgłosił się Berglund, posyłając Haverowi mroczne spojrzenie. Cierpiał, widząc udręczoną, zmieszaną twarz Lundina.

– Brat Jonha. To chyba najważniejsza postać – odezwał się Sammy, który dotąd siedział cicho. Zajął miejsce na końcu stołu, tak że Haver nawet nie zauważył jego obecności.

Ottosson zaczął bębnić palcami w stół.

– To bardzo nieciekawa postać. Bardzo nieciekawa.

W świecie Ottossona byli „przykładni obywatele” i „nieciekawe postaci” albo „oślizgłe ryby”, jak czasem też ich określał.

Beatrice pomyślała o zainteresowaniach Johna rybami i wyobraziła sobie jego brata, Lennarta, jako pływającą w akwariu „oślizgłą rybę”.

– Ja i Ann niedawno go przesłuchiwałem – ciągnął Sammy. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby złapać tę barakudę.

Dość tych metafor, uznał Haver.

– Przesłuchamy go – powiedział głośno. – Najrozsądniej będzie, jeśli ty z nim porozmawiasz – stwierdził, wskazując głową na Sammy’ego Nilssona.

Odprawa zakończyła się po kolejnym kwadransie. Ludzie się rozeszli, w pokoju została tylko Liselotte Rask, Ottosson i Haver, żeby wspólnie się zastanowić, co można przekazać mediom.

Sammy Nilsson starał się odtworzyć w pamięci spotkanie z Lennartem Jonssonem, przypomnieć sobie, o czym on i Ann Lindell wtedy z nim rozmawiali. Pamiętał, że Ann udało się nawiązać z nim kontakt. Lennart Jonsson był zawodowcem. Niełatwo było go przestraszyć czy sprowokować do powiedzenia kilku słów za dużo. Mówił tylko tyle, ile było konieczne, mówił o tym, o czym chciał powiedzieć, milczał, jeśli coś mogło mu zaszkodzić. Wtedy zamykał się w sobie jak ostryga w muszli.

Sammy pamiętał doskonale, że mężczyzna, notoryczny przestępca, budził w nim mieszane uczucia. Czuł się wobec niego całkowicie bezradny, był zły i zmęczony. Był przekonany, że Lennart Jonsson dopuścił się przestępstwa, o które go podejrzewali, ale wiedział też, że nie uda im się go o nic oskarżyć. Podejrzewał, że gdyby mieli nieco więcej czasu, być może udałoby się im go złamać. Wtedy może Lennart poszedłby na współpracę. Doskonale wiedział, kiedy opór przestawał mieć sens.

Był zawodowcem w każdym calu. Gdyby zrozumiał, że jest na przegranej pozycji, z pewnością zaczęłby współpracować. Sammy miał wrażenie, że Lennart lubił jasne sytuacje. Jeśli wszystko szło dobrze, to w porządku, jeśli nie, to pech i tyle. Trzeba było wyciągnąć z tego wnioski.

Postanowił, że od razu pojedzie do Lennarta. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lindell, poradzić się jej, ale szybko zrezygnował z pomysłu. W końcu miała małe dziecko,

była na macierzyńskim.

Zadowolony wyszedł z komisariatu. W związku z ostatnimi niepokojami na mieście dużo czasu spędzał przy biurku, spisując przesłuchania, protokołując rozmowy z władzami gminy, z dyrektorami szkół. Widok nastoletnich przestępców bardzo go przygnębiał. Chociaż w ogóle lubił młodzież. Kilka razy w tygodniu pracował jako trener piłki nożnej. Ćwiczył z chłopcami z dziewięćdziesiątego rocznika, czasem rozrabiali, trochę hałasowali, ale byli sympatyczni.

To o nich myślał, kiedy spotykał chuliganów na mieście. Niektórzy byli zaledwie dwa, trzy lata starsi od jego chłopców. Dwa różne światy.

W jego drużynie były dzieci ze stosunkowo dobrze sytuowanych rodzin z podmiejskich dzielnic. Młodzież z silną motywacją, rodzice wozili swoje latorośle na treningi i mecze, całe rodziny znały się i przyjaźniły. Dorośli działali w miejscowych organizacjach, spotykali się na zebraniach szkolnych, zabierali głos.

Chłopcy, których Sammy spotykał przez swoją pracę, byli inni. Pochodzili z blokowisk na obrzeżach miasta, z dzielnic, których większość mieszkańców Uppsali w ogóle nie odwiedzała. Znała je tylko z nagłówek w gazetach.

Niektórzy z nich też uprawiali sport. Sammy spotkał kilkoro z nich w sekcji boksu UIF, obiecujące talenty, znalezione na ulicy.

Gdybyśmy mieli dość czasu, poradzilibyśmy sobie i z nimi, myślał często. Ale to właśnie czasu najbardziej im brakowało, czasu i środków. Z upływem lat Sammy Nilsson nie zgorzkniał, jak niektórzy jego koledzy. Nadal bronił członków młodocianych gangów, twierdząc, że należy dać im szansę na normalne życie, bez przestępstw i prochów. Ale dużo go to kosztowało i coraz częściej się zastanawiał, jak długo jeszcze wytrzyma. W ostatnich latach jego pozytywne nastawienie coraz częściej wystawiane było na próbę.

Coraz trudniej szło mu też przekonywanie kolegów do swoich racji. Zmęczeni wysłuchiwali jego wywodów na temat znaczenia środowiska, w którym młodzież dorastała, dobrych szkół i dzielnic. To było oczywiste. Jasne, że miał rację, ale kto miał czas się tym wszystkim zajmować? Być dobrym policjantem, przemierzać rowerem podejrzone dzielnice, Stenhagen, Gottsunda, nawiązywać kontakty z trudną młodzieżą, kumpłować się z nimi?

Kiedy rozmawiał z dyrektorami szkół, z kuratorami czy nauczycielami, wyczuwał dobrze sobie znaną bezradność. Codziennie czytał w prasie o kolejnych cięciach w szkolnictwie.

Ze skutkiem tych cięć borykali się później on i jego koledzy.

Lennarta Jonssona obudziło pukanie do drzwi. Dzwonek przestał działać dobre pół roku temu. Domyślił się, o co chodzi. Prawdę mówiąc, był nawet zdziwiony, że policja przychodzi do niego dopiero teraz.

Otworzył drzwi i natychmiast wycofał się w głąb mieszkania.

– Muszę się odlać – zawołał.

Sammy Nilsson wszedł do środka, poczuł zatęchłe powietrze. Zatrzymał się w przedpokoju. Słyszał spuszczaną wodę w ubikacji. Obok lustra wisiały oprawione w ramki trzy obrazki Carla Larssona. Nie sądził, żeby to Lennart je tu powiesił. Na wieszakach pod półką na kapelusze wisiały dwie kurtki.

Skromnie urządzony hol przypominał Sammy’emu poczekalnię u dentysty, no może z wyjątkiem toreb z pustymi puszkami, nad którymi unosiła się woń lekko skwaśniałego piwa.

Lennart wyszedł z ubikacji, ubrany w jeansy i T-shirt. Był na bosaka, ciemne włosy sterczały na wszystkie strony. Sammy odniósł niemal wrażenie, że odwiedza dobrego znajomego. Pomyślał, że Lennart czuł podobnie.

– Przykro mi z powodu twojego brata.

Lennart skinął głową. Spuścił głowę. Kiedy po chwili ją podniósł, jego spojrzenie było już inne.

– Usiądziemy?

Lennart znów skinął głową, wykonał gest ręką, zapraszając Sammy’ego do kuchni.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zaczął Sammy.

Lennart zachnął się i zaczął sprzątać piwo ze stołu.

– Ty znalazłeś go najlepiej. Kto mógł chcieć jego śmierci?

– Nie wiem – odpowiedział Lennart. – A co sądzi policja?

– Próbujemy odtworzyć ostatnie miesiące jego życia, szczególnie ostatnie tygodnie, no i oczywiście wczorajszy dzień. Złożyć do kupy poszczególne kawałki układanki.

– Sporo o tym myślałem, ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby życzyć mojemu braciszкови śmierci. Był czysty jak łąza. Już od lat.

Spojrzał na Sammy’ego, jakby chciał go ostrzec, żeby nie próbował oczerniać Małego Johna!

Sammy zadał mu kilka rutynowych pytań. Lennart odpowiadał krótko i zwięźle. Raz tylko urwał, podszedł do blatu, wziął banana i zjadł go, niemal pochłonął owoc w kilka sekund. Potem zaproponował też banana Sammy’emu. Funkcjonariusz wziął go do ręki, ale nie obrał go nawet ze skórki.

– John miał kumpla, z którym spędzał dużo czasu. Micke Andersson. Rozmawialiście

z nim?

– Tak – potwierdził Sammy, nie informując Lennarta, że Micke sam poprzedniego wieczoru zadzwonił na komisariat.

– To nie jest liczne grono – powiedział Lennart.

Sammy domyślił się, że chodzi mu o krąg najbliższych przyjaciół brata.

Lennart sięgnął po kolejnego banana, zjadł go równie szybko jak poprzedniego.

– Jesteś na diecie bananowej? – spytał Sammy.

Lennart pokręcił głową, sprawiał wrażenie zamyślonego. Sammy zamilkł.

– Z czasem, jak człowiek robi się starszy, najważniejsi stają się nasi najbliżsi. Każdy może na mnie donieść, ale nie brat, nie John. Zawsze się wspieraliśmy.

– Na dobre i na złe?

Lennart ponownie się zachnął.

– Wy tego nigdy nie zrozumiecie – podsumował Lennart. – Dlaczego miałbym ufać innym?

To pewnie prawda, pomyślał Sammy.

– Czasem trzeba – powiedział głośno.

Na ustach Lennarta pojawił się krzywy uśmiech.

– Co to za „my”, którzy nigdy tego nie zrozumiemy? – zapytał Sammy.

– Cała wasza banda – uciął krótko Lennart.

Policjant spojrzał na niego. Nie chciał już więcej słuchać. Dobrze wiedział, czego może się spodziewać.

– W budzie graliśmy w pingla. Kiedy raz udało mi się wygrać z naszym nauczycielem, rzucił we mnie raketką. Zaserwował bez sensu, a kiedy się schyliłem, żeby podnieść piłeczkę, szurnął we mnie raketką, z całej siły. Trafił mnie za uchem. Chcesz zobaczyć bliznę?

Sammy pokręcił głową.

– Chodziłem do klasy specjalnej, jedyne, w czym byłem dobry, to był ping-pong. Graliśmy dwie, trzy godziny dziennie.

– Proponuję wrócić do Johna. Jak mu się układało w domu?

– Co takiego?

– Z Berit.

– Berit jest w porządku.

– Wierzę, ale czy było im dobrze ze sobą?

– A ktoś twierdzi, że nie?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

Sammy domyślał się, że udając nonszalancję i obojętność, Lennart tak naprawdę próbuje się bronić, inaczej pewnie rozsypałby się na kawałki. Tym niemniej irytował go jego opór.

– Próbuję rozwiązać zagadkę morderstwa twojego brata.

– Ach tak.

Sammy wyszedł z mieszkania Lennarta. Zszedł szybko po schodach, kopnął pustą puszkę walającą się obok drzwi na klatkę; potoczyła się z hałasem po chodniku i zatrzymała dopiero na stercie papierów i śmieci.

Jeszcze z samochodu zadzwonił do Ottossona, dowiedzieć się, czy wypłynęły jakieś nowe informacje. Szef jednak nie miał wiele nowego do przekazania. Sixten Wende sprawdził, kto korzystał z wysypiska w Libro. Sporządził wstępną listę kierowców, którzy regularnie tam jeździli. Ostateczna lista będzie z pewnością znacznie dłuższa. Obiecał, że skontaktuje się ze wszystkimi kierowcami.

Lundin sprawdził ślady opon, które technicy znaleźli na śniegu w Libro. Nie było nic, co wskazywałoby, że zostawił je któryś z wozów gminy. Anders Lundemark, jedyny urzędnik komunalny, który czasem tam podjeżdżał, jeździł osobowym volvo z zupełnie innymi oponami.

– Ale to mógł być ktokolwiek – snuł przypuszczenia Ottosson. – Ktoś, kto przyjechał tam na spacer z psem albo na spotkanie z kochanką.

Sammy usłyszał, że ktoś podszedł do Ottossona, rozmowa się urwała.

– Przekręcę do ciebie później – powiedział pośpiesznie Ottosson. – Teraz muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy.

Haver stał przy samochodzie. Postanowił przestać zaprzętać sobie głowę wszystkimi przesłuchaniami, które ich jeszcze czekały, i skupić na najbliższym zadaniu. Często mu się zdarzało, że w natłoku różnych spraw tracił z oczu to, co było najważniejsze.

Musimy działać systematycznie, pomyślał. Zaczął się zastanawiać, jak ustalić priorytety, nagle niepewny, czym w pierwszym rzędzie powinien się zająć.

Warsztat mechaniczny Sagandera był wciśnięty między firmę wymiany opon a zakład zajmujący się montażem drzwi aluminiowych. Był to jeden z tych budynków, na które z reguły nie zwraca się uwagi, jeśli akurat nie ma się tu żadnego konkretnego interesu.

Dwumetrowe ogrodzenie wokół podwórza, kontenery na złom i kilka pojemników z zardzewiałymi rurami. Oparte o ścianę stało kilka wanien.

Haver zwrócił uwagę na stojące przed budynkiem trzy samochody. Mazda, stary, zardzewiały golf i stosunkowo nowe volvo.

Kiedy wszedł na podwórze, chmury na niebie się rozeszły i niespodziewanie pojawiło się słońce. Spojrzał do góry. Na sąsiedniej działce manewrował dźwig. Stał chwilę i przyglądał się mężczyznom na dole. Jeden z nich dał znak operatorowi, ledwie widocznemu w niewielkiej kabinie kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Ramię dźwigu się obróciło. Mężczyzna dał operatorowi kolejny znak, zawołał coś do kolegi, który się roześmiał i również coś do niego zawołał.

Ojciec Havera był budowlańcem. W młodości towarzyszył mu czasem na plac budowy. Najczęściej były to drobne inwestycje, ale czasem odwiedzał też duże place budowy, pamiętał zgiełk i hałas, tłum ludzi, pracujące maszyny.

Stał teraz i zafascynowany przyglądał się pracy betoniarzy i cieśli. Poczuł ukłucie zazdrości. Przeszła go fala ciepła, nie tylko dlatego że zaświeciło słońce. Obserwował zgrane ruchy robotników, ich poczucie wspólnoty. Uśmiechnął się, przyglądając się ich ocieplanym kurtkom w ostrych kolorach.

Jeden z mężczyzn zauważył go. Haver podniósł rękę w geście pozdrowienia,



mężczyzna odpowiedział mu i wrócił do pracy.

Ostry, przesywający dźwięk dochodzący z warsztatu wyrwał go ze wspomnień. Powrócił do rzeczywistości – czarny asfalt wyzierał spod brudnego śniegu, gdzieś widać było plamy rdzy, rozsypane trociny i kawałki papieru ściernego. Przyglądał się sprawiającej przygnębiające wrażenie blaszanej fasadzie warsztatu Sagandera z oknami pokrytymi kurzem.

Westchnął ciężko, starając się nie patrzeć na najbardziej zaniedbane miejsca. Metalowe drzwi były otwarte. Wszedł do środka. Przywitał go dźwięk ciętej blachy, zobaczył iskry, poczuł dym. Starszy mężczyzna pucował sporą beczkę z blachy nierdzewnej szlifierką kątową. Cofnął się, odsunął okulary na czoło i z daleka zaczął się przyglądać swojej pracy.

Kątem oka musiał zauważyć Havera, ale najwyraźniej nie zwracał na niego uwagi. Nieco młodszy mężczyzna, w niebieskim kombinezonie roboczym, uniósł głowę i spojrzał na niego. Mężczyzna ze szlifierką powrócił do pracy. Haver stał trzy, może cztery metry od niego i czekał. Rozejrzał się, próbował wyobrazić sobie pracującego tu Małego Johna.

Nagle, w ciemnym kącie w głębi warsztatu, dostrzegł trzeciego mężczyznę. Rzucił na ławę metalową rurkę, sięgnął po calówkę i nieco nonszalancko zaczął sprawdzać długość rurki, pokręcił głową i rzucił rurkę na bok. Miał około pięćdziesiątki, włosy do ramion zebrane w kucyk. Podniósł głowę, zmierzył Havera wzrokiem i po chwili zniknął za składem części metalowych.

W niewielkiej budce, stojącej wzdłuż dłuższej ściany pomieszczenia, pochylony nad segregatorem siedział starszy mężczyzna. Haver domyślił się, że to pewno Sagander, właściciel warsztatu. Ruszył w stronę budki, mijając mężczyznę ze szlifierką, skinął mu głową, spojrzał na młodego spawacza i zapukał do szklanych drzwi budki.

Mężczyzna nie miał na sobie roboczego ubrania, odsunął okulary na czoło i skinął głową, zapraszając go do środka. Haver wszedł. Poczul zapach potu. Przedstawił się, zaczął szukać legitymacji, ale mężczyzna machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że to nie jest konieczne.

– Domyślałem się, że się zjawicie – powiedział niskim, schrypniętym od whisky głosem.

Oparł się ręką o blat stołu i wytoczył na podłogę.

– Czytaliśmy o Małym Johnie. Proszę, niech pan siada.

Miał koło sześćdziesiątki, niskiego wzrostu, nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt pięć, siwy, o czerstwej, czerwonej cerze. Miał szeroko rozstawione oczy i dość wydatny nos. Haver zawsze uważał, że duży nos jest oznaką siły woli. Uznał, że w przypadku Sagandera na

pewno tak było. Sposób, w jaki mężczyzna zwracał się do swojego gościa, w jaki na niego patrzył, dodatkowo to podkreślał.

Widać było, że jest człowiekiem, który oczekuje wyników i to szybkich.

– Mały John pracował tu jakiś czas – zaczął Haver. – Pewnie przykro czytać o takich rzeczach w gazecie.

– Johnowi też nie było przyjemnie – burknął mężczyzna.

– Pan jest tu szefem?

Mężczyzna skinął głową.

– Agne Sagander – przedstawił się.

– Jak długo John tu pracował?

– Niemal całe swoje krótkie życie. Zaczynał jeszcze jako chłopak.

– Dlaczego odszedł?

– Było kiepsko z pracą.

Haver miał wrażenie, że słyszy w głosie mężczyzny lekkie poirytowanie, jakby uznał, że Haver nieco się ociąża.

– Był zdolny?

– Bardzo.

– A mimo to musiał odejść?

– Tak jak powiedziałem, nie mam wpływu na koniunkturę.

– Mam wrażenie, że praca wre.

– Teraz tak, wtedy było inaczej.

Haver milczał. Mężczyzna czekał, po chwili znów wtoczył się za biurko, sięgnął po otwarty segregator, zamknął go. Haver postanowił nie owijać niczego w bawełnę.

– Kto zabił Małego Johna? – spytał wprost.

Sagander zawahał się chwilę, jego wielka dłoń zawisała nad segregatorem.

– A skąd, do diabła, mam wiedzieć? Pogadajcie z tym łajdakiem, jego braciszkiem.

– Zna pan Lennarta?

Mężczyzna wydał z siebie dźwięk, który Haver uznał za „tak”, ale który też wyraźnie dawał do zrozumienia, co Sagander sądził o starszym bracie Johna.

– On też tu pracował? – spytał Haver.

– O, nie – zaprotestował mężczyzna i znów wytoczył się zza biurka.

– Kiedy ostatni raz widział pan Johna?

Ręka Sagandera powędrowała do jego wielkiego nosa. Ten człowiek nie może nawet przez chwilę się nie ruszać, pomyślał Haver.

– Jakiś czas temu – odezwał się mężczyzna. – Chyba jakoś latem.

– John tu przyszedł?

– Yes.

– Czego chciał?

– Pogadać, przywitać się.

– Nic konkretnego?

Sagander pokręcił głową.

– Może mi pan coś o nim powiedzieć? Nie chodzi o pracę. Miał może jakichś znajomych, którzy... – Haver urwał, zastanawiając się, jak sformułować pytanie.

– Z których któryś mógłby go zabić? O to panu chodzi? – dokończył za niego Sagander.

– Mniej więcej.

– Nie. To było tylko jego miejsce pracy.

– Nie wydarzyło się tu nic, co teraz, z perspektywy tego, co się stało, dałoby panu do myślenia?

– Nie.

– Prosił czasem o zaliczkę?

– Pewnie się zdarzało, ale niezbyt często. Od czasu do czasu.

– Szastał pieniędzmi?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Wydawał na prochy?

– Pudło. Żadnych prochów, czasem lubił sobie wypić, ale nie miało to wpływu na jego pracę. Może kiedy był młodszy, ale nie w ostatnich latach.

Sagander przyglądał się Haverowi uważnie.

– Niewiele macie, prawda?

– Mogę zamienić kilka słów z pracującymi tu chłopcami? Pracowali z Johnem?

– Jasne, wszyscy trzej.

Zanim Haver zdążył wstać i wyjść z przesiąkniętej zapachem potu budki, Sagander wrócił już do biurka i ponownie sięgnął po segregator. Haver zamknął za sobą drzwi, usłyszał dzwonek telefonu. Sagander sięgnął po słuchawkę, poirytowany.

– Warsztat – rzucił.

Jakby w mieście był tylko jeden, pomyślał Haver.

Erki Karjalainen, mężczyzna ze szlifierką, sprawiał wrażenie, jakby czekał na Havera. Jak tylko policjant wyszedł z budki, od razu dał mu znak, że chce z nim rozmawiać. Haver podszedł do niego.

– Jest pan policjantem? – upewnił się mężczyzna, mówiący z wyraźnym fińsko-szwedzkim akcentem.

– Zgadza się. Mam to wypisane na czole?

Mężczyzna się roześmiał. Po chwili jednak spoważniał.

– Okropna historia – powiedział.

Widać było, że mówi to szczerze. Haver zauważył, że drżą mu kąciki ust, był poruszony.

– John był w porządku – zapewnił.

Fiński akcent dodatkowo łagodził jego słowa.

– Był cholernie dobrym spawaczem – podsumował.

To właśnie tacy jak on pogonili Ruskich, pomyślał Haver.

– Sympatyczny człowiek.

Zamilkł na chwilę, spojrzał w stronę budki.

– I dobry kolega.

Proste słowa poruszyły Havera. Skinął głową. Karjalainen odwrócił się i chwilę przyglądał się spawaczowi.

Ciekawe, czy jest równie dobry jak John, zastanawiał się Haver.

– Kurre się stara, ale John był lepszy – stwierdził mężczyzna, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie Havera. – Jego zwolnienie było czystą podłością. Pracy rzeczywiście nie było dużo, ale była, no i wszyscy wiedzieli, że wkrótce sytuacja się poprawi.

– Sagander i John byli ze sobą skłócenii?

Erki Karjalainen zamyślił się. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było już tej pewności siebie, co przed chwilą.

– Coś między nimi było. Coś niedobrego. Mam wrażenie, że Sagge wykorzystał sytuację jako pretekst, żeby go się pozbyć.

– Wie pan, o co im poszło?

Erki wyjął paczkę papierosów z kieszeni na piersi. Palił chesterfieldy, zauważył Haver zdziwiony. Nie sądził, że marka nadal istnieje.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponował mężczyzna. – Pali pan?

Haver pokręcił głową i podążył za nim. Chmury znów zasnuły niebo, zamykając szczerze niebieskie pęknięcie; pracownicy zrobili sobie przerwę.

– Możemy iść do biura – powiedział Erki.

Zaciągnął się kilka razy. W świetle dnia Haver mógł lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Była szczupła, pomarszczona, naznaczona pracą. Ciemne włosy były zaczesane do tyłu. Mężczyzna miał krzaczaste brwi i wąskie usta. Ciemne od nikotyny zęby były w kiepskim stanie. Wyglądał trochę jak zapomniany włoski aktor z lat pięćdziesiątych. Znów się zaciągnął, zaczął mówić z papierosem w ustach, dmuchając dymem.

– Sagge jest w porządku, ale czasem potrafi być nie do wytrzymania. Często każe nam zostawać po pracy, a tego John nie lubił. Miał rodzinę, chciał spędzać czas z nimi, tym bardziej że chłopak dorastał. Nie chciał pracować po godzinach.

– Szef zwolnił go z zemsty, tak?

– Czy z zemsty? – powtórzył mężczyzna, jakby smakując słowo. – Pewnie nie, ale Sagge jest uparty, czasem mu odbija i wtedy jest gotów zrobić nawet sobie na przekór.

– Pozbył się dobrego spawacza?

– Tak. Myślę, że żałował swojej decyzji, chociaż pewnie w życiu się do tego nie przyzna.

– Rozmawiał pan z Johnem już po jego odejściu?

Mężczyzna skinął głową i zapalił nowego chesterfielda.

– Czasem wpadał tu, żeby pogadać, ale nigdy z szefem.

– A z panem?

– Ze mną tak.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno, naprawdę przypominał bohatera z filmów Felliniego.

Zanim Haver opuścił warsztat, rozmawiał jeszcze z dwoma innymi zatrudnionymi tu robotnikami, z Kurtem Davidssonem i Harrym Mattzonem. Żaden z mężczyzn nie był szczególnie rozmowny, ale obaj byli zgodni, że Mały John był zdolnym spawaczem i dobrym kolegą, chociaż żaden z nich nie przeżywał jego śmierci tak silnie jak Erki.

W pewnym momencie długowłosy Mattzon powiedział coś, co zwróciło uwagę Havera.

– Latem spotkałem Johna na ulicy przed warsztatem. To było w ostatnim tygodniu mojego urlopu. Wpadłem tu po skrzynkę z narzędziami. Brat prosił, żebym mu ją pożyczył. Kiedy podjechałem pod warsztat, zobaczyłem na ulicy Johna.

– Jechał samochodem?

– Jasne.

– Nie miał samochodu – zauważył Haver.

– Właśnie dlatego zapamiętałem to spotkanie. Pomyślałem, że kupił sobie bryczkę.

– Co to była za marka?

– Stare białe volvo. Dwieście czterdzieści dwa, połowa lat siedemdziesiątych.

Haver uśmiechnął się, nie mógł się powstrzymać.

– Był sam?

– Nie wiem.

– Kiedy to było?

– Pewnie na samym początku sierpnia. Chyba w niedzielę. Brat wyjeżdżał, a ja obiecałem pożyczyć mu narzędzia. Potem zapomniałem o tym i musiałem przyjechać tu w niedzielę.

– Ma pan wrażenie, że John wracał z warsztatu?

– Trudno powiedzieć – stwierdził Mattzon. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, położył rękę na klamce. Haver zauważył, że się poparzył. Nad nadgarstkiem lewej dłoni widać było świeże bąble. Niektóre zdążyły już pęknąć, widać było zaczerwienioną, zainfekowaną skórę.

– Może był tu z kimś umówiony?

– Z kim? Warsztat był zamknięty na cztery spusty. Sagander wyjechał do Afryki, na safari – powiedział mężczyzna i otworzył drzwi.

– Proszę opatrzyć rękę. Nieładnie to wygląda.

Mężczyzna zajrzał do warsztatu, spojrzał na Havera, na rękę w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Najważniejsze, że żyję – podsumował i powrócił na stanowisko pracy.

Zanim zamknął drzwi, Haver zobaczył, że Sagander nadal siedzi w swojej budce. Sięgnął po komórkę i zadzwonił do Sammy'ego Nilssona. Kolega nie odbierał. Haver zerknął na zegarek. Pora lunchu.

Vincent Hahn obudził się o wpół do dziesiątej. To był jego stały dzień, kiedy szedł grać w bingo. Spieszył się, ale zatrzymał się chwilę przy Julii, dotknął ręką jej jędrnego tyłeczka. Wieczorem zmieni jej majtki. Postanowił zwinąć parę w Lindeksie, jego ulubionym sklepie. Najlepiej żeby były ciemne, ale nie czarne.

Sztywność manekina niekiedy mu przeszkadzała, miał wrażenie, jakby Julia go kontrolowała. Jeśli czasem za bardzo się wyprostował, przewracała się na podłogę. Zwykle pozwalał jej wtedy leżeć tak dzień albo dwa. Wtedy łagodniała.

Miał za sobą ciężką noc. Nie żeby czegoś żałował, takie uczucie było mu całkowicie obce, ale denerwowało go wspomnienie dźwięku, to właśnie ono prześladowało go do wczesnych godzin rannych.

Zjadł płatki; zawsze jadł płatki, dwa talerze płatków. Płatki były czyste.

Autobus był trzydzieści sekund spóźniony. Hahn zwrócił uwagę kierowcy, ale ten tylko się roześmiał. Wszyscy kierowcy na tej linii go znali. Pierwszego roku, kiedy tu zamieszkał, sporządził listę kierowców. Zapisywał, czy przejeżdżają na czas, czy są uprzejmi, jak jeżdżą. Przedstawił wszystko w formie tabelki i wysłał w tej sprawie pismo do zarządu przedsiębiorstwa autobusowego.

Odpowiedź, jaką otrzymał, bardzo go wzburzyła. Przez kilka tygodni planował zemstę, ale w końcu skończyło się na niczym, jak zwykle.

Teraz jednak czuł się silniejszy, gotów doprowadzić swój plan do końca. Na czym polegała różnica, tego nie potrafił powiedzieć. Wiedział tylko, że tym razem jest gotów iść na całość. Wiedział, że działa w słusznej sprawie i że starczy mu siły.

Rozpoczął wczoraj wieczorem. Od królika. W miastach nie należy trzymać gryzoni. Wiedział, że wiele osób się z nim zgadza, wielu pewnie mu za to po cichu podziękuje, znał przecież pismo, wysłane przez mieszkańców do administracji domu.

Może to zasługa Julii, że się zmienił? Pojawiła się u niego wiosną. Długo się zastanawiał, czy nie powinien znaleźć sobie kogoś, z kim mógłby dzielić życie. Kiedy

pewnego dnia znalazł ją na śmietniku, wiedział, że jest mu przeznaczona.

Była brudna. Cały dzień poświęcił na to, żeby doprowadzić ją do porządku, usunąć plamy i załatać dziurę w pachwinie. Ktoś skrzywdził Julię. Teraz jednak była bezpieczna. Obiecał ją chronić. Opiekował się nią, zmieniał jej bieliznę, dawał jej miłość.

Wysiadł na dworcu autobusowym i ruszył ulicą Bangårdsgatan do lokalu bingo. Zanim wszedł do środka, rozejrzał się dookoła, jak zwykle. Dopiero kiedy bezpiecznie dotarł na miejsce, poczuł, że może się trochę odprężyć.



Nagłówki porannych gazet przyniosły ponurą wiadomość: „Morderstwo”. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Ottossona. Poranne zmęczenie zniknęło. Sprawa dotyczyła pracy.

Jednych interesowały wiadomości sportowe, innych wciągała kultura, jeszcze innych bawiły strony wnętrzarskie. Jej nic z tego nie interesowało. Krew w żyłach Ann Lindell zaczynała szybciej krążyć, gdy gdzieś w mieście dochodziło do morderstwa. Nie żeby podniecała ją przemoc czy fakt, że gdzieś kogoś brutalnie zaszlachtowano, dla niej oznaczało to po prostu pracę, nowe zadanie.

Artykuł wciągnął ją, próbowała wyczytać coś między wierszami. Krótkie wypowiedzi kolegów, Havera i Rydego, niewiele jej mówiły, ale wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że najwyraźniej błędzili po omacku.

Odsunęła gazetę. Siedziała w domu już dziewięć miesięcy. Maluszek rósł rozpaczliwie powoli. Miał na imię Erik, ale rzadko tak się do niego zwracała. Najczęściej mówiła o nim właśnie „Maluszek”, dając tym samym wyraz swojego współczucia dla dziecka, które będzie musiało dorastać u boku samotnej matki, policjantki.

Nie uważała, żeby była szczególnie dobrą matką. Nie żeby dziecku działa się jakaś krzywda, dbała i troszczyła się o nie. Niecierpliwiła się tylko tym, że dziecko tak powoli rosło. Nie mogło się trochę postarać? Chciała jak najszybciej wrócić do pracy.

Kiedyś wspomniała Beatrice, że czuje się nielojalna wobec dziecka, które przecież w niczym nie zawiniło, ale koleżanka tylko się roześmiała.

– Wyjęłaś mi to z ust. Kochamy nasze dzieci, ale chcemy też realizować się na innych polach. Mają naszą miłość, ale nie możemy oddać im całego naszego życia. Są kobiety, które uwielbiają krzątać się po domu. Ja wariowałam. Przesiadywanie na podwórku i plotkowanie z innymi mamuškami to nie dla mnie.

Słowa Beatrice uspokoiły nieco Ann, ale nie do końca. Nadal gryzło ją sumienie. Miała wrażenie, że niemal we wszystkim, co robi, naśladowuje inne kobiety, a przede wszystkim

własną matkę. Jakby jej macierzyństwo nie do końca było jej.

Nigdy dotąd nie żyła tak blisko drugiej osoby, nigdy nie poświęcała tyle czasu drugiemu człowiekowi. Męczyło ją to, ale też dodawało siły, czuła się potrzebna i dowartościowana. Nie mogła się nadziwić, jak bardzo jej życie się zmieniło, jak bardzo ona sama się zmieniła.

Żyła w dwóch światach. W jednym udawała, że jest dobrą matką, mając bez przerwy wyrzuty sumienia, w drugim dumna z siebie pchała przed sobą wózek, czując, jak przepełnia ją ciche szczęście.

Ojcu dziecka nie poświęcała zbyt wielu myśli. Właściwie było to zadziwiające. W czasie ciąży, szczególnie w jej ostatnich miesiącach, bawiła się czasem myślą, że może go odwiedzi. Nie żeby wymóc na nim, żeby rzucił swoją rodzinę, wtedy wiedziała już, że ma żonę i dwójkę dzieci, nawet nie po to, żeby zmusić go do uznania ojcostwa czy zobowiązać go do płacenia alimentów. Więc dlaczego? – zadawała sobie pytanie i nie znajdowała na nie odpowiedzi. Teraz, kiedy dziecko było już na świecie, przestał ją już w ogóle obchodzić.

Rodzice Ann zasypywali ją pytaniami, ale dawała im odpór i nie zdradziła, kto jest ojcem dziecka. Nie miało to żadnego znaczenia, ani dla niej, ani tym bardziej dla jej rodziców. Wiedziała, że i tak nigdy nie będą razem.

Kiedy dziecko dorośnie i zacznie zadawać pytania, wtedy zastanowi się, co mu odpowiedzieć. Kiedyś uważała, że to oczywiste, że każde dziecko ma prawo do ojca, teraz nie była już tego taka pewna. Ojciec był niepotrzebny. Żywiła co prawda iskierkę nadziei, że pewnego pięknego dnia pojawi się u jej boku ktoś, w kim znajdzie oparcie, ale robiła wszystko, żeby wyprzeć takie myśli.

Ileż to razy wyrzucała sobie swoją lekkomyślność. W okresach gdy wspomnienie Edvarda było jeszcze silne, wręcz ją niszczyło, próbowała racjonalizować sytuację, wypierała swoje potrzeby. Jest jak jest, mówiła sobie. Musisz być dobrą matką i dobrą policjantką, koniec, kropka. Nie potrzebujesz mężczyzny, wmawiała sobie, wiedząc przecież, że oszukuje sama siebie. Beatrice nazwała to sztuką przeżycia, gdy kiedyś zebrało im się na szczerą rozmowę o życiu Ann.

Dobrze, że miała Beatrice. Nigdy nie sądziła, że koleżanka z pracy stanie się dla niej kimś tak ważnym. Bea zawsze sprawiała wrażenie twardej dziewczyny z zasadami. Ann próbowała się do niej zbliżyć, zależało jej na jej przyjaźni, ale bała się, że zostanie przez nią zdominowana.

Tyle razy czuła się bezwolna, zdana na łaskę swoich gwałtownych uczuć do Edvarda, swojej, jak to określała, fiksacji nastolatki, że nie poradzi sobie w życiu bez mężczyzny u

boku, i swojego pełnego wahań stosunku do dziecka.

Beatrice nie potępiła jej. Przeciwnie. Poczucie rywalizacji między dwiema kobietami, jedynymi w wydziale zabójstw, znikło i zostało zastąpione przyjaźnią. Bo Bea stała się jej przyjaciółką. Tą przyjaciółką, której Ann brakowało od czasu, kiedy wyjechała z Ödeshög. Czasem zastanawiała się, że może ich przyjaźń mogła się rozwinąć właśnie dopiero teraz, kiedy Ann, przywiązana do domu i dziecka, została w jakimś sensie rozbrojona i przestała zagrażać Beatrice na polu zawodowym.

Szef wydziału, Ottosson, zawsze faworyzował Ann, wspierał ją, pomagał jej, ale zawsze bardzo dyskretnie. Był bowiem człowiekiem niezwykle dbającym o dobry klimat w miejscu pracy. Jednak Beatrice na pewno to wyczuwała i pewnie nieraz czuła się niesprawiedliwie potraktowana.

Tak czy inaczej, Ann cieszyło zainteresowanie koleżanki jej osobą. Nie była do tego przyzwyczajona. Dotąd zwykle rozmawiały jedynie o pracy, teraz odkryły, że łączy je o wiele więcej.

Zadzwoiła do Ottossona. Wiedziała, że nie wytrzyma i w pewnym momencie i tak się włączy, uznała więc, że równie dobrze może zrobić to od razu.

Ottosson niemal zapiał z zachwytu, kiedy usłyszał jej głos. Lindell wróciła do życia. Natychmiast wprowadził ją we wszystko. Tak jak myślała, koledzy niewiele mieli. Małego Johna nie znała, znała natomiast jego brata, Lennarta, i to nie od najlepszej strony. Uznała, że posłanie do niego Sammy'ego nie było dobrym pomysłem. On i Lennart nie bardzo potrafili ze sobą rozmawiać, ale nie wspomniała szefowi o swoich zastrzeżeniach. Pamiętała Lennarta jako dość aroganckiego, drobnego złodziejzka.

Słuchając Ottossona, zdała sobie sprawę, jak bardzo brakuje jej pracy. W głosie szefa słyszała, że jest zagoniony, ale mimo to usiłował jej wszystko dokładnie przedstawić. Podświadomie sięgnęła po bloczek i zaczęła wszystko notować, wszystkie dane i informacje dotyczące morderstwa i samego śledztwa.

Miała to wszystko przed oczami. Poranną odprawę, kolegów pochylonych nad biurkami, rozmawiających przez komórki albo piszących coś na komputerach. Haver, ze swoją twarzą otwartą jak książka, Sammy, zawsze na luzie, Fredriksson, patrzący przed siebie niewidzącym wzrokiem, Lundin, zapewne znów myjący ręce w łazience, Wende, cały czas szukający czegoś w komputerowej bazie danych, Beatrice, zawzięcie sprawdzająca na różnych listach potrzebne nazwiska i adresy, Ryde, staranny i pracowity, zawsze

naburmuszony, szalenie inteligentny.

Marzyła, żeby jak najszybciej do nich dołączyć.

Maluszek zaczął płakać. Mimowolnie dotknęła piersi i wstała od stołu. Jaki był motyw morderstwa? – zastanawiała się. Narkotyki? Dług? Zazdrość? Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie na notatki i poszła do dziecka.

Maluszek leżał na pleckach ze wzrokiem wbitym w sufit. A może obserwował kolorowe zabawki wiszące nad jego łóżeczkiem? Spojrzała na niego. Maluszek. Jego oczka zwróciły się w jej stronę. Zapłakał.

Kiedy wzięła go na ręce, jego główka opadła na jej szyję. Doszedł ją wyjątkowy słodko-kwaśny zapach małego dziecięcego ciała, poczuła jego miłe ciepło na swojej piersi, przytuliła go delikatnie, wymamrotała kilka dziecięcych słówek.

Położyła delikatnie dziecko na szerokim podwójnym łóżku, odpięła bluzkę i stanik i położyła się obok maleństwa. Mały wiedział już, co się szykuje, i pełen nadziei zamachał swoimi krótkimi rączkami.

Ułożyła się wygodniej na łóżku, dziecko zaczęło ssać. Pogładziła je delikatnie po główce, zamknęła oczy. Pomyślała o Lennarcie Jonssonie i jego bracie.

Mikael Andersson usiadł na krześle dla gości. Fredriksson poprawił leżące na biurku teczki z dokumentami.

- Dobrze, że mógł pan przyjść – zaczął.
- Oczywiście, że przyszedłem.
- Pewnie jest pan tą osobą, która ostatnia widziała go żywego.
- Poza mordercą.
- Oczywiście. Długo go pan znał?

– Całe życie. Dorastaliśmy na tej samej ulicy, chodziliśmy do tej samej szkoły, a potem też trzymaliśmy się razem.

- Dlaczego?
- Był moim kumplem – odpowiedział Micke, patrząc na Fredrikssona.
- Dobrze się rozumielście?

Mężczyzna skinął głową. Fredriksson pomyślał, że zupełnie inaczej go sobie wyobrażał po ich rozmowie telefonicznej. Mikael Andersson by niski, jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, miał nadwagę, czy też mówiąc wprost – był gruby. Fredriksson wiedział, że kiedyś pracował jako blacharz, ale trudno mu było go sobie wyobrazić na dachu przy pracy.

- Co zwykle robiliście?
- Spotykaliśmy się, graliśmy na koniach, czasem szliśmy na mecz bandy.
- Sirius już chyba się nie liczy – wtrącił policjant.
- To prawda – przytaknął mężczyzna. – Co jeszcze robiliśmy? – zastanawiał się głośno.

- Oczywiście zna pan Berit i Lennarta?
- Pewnie.
- Proszę mi coś o nich opowiedzieć!
- Lennart to odrębna historia, ale to pewnie już wiecie. Natomiast Berit to dobra

dziewczyna. Zawsze trzymali się razem.

Micke wychylił się do przodu, oparł łokcie o kolana i złożył dłonie. Fredriksson zauważył zmianę na jego twarzy. Na policzkach i na szyi pojawił się rumień.

– Tak, Berit jest w porządku – powtórzył. – Trudno jej będzie bez Johna. Chłopakowi oczywiście też. Nic z tego nie rozumiem. Zachowywał się jak zwykle. Co o tym wszystkim sądzicie? Macie coś?

– Jeszcze nic konkretnego – przyznał Fredriksson.

– Ktoś musiał go tam zwabić, a potem zamordować, tylko kto?

– Może ktoś zaproponował, że podwiezie go do domu?

– Ale kto?

– Może John miał z kimś na pieńku?

– Nie, nie aż tak, żeby ktoś pragnął jego śmierci. John bardzo się pilnował.

– Jak wyglądały jego finanse?

– Nie przelewało im się, ale jakoś sobie radzili. Oczywiście, kiedy skończył pracować u Sagandera, było im ciężiej.

– Dlaczego musiał stamtąd odejść?

– Podobno brakowało roboty. Tak mu powiedzieli.

– Kto?

– Sagge i ta jego baba. To ona wszystkim rządzi.

Fredriksson uszczypnął się w nos.

– Powiedział pan, że ktoś mógł go tam zwabić. Ale dlaczego? Czego on tam szukał? W Libro? Może miał tam kumpla, którego czasem odwiedzał?

– Nic o tym nie wiem. Nie miał wielu znajomych.

– Widział pan kiedyś u niego narkotyki?

Mikael Andersson posłał Fredrikssonowi szybkie spojrzenie. Zaczerpnął powietrza, wypuścił je przez nos. Fredriksson miał wrażenie, że mężczyzna zastanawia się, co odpowiedzieć.

– Kiedyś mogło się zdarzyć – odezwał się w końcu. – Ale to było dawno temu.

– Jak dawno?

Mikael rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: Kto to pamięta, to było wieki temu.

– Kiedy byliśmy młodzi. Dwadzieścia lat temu.

– Potem już nigdy nie wspominał o żadnych prochach?

– Wspominanie to jedno, ale nigdy nie widziałem, żeby miał coś przy sobie.

Fredriksson odchylił się do tyłu w krześle, założył ręce za głowę, przyglądał się

Mikaelowi Anderssonowi. Twarz funkcjonariusza nie zdradzała żadnych uczuć. Siedzieli w milczeniu dobre pół minuty. Potem policjant powoli opuścił ręce, pochylił się nad biurkiem i zapisał coś w notesie.

– Proszę opowiedzieć mi o Johnie. Jakim był człowiekiem?

– Był dość milczący. Jak ojciec. Tyle że jego ojciec się jąkał, a John nie. Był dobrym kumplem. W szkole nie miał wielu kolegów. Miał mnie i jeszcze kilku. Zawsze interesował się rybami. Skąd u niego takie zainteresowanie, nie mam pojęcia. Może to zasługa jego wuja, Eugena, brata jego matki. Często zabierał nas na ryby. Miał domek letni koło Faringe.

Mikael urwał nagle i zamilkł. Fredriksson pomyślał, że pewnie wrócił do wspomnień sprzed lat.

– Lubił wypływać łodzią na jezioro. Wtedy był szczęśliwy. Jezioro było niewielkie. Ale zimne, a las sięgał niemal do samego brzegu.

– Co łapaliście?

– Najczęściej okonie i szczupaki. John mówił czasem, że musimy się tam kiedyś wybrać, ale zawsze kończyło się na gadaniu. Tak jak mówiłem, jezioro było małe, pływalimy łódką od brzegu do brzegu. Na jedynej polance w okolicy stał domek Eugena. Właściwie była to trochę rozbudowana stara szopa ze spiżarnią, zbita ze starych skrzynek po cukrze. Jezioro było jak zamknięta przestrzeń. Wczesną wiosną Eugen zabierał nas tam czasem, żeby oglądać tokujące cietrzewie. Szliśmy w ciemnościach po trzeszczącym lodzie do niewielkiego prześwitu w lesie, gdzie zbudował niewielki szałas. Tam się zatrzymywaliśmy. John lubił takie ciasne przestrzenie. Takie jak ten prześwit i maleńki szałas.

– Jego miejsce pracy też nie było duże – stwierdził Fredriksson.

Mikael Andersson przytaknął.

– Właściwie to nigdy nie był typem rozrabiaki, nawet w młodości. Tak długo jak trzymaliśmy się Ymergatan i okolicy, wszystko było w porządku. Za czasów naszego dzieciństwa Almtuna była dzielnicą, gdzie było wszystko. W okolicy było pięć sklepów spożywczych. Teraz nawet nazwa się nie ostała. Widział pan tę nową tablicę obok szkoły?

Fredriksson pokręcił głową.

– Na tablicy napisane jest „Fålhagen”. Wszystkie dawne nazwy znikają. Nie mam pojęcia, kto o tym decyduje. Po co zmieniać stare nazwy? Eriksdal i Erikslund też już nie istnieją. A Stabby nazywa się teraz Wyżne Luthagen.

– Nie jestem stąd – powiedział Fredriksson, któremu dawne nazwy niewiele mówiły.

– W ten sposób tylko miesza się ludziom w głowach.

– Luthagen brzmi ładniej niż Stabby, jeśli na przykład ktoś chce sprzedać mieszkanie...

– Być może – zgodził się Mikael. – Czyli wszystko sprowadza się do pieniędzy – stwierdził. – Coraz częściej wracam do czasów młodości. To pewnie ma związek z wiekiem.

– I do czego pan wtedy wraca? – spytał Fredriksson, który zauważył, że zaczyna czerpać prawdziwą przyjemność z rozmowy z Mikaelem.

– Do naszych zabaw podwórkowych. Było mnóstwo dzieciaków.

Mikael zamilkł na chwilę, w jego spojrzeniu pojawił się smutek, może wręcz tęsknota.

– To było tak dawno temu, a mnie się wydaje, jakby to było wczoraj. Zastanawiam się, kiedy coś zaczęło iść nie tak.

– Ma pan na myśli Johna i Lennarta?

– Nie tylko ich. Pewnie pan nie wie, ale mój ojciec budował kolej, ich zresztą też. Potem budował Port Arthur, dzielnicę, gdzie miały powstać mieszkania dla kolejarzy. Mieszkaliśmy wtedy na Frodegatan. Byliśmy ze sobą bardzo związani. Teraz już tak nie jest. To jest chyba największa różnica. Czasem idę tam na spacer, wśród tych starych domów. W przypadku Lennarta coś się zmieniło, kiedy miał dwanaście lat, John i ja mieliśmy wtedy po dziewięć. Pewnego dnia wybraliśmy się do Fålhagen pograć w bandy. Była tam łąka, gdzie każdej zimy urządzano lodowisko. W szatni Lennart zwędził portfel chłopakowi, który miał na imię Håkan. Czasem widuję go na mieście. Kiedy wracaliśmy do domu na łyżwach, Lennart wyciągnął portfel z kieszeni. Było w nim dziewiętnaście koron. Okropnie się przeraziliśmy, ale Lennart tylko się roześmiał.

– I tak to się zaczęło, jak rozumiem – wtrącił Fredriksson.

Mikael przytaknął i mówił dalej. Fredriksson schylił się, sprawdził, czy taśma w magnetofonie pod biurkiem się nie zatrzymała.

– Dziewiętnaście koron. Nie chciałem nawet jednego öre, tak się bałem. Lennart i John podzielili się forszą. Lennart zawsze dzielił się wszystkim z bratem. I chyba od tego wszystko się zaczęło, od starszego brata, który wszystkim się z nim dzielił. Chociaż sam nie wiem.

– Lennart i John byli sobie bliscy?

Mikael skinął głową.

– Na pewno tak.

– Czy to możliwe, że Lennart go w coś wciągnął?

– Pewnie nie można tego wykluczyć, ale osobiście wątpię. Lennart zawsze chronił brata.

– Może zrobił to nieświadomie?

Mikael sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego.



– Co by to mogło być? Lennart nie jest gangsterem.

– Może wpadł na coś? – wtrącił Fredriksson. – No, dobrze, zostawmy to. Chciałem pana spytać, co pan sądzi o małżeństwie Johna i Berit. Byli ze sobą szczęśliwi?

Mikael się zachnął.

– Szczęśliwi? Sądzę, że tak, cokolwiek to znaczy.

– Żadnych skoków w bok?

– Ze strony Johna na pewno nie. Poznali się, kiedy mieli po szesnaście lat. Nawet przy tym byłem. Wybraliśmy się na bilard do Sivia. Bez przerwy tam przesiadywaliśmy. Pewnego dnia zjawiła się tam Berit ze swoją przyjaciółką. John od razu wpadł jej w oko. Nie był taki jak inni, nie rozrabiał. Był spokojny, nieco zamyślony, milczący, co niektórych wprawiało w zakłopotanie.

– Chce pan powiedzieć, że John i Berit byli sobie wierni przez dwadzieścia lat?

– Przyznaję, że brzmi to dość fantastycznie, ale tak chyba rzeczywiście było. Nigdy nie wspominał o żadnych laskach. A przecież rozmawialiśmy o wszystkim.

Rozległo się ciche pukanie, drzwi się uchylily, pokazała się głowa Riisa.

– Allan, mam dla ciebie wiadomość – rzucił i korzystając z okazji, zaczął się przyglądać siedzącemu w pokoju gościowi.

Fredriksson wyciągnął rękę, wziął kartkę z zapisaną wiadomością, rozłożył ją i przeczytał.

– No dobrze – powiedział, zerkając znów na Mikaela. – A więc finansowo nie stali najlepiej.

– Tak, szczególnie w ostatnim czasie.

– Dlatego trzeciego października wpłacił pan mu na konto dziesięć tysięcy koron?

Mikael po raz kolejny się zaczerwienił. Odchrząknął. Fredriksson miał wrażenie, że w jego spojrzeniu pojawił się lęk. Może nie lęk, co pewien niepokój. Być może nie miało to żadnego znaczenia. Większość ludzi, siedząc naprzeciwko policjanta, zareagowałyby podobnie, tym bardziej kiedy rozmowa zaczyna dotyczyć pieniędzy. O większości innych spraw można było rozmawiać swobodnie, pieniądze niemal zawsze powodowały nerwowość.

– To nie było tak. Na początku września miałem dołek, John pożyczył mi wtedy dziesięć tysięcy, które mu później oddałem.

– A dokładniej?

– Powiedziałem mu, że nie mam pieniędzy, a on zaproponował, że pożyczy mi dychę.

– Dychę. Dziesięć tysięcy to sporo jak na bezrobotnego.

– Tak, ale zapewnił mnie, że to żaden problem.

– Mogę spytać, co się stało, że został pan bez pieniędzy? Zwykle pożyczał pan od Johna?

– Czasami, ale nigdy aż tyle.

– Co się stało?

– Gram w ruletkę, ot co.

– I przegrał pan?

– To się zdarza.

– Gdzie?

– Lokal nazywa się Baren Baren. Wie pan, gdzie to jest?

Fredriksson skinął głową.

– Co było potem?

– Na początku miesiąca dostałem pensję. Akurat starczyło dla Johna. Potem cały październik żyłem bardzo oszczędnie.

– A nie było przypadkiem tak, że pożyczył pan więcej i te dziesięć tysięcy to była tylko pierwsza rata?

– Nie – zapewnił Mikael.

– John nie powiedział panu, skąd ma tyle pieniędzy?

– Nie.

– A nie umówiliście się, że odda mu pan jakąś przysługę, ale potem się pan rozmyślił i po prostu zwrócił mu pieniądze?

– A niby co to miałyby być?

– Nie wiem – powiedział Fredriksson i zaczął starannie składać kartkę papieru, którą trzymał w ręku. – Kiedy był pan w Baren Baren?

– Często tam bywam.

– John też?

– Czasami.

– Grał?

– Tak, ale nigdy nie ryzykował większych sum.

– Nie był nałogowym graczem?

– Nie, był bardzo ostrożny.

Fredriksson milczał chwilę.

– Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to wszystko prawda. Przysięgam – odezwał się Mikael Andersson.

– To nic dziwnego, że pożycza się pieniądze od przyjaciela – rzekł Fredriksson cicho.

– Sprawa staje się ciekawa, kiedy jeden z nich zostaje zamordowany.

Przesłuchanie zostało przerwane. Mikael Andersson starał się zachować obojętność, ale swobodny nastrój z początku rozmowy prysł. Ruszył do drzwi za policjantem, kiedy funkcjonariusz je otworzył, zapewnił go ponownie, że wszystko odbyło się dokładnie tak, jak to opisał.

Fredriksson wierzył mu... Czy raczej chciał móc mu wierzyć.

Kiedy o wpół do czwartej Vincent Hahn ponownie wyszedł na ulicę, był o dwieście koron bogatszy. Miał wrażenie, że rozpościera się przed nim całkowicie inny, nowy świat. Ludzie byli inni. Ulica, prowadząca od dworca kolejowego do rzeki, też w ciągu tych kilku ostatnich godzin, które spędził, grając w bingo, zmieniła swój charakter. Prezentowała się jakby dostojniej, zamieniła się w esplanadę w jakimś obcym kraju. Także ludzie wydali mu się obcy.

Uczucie to towarzyszyło mu przez minutę, może dwie. Wkrótce jednak wróciły wrogo brzmiące głosy, przepychanie się, złowrogie spojrzenia. Rosnące wzdłuż ulicy lipy nie przypominały już platanów, raczej budzące zgrozę posągi, czarne i zimne, przywodzące na myśl pogrzeb i śmierć. Wiedział, skąd bierze się w nim to uczucie, i starał się je stłumić, wyprzeć z pamięci obrazy cmentarza, na którym pochowani byli jego rodzice.

Vincent Hahn był złym człowiekiem. I był tego świadom. Jeśli jego matka i ojciec by teraz zmartwychwstali, na pewno byłiby przerażeni, widząc, że ich najmłodsze dziecko stało się mizantropem, człowiekiem, który nikomu nie wierzy, a co gorsza, który uznał, że jego zadaniem jest ukarać wszystkich winnych jego niepowodzeń.

Bo czyż on nie cierpiał? Tylko kto się tym przejmował? Życie toczyło się dalej, jakby on w ogóle nie istniał. „Ja żyję!” – miał niekiedy ochotę wykrzyknąć. Najchętniej na dworcu kolejowym, bo wtedy usłyszeliby go także przygodni pasażerowie. Tyle tylko że nigdy tego nie zrobił, więc też nikt go nie usłyszał. Ludzie nadal mijali go, pędząc gdzieś przed siebie.

Powietrze. Jestem dla nich jak powietrze, myślał. A jeśli tak, to was otruję, mój oddech was zniszczy, uśmierci. Tak postanowił. I wtedy przestał się bać, wszelkie wahanie zniknęło.

Roześmiał się głośno, spojrzął na zegarek. Dzisiaj wieczorem posunie się jeszcze dalej. Nareszcie miał plan, który nadał sens jego życiu. Z lokalu wyszła para emerytów. Skinął im głową. Przypominali mu o czymś, co utracił. Nie chciał się zastanawiać, co to takiego, bo w tym zawarta była jego siła i jego słabość. W myślach, we wspomnieniach. To one sprawiły, że stał się nic nieznaczącą istotą. Skinął głową emerytom, jego sojusznikom w

grze w bingo, ofiarom, takim samym jak on. Był przekonany, że by go zrozumieli. Że wiedzieli, jak to jest być umarłym za życia.

Wygrana uczyniła go silnym, niemal nieroztropnie odważnym. Postanowił wejść do cukierni. Wybrał Güntherska. Siedząc w kącie na kanapie, miał pełną kontrolę nad wszystkim.

Zdjęcie na stronie piątej w „Aftonbladet” pokazywało młodego Johna Jonssona. Gunilla Karlsson natychmiast go poznała. Poznałaby go też, gdyby zamieszczono zdjęcie znacznie starszego Johna. Spotkali się, zupełnie przypadkowo, kilka miesięcy temu, w markecie Obs. Poza tym Justus chodził kiedyś do przedszkola, gdzie pracowała, co prawda nie do jej grupy, ale był to chłopiec, którego się zauważało. Najczęściej odprowadzała go i przychodziła po niego Berit, ale czasem wpadał też John, najczęściej wracając z pracy. Tak przyjemnie pachniał. Długo zastanawiała się, co to za zapach, aż w końcu postanowiła spytać. Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi, w końcu domyślił się, że pewnie pachnie dymem, powstającym podczas spawania. Zaczął ją bardzo przepraszać, wyglądał na zawstydzonego, wymamrotał coś, że nie zdążył wziąć prysznic. Gunilla też się zawstydziła, zapewniła go, że zapach jest bardzo przyjemny. Stali tak dłuższą chwilę, a Justus między nimi. Chłopiec się ubierał, a oni patrzyli na siebie, czerwoni na twarzy, po chwili wybuchnęli śmiechem.

Potem często się do niej uśmiechał. Opowiadał jej o pracy w warsztacie, zaproponował pomoc, jeśli coś w przedszkolu będzie wymagało naprawy. Podziękowała mu, nie sądziła, żeby potrzebowali usług spawacza. „Ale możesz do nas zaglądać, brakuje nam mężczyzn”, powiedziała.

A on spojrzał na nią wzrokiem, który tak dobrze pamiętała jeszcze ze szkoły. Przeszła ją fala ciepła. Jej słowa pochlebiali mu, widziała to w jego oczach. Ale widziała w nich coś jeszcze, i było to bardzo miłe.

Miała ochotę go pocałować. Nie jakoś namiętnie, tylko w policzek, tak by poczuć zapach dymu, który tkwił we wszystkich porach jego skóry. To była chwila, impuls, który jednak powracał za każdym razem, kiedy się spotykali.

Stali moment nieruchomo, blisko siebie, a czas przestawał istnieć. Nagle pomyślała, że John był jedną z tych nielicznych osób, które w miarę regularnie spotykała niemal przez całe swoje życie, który znał jej rodziców, kiedy jeszcze byli zdrowi. Teraz oboje byli w domu opieki, niedostępni dla świata.

Ona z kolei знаła jego rodziców, pamiętała Albina, który się jąkał, i Ainę, która zawsze zostawiała w pralni kartki, żeby po sobie sprzątać.

Kiedyś Gunilla kochała się w Johnie. Pewnie w siódmej klasie, w gimnazjum. Należała do paczki, która jeździła na wzgórze, na „Kullaan”, niezabudowanej działki blisko rynku w Vaksala. John i Lennart też tam przychodzili, oni i pewnie jeszcze z trzydziestu innych nastolatków z pobliskich dzielnic, z Petterslund, Almtuna i Kvarngärdet.

Na samym szczycie wzgórza firma budowlana, która zbankrutowała, miała magazyn desek i kształtek. Dzieciaki zbudowały z nich bardzo przemyślną konstrukcję korytarzy, w których potem przesiadywali. Gunilla przychodziła tam głównie ze względu na Johna, ale szybko wystraszyły ją unoszące się nad wzgórzem opary rozpuszczalników, kleju i tri.

Większość odurzała się rozpuszczalnikami. Taka była wówczas moda. Były okresy spokojniejsze, a potem znów wszystko zaczynało się od nowa. Głównie latem i jesienią. Od czasu do czasu policja robiła nalot, ale nikt tak do końca nie traktował tego poważnie.

Potem Gunilla nieraz się zastanawiała, ile komórek mózgowych uległo zniszczeniu tam, na wzgórzu, na Kullen. Cieszyła się, że udało jej się stamtąd wyrwać, nawet za cenę utraty kontaktu z Johnem.

A teraz nie żył. Został zamordowany. Przeczytała artykuł, uzupełniając go o swoje informacje o nim, o jego życiu, okresie młodości. Uderzyło ją, że chociaż samo morderstwo zajmowało trzy strony, to o Johnie napisano bardzo niewiele. Dziennikarz wyraźnie poszedł na skróty, wyciągnął kilka starych spraw, dawne grzechy Johna z młodości, i powiązał morderstwo ze zdarzeniem sprzed kilku tygodni, kiedy jakiś diler został pocięty w centrum miasta. „Uppsala, miasto przemocy i strachu”, krzyczał nagłówek. Gunilla czytała dalej: „Obraz spokojnej akademickiej sielanki, miasta o starych tradycjach z uniwersytetem i życiem studenckim w tle, zostaje zastąpiony innym: brutalnym i złym. Jakże niewinne wydają się przygody Filonka Bezogonka, gdy zaczynamy się przyglądać danym statystycznym, pokazującym znaczny wzrost zgłoszonych przestępstw, i przerażeniem, gdy dowiadujemy się, że znaczna część z nich nigdy nie zostanie wyjaśniona. Nękana cięciami i oszczędnościami policja jest bowiem bezradna”.

Akademicka sielanka, zachnęła się Gunilla. Dla niej Uppsala nigdy taka nie była. Chociaż urodziła się i wychowała w tym mieście, nigdy nie była w żadnym budynku uniwersytetu, nigdy nie oglądała żadnego przedstawienia studenckiego w noc Walpurgii czy uroczystego zakładania studenckich czapek przed budynkiem uniwersyteckiej biblioteki,

Carolina. Nigdy też nie słuchała występów chóru studenckiego na powitanie wiosny na Wzgórzu Zamkowym. Dla niej Uppsala nigdy nie była sielanką. Dla Johna też nie.

Ale żeby John miał coś wspólnego z dilerem narkotyków? Bardzo w to wątpiła. Wiedziała, że John w swoim czasie prowadził dość niespokojne życie, podobnie jak jego brat, ale narkotyki do niego nie pasowały. Co to, to nie.

Odsunęła gazetę, wstała i podeszła do okna. Śnieg przestał już padać, ale wiejący z zachodu wiatr nie odpuszczał. Zobaczyła sąsiadkę, niosącą w ręku torby z zakupami i zmagającą się z zadymką.

Przeszła przez hol, spojrzała w lustro, zatrzymała się i zaczęła się sobie przyglądać. Przytyła. Znów. Nagle przypomniała sobie o króliku. Jak mogła o nim zapomnieć! Ruszyła szybkim krokiem w stronę balkonu, otworzyła drzwi i zobaczyła wiszącego na balustradzie Ansgara, dokładnie w tym miejscu, w którym go wczoraj zostawiła. Tyle że dzisiaj królik miał rozpruty brzuch. Widać było wyraźnie wszystkie wnętrzości.

Pośród szarości zauważyła coś białego. Podeszła bliżej, przyglądała się zwierzęciu z obrzydzeniem. Miała wrażenie, że szeroko otwarte oczy królika patrzą na nią oskarżająco. Wewnątrz tkwiła karteczka. Wyjęła ją ostrożnie palcami. Była poplamiona krwią. Wzdrygnęła się, ale w końcu ją rozłożyła. Kawałek papieru był mniej więcej wielkości biletu autobusowego.

Przeczytała tekst, napisany ledwie czytelnym pismem, w wyraźnym pośpiechu: „W domach nie powinno się trzymać zwierząt”. Bez podpisu.

Co za podłość, pomyślała. Zaczęła się zastanawiać, jak wytłumaczy to Malin, dziewczynce, do której należał królik. Ponownie spojrzała na wiszące na balustradzie zwierzę. Nie potrafiła uwierzyć, że ktoś z premedytacją zabił królika. To musiał być ktoś chory.

Może powinna ponownie zadzwonić na policję? Nie sądziła, żeby ktoś się tu pojawił. Mieli teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż martwy królik.

Pomyślała o Johnie i rozplakała się. Ludzie potrafią być okrutni. Zaczęła się zastanawiać, czy kartka była tam już wczoraj, czy może morderca Ansgara wrócił i podrzucił ją dopiero dzisiaj. Rozejrzała się. Las, podchodzący niemal pod bloki, był już pogrążony w ciemnościach. Światło z okien oświetlało potężne pnie sosen. Wiatr targał gałęziami drzew. Sterczące gdzieś głązy wyglądały jak przyczajone wielkie zwierzęta.

Gunilla weszła z powrotem do mieszkania. Przemoczyła sobie stopy, zmarzła. Zamknęła drzwi balkonowe, opuściła żaluzje. Złość zamieniła się w strach, Gunilla stała przed drzwiami niezdecydowana. Postanowiła, że powiadomi o wszystkim prezesa



spółdzielni mieszkaniowej. Powinien wiedzieć, co się wydarzyło. Mężczyzna był co prawda mało sympatycznym ponurakiem, ale może wiedział, czy któryś z sąsiadów składał ostatnio jakieś skargi na właścicieli zwierząt. Może przypadek Ansgara nie był pierwszym takim zdarzeniem?

Znalazła numer telefonu w książce telefonicznej, bardzo podobny do jej numeru, zadzwoniła, nikt nie odebrał. Może powinna zapukać do sąsiadów, spytać, czy ktoś nie widział jakiegoś podejrzanego typka kręcącego się wokół budynków. Nie chciała jednak wychodzić z mieszkania. Mógł przecież czekać na nią na zewnątrz, na klatce.

Malin wyjechała z rodzicami na całe święta. Sąsiedzi po drugiej stronie niedawno się tu wprowadzili, starsze małżeństwo, które sprzedawało swój domek w Bergsbrunna. Gunilla rozmawiała z kobietą tylko raz i to w przelocie.

Przeszła się po mieszkaniu, zaciągnęła żaluzje we wszystkich oknach. Starannie złożyła leżącą na stole w kuchni gazetę.

W telewizyjnych wiadomościach o szóstej w ogóle nie wspomniano o morderstwie Johna. Przewłączyła na lokalną stację, TV4 Uppland, ale tu wiadomości już się skończyły, a prognoza pogody jej nie interesowała, w każdym razie nie w tej chwili.

– Uspokój się – powiedziała głośno, sama do siebie.

To po prostu jakiś wróg królików, chory człowiek. Starła się przypomnieć sobie wszystkich mieszkańców domu. Był wśród nich ktoś zdolny zabić królika i rozciąć mu brzuch? Nie. Catti zdarzało się co prawda czasem mówić od rzeczy, ale aż tak szalona nie była.

Wiatr przybrał na sile, Gunilla miała wrażenie, że słyszy rytmiczne uderzenia ciała królika o sztachety balustrady. Właściwie powinna pójść i odciąć go, ale bała się wyjść na zewnątrz. Może jednak powinna ponownie zadzwonić na policję? Tylko co zrobi policja? Na pewno byli bardzo zajęci.

Z telewizora doszedł ją głos Magnusa Härenstama; ostrożnie otworzyła drzwi, wcisnęła włącznik światła na balkonie. Lampa się nie zapaliła, nacisnęła guzik ponownie, i nadal nic. Słyszała tylko, jak gałęzie rosnących w dole krzaków uderzają o osłonkę balkonu. Że też Martin posadził je tak blisko budynku, pomyślała. Dopiero po chwili spostrzegła, że królik zniknął z balkonu. Spojrzała w dół, dostrzegła go leżącego w śniegu. Biały królik na tle białego puchu. To wiatr zwiął go z balkonu czy może ktoś go zdjął, a potem rzucił w śnieg?

Spojrzała w stronę lasu, wstrzymując oddech, próbowała podejść bliżej do balustrady, ale tak, żeby nie widać jej było w świetle padającym z mieszkania. Sosny kołysały się na wietrze. Gałęzie krzaków ocierały się o osłonkę balkonu. Zrobiła kilka kroków. Nie może

zostawić go tak na śniegu. Ludzie pomyślą, że go wyrzuciła. Malin nigdy by jej tego nie wybaczyła.

Przestraszyła się, ale – co może się wydać dziwne – właściwie nie była zaskoczona, kiedy nagle poczuła na ustach czyjąś dłoń i czyjąś rękę na swojej talii. Spróbowała ugryźć napastnika, ale nie mogła otworzyć ust.

– W mieście nie wolno trzymać królików – szeptał jakiś głos. Wydał jej się znajomy, ale nie potrafiła go umiejscowić.

Oddech mężczyzny cuchnął zgnilizną. Gunilla próbowała go kopnąć, ale nogi nie chciały jej słuchać. Mężczyzna zarechotał, jakby jej strach go bawił.

– Chodź, wejdźmy do środka – powiedział łagodnie.

Gunilla próbowała przypomnieć sobie, skąd знаła ten głos. Wyrzucała sobie własną głupotę. Powinna była przewidzieć, że mężczyzna może na nią czekać tuż za drzwiami balkonu.

Wciągnął ją do mieszkania, ale tak żeby nie widziała jego twarzy. Zgasił światło, opierając się plecami o włącznik. Pchnął ją, upadła na kanapę.

– Cześć, Gunilla – powiedział. – Pomyślałem, że wpadnę do ciebie.

Szukała nerwowo w pamięci. Głos brzmiał znajomo. Spojrzała na twarz mężczyzny. Była szczupła, dwie głębokie bruzdy przecinały policzki, czarny zarost, uśmiech na ustach. To przeraziło ją najbardziej.

– Mówię do ciebie.

– Co takiego?

Oczywiście, pomyślała, skoro jego usta się poruszały.

– Poznajesz mnie?

Skinęła głową. Nagle wiedziała już, kim był. Zaczęła drżeć.

– Czego ode mnie chcesz?

Mężczyzna znów się roześmiał. Miał popsute zęby, zniszczone, z kamieniem nazębnym.

– Ty zabiłeś królika?

Twarz Vincenta Hahna zastygła niczym maska, śmiejąca się maska.

– Chcę zobaczyć twoje piersi.

Wzdrygnęła się, jakby ktoś dał jej w twarz.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała i zaczęła szlochać.

– Kiedyś już mi to mówiłaś, ale teraz ja tu decyduję.

Nie wygląda na szczególnie silnego, pomyślała. Wąski w ramionach, szczupłe ręce, ale

wiedziała też, że pozory mogą niekiedy mylić. Nawet dzieci w napadzie złości potrafiły być niesamowicie silne. W pracy często rozmawiali o samoobronie, jedna z jej koleżanek chodziła nawet na kurs. Gunilla wiedziała, że ma szansę, tylko musi poczekać na właściwy moment. Każdy ma jakiś słaby punkt.

– Pokaż mi piersi, to zaraz sobie pójdę.

Wyglądał na zmęczonego. Może jest na lekach?

– Pójdę sobie – powtórzył i nachylił się nad nią tak, że znów poczuła jego kwaśny, cuchnący oddech. Starła się nie okazać swojego obrzydzenia.

Co mam mu powiedzieć, zastanawiała się.

– Zdejmij bluzkę.

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Jeśli sama jej nie zdejmiesz, położę cię na podłodze.

Wstała, nagle zrobiło jej się żal mężczyzny. W szkole zawsze był kozłem ofiarnym, popychadłem. Inni uczniowie gardzili nim, nie chcieli mieć z nim do czynienia, był dziwakiem, budził niepokój.

Ale z nauką sobie radził.

Kilka lat temu przeglądała szkolny album ze zdjęciami wszystkich uczniów i zwróciła uwagę właśnie na niego. Przez całe gimnazjum właściwie się nie zmienił. Chuda, pryszczata twarz. Jakby emocjonalne i hormonalne burze, ogarniające jego kolegów, jego w ogóle nie dotyczyły. Po prostu zawsze był taki sam, nieuważny na lekcjach, wywyższający się wobec kolegów, ale głównie schodzący z drogi, starający się wszystkim schlebiać.

– Muszę się czegoś napić – powiedziała głośno. – Bardzo się boję. Mogę poczęstować cię winem?

Patrzył na nią, twarz bez wyrazu. Zastanawiała się, czy jej słowa w ogóle do niego dotarły.

– Napijesz się wina? – powtórzyła.

Chwyił ją, kiedy próbowała go wyminąć. Zabolalo ją. Próbował przyciągnąć ją do siebie, ale się mu oparła.

– Puść mnie. Chcę tylko napić się wina. Potem pokażę ci piersi.

Nie wolno mi pokazać, że się boję, pomyślała. Przypomniała sobie powieszzonego na balustradzie królika, jego rozcięty brzuch, i zaszlochała. Zdjęła bluzkę, zobaczyła, jak Vincent zadrżał na widok jej nagich piersi.

– No dobrze, niech będzie, jeden kieliszek – powiedział i się roześmiał.

Szedł tuż obok niej. Czowała na plecach ciepło jego ciała, jego ciężki oddech. Butelka

uderzyła o stojak do wina. Dźwięk chyba go przestraszył, bo nagle chwycił ją za ramiona, tak jak Martin ją chwycił, kiedy bolał ją kark czy plecy, tylko znacznie mocniej. Odwrócił ją do siebie.

– Nie pamiętasz mnie?

– Pamiętam, tylko bardzo się zmieniłeś.

– Ty też.

Wyswobodziła się z jego uchwytu, sięgnęła ręką po wiszący na haczyku nad kuchennym blatem korkociąg. Vincent Hahn stał tuż obok niej. Odór jego kwaśnego, zgniłego oddechu wypełniał całą kuchnię. Nagle pomyślała, że ten zapach zostanie tu już na zawsze, że nigdy się go nie pozbędzie.

– Lubisz czerwone wino? – spytała, unosząc butelkę.

Uderzenie zaskoczyło i Vincenta, i ją. To był odruch, broniła się, instynktownie jak zwierzę.

Butelka trafiła go w skroń i w czoło, Gunilla poszła za ciosem, chwyciła korkociąg i wbiła mu go w klatkę piersiową.

Wino obryzgało kuchnię. Na twarzy Vincenta pojawił się grymas bólu i zdziwienia. Zachwiał się, sięgnął ręką do blatu, osunął się na podłogę, ściągając na siebie krzesło. Na podłodze wino zmieszało się z krwią.

Stała chwilę jak sparalizowana, w prawej ręce trzymała rozbitą butelkę, w lewej korkociąg, spięta, gotowa do odparcia kolejnego ataku, chociaż leżący u jej stóp mężczyzna ledwie się ruszał. Plama krwi rosła, ciemna róża na tle podłogi. Lekko słodki zapach krwi zmieszał się z ciężką wonią wina.

Nogi mężczyzny zaczęły drżeć, odchrząknął, otworzył oczy.

– Ty bydlaku – powiedziała, zbliżając rozbitą butelkę do jego twarzy. Nagle puściła ją, wybiegła z kuchni, otworzyła drzwi na klatkę i zaczęła uciekać, dając się pochłonać grudniowym ciemnościom.

Uderzyło ją zimno. Poślizgnęła się, ale biegła dalej, zaczęła krzyczeć. Jej krzyk wypełnił podwórko. Sąsiedzi opowiadali jej później, że brzmiał jak wycie przerażonego, rannego zwierza.

Pierwszy zjawił się na miejscu Åke Bolinder, który właśnie wyszedł na spacer ze swoim wilczurem. Ledwie wyszedł zza rogu, zobaczył osuwającą się na śnieg kobietę. Natychmiast rozpoznał Gunillę Karlsson. Nie znał jej dobrze, ale widział ją kilka razy na zebraniach wspólnoty mieszkaniowej i pewnie też kilka razy w osiedlowym markecie, Konsum.

Nachylił się nad nią, poczuł zapach wina, zauważył, że kobieta trzyma kurczowo korkociąg. Nakazał psu, żeby usiadł, i stał tak, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Spojrzał na szeroko otwarte drzwi do mieszkania.

Bolinder był spokojnym człowiekiem, koło pięćdziesiątki, kawaler, bardzo dbał o swój wygląd. Stał i wpatrywał się w piersi Gunilli, w czarny stanik na tle białego śniegu, uklęknął, odgarnął włosy z jej twarzy. A jeśli zwymiotuje, pomyślał i cofnął się nieco. Ale jej twarz była spokojna. Wokół rozległy się teraz kroki, ktoś otworzył balkon, ktoś coś zawołał, nie zrozumiał co.

Pies, który dotąd siedział karnie przy nodze pana, nagle zaczął warczeć. Bolinder uniósł głowę i zobaczył stojącego w drzwiach mężczyznę, którego twarz była ściągnięta w grymasie bólu i nienawiści. Z brody kapała mu krew.

Jupiter, wilczur, zaczął szczekać. Bolinder wstał.

– Co się stało? – spytał.

W tym samym momencie pies rzucił się do ataku. Trudno powiedzieć, czy dlatego, że usłyszał strach w głosie pana, czy dlatego, że mężczyzna w drzwiach zrobił krok do przodu, ale jego atak był dla wszystkich zaskoczeniem. Tym bardziej że Jupiter nigdy nie przejawiał takich skłonności. Był równie spokojny jak jego pan, dzieci na podwórku uwielbiały się z nim bawić. Teraz jednak rzucił się do przodu, zjeżony, z obnażonymi zębami.

Mężczyzna w drzwiach zachwiał się i w ostatniej chwili zdołał cofnąć się do mieszkania. Bolinder widział, jak Jupiter rzuca się do przodu, usłyszał głucho uderzenie ciężkiego cielska zwierzęcia o drzwi. Pies odbił się od przeszkody i upadł, ale natychmiast znów wstał i zaczął szczekać, czy raczej ujadać. Bolinder usiłował przywołać go do porządku, ale Jupiter nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Kobieta poruszyła się, Bolinder pochylił się nad nią. Gunilla otworzyła oczy, wzdrygnęła się. Widząc nad sobą twarz sąsiada, podniosła się na jednym łokciu, spojrzała w stronę swojego mieszkania.

– Próbował mnie zgwałcić – powiedziała.

Nagle uświadomiła sobie, że jest niemal naga, szybko zasłoniła piersi rękami. Bolinder zdjął kurtkę i delikatnie okrył nią ramiona kobiety.

Mimo bólu i nieoczekiwanego zwrotu akcji Vincent miał dość przytomności umysłu, żeby wziąć z łazienki ręcznik i wytrzeć zakrwawioną głowę. Czuł, jak pulsuje mu krew. Ostrożnie dotknął palcami czaszki. Nie sądził, żeby kość była pęknięta, ale rana na czole była brzydka. Butelka trafiła go tuż nad brwią, pewnie dlatego tak bardzo krwawił.

Ostrze korkociągu przedziurawiło materiał koszuli, weszło w ciało, ale nie naruszyło kości. Rana wydawała się niegroźna.

Niespodziewany atak Gunilli zaskoczył go. Był przekonany, że uda mu się postawić na swoim, ale ona go oszukała. Teraz musiał uciekać. Z podwórza dochodziło ujadanie psa, słyszał wzburzone głosy sąsiadów. Rzucił zakrwawiony ręcznik na podłogę, sięgnął po czysty, przycisnął go do głowy, wyszedł przez balkon i zniknął w ciemnościach.

Zaczął biec. Zakręciło mu się w głowie, ale nie zwolnił kroku. Znał las i jego ścieżki. Jeśli szybko odnajdzie właściwą drogę, dotrze do domu za pięć, sześć minut, bezpiecznej było jednak iść okrężną drogą, żeby uniknąć ludzi.

Co miał robić? Jak długo może bezpiecznie zostać w domu, zanim zjawi się policja? Gunilla go rozpoznała. Nie był co prawda zameldowany na Bergslagsresan, wynajmował mieszkanie z drugiej ręki, ale policja na pewno szybko wszystko wyniucha. Zdobędą jego adres, albo przez szpital, albo przez jego szwagierkę. Tylko ona odwiedzała go po jego przeprowadzce do Sävja.

Kto mógłby go przyjąć? Nie miał nikogo, kto mógłby się nim zająć, opatrzyć rany, nakleić plaster, pozwolić odpocząć. No i kto się zaopiekuje Julią? Pociągnął nosem i, potykając się, biegł dalej. Musi wrócić do domu, musi zdążyć przed policją. Nie pozwoli, żeby jakieś obce ręce dotykały Julii. Schowa ją w lesie. Co prawda wtedy zmoknie i będzie jej zimno, ale lepsze to, niż gdyby miała trafić w ręce jakiegoś faszysty albo gliniarza.

Zdezorientowany dotarł do gospodarstwa w Bergsbrunna. Często przychodził tu na spacer, znał okolicę. Przez ścianę stajni słyszał rzenie koni. Marzył. Na dworze było co najmniej piętnaście stopni mrozu. Rana na czole bolała go. Stał na szczycie wzgórza i zastanawiał się, co robić. Może wejdzie do stajni? Lubił konie. Te duże, dostojne zwierzęta były mądre, ale w stajni były też koty. Widział je kiedyś, jeden był biały, drugi jasnobrażowy.

Z daleka doszło go szczekanie psa. Nagle uzmysłowił sobie, że policja może użyć psów, żeby go wyśledzić. Zaraz pewno się tu zjawią. Stajnia nie zapewni mu bezpieczeństwa.

Zaczął biec między padokami. Tu śnieg był głębszy, musiał przedzierać się przez zaspę, zaczęło brakować mu powietrza, oddychał z trudem. Na końcu drogi zobaczył migoczące światło. Na dziedzińcu stała ubrana choinka. Miał wrażenie, jakby kiedyś już coś podobnego przeżywał. Biegł, mróz. Nie miał przyjaciół, mógł zaufać tylko sobie. W piersi coś go paliło.

Wyszedł z lasu koło torów kolejowych, ruszył wzdłuż nich, kierując się na północ. Wkrótce dotrze do przejazdu kolejowego. Czytał o ludziach w Stanach, którzy wskakiwali do pociągów towarowych i podróżowali w ten sposób przez cały kraj, w poszukiwaniu pracy.

Tyle że tutaj żaden pociąg nie zwalniał, czuł pęd powietrza, kiedy go mijały.

Stał niezdecydowany. Po drugiej stronie przejazdu zobaczył zbliżający się samochód. Ciepłe światła reflektorów omiotły pobliskie boisko do piłki nożnej. Vincent podbiegł do skrzyżowania i położył się na drodze.

Samochód był coraz bliżej. Diesel, słyszał to po pracy silnika. Nagle trafił go snop światła. Zamknął oczy, podniósł rękę, człowiek w potrzebie. Wyglądało na to, że samochód go minie, ale nagle usłyszał, że kierowca gwałtownie hamuje.

Drzwi się otworzyły, z samochodu wysiadł człowiek, zaczął biec.

– Co się stało?

Vincent jęknął.

– Ktoś mnie potrącił.

– Tutaj?

Vincent uniósł się na łokciu, skinął głową.

– Samochód. Uciekł. Pomoże mi pan?

– Zadzwoń po karetkę – powiedział mężczyzna, wydając komórkę.

– Nie, wystarczy, że podrzuci mnie pan do szpitala.

Mężczyzna uklęknął, przyjrzał mu się uważnie.

– Nieźle pana poturbował.

– Zapłacę.

– Nie trzeba. Da pan radę iść?

Vincent stanął na czworakach, mężczyzna pomógł mu się podnieść i dojść do samochodu.

Viro węszył chwilę zdezorientowany. Zapach drugiego psa przeszkadzał mu, ale szybko złapał właściwy trop. Policjant ruszył za nim, mimo powagi sytuacji uśmiechnął się, widząc zapach psa.

Po kwadransie dotarli do torów kolejowych. Zatrzymali się, żeby przepuścić pędzący pociąg. Viro zgubił trop. Rozglądał się zdezorientowany, patrzył na swojego pana, poszczekując żałośnie.

– Albo miał tu samochód, albo ktoś go stąd zabrał – stwierdził Nilsson, który cały czas szedł za psim patrolem.

Rozejrzeli się dookoła. Viro cofnął się kilka metrów, zawrócił, dotarł do krzyżówki i znów zatrzymał się bezradny.

- Co mogło się z nim stać?
- Zadzwońmy na pogotowie. Facet jest ranny, nawet tutaj są ślady krwi.
- Fredriksson już to zrobił. Słyszałem, jak rozmawiał z dyżurnym.

Nilsson sięgnął po komórkę, wybrał numer do Allana Fredrikssona, który wciąż jeszcze był w mieszkaniu Gunilli Karlsson.

Siedzieli w pokoju dziennym. Inspektor kryminalny Allan Fredriksson wyjął chustkę i wytarł nos. Gunilla bardzo mu współczuła. Już po raz piąty sięgał po chustkę, powinien zostać w domu i się kurować.

– Pobiegnij w stronę Bergsbrunna. Tam kończą się wszystkie ślady – powiedział Fredriksson po rozmowie z Nilssonem.

Nadal widział strach w oczach Gunilli.

– Zostawimy tu na noc patrol – obiecał, chowając chustkę do kieszeni.

Jego spokój i łagodny głos sprawiły, że się odprężyła. Przestała drzeć.

– A więc rozpoznała go pani?

– Chodziliśmy razem do szkoły, do jednej klasy. Ma na imię Vincent, nazwiska nie pamiętam. Cały czas mam to na języku, ma takie niemieckie brzmienie. Mogę zadzwonić do przyjaciółki. Będzie wiedziała.

– Dobrze.

– Hahn – przypomniała sobie nagle Gunilla. – Tak się nazywa.

– Vincent Hahn?

Przytaknęła. Fredriksson natychmiast skontaktował się z dyżurnym i przekazał mu informację.

– Po skończeniu szkoły spotykaliście się czasem?

– Nie. Raz widziałam go na mieście, ale to wszystko.

– Chodziliście do tej samej klasy?

– Do dwóch równoległych, ale niektóre zajęcia były wspólne.

– Dzwonił kiedyś do pani, próbował się z panią skontaktować?

– Nie.

– Jak pani sądzi, dlaczego tu przyszedł?

– Nie mam pojęcia. Zawsze był trochę dziwny. Już wtedy, w szkole, w Vaksalskolan. Trzymał się z daleka. Miałam wrażenie, że jest bardzo religijny, na pewno się wyróżniał.

– Powiedział, że chce zobaczyć pani piersi... – Fredriksson spuścił wzrok.



– Tak. Obiecał, że potem sobie pójdzie.

– Uwierzyła mu pani?

– Nie, wyglądał jak szaleniec.

– Nigdy was nic nie łączyło?

– Nigdy.

– Może spotkała go pani w pracy?

– Jestem przedszkolanką.

– Nie miał dzieci w przedszkolu?

– Nie sądzę, żeby w ogóle miał dzieci.

Fredriksson przyglądał się jej uważnie. Może kłamała? Może to odtrącony kochanek powrócił? Tylko dlaczego miałyby robić z tego tajemnicę? Uznał, że może jej wierzyć.

– Bardzo odważnie się pani zachowała.

– Bałam się, że go zabiłam. Bardzo krwawił. Mimo że trzymałam butelkę w prawej ręce. Jestem leworęczna.

– Nie powiedział nic, co mogłoby tłumaczyć jego zachowanie? Proszę dobrze się zastanowić.

Gunilla pokręciła głową przecząco.

– To znaczy była jeszcze ta historia z królikiem. Przypuszczam, że to on go powiesił.

Opowiedziała Fredrikssonowi o Ansgarze, jak znalazła go powieszzonego na balustradzie balkonu, i o tym, że ktoś rozciął mu brzuch. Powiedziała też, że rano zgłosiła całe zdarzenie policji.

– Nie podobało mu się, że ktoś trzyma w domu królika?

– Tak sądzę.

– I dlatego postanowił go zabić? – spytał Fredriksson zdziwiony.

Był policjantem od wielu lat, ale nadal zdarzały się sytuacje, które go zadziwiały.

– Może raczej powinien wypuścić je na wolność.

– I zacząć dusić ich właścicieli – dodała Gunilla.

Do pokoju wszedł Ryde, policyjny technik. Nic nie powiedział, patrzył w milczeniu na kolegę.

– Kuchnia – rzucił Fredriksson i Ryde odwrócił się na pięcie.

Fredriksson wiedział, że kiedy Ryde przybiera taką minę, nie było sensu zarzucać go tysiącem informacji czy pospieszać.

– To zabawne, chociaż w tym kontekście nie jest to chyba właściwe określenie, ale dużo dzisiaj myślałam o naszej starej szkole – odezwała się nagle Gunilla. – Mężczyzna,

który wczoraj został zamordowany, też do niej chodził. A teraz nagle odwiedza mnie ten szaleniec.

Ryde najwyraźniej usłyszał jej ostatnią wypowiedź, bo zawrócił z kuchni.

– John Jonsson był pani kolegą ze szkoły?

Ryde nie miał doświadczenia w przesłuchiowaniu ludzi, co było słychać w jego głosie.

Gunilla przyglądała mu się uważnie.

– Pan też jest policjantem?

– To Eskil Ryde, najlepszy technik policyjny w Uppsali – przedstawił go Fredriksson.

– Jedyny – sprostował Ryde. – Proszę powiedzieć nam coś o Johnie.

Gunilla westchnęła ciężko. Dopiero teraz Fredriksson zauważył, że jest wyczerpana.

– Johna znam o wiele lepiej – zaczęła opowiadać. – Wpadaliśmy na siebie od czasu do czasu. Jego żonę też znam.

– Proszę mi wybaczyć, że spytam wprost – zaczął Fredriksson – ale czy pani i John mieliście romans?

– Nie. Dlaczego pan o to pyta?

– Powiedziała pani, że zna Johna, i natychmiast dodała, że zna pani też jego żonę.

– Coś w tym dziwnego?

– Co pani pomyślała, kiedy się dowiedziała, że John został zamordowany?

– Przeraziłam się. Lubiłam go – ciągnęła Gunilla, patrząc w oczy Fredrikssonowi, jakby chciała mu powiedzieć, żeby nie próbował jej niczego insynuować. – Był miły, spokojny, nieco milczący. Nie rzucał się w oczy. Ostatnio spotkaliśmy się jesienią. Był niezwykle radosny, co u niego było dość niezwykłym stanem. Spytałam, czy coś się wydarzyło, a on powiedział, że chyba wyjedzie za granicę.

– Wymienił konkretny kraj?

– Nie, ale odniosłam wrażenie, że gdzieś daleko.

– Kiedy zamierzał jechać?

– Tego mi nie powiedział.

– Czasem mówimy, że wybralibyśmy się gdzieś, gdzie świeci słońce, nie mając żadnych konkretnych planów.

– Też odniosłam wrażenie, że żartuje, ale jednak nie do końca.

– Nie drażyła pani tematu?

– Oboje się spieszyliśmy, wymieniliśmy tylko kilka zdań.

– I potem już go pani nie spotkała?

– Wtedy widziałam go ostatni raz – stwierdziła Gunilla Karlsson i rozplakała się.

Fredriksson przyjął jej płacz niemal z ulgą.

Barman spojrział na niego bez żadnego zainteresowania, był zajęty wycieraniem blatu. Lennart wypił łyk piwa i rozejrzał się. W kącie przy stoliku siedział samotnie jeden z najbardziej znanych prawników w mieście. Lennart poznał go przy okazji jakiegoś procesu, nie pamiętał jakiego. Adwokat siedział i pił whisky. I to chyba nie pierwszą szklaneczkę tego dnia. Oparł policzek o dłoń, mówił coś sam do siebie, w drugiej ręce trzymał kurczowo szklanę.

– Więc jak? – zwrócił się Lennart do barmana za ladą. Wiedział doskonale, że jego brak zainteresowania jest jedynie grą.

– No więc był tu, ale już jakiś czas temu – powiedział barman.

– Kiedy?

– Nie pamiętam.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Barman najwyraźniej się zastanawiał, co robić. Co mu grozi, jeśli nadal będzie udawać, że nic nie wie, a co się stanie, jeśli zdradzi, co naprawdę wie. Postanowił wybrać trzeci wariant.

– Spróbuj dowiedzieć się czegoś w Kroken – powiedział, chcąc w ten sposób wybać, ile Lennart naprawdę wie.

Kroken był bowiem nielegalnym kasynem gry, mieszczącym się w piwnicy w centrum miasta. Oficjalnie mieścił się tam magazyn zabawek, importowanych z południowo-wschodniej Azji, i ręczników, sprowadzanych z krajów bałtyckich. Tak przynajmniej można było wyczytać z tabliczki na drzwiach. „POS Import”. Przy ścianie obok piętrzyła się sterta kartonów z plastikowymi karabinami.

– Nie bywam w Kroken – powiedział Lennart.

Znów sięgnął po piwo, chciał dać barmanowi kolejną szansę. Jeśli znów zaproponuje jakieś kretynstwo, przestanie być tak pobłażliwy.

Siedzący przy stoliku w kącie adwokat wstał, lekko się zataczając, rzucił pięćset koron

na blat i z udawaną obojętnością ruszył do drzwi. Barman podbiegł i sięgnął po banknot, zabierając przy okazji szkło ze stolika.

Lennart zastanawiał się, gdzie może być Mossa. Nie widział go już od kilku tygodni. Mossa dzielił swoje łaski między Sztokholm a Uppsalę, niekiedy wpadając też do Danii. Lennart domyślał się, że do Kopenhagi ciągnęła go nie tylko ruletka czy karty. Słyszał plotki o narkotykach, ale nie wierzył, żeby Irańczyk był tak głupi, żeby tracił na to czas.

Mossa był znany z ostrożności. Przez ostatnie kilka lat udawało mu się skutecznie unikać konfliktu z wymiarem sprawiedliwości. Nie znaczyło to jednak bynajmniej, że nagle zaczął przestrzegać prawa, raczej świadczyło o jego sprycie i przebiegłości. Podobno był nieuchwytny, zarówno dla policji, jak i prokuratury.

Lennart znał go już od dobrych dziesięciu lat. Wiedział, że John czasem z nim grywał. Mossa lubił go i cenił. John co prawda rzadko ryzykował większe sumy, unikał też większych rozgrywek, ale był dobry i przyjemnie się z nim grało, nawet jeśli stawka była niska.

Mossa nigdy nie grywał w klubach, czasem dawał się namówić na ruletkę, ale jeśli chodzi o karty, to grywał jedynie na prywatnych imprezach.

Lennart towarzyszył czasem Johnowi, ale nie miał ani pieniędzy, ani wytrwałości, by włączyć się do gry.

– Słyszałem, że jest w Sztokholmie, ale na Boże Narodzenie ma zjechać do Uppsali. Jego matka tu mieszka.

Nareszcie coś konkretnego, pomyślał Lennart. Wiedział, gdzie mieszka matka Mossy, ale nie mógł tam po prostu pójść i spytać o syna, to było wykluczone. Mossa byłby wściekły. Na szczęście były inne sposoby.

– Dzięki za pomoc – rzucił, kładąc stówkę na ladzie.

Wyszedł na Kungsgatan i ruszył St. Persgatan na wschód. Zatrzymał się przy budynku Armii Zbawienia, zapalił papierosa, spojrzął na budynek, gdzie raz uczestniczył w jakiejś imprezie. Ale tylko ten jeden jedyny raz. Przyszedł na przyjęcie wielkanocne. Pozwolili im zjeść tyle jajek, ile chcieli. Zaprowadził go tam Bengt-Ove, kolega z sąsiedztwa.

Potem jeszcze raz w życiu tam zajął. Był pijany i od razu w holu natknął się na dawnego kolegę, który pozostał wierny Armii. Spojrzeli na siebie, po chwili Lennart odwrócił się na pięcie i odszedł. Bez słowa.

Było mu wstyd. Wstydział się swojego kaca i swojej nędzy. Od tamtej pory, zawsze kiedy przechodził obok budynku, wstyd powracał. Właściwie lubił Bengta. Wiedział, że jego

dawny kolega na pewno nie czyniłby mu żadnych wyrzutów, nie potępiłby go, nie patrzyłby krzywo na jego brudne, cuchnące ubranie, nie odwrócił się od niego, nie brzydził się jego nieświeżym oddechem. Był wówczas na samym dnie, przez opary alkoholu wspominał wielkanocne przyjęcie sprzed lat.

Niekiedy bawił się myślą, że może powinien był się związać z Armią Zbawienia? Miał przyjaciół, którzy właśnie tam znaleźli ratunek, zerwali z przestępczością i z piciem. Czy on też by tak mógł? Nie wierzył w to, ale tamta wizyta obudziła w nim nadzieję na lepsze życie. Pewnie nigdy się do tego nie przyzna, nawet sam przed sobą, ale kiedy wspominał tamto zdarzenie, myślał o nim jak o niewykorzystanej szansie. Może była to racjonalizacja, ale sama myśl mu się podobała.

Nikogo o nic nie obwinał. Wcześniej tak, ale teraz widział sprawy jaśniej. Wiedział, że jeśli ktoś był winien, to tylko on. Po co oskarżać innych? Miał szansę. Spotkał Bengta, widział w jego oczach, że ma jeszcze szansę, ale nie skorzystał z niej.

Wtedy też była zima, tylko teraz budynek Armii Zbawienia leżał pogrążony w ciemnościach. Lennart ruszył dalej szybkim krokiem.

W wewnętrznej kieszeni kurtki miał kartkę z listą nazwisk. Trzy już skreślił. Zostało mu jeszcze pięć. Pięć osób, z którymi musi się skontaktować. Przyrzekł sobie, że się nie podda, dopóki morderca brata nie zostanie złapany. Jego towarzysze broni na pewno mu pomogą.

Postanowił pójść do Mickego. Nie rozmawiali ze sobą od dnia, kiedy John został zamordowany. Lennart wiedział, że Micke został przesłuchany przez policję, miał nadzieję, że może udało mu się coś od nich wyciągnąć.

Micke Andersson właśnie kładł się spać. Ostatnie dni bardzo go zmęczyły, ale mimo to miał kłopot z zaśnięciem.

– To ty?

Nie lubił Lennarta, wręcz czuł do niego antypatię, ale w końcu Lennart był bratem Johna.

– Przykro mi z powodu Johna – powiedział.

Lennart wpadł do niego bez słowa. Micke nie znosił, kiedy tak się zachowywał.

– Masz browar?

Micke był zdziwiony jego pytaniem. Zwykle Lennart po prostu szedł do lodówki i brał to, na co miał ochotę.

– Słyszałem, że gliny z tobą rozmawiały. – Lennart otworzył puszkę.

Micke skinął głową i usiadł przy stole w kuchni.

- Co mówili?
- Pytali o Johna. Był tu w dniu, kiedy umarł.
- Tak? Nikt mi tego nie powiedział.
- To było późnym popołudniem.
- Co tu robił?
- A jak myślisz?

Micke był zmęczony i poirytowany.

- Mówił coś?
- Rozmawialiśmy, jak zwykle.
- O czym?

Micke rozumiał, że Lennart chce to wiedzieć. Próbował sobie przypomnieć, jak dokładnie przebiegała wizyta Johna. Miał go przed oczami, może nie beztroskiego, ale na pewno zadowolonego, w ręku trzymał torby z alkoholem, śpieszył się do domu, do rodziny.

- Nic nie mówił?
- Niby o czym?
- Nie wpakował się w jakieś bagno? Wiesz, co mam na myśli.

Micke wstał, też sięgnął po puszkę z piwem.

- Nic nie mówił.
- Zastanów się dobrze.
- A myślisz, że się nie zastanawiałem? Nie ma sekundy, żebym się nie zastanawiał.

Lennart przyglądał się przyjacielowi brata, jakby chciał się zorientować, czy mówi prawdę. Wypił łyk piwa, nie spuszczaając go z oczu.

- Przestań się na mnie gapić – odezwał się w końcu Micke.
- Wplątaliście się w coś?
- Odwał się!
- Graliście na koniach i takie tam... – powiedział Lennart.

Sam nigdy nie wchodził w takie interesy, ale przede wszystkim dlatego, że nikt mu tego nie proponował, nikt nie wierzył w jego wypłacalność.

- Nie – zapewnił go Micke.
- Starał się, żeby jego głos brzmiał stanowczo, ale Lennart usłyszał w nim cień wahania.
- Jesteś absolutnie pewien? Tu chodzi o mojego jedyne brata.
  - I mojego najlepszego przyjaciela – wszedł mu w słowo Micke.
  - Pożałujesz, jeśli kłamiesz.
  - Chciałeś coś jeszcze? Muszę się zdrzemnąć.

– Przyjdiesz na pogrzeb? – spytał Lennart już innym tonem.

– Jasne.

– Rozumiesz coś z tego?

Lennart spuścił wzrok, zrozpaczony patrzył w stół, jakby właśnie w jego zniszczonym blacie spodziewał się znaleźć wytlumaczenie zagadki morderstwa brata.

Micke wyciągnął dłoń, położył ją na ręce Lennarta. Lennart podniósł głowę, łzy w jego oczach były prawdziwe.

– Nie – odezwał się Micke schrypniętym głosem. – Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego właśnie John?

– Dlaczego właśnie John? – powtórzył Lennart jak echo. – Też się nad tym zastanawiałem. Dlaczego właśnie on, skoro po świecie chodzi tyle śmiecia?

– Wracaj do domu, idź spać. Wyglądasz na zmęczonego.

– Nie poddam się, zanim nie dorwę drania.

Micke czuł się w potrzasku. Nie chciał słuchać wynurzeń Lennarta o zemście, z drugiej strony nie chciał też zostać sam. Zmęczenie już ustąpiło, zapowiadał się długi wieczór i długa noc. Rozpoznawał objawy. Przez lata cierpiał na bezsenność. Czasem zdarzały się lepsze okresy, kiedy udawało mu się zasnąć snem tak głębokim, że miał wrażenie, że niemal traci przytomność. Ale potem bezsenność wracała, a z nią wszystkie bolące, otwarte rany. Tak to odczuwał: jakby coś paliło go w środku.

– Co mówi Aina?

– Mam wrażenie, że do niej to jeszcze nie dotarło – powiedział Lennart. – Ostatnio w ogóle nie czuła się najlepiej, ale to ją załamie. Po śmierci Margarety John był jej ukochanym dzieckiem.

Młodsza siostra Johna i Lennarta zginęła w 1968 roku pod kołami samochodu prowadzonego przez nietrzeźwego kierowcę, tuż przed Konsumem na Väderkvarnsgatan. Bracia nigdy o tym nie rozmawiali. Nigdy nie wymieniano jej imienia. Wszystkie zdjęcia, na których była, zostały usunięte.

Niektórzy twierdzili, że po śmierci córki ani Aina, ani Albin już nigdy nie doszli do siebie. Byli nawet tacy, którzy sugerowali, że Albin, spadając z dachu Skytteanum w tamten kwietniowy poranek na początku lat siedemdziesiątych, tak naprawdę popełnił samobójstwo. Jego koledzy z pracy byli jednak przekonani, że to był nieszczęśliwy wypadek. Albin po prostu nie sprawdził dokładnie liny, która miała go asekurować na śliskim blaszanym dachu.

Nigdy nie odebrałby sobie życia, ale jeśli już zdecydowałby się na taki krok, to na pewno nie zrobiłby tego w czasie pracy i na pewno nie w ten sposób, spadając z dachu.



Jednak niepewność pozostała i nadal kładła się cieniem na życiu rodziny. Rodziny Albina, blacharza, bo nadal tak o nich mówiono.

– Nie rozmawiałem z nią długo – przyznał Lennart.

Wstał. Micke pomyślał, że pewnie pójdzie przynieść nową puszkę piwa, ale Lennart podszedł do okna.

– Widziałeś, jak wychodził? Może stałeś w oknie?

– Nie – powiedział Micke. – Siedziałem na kanapie, oglądałem *Va banque* w telewizji.

– Pamiętasz Teodora?

– Naszego Teodora? Jasne.

– Czasem o nim myślę. Opiekował się mną i Johnem po śmierci ojca, dbał, żebyśmy mieli jakieś zajęcie.

– Pamiętasz, jak graliśmy w kulki? – powiedział Micke i się roześmiał. – Był fenomenalny.

– Najbardziej lubił Johna.

– Wszystkim pomagał.

– Ale najbardziej Johnowi.

– Pewnie dlatego, że był najmłodszy.

– Gdybyśmy w szkole mieli takich nauczycieli jak Teodor... – rozmarzył się Lennart.

Micke zaczął się zastanawiać, dlaczego Lennart nagle powrócił do tamtych dawnych czasów. Pewnie śmierć brata przywołała wspomnienia z dzieciństwa w Almtuna. Micke też pamiętał tamte czasy. Pamiętał poczucie bezpieczeństwa, pamiętał zabawy, podwórka pełne dzieciaków, mecze bandy na lodowisku w Fålhagen, a potem treningi lekkoatletyczne w Österängen.

To były najlepsze chwile ich życia. Na pewno jeśli chodziło o Lennarta. Potem było już tylko gorzej.

Lennart poszedł do szkoły i został umieszczony w klasie specjalnej, dla dzieci z trudnościami w nauce, gdzie trafił w szpony Kamiennej Twarzy. Jego lekcje ograniczały się w zasadzie do nauki gry w ping-ponga. To akurat Lennart potrafił. Już wcześniej grywał w pingla w kotłowni, z Teodorem. Był tak dobry, że wygrywał nawet z Kamienną Twarzą. Zawsze.

Podczas gdy Teodor uchylił chłopcom drzwi do dorosłego świata, z całą gamą jego emocji, radości i smutków, Kamienna Twarz przeciwnie, bardzo skutecznie zatrzasnął te drzwi przed nimi, wpajając im swoje nauki, bezwzględnie i bez taryfy ulgowej.

Lennart zaczął się buntować. Strajkował albo oddawał. W dziewiątej klasie właściwie

przestał chodzić do szkoły. Niewiele się w niej nauczył, ledwie pisać i czytać. Historii w ogóle nie znał, matematyka doprowadzała go do rozpacz, z zajęć praktycznych uciekał.

Alternatywą dla szkoły stała się Sivia, gdzie chłopcy grali w bilard, knajpa Lucullus, gdzie serwowano pierwszą pizzę w mieście, no i wzgórze, Kullen, gdzie chodził razem z kumplami. Kradł, żeby żyć, żeby grać w bilard i we flippera, kupować papierosy i słodycze. Kradł, żeby imponować innym, bił się, żeby zyskać szacunek. Jeśli nie mógł być kochany, to chciał, żeby się go bano.

Nikogo o nic nie oskarżał, nie zwał na nikogo winy, ale nosił w sobie nienawiść do nauczycieli i w ogóle do dorosłych. W domu Albin jękał się, „ostrzegał” go. Aina miała „słabe nerwy” i ledwie potrafiła zadbać o siebie, a już na pewno nie o syna. Jej pocieszeniem stał się John. Niestety z czasem i on dał się wciągnąć w szaleństwa starszego brata.

– John był niezłym łobuzem – powiedział Micke. Sam słyszał, jak śmiesznie to zabrzmiało.

– Posłuchaj – odezwał się nagle Lennart. – Czy John miał jakąś inną kobietę?

Micke spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Co takiego? Czy kręcił na boku?

– Może coś ci kiedyś powiedział.

– Nie, nigdy. Nie wierzę, żeby kogoś miał. Miał Berit, ubóstwiał ją.

– Tak, wiem, jeśli był niewierny, to tylko wobec swoich pielęgnic.

– Co będzie z jego rybami?

– Justus je przejmie – powiedział Lennart.

Micke pomyślał o synu Johna. Justus był bardzo podobny do ojca. Tak jak on nie lubił dużo mówić i miał jego spojrzenie, niekiedy trudne do uchwycenia. Kiedy się z nim rozmawiało, miało się wrażenie, że nic się przed nim nie ukryje. Jakby potrafił każdego przejrzeć. Niekiedy Micke odnosił wrażenie, że Justus w ogóle go nie słucha, jakby nie chciał obciążać sobie umysłu jego gadaniem.

Kiedy John był chłopcem, zachowywał się podobnie. Też czasem sprawiał wrażenie, jakby się wywyższał, był dumny, nieskory do kompromisów. Pewnie dlatego John i Sagge tak kiepsko się dogadywali, mimo że John był znakomitym spawaczem.

Tylko w kontaktach z najbliższymi, przede wszystkim z Berit, John potrafił się nieco odprężyć i otworzyć. Wtedy pokazywał drugą stronę swojej osoby, stawał się łagodny, troskliwy. Miał też poczucie humoru, chociaż dość osobliwe, pewnie nie każdy potrafił je docenić.

– To słuszna decyzja. Jeśli ktoś ma je przejąć, to powinien to być Justus – stwierdził

Micke.

Chętnie napiłby się piwa, wiedział jednak, że jeśli otworzy puszkę, to Lennart zrobi to samo. A wtedy nie skończy się na jednej puszcze. Pewnie będą pili, aż wyczerpie się im zapas.

Zbliżała się północ, ale nic nie wskazywało na to, żeby Lennart zamierzał się zbierać do domu. Micke wstał z pewnym trudem. Jutro czekał go pracowity dzień.

– Obawiam się, że do samych świąt będzie padać – powiedział i poszedł przynieść dwie puszki piwa.

Berglund sterczał już dobrą godzinę na przystanku autobusowym przy rynku Vaksala. W jednej ręce trzymał policyjną legitymację, w drugiej zdjęcie Johna Jonssona. Miał wrażenie, że rozmawiał z setkami pasażerów, rozpytując o mężczyznę na zdjęciu.

– To ten, który został zamordowany? – spytała jakaś kobieta zaciekawiona.

– Poznaje go pani?

– Nie obracam się w takich kręgach.

Kobieta była obładowana torbami i pakunkami, jak większość. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Berglund pomyślał, że ludzie bynajmniej nie wyglądali na szczęśliwych.

Od wielu lat był funkcjonariuszem policji w Uppsali. To było rutynowe zadanie, jedno z tysięcy, ale nigdy nie przestanie się dziwić reakcjom ludzi, mieszkańców jego miasta. Pracował nad rozwiązaniem zagadkowego morderstwa, zostawał po godzinach, marzył na przystanku, zamiast razem z żoną przygotowywać święta, a ludzie okazywali może nie niechęć, ale na pewno wyraźnie dystansowali się wobec całej sprawy.

Podszedł do starszego mężczyzny. Starszy pan zatrzymał się obok niego, postawił pakunki na ziemi i zapalił papierosa.

– Dzień dobry, jestem Berglund, z policji – powiedział, wyjmując legitymację. – Poznaje pan tego mężczyznę?

Starszy pan zaciągnął się, spojrzał na zdjęcie.

– Jasne, że go znam, nie od dzisiaj zresztą. To chłopak blacharza.

Podniósł głowę i spojrzał na Berglunda badawczo.

– Jakież problemy z wymiarem sprawiedliwości?

Berglund pomyślał, że mężczyzna ma sympatyczny głos. Nieco schrypnięty, pewno za dużo pali, skontaktował. Pasował do jego wyglądu, do otwartej, nieco pomarszczonej twarzy i jasnych oczu.

– Nie, nic z tych rzeczy. On nie żyje.

Starszy pan rzucił papierosa, zdeptał niedopałek.

– Znałem jego rodziców. Albina i Ainę.

Berglund miał wrażenie, że zaczyna rozumieć kontekst całej sytuacji, chociaż dla rozwiązania zagadki morderstwa nie miało to większego znaczenia. Sympatyczny głos mężczyzny, jego sposób bycia, wszystko to składało się na pewną całość. Berglund wyraźnie to czuł, chociaż nie potrafił wyrazić tego słowami.

Domyślał się, że mężczyzna był kiedyś robotnikiem, może w branży budowlanej. Jego ogorzała cera świadczyła o tym, że sporo przebywał na deszczu i wietrze. Mówił wyraźnym dialektem, poza tym zdradzały go też inne drobiazgi, sposób noszenia palta, jego zniszczony, chociaż widać było, że troskliwie pielęgnowany kapelusz, silne dłonie. Był zadbany, garbił się lekko, ale mimo to był postawny.

Gdyby mogli porozmawiać dłużej, wiele rzeczy pewnie by się wyjaśniło. Mimo sporej różnicy wieku, może nawet piętnastu lat, na pewno okazałoby się, że mają wspólnych znajomych i podobne doświadczenia życiowe.

Berglund wiedział, że chcąc rozwiązać przestępstwo, trzeba znaleźć pewien wzór. W tym kontekście starszy pan z jego sposobem bycia, mówienia, specyficznymi gestami i językiem też stanowił jakąś część rozwiązania. Trzeba tylko właściwie ułożyć układankę, dopasować do siebie poszczególne kawałki.

– Mieszka pan tu w pobliżu?

Starszy pan wykonał nieokreślony ruch głową.

– Mieszkam na Marialundsgatan, ale jestem w drodze do syna. Mieszka w Salabackar.

– Postoję tu jeszcze godzinę, ale może moglibyśmy się umówić gdzieś na kawę i porozmawiać? – zaproponował Berglund.

Mężczyzna skinął głową, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że zatrzymuje cię policjant na ulicy i zaprasza na kawę.

– Potrzebujemy trochę konkretów – tłumaczył się Berglund.

– Tak to zrozumiałem – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Oskar Pettersson. Mój telefon jest w książce telefonicznej, proszę przekreślić, jeśli będzie pan czegoś potrzebować. Koło ósmej będę już w domu. Obiecałem przynieść synowi śledzie i trochę różnych drobiazgów.

Starszy pan podniósł torby i wsiadł do autobusu, który właśnie podjechał na przystanek. Berglund widział, jak usiadł. Nie wyjrzał przez okno, zresztą dla czego miałby?

Berglund wytrwał do siódmej. Niektórzy z pasażerów mieli wrażenie, że rozpoznają Johna, ale nikt nie potrafił udzielić mu bliższych informacji, nikt też nie widział Johna na przystanku w dniu morderstwa.

Berglund wrócił na komisariat. Było zimno, marzł. Zadzwoił do domu i uprzedził, że będzie później. Jego żona nie wydawała się zdziwiona.

Zamiast iść prosto do pokoju, Berglund poszedł do automatu z kawą, wziął kubek i opadł na stojący obok zniszczony fotel. Minęło go kilku kolegów w mundurach, rozmawiali o świętach. Berglund wziął kawę i poszedł do dyżurnego. Nie wydarzyło się nic istotnego, ale kiedy skończył pić kawę i właśnie szykował się do wyjścia, rozległ się alarm. Został więc jeszcze chwilę, stał i przyglądał się, jak kolejne radiowozy kierowane są do Sävja, zrozumiał, że Fredrikssona czeka dzisiaj długi wieczór.

– Napadnięto kobietę – powiedział dyżurny.

Berglund wyszedł w grudniowy mrok.

Oskar Pettersson mieszkał w trypokojowym mieszkaniu na Marialundsgatan, niewielkiej uliczce w okolicach Almtuna. Berglund podziękował za kawę. Pettersson wyjął puszkę piwa i dwie szklanki i postawił na stole w kuchni. Grało radio. Mężczyzna słuchał chwilę, jakby nagle usłyszał coś, co go szczególnie zainteresowało, a potem, nieco zamyślony, wyłączył odbiornik.

– Teraz słucham już tylko programu pierwszego – powiedział. – Moje uszy niczego innego nie tolerują.

Berglund zaczął nalewać piwo. Najpierw sobie, potem siedzącemu naprzeciwko niego mężczyźnie.

– Tak, znałem Albina – zaczął od razu. – Trzymaliśmy się razem, a potem spotykaliśmy się na różnych budowach. Byliśmy młodzi, a wtedy było to jeszcze małe miasto.

– Był pan robotnikiem budowlanym?

– Obsługiwałem betoniarkę – powiedział skromnie. – Tak, tak.

Rozejrzał się po kuchni.

– Teraz jestem wdowcem – dodał.

– Od dawna?

– W marcu będą trzy lata. Rak.

Wypił łyk piwa.

– Albina i Ainę poznałem przez Eugena, brata Ainy, czyli wuja Johna. Eugen i ja pracowaliśmy razem przez wiele lat. Najpierw u Cichego Kallego, a potem w Diös. To był wesoły facet. Aina była bardziej ostrożna. Albin zresztą też. Bardzo się lubili. Przynajmniej miałem takie wrażenie. Nigdy się nie kłócili, nic z tych rzeczy. Albin był jednym z najzdolniejszych blacharzy, jakich znałem. Już nie żyje. Wie pan o tym?

Berglund skinął głową.

– Potem od czasu do czasu spotykałem Johna na mieście, szczególnie po tym, jak wyrzucili go z warsztatu. Czasem się zastanawiam, co tak naprawdę decyduje o tym, jaki człowiek jest? Jeśli to geny, to w rodzinie Lennarta i Johna nic nie wskazywało na to, że zostaną przestępcami.

„Przykładni obywatele”, jak mawiał Ottosson, przypomniał sobie Berglund.

– No jest oczywiście też środowisko – ciągnął dalej emerytowany budowlaniec łagodnym, ale jednocześnie silnym głosem, na który Berglund od razu zwrócił uwagę i który od razu mu się spodobał. – Dorastali tu w okolicy. Nie powiem, zdarzali się też dranie, ale w większości mieszkali tu porządni ludzie. A pan skąd pochodzi?

Nagła zmiana tematu sprawiła, że Berglund roześmiał się, zdziwiony.

– Urodziłem się w Eriksbergu, wtedy to jeszcze była wieś. Ojciec zbudował tam dom, w latach czterdziestych. Pracował w hucie, w Ekeby.

Pettersson pokiwał głową.

– On zajmował się piecami, a matka dzieciakami. Często pracował na noc, a potem w dzień odsypiał.

– Tak bywało – powiedział Pettersson. – Na pewno nie chce pan kawy?

– Nie, dziękuję. Proszę opowiedzieć mi o Johnie.

– Kiedy stracił robotę, zrobił się cholernie zgorzkniały. Kiedyś powiedział mi, że czuje się nic niewart. Spawanie to było całe jego życie. Był bardzo dokładny, miał to po ojcu. Człowiek musi mieć swoje miejsce w życiu, po prostu. Tak to jest, prawda?

– Pewnie tak – potwierdził Berglund. – Często się spotykaliście?

– Właściwie nie. Czasem wpadaliśmy na siebie w Obs, w tym centrum handlowym. Jeżdżę tam czasem, żeby coś zjeść i pogadać z chłopakami. Czasem wpadaliśmy na siebie na mieście, zdarzało się, że szliśmy gdzieś na kawę. Mam wrażenie, że lubił ze mną porozmawiać. W ogóle lubił pogadać.

Dziwne, pomyślał Berglund. Pierwszy raz słyszę, że ktoś mówi, że John lubił pogadać.

– Czułem, że coś go gnębi.

– Co?

– Wie pan, że hodował ryby? No więc odniosłem wrażenie, że coś planuje, coś z rybami. Był bardzo aktywny, przez jakiś czas działał nawet w jakimś stowarzyszeniu. Teraz są najróżniejsze stowarzyszenia, od wszystkiego.

– Co to znaczy, że to miało coś wspólnego z rybami? Planował otworzyć sklep?

– Nie wiem. Na pewno chodziło o akwarium. Miał swoje marzenia.

– Ale nie powiedział panu, co konkretnie miał na myśli?

– Nie, tylko, że coś planuje.

– Kiedy się spotykaliście, opowiadał panu coś o domu, o rodzinie?

– Niewiele. Był bardzo związany z synem. Znał pan może takiego jednego, który nazywał się Sandberg i też pracował w Ekeby? Był palaczem, a przynajmniej tak mi się wydaje. Potężny facet, porywczy.

Berglund znów się roześmiał.

– Każdy, kto pracował przy piecu, stawał się z czasem porywczy, tak po prostu było.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać.

– Facet pewnie nie żyje już od dobrych czterdziestu lat – powiedział Pettersson. – To był znajomy ojca.

– Jak John stał finansowo?

– Biedy nie cierpiał. Zawsze był porządnie ubrany i w ogóle.

– Pił?

Pettersson pokręcił głową przecząco.

– Umrzeć w taki sposób, niech to szlag! Wszystko człowiekowi wywleką. Zajrzą w każdy kąt. Żebyśmy tak interesowali się ludźmi, kiedy żyją.

Berglund został prawie do dziesiątej. Oskar Pettersson odprowadził go do holu, ale w pewnej chwili wrócił do kuchni. Berglund usłyszał, jak włącza radio. Wieczorne nabożeństwo.

– Zawsze słucham wieczorem, zanim się położę – powiedział, kiedy wrócił do holu. – Słucham też wiadomości, a potem czytam jeszcze chwilę – rzucił, kiedy Berglund sznurował zimowe buty. – Porządne – stwierdził z uznaniem. – Jestem członkiem Stowarzyszenia Emerytów. Zbieramy się raz w miesiącu i rozmawiamy o książkach.

– Co pan teraz czyta?

– Książkę o czarnej śmierci. Jeszcze jedno, co z Lennartem? Jak sobie radzi?

– Cóż, Lennart jest, jaki jest – powiedział Berglund z lekkim wahaniem w głosie.

– Czyli byle jak. Lennart jest ulepiony z innej gliny. Pamiętam, jakie były z nim kłopoty. Prawdę mówiąc, pracował kilka lat w Diös. Potem coś na niego spadło, jakiś



prefabrykat, a może to on spadł z rusztowania, nie pamiętam. Tak czy inaczej, potem nie był już taki sprawny.

– Albin spadł z dachu – wszedł mu w słowo Berglund.

– Tak, robił coś dla tych intelektualistów po drugiej stronie rzeki.

– Dzięki za piwo.

– Drobiazg – powiedział Oskar Pettersson i uściśnął mu dłoń. – Niech pan jeszcze kiedyś zajrzy. Pogadamy, dlaczego palacze pracujący przy piecach robią się tacy porywcy.

Berglund ruszył powoli do domu. Mieszkał niedaleko, zaledwie kilometr stąd. Tutaj wszystko się zaczęło, pomyślał. W Almtuna. Doszedł do sklepu z antykami, zatrzymał się na chwilę. Wystawę rozświetlała lampa w kształcie Świętego Mikołaja. Jego zastygła twarz z czerwonymi wykwitami na policzkach, połyskująca niczym wosk, przypominała twarz ducha.

Ymergatan. Ulica Ymira, mitologicznego nordyckiego praolbrzyma. Zginął, a z jego ciała powstała ziemia, z jego krwi woda, z czaszki – sklepienie nieba, a z brwi – wał, który miał chronić jego plemię przed atakami innych olbrzymów. Midgard, świat ludzi. Tam wszystko się zaczęło. Cała nasza historia. Ciekawe, czy mieszkający tu ludzie, synowie Aska i Embli, mitycznej pary, stworzonej przez bogów, znają tę historię? – zastanawiał się Berglund. Zapewne nie.

Sam zresztą też nie pamiętał dokładnie wszystkiego, ale wystarczająco dużo, żeby zatrzymać się chwilę na skrzyżowaniu. Minęli go jacyś wieczorni spacerowicze, jezdnią przejechało powoli volvo, odniósł wrażenie, że to jeden z jego kolegów, w cywilnym samochodzie.

Jego wzrok powędrował w dół ulicy. Tutaj gdzieś zginęła w wypadku młodsza siostra Johna. Co czyni człowieka? – przypomniał sobie słowa Oskara Petterssona. Rodzina Jonssonów należała do rodzin zamieszkujących Almtuna. Los ich nie oszczędzał. Troje z nich już zmarło: mała dziewczynka, ojciec i teraz syn, John. Wypadek, być może samobójstwo i morderstwo. Jakby przypadająca na całą ulicę, jeśli nie na całą dzielnicę, dawka nieszczęść i tragedii, przypadła w udziale jednej rodzinie.

Berglund widywał takie rodziny, dotknięte nieszczęściem. Stanowiły jakby odrębną grupę społeczeństwa. Rodziny, których członkom nie było dane umierać w spokoju we własnym łóżku, które przyciągały nieszczęścia, nagłe zawały, gromy z nieba, pożary, padały ofiarami przemocy. Jakby ich udział w ogólnej sumie nieszczęść był większy, jakby stanowiły wyjątek od statystycznej średniej.

Berglund wiedział, że czasem jedno nieszczęście ciągnie za sobą drugie. O takich przypadkach czytało się w powieściach. O ludziach przyciągających zły los, jak magnes. W ten sposób powstawały mity, takich ludzi żałowano, opowiadano sobie o nich, o kłątwie, która nad nimi wisiała.

Ulica Ymira. Przez krótki moment było mu dane cieszyć się jej pięknem. Ciągnęła się przed nim, otulona śniegiem, pojedynczy ślad zostawiony przez koła roweru wił się niczym wąska ścieżka prowadząca do krainy olbrzymów, widział uginające się pod śniegiem drzewa, spokojne, ale i pełne oczekiwania, i okna, w większości rozświetlone świątecznymi świecami i wiszącymi w nich gwiazdami. Wielkie płatki śniegu wirowały w świetle ulicznych latarni.

Moje miasto, pomyślał Berglund. Chociaż sam dorastał po drugiej stronie rzeki, dobrze znał Almtunę, dzielnicę będącą uosobieniem tego, o czym marzył młody palacz z huty szkła w Ekeby. Zbliżające się święta Bożego Narodzenia, które zawsze lubił i uroczyste obchodził, śnieg, który przynosił ukojenie, i spotkanie z Oskarem Petterssonem pozwoliły mu na chwilę zapomnieć o Johnie i jego rodzinie i zachować miasto takie, jakim pragnął je widzieć.

Wszystko to trwało oczywiście jedynie moment, w końcu był przecież policjantem, śledczym, zaangażowanym w dochodzenie dotyczące morderstwa. A jednak wiedział, że obraz ulicy Ymira w zimowej szacie pozostanie mu na długo w pamięci.

Jego miasto. Oskar Pettersson wspominał o intelektualach, ludziach z uniwersyteckim wykształceniem. Berglund dawno już nie słyszał tego określenia. Doskonale jednak wiedział, że Uppsala to tak naprawdę dwa miasta, Uppsala Oskara i ta druga, intelektualów. Obecnie rzadko o tym wspominało, ale wszyscy byli tego świadomi. Także na komisariacie.

Naprawdę byłoby lepiej, gdyby Albin spadł z dachu jakiegoś bloku mieszkalnego, a nie budynku z tego drugiego świata? Akademickiego. Berglund wiedział, co mężczyzna miał na myśli. Chodziło mu o społeczeństwo, o poszczególne warstwy tego społeczeństwa. Ci, którzy stali niżej w hierarchii, jak Oskar czy Albin, zawsze spadali z dachów tych bogatych, z dachów intelektualów. Pracujący w hucie szkła palacz doszedł do podobnych wniosków, a Berglund odziedziczył jego punkt widzenia. Zawsze głosował na socjaldemokratów. Teraz na komendzie rzadko rozmawiano o polityce, o partiach, ale domyślał się, że należał raczej do mniejszości. Ottosson głosował na Partię Ludową, na konserwatystów. Berglund wiedział o tym, ale wiedział też, że nie był to wyraz jakichś głębszych przemyśleń, raczej wynik braku wyobraźni i siły przyzwyczajenia. Kiedy przychodziło co do czego i zaczęli analizować różne zjawiska społeczne, zwykle on i Ottosson prezentowali zbliżone poglądy. Ottosson chciał być jak lud, stąd Partia Ludowa. Ann Lindell trudno było się zdecydować, z pozoru

polityka w ogóle jej nie interesowała. Riis głosował na Umiarkowaną Partię Koalicyjną, podobnie jak Ryde, policyjny technik. Rasbo-Nilsson był centrowcem, głównie pewnie dlatego, że sam pochodził ze wsi.

Berglund przestał myśleć o kolegach. Powinien wracać do domu, ale nie mógł się powstrzymać, wyjął komórkę i zadzwonił do Fredrikssona, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w Sävja.

– Dzięki, wszystko w porządku – powiedział Allan Fredriksson.

Berglund słyszał zmęczenie w jego głosie. Oby tylko nie rozbił się o przysłowiowy mur, co już kiedyś mu się przytrafiło.

– Wydaje się, że może być jakiś związek między napadem w Sävja a zabójstwem Johnem – ciągnął kolega. – Sprawca był kolegą z klasy napadniętej kobiety i Johna.

– Został zatrzymany?

– Szukamy go.

– Jak się nazywa?

– Vincent Hahn. Mieszka w Sävja, ale nie ma go w domu. Ma coś z głową.

– Fizycznie?

– Podejrzewam, że i fizycznie, i psychicznie.

– Potrzebujesz pomocy?

Berglund najchętniej wróciłby już do domu, ale jednak spytał.

– Dzięki, że pytasz, ale radzę sobie – odpowiedział Fredriksson.

Zakończyli rozmowę. Berglund nie mógł się jednak wyzbyć dręczącego go niepokoju. Czyżby naprawdę za wszystkim krył się szaleniec, który obrał sobie za cel byłych uczniów szkoły w Vaksala?

Justus położył dłonie na powierzchni wody, tak jak zawsze robił to John. Ryby były tak przyzwyczajone do jego dłoni, że zjawiały się w ciągu kilku sekund i dotykały ich. Ale były przyzwyczajone do dłoni Johna. Teraz się nie pojawiły. Nikt mi nie wmówi, że ryby są głupie, pomyślał Justus.

Dlaczego John tak robił? Żeby sprawdzić temperaturę wody czy żeby nawiązać kontakt z rybami? Justus nigdy go o to nie spytał. Tylu rzeczy nie zdążył się dowiedzieć. A teraz było już za późno. Ale wiedział, że to on będzie teraz musiał zająć się akwarium. Berit tak naprawdę nigdy się nim nie interesowała. Oczywiście podobało jej się, choć protestowała przeciwko nowemu akwarium, jednak bez większego przekonania. Wiedziała, że John i tak nie zmieni zdania. W głębi duszy Justus wiedział, że matka cieszyła się z pasji Johna. W końcu były gorsze nałogi.

Justus włożył wąż do akwarium i zaczął wybierać wodę. Berit siedziała w kuchni z babcią. Słyszał ich ciche głosy. Mówiły tak cicho, żeby nie mógł ich słyszeć. Bały się, że nie podoła. Wiedział, że rozmawiają o pogrzebie Johna.

Napełnił do połowy pierwsze wiadro, przełożył wąż do drugiego, chwycił pierwsze i poszedł wylać wodę do łazienki. Trzysta litrów, których trzeba było się pozbyć. Trzydzieści pełnych wiader. Justus bał się lać wodę do pełna, jak to zwykle robił John, więc pewnie będzie musiał obrócić nie trzydzieści, tylko czterdzieści razy. W jedną i w drugą stronę.

Całe przedsięwzięcie trzeba było powtarzać raz w tygodniu. Ile razy przyjdzie mu biegać do łazienki i z powrotem? Domyślał się, że Berit pewnie będzie chciała sprzedać i ryby, i akwarium, chociaż na razie jeszcze o tym nie wspomniała.

Księżniczka Burundi, tak ją nazwał. Kiedy pierwszy raz tak się do niej zwrócił, nie zrozumiała, o co mu chodzi, a potem zaczęła się śmiać.

– Piękna ze mnie księżniczka!

John i Justus wymienili wtedy porozumiewawcze spojrzenia. Tylko oni dwaj wiedzieli. Berit miała się dowiedzieć w swoim czasie. Kiedy wszystko będzie załatwione i

zapięte na ostatni guzik, jak to określił John.

– Zapięte na ostatni guzik – powtórzył chłopiec cicho.

Ruszył do łazienki z trzecim wiadrem. Zostało mu jeszcze trzydzieści siedem.

– Wiesz, że jesteś moją księżniczką.

Tak wtedy powiedział. Jej śmiech umilkł. Coś w jego głosie wzbudziło jej czujność. John, zwykle wyczulony na takie sprawy, tym razem nie zauważył cienia na jej twarzy i ciągnął dalej.

– Dostaniesz własne księstwo – powiedział.

Czyżby tamtego wieczoru był pijany, zastanawiał się Justus.

– Naprawdę uważasz, że musimy tak żyć?

– Co masz na myśli? – spytała Berit.

John nagle jakby się obudził, powrócił do rzeczywistości. Pod jej spojrzeniem zwiądnął jak roślina pozbawiona wody.

Justusowi to się nie spodobało. Dlaczego nie powiedział nic, żeby przestała tak na niego patrzeć? Nie musiał mówić jej wszystkiego, ale coś chyba mógł jej powiedzieć. Dlaczego nie chciał sobie pozwolić na moment triumfu? A teraz nie żył i żadne poczucie triumfu już nigdy nie rozpromieni jego twarzy.

Taszczył kolejne wiadro. Zostało mu jeszcze trzydzieści. Ryby krążyły niespokojnie. Justus się zmęczył, przyniósł krzesło z holu, postawił przed akwariem i usiadł na nim. Zniknął na tle wody, rybek i kamieni. Wyobraził sobie, jak otacza go ciepła woda. Ma dwadzieścia sześć stopni. Skaliste dno jeziora Tanganika jest w niektórych miejscach bardzo zdradliwe, musi uważać. Z jaskiniami nie było żartów. Są tam krokodyle? John opowiadał mu kiedyś o niemieckim kupcu, który został pożarty przez ryby na brzegu Malawi.

Podszedł do leżącego na półce atlasu. Jezioro Malawi leżało daleko od Burundi.

– Co robisz?

W drzwiach stała Berit. Justus słyszał ciężki oddech babci w holu; krzesło zatrzęszczało, kiedy na nim usiadła.

– Oglądam sobie – powiedział.

– Wszystko w porządku?

Chłopiec skinął głową. Zostało mu jeszcze jedno wiadro.

– Mam nadzieję, że nie rozlewasz wody?

Nie odpowiedział. Jasne, że nie rozlewał. John rozlewał? Księżniczka Burundi patrzyła na niego.

– Witaj, Justus – powiedziała babcia, mimo że witali się, kiedy przyszła. Siedziała na

krześle i wkładała buty.

– Cześć – odpowiedział Justus i zniknął w łazience.

– Chodź do mnie – poprosiła babcia, kiedy znów się pojawił. – Chcę z tobą porozmawiać.

Podszedł do niej z pewnym oporem. Widział, że płakała. Dużo płakała. Przytuliła go do siebie.

– Jesteś moim wnukiem – powiedziała, a on nagle zapragnął uciec. Wiedział, co zaraz nastąpi. – Dbaj o siebie.

Nie lubił słuchać jej głosu. Dawniej bał się jej. Teraz nie czuł już strachu, ale pamiętał go i to nie było przyjemne.

– John był z ciebie taki dumny. Musisz o siebie dbać.

– Jasne, babciu – wydusił z siebie. Uwolnił się z jej objęć. – Odprowadzić cię do domu?

Aina bała się poślizgnąć, zwykle więc John albo Justus odprowadzali ją do domu.

– Nie, poradzę sobie – odparła. – Mam podeszwy przeciwślizgowe.

– Muszę się zająć akwariem – rzucił. Odszedł i zostawił babcie samą.

Po chwili odwrócił się. Wyglądała tak bezradnie. Kosmyki nieumytych włosów wystawały spod jej wełnianej czapki, siedziała, trzymając w ręku but. Przyszła Berit, przyniosła pełne wiadro. Uśmiechnęła się. Wziął wiadro od matki i poszedł wylać wodę.

Zaczęły boleć go ręce. Następnym razem weźmie dłuższy wąż, przeciągnie go przez hol, do łazienki i włoży bezpośrednio do wanny. Tym razem postanowił nosić wiadra.

Ryby poruszały się posuwistymi ruchami, były bardzo zgrane. Śledził je wzrokiem. Miały swoje rewiry, położone niekiedy tak blisko siebie, że można było odnieść wrażenie, że stanowią jedną wielką ławicę. Każda część skały miała swoich mieszkańców, własną populację, niekiedy bardzo podobną do innej, sąsiedniej, ale różniącą się od niej kolorem. Poszczególne stada oddzielały od siebie piaszczyste fragmenty między skałkami.

Księżniczki należały do ryb o wylęgu otwartym – składały ikrę na piasku albo na skałkach, w przeciwieństwie do niektórych innych pielęgnicowatych, które były gębaczami i zbierały jaja do pyska. To właśnie Księżniczki John lubił najbardziej. Afrykańskie pielęgnice. Obecnie nie były co prawda już tak popularne jak kiedyś, dużo osób wolało południowoamerykańskie odmiany, ale John był przekonany o wyższości tych afrykańskich.

Justus przeczytał wszystko, co było do przeczytania o pielęgnicach. Na dodatek zainteresował się geografją, nikt w klasie nie wiedział tyle o Afryce, co on. Kiedyś nawet wdał się w szkole w bójkę, właśnie z powodu Afryki. Jeden z kolegów rzucił: „Czarni na

drzewa”, dodając, że tam jest ich miejsce.

Justus zareagował natychmiast. Jakby sympatia do rybek przeniosła się na całą czarną Afrykę, z jeziorami, zbiornikami wodnymi, sawanną, dżunglą tropikalną i ludźmi, tymi, którzy zamieszkiwali jego i Johna kontynent. Afryka była w porządku. Tam były pielęgnice. Tam były marzenia.

Przystąpił do ataku.

– On nic nie wie o Afryce – powiedział nauczycielowi, który podbiegł ich rozdzielić.

Przezwalili go murzyńskim pedałem, ale nie przejął się tym i po jakimś czasie przestali mu dokuczać.

– Rozmawiałam z Evą-Britt – matka przerwała jego rozmyślenia. – Prosiła cię pozdrowić. Chcesz wrócić do szkoły jeszcze przed Bożym Narodzeniem?

– Nie wiem.

– Pewnie byłoby dobrze.

– Babcia już poszła?

– Tak, już wyszła. Pewnie niewiele stracisz, ale tak chyba byłoby najrozsądniej.

– Muszę zająć się akwariem.

Berit patrzyła na syna. Jest taki podobny do ojca, pomyślała. Zerknęła na pielęgnice krążące wokół gumowego węża.

– Pomogę ci – zaproponowała. – Nie możesz zaniedbywać szkoły.

Justus stał wpatrzony w podłogę.

– O czym tata myślał? Jak ci się wydaje?

– Nie wiem – odpowiedziała Berit.

Zidentyfikowała ciało, poprosiła, żeby pokazali go jej całego. Najbardziej przeraziły ją nie ślady po pchnięciu nożem, nie jego szara skóra, odcięte palce czy poparzenia, tylko jego twarz. Widziała na niej strach.

John był odważnym mężczyzną, odpornym na ból, nigdy się nie pieścił, rzadko się zdarzało, żeby na coś narzekał, dlatego niemal nie poznała jego twarzy. Że też strach potrafi człowieka tak zmienić, pomyślała wówczas i zrobiła krok do tyłu.

Funkcjonariuszka, która stała obok niej, Beatrice, tak chyba miała na imię, chwyciła ją za rękę, ale ona się uwolniła. Nie potrzebowała, żeby ktoś ją wspierał.

– Dajcie mi kilka minut – poprosiła. – Chcę zostać sama.

Funkcjonariuszka zawahała się, ale po chwili wyszła z pokoju.

Kiedy stała tam sama, obok noszy z jego ciałem, pomyślała nagle, że właściwie zawsze wiedziała, że to się tak skończy. Może nie tyle wiedziała, ale podejrzewała. Rodzina

Johna nie była zwykłą rodziną. Była rodziną naznaczoną przez los i od tego nie było ucieczki.

Podeszła bliżej, nachyliła się nad ciałem, pocałowała go w czoło. Poczowała chłód na wargach.

– Justus... – wymamrotała, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Na zewnątrz czekała na nią funkcjonariuszka. Nie odezwała się, za co Berit była jej wdzięczna.

– Mam wrażenie, że myślał o Księżniczce z Burundi.

– Kto? Co takiego?

– Księżniczka z Burundi.

I wtedy sobie przypomniała. To było tego wieczoru, kiedy uruchomili nowe akwarium. Pokazywał jej różne rodzaje pielęgnic, w tym także Księżniczki. Nazwy różnych gatunków znała już wcześniej, jakże by inaczej, ale Księżniczki były nowe.

Stał nachylony, z twarzą tuż przy akwarium, i łagodnym głosem wymieniał ich nazwy. Spojrzał na Justusa, a potem na nią.

– To jest moja Księżniczka – powiedział, obejmując ją w pasie. – Moja Księżniczka Burundi.

– Co to, do licha, jest ta Burundia? – spytał Lennart.

Justus wytłumaczył wujowi, że Burundi to kraj w Afryce, na północnym skraju jeziora Tanganika. Berit słyszała podniecenie w jego głosie, a John wolną ręką pogładził syna po głowie.

– Tak – powiedziała, wracając pamięcią do tamtego wieczoru. Przypominała sobie, jaka wtedy była szczęśliwa. – To ładna nazwa.

– W Burundi jest pięknie.

– Byłeś tam? – spytała Berit, uśmiechając się.

– Prawie – odpowiedział chłopiec.

Niewiele brakowało, a powiedziałby jej wszystko.



Mężczyzna naprawdę był bardzo uprzejmy, pomyślał. zaproponował, że odprowadzi go na izbę przyjęć. Może uznał, że mam wstrząs mózgu i sam mogę sobie nie poradzić?

Uniósł rękę i czekał, aż samochód zniknie, a on będzie mógł usunąć się z oświetlonego podjazdu. Od czasu do czasu kręciło mu się w głowie. Nie przypuszczał, żeby przyczyną była utrata krwi, raczej napięcie. Krew przestała mu już lecieć, a rana pokryła się strupem, czuł, jak włosy kleją mu się do czaszki. Dotknął ostrożnie krawędzi rany.

Po kilku minutach znalazł się na ulicy Daga Hammarskjölda, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Padał śnieg. Mijały go samochody. Cofnął się, ukrył między drzewami w parku. Naprzeciwko niego szła para ludzi. Śmiali się. Pod puchówkami byli pewnie elegancko ubrani. Kobieta trzymała w ręku torbę foliową. Vincent miał wrażenie, że w środku są buty.

Schował się za drzewo, pozwolił, by go minęli, by po chwili podbiec do nich kilkoma szybkimi szusami. Śnieg tłumił jego kroki, zaskoczył ich. Zdarł wełnianą czapkę z głowy mężczyzny, odwrócił się na pięcie i wbiegł do parku. Po kilkunastu metrach obejrzał się za siebie. Para stała nadal w tym samym miejscu, patrzyli za nim. Wiedział, że na pewno za nim nie pobięgną, a jednak zaczął biec, dalej w głąb parku, w stronę zamku.

Uciekając, naciągnął czapkę na głowę, kierując się w dół zbocza, w stronę Norra Slottsgatan, w końcu wyszedł z parku nieco na północ od stawu Svandammen. Próbował złapać oddech, wziął do ręki garść śniegu, wymył nim twarz, naciągnął czapkę na brwi.

Spod restauracji Flustret odjeżdżała taksówka. Zatrzymał ją na środku skrzyżowania, wsiadł na tylne siedzenie. Kierowca spojrzał na niego w lusterku.

– Jadę do Årsta – zakomunikował mu Vincent. Zdziwił się, że jest taki opanowany. – Do centrum Årsta.

W radiu w taksówce coś zatrzeszczało. Kierowca wstukał jakieś dane do pokładowego komputerka i ruszył, po chwili przyspieszył i wkrótce minęli Islandsbron.

Vincent nie odzywał się podczas podróży, za to dużo myślał. Był teraz osobą ściąganą. Z pewną dozą przyjemności planował, jak oszuka swoich prześladowców. Do tej pory

wszystko mu się udawało. Ślad skończy się pod drzwiami szpitalnej izby przyjęć. Mężczyzna, który go tam zawiózł, na pewno zadzwoni na policję, kiedy tylko przeczyta poranną gazetę. Para, którą okradł z czapki, raczej nie. Teraz nie wolno mu popełnić żadnego głupstwa. Musi oczyścić ranę, to było najważniejsze.

Zapłacił, dając hojny napiwek, wysiadł, zaczekał, aż taksówka zniknie, przeszedł przez trasę szybkiego ruchu i skierował się w stronę Salabacker. Teraz wszystko zależało od tego, czy Vivan była w domu.

Vivan była jego byłą szwagierką; blisko piętnaście lat temu rozwiodła się z jego bratem Wolfgangiem. Mieszkała teraz w trzypokojowym mieszkaniu na Johannesbäcksgatan. Miejsca jej nie brakowało, pytanie tylko, czy go wpuści. Nie utrzymywali ze sobą kontaktów, ale czasem wpadali na siebie na mieście. Kilka razy byli razem na kawie, a raz odwiedziła go w Sävja. Wolfgang, jego brat, który już od dobrych dziesięciu lat mieszkał w Tel Awiwie, właściwie się do niego nie odzywał, jedyne wiadomości, jakie o nim miał, pochodziły od Vivan.

Rzucił w okno śnieżką, niezmiernie zadowolony, że udało mu się trafić już za pierwszym razem. Niemal natychmiast zza firanki pokazała się twarz szwagierki, jakby stała i czekała, aż ktoś rzuci śnieżką w jej okno o tej późnej porze.

Sprawiała wrażenie przestraszonej. Widział to w jej twarzy, chociaż mieszkanie było na drugim piętrze. Może pomyślała, że to jej były mąż? Przez pierwszy rok po rozwodzie Wolfgang bez przerwy ją nachodził, wydzwaniał do niej, pukał do drzwi, czekał na nią w bramie, kiedy rano wychodziła do pracy.

Może dlatego uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że to jej szwagier? Twarz zniknęła, po kilku sekundach zapaliło się światło na klatce. Vincent poczuł wdzięczność, co dla niego było dość obcym uczuciem. Nareszcie ktoś, kto gotów jest mi pomóc, pomyślał i podszedł do drzwi.

Vivan otworzyła mu. Nadal się uśmiechała, ale kiedy zobaczyła jego głowę, uśmiech na jej twarzy zamienił się w strach.

– Co się stało?

– Zostałem napadnięty – powiedział Vincent słabym głosem, co przestraszyło ją jeszcze bardziej.

– Napadnięty? – powtórzyła mechanicznie.

Vincent skinął głową i wszedł do klatki.

Mossa stał chwilę przed restauracją. Wyjął papierosa, zapalił go, zaciągnął się, skinął głową kumpłowi, który właśnie wchodził do środka. Lennart pomyślał, że się postarzał. Ciemne włosy nie były już takie ciemne, a on nie wydawał się już równie pewny siebie jak kiedyś. Nadal jednak miał swój styl. Chłodny, uznał Lennart. Nie zimny, tylko chłodny.

Irańczyk był sam. Często bywał sam. Może dlatego udawało mu się przetrwać? Sam rozgrywał swoje karty, niekiedy ponosił straty, ale na ogół wygrywał.

Zaczął iść. Lennart ruszył za nim, ale nie zbliżał się za bardzo. Był przekonany, że Mossa od razu by go wyczuł, jakby miał wmontowany radar. Postanowił chwilę odczekać. Nie chciał zaczepiać go na środku ulicy, nigdy nie wiadomo, kto mógłby ich zobaczyć. Lennartowi było wszystko jedno, ale Mossa bywał drażliwy.

Szedł za nim Syslomagatan. Na chodniku leżało niemal dziesięć centymetrów śniegu, każdy krok przypominał mu o śmierci brata na wysypisku śniegu i utwierdzał w postanowieniu, że morderca Johna musi zostać ukarany.

Mossa miał małe stopy. W ogóle był drobnej budowy. Poruszał się szybko, bez przeszkód, sunął do przodu z lekko pochyloną głową. Lennart widział, jak mija St. Olofsgatan i postanowił zaczepić go w kiepsko oświetlonym, wąskim zaułku nieopodal katedry. Przyspieszył kroku, śnieg tłumiał wszystkie dźwięki.

Nagle Mossa się odwrócił. Lennart był już blisko, może kilka metrów za nim.

– Czego chcesz?

– Serwus, Mossa. Jak leci?

– Czego chcesz? – powtórzył Irańczyk i rzucił na ziemię przed chwilą zapalonego papierosa.

– Potrzebuję pomocy – powiedział Lennart.

Natychmiast pożałował swoich słów. Mossa nie pomagał nikomu, chyba że matce i młodszemu bratu, który był kaleką. Patrzył na Lennarta, zachowując kamienną twarz.

– Twój brat był niezdarny, ot co – odezwał się w końcu Mossa.

Lennart poczuł radość wymieszaną ze strachem. Mossa poznał go i gotów był z nim rozmawiać.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem. Był niezdarny i nieostrożny.

– Wiesz coś?

Mossa zapalił papierosa. Lennart podszedł bliżej. Irańczyk spojrział na niego, włożył rękę do kieszeni palta.

– Nie – rzucił krótko.

– Nic nie słyszałeś?

– Twój brat był w porządku, nie był taki jak wielu innych Szwedów. Przypominał mi kolegę z dzieciństwa, z Shirazu.

Irańczyk zamilkł, zaciągnął się papierosem.

– Wiem tylko, że miał jakieś plany. To miała być duża rzecz. Duża jak dla niego, rozumiesz, prawda?

Mossa zwykle wyrażał się bardzo poprawnie, czasem jednak zdarzało się, że się zapominał. Rozejrzał się i mówił dalej.

– Po raz pierwszy usłyszałem o tym jesienią. Chodziło o jakiś interes. John nagle miał pieniądze. To znaczy trochę pieniędzy, ale więcej niż zwykle. Grał i chciał podwyższyć stawkę, żeby więcej wygrać.

Lennart przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Buty mu przeciekały. Denerwowały go dywagacje Irańczyka.

– I wygrał.

– Ile?

Mossa roześmiał się. Wspominając pokerowe wygrane, często się śmiał.

– Więcej niż kiedykolwiek widziałeś na oczy. Prawie dwieście kawałków.

– Wygrał dwieście tysięcy koron?

Irańczyk pokiwał głową.

– I co powiedział?

– Nic. Zgarnął pieniądze i wyszedł. Było wpół do piątej rano.

– Gdzie to było?

– Sam straciłem wtedy trzydzieści pięć tysięcy – powiedział Mossa.

Lennart poczuł się oszukany. Jego brat go zawiódł. Wygrał fortunę i nawet słowem mu o tym nie wspominał. Mossa jakby czytał w jego myślach.

– Kiedy się rozstawaliśmy, rzucił coś, że teraz będzie mógł urzeczywistnić swoje

marzenie. I że ty też będziesz miał w tym swój udział.

– Ja?

– Tak. Miał chyba tylko jednego brata? Powiedział, że brat też będzie miał w tym swój udział.

– W czym?

– Sądziłem, że wiesz.

Lennart pokręcił głową. Nic z tego nie rozumiał. W czym miał mieć udział? Dlaczego John był taki tajemniczy? O co chodziło? Nic mu nie powiedział. Nawet słowem mu nie wspomniał.

– Mój przyjaciel z Shirazu też umarł przedwcześnie. Spalił się żywcem. Twój brat umarł na śniegu.

– Mówił coś jeszcze?

Mossa przyglądał się Lennartowi. W jego oczach pojawił się przeblysłk sympatii.

– Mam wrażenie, że John cię lubił – powiedział i znów sięgnął po papierosa.

– Kto jeszcze wiedział o tych pieniądzach?

– Pogadaj z jego kumplem. Micke. Tak chyba ma na imię.

– On wiedział?

– Nie mam pojęcia, ale John wspominał o nim kiedyś.

Minęła ich para starszych ludzi. Mossa odsunął się na bok.

– Muszę już iść. – Odwrócił się na pięcie, wyminął parę i zniknął za rogiem, kierując się w stronę mostu Dombbron.

Lennart stał, oszołomiony otrzymanymi informacjami. Co miał o tym wszystkim sądzić? A może Mossa sobie z niego zażartował? Nie, po co miałyby to robić? Lennart miał wrażenie, że Irańczyk spodziewał się jego wizyty, wręcz na niego czekał, jakby chciał opowiedzieć mu o Johnie i jego wygranej.

Co wiedział Micke? Ten szczywany lis! Kiedy z nim rozmawiał, udawał niewiniątko, szlochał, mówił o przyjaźni i ani się nie zająknął, że John zgarnął pulę.

Lennart przytupywał, żeby się ogrzać i strząsnąć śnieg z butów. Postanowił go odwiedzić. Pojedzie do Mickego, postawi go pod ścianą. Nagle uświadomił sobie, że nie spytał, kim byli pozostali gracze. Może to któryś z nich chciał się zemścić za przegraną? Mossa stracił trzydzieści pięć tysięcy, inni musieli stracić znacznie więcej. Kto wygrał, a kto przegrał?

Wiedział, że Mossa nigdy nie zdradzi mu nazwisk graczy. Obowiązywała ich niepisana umowa. Jedni przegrywali, inni wygrywali, nikt nie miał do nikogo pretensji, taka

była zasada. Z drugiej strony porażka sprawiała, że ludzie zaczęli się zastanawiać, wielu pragnęło odwetu, a wówczas kodeks honorowy przestawał obowiązywać.

John nigdy nikomu nie dokuczał, nikogo nie drażnił. Nigdy się nie wywyższał, ale Lennart wiedział, że pieniądze niekiedy zmieniały ludzi. Może to jednak była zemsta?

Micke skończył oglądać niemiecki kryminał w telewizji, kiedy usłyszał, że drzwi wejściowe się otwierają. Zerwał się z kanapy, przez moment miał wrażenie, że to John wrócił. Chwycił go strach. Podświadomie ukucnął, schował się za fotel, kiedy usłyszał, jak drzwi zamknęły się za intruzem.

– Gdzie ty jesteś, do cholery?

Głos Lennarta brzmiał, jakby wypił już kilka głębszych, była w nim niecierpliwość, złość, żal z powodu pewnie nie zawsze prawdziwych krzywd. Micke wstał, jak tylko zobaczył wchodzącego do pokoju Lennarta.

– Dlaczego się chowasz, kurna?

– A ty nie wiesz, że trzeba zadzwonić? Jak tu się dostałeś?

Krzyk zamienił się w złość.

– Nie podskakuj – ostrzegł go Lennart, stając na środku pokoju. – Dlaczego mnie okłamałeś?

– O co ci chodzi?

– O Johna. Podobno wygrał mnóstwo kasy, a ty mi nic nie powiedziałaś.

– Myślałem, że wiesz.

– Mam ci uwierzyć? Ściemniałeś.

Micke poczuł się nagle bardzo zmęczony. Opadł na kanapę, sięgnął po wino, ale kieliszek był pusty.

– Nie siedź tak i nie rób tych swoich dziwnych min! – krzyknął nagle Lennart.

– Co z tobą? Wiedziałem, że wygrał jakąś kasę w pokera, ale to wszystko. Nawet mi nie powiedział, z kim grał.

– Powiedział, ile zgarnął?

Micke pokręcił głową przecząco.

– Wiesz, jaki był John.

– Tylko nie próbuj go oczerniać!

Lennart zrobił kilka kroków w stronę kanapy.

– Uspokój się!

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, dupku jeden!

Lennart chwycił mężczyznę za koszulę i jednym ruchem podniósł go z kanapy. Jest silny, zdążył pomyśleć Micke, zanim Lennart uderzył go w nos. Pokój zawirował, Micke upadł głową na stolik.

Kiedy oprzytomniał, Lennarta już nie było. Zaczął chodzić na czworakach, z nosa leciała mu krew. Sięgnął ręką do twarzy. Ależ kretyn z tego durnia, pomyślał i poczuł falę złości, po pierwsze dlatego, że kapiąca mu z nosa krew zniszczyła dywan, a po drugie, że nawet w swoim mieszkaniu nie mógł czuć się bezpiecznie.

Doniosę na niego, obiecał sobie, ale natychmiast zmienił zdanie. Wiedział, że Lennart nigdy by mu tego nie zapomniał ani nie wybaczył. Nękałby go latami. Pewnie nie napadłby na niego fizycznie, ale na pewno by go dręczył. Micke nie zadawał się z Lennartem, ale sporo o nim wiedział, w końcu był to brat Johna. Teraz pewnie i ten sporadyczny kontakt się urwie. I dobrze. Nie chciał ryzykować kolejnych wizyt Lennarta.

Lepiej się nie wychylać, zagryźć zęby i mieć nadzieje, że ten szaleniec już tu nie wróci, pomyślał. Wstał z podłogi i nieco chwiejnym krokiem ruszył do toalety.

W toalecie na kibelku siedział Lennart i płakał. Miał spuchniętą, czerwoną twarz.

– Już dobrze, zabieraj się do domu – powiedział Micke. – Weź piwko i zapomnij o wszystkim.

– Brakuje mi go – zwierzył się Lennart, pociągając nosem. – Brakuje mi mojego młodszego braciszka.

Micke położył mu rękę na ramieniu.

– Wiem, John był najlepszy z nas.

Ann Lindell ubrała Erika w kombinezon. Dziecko wodziło za nią uważnie oczami. Spojrzała na synka. Jest podobny do mnie czy do ojca? Do nieobecnego inżyniera, z którym spędziła jedną noc i którego potem już nigdy nie widziała. Pewnie nawet nie wie, że został ojcem, a może się domyślił? Nie, bo niby dlaczego? Może widział ją w mieście, w ciąży, i obliczył, że może to on jest ojcem? Mężczyźni nie są tacy bystrzy, pomyślała i uśmiechnęła się. Erik odwzajemnił jej uśmiech.

– Ty jesteś bystry – powiedziała, przeciągając małe paluszki dziecka przez rękaw.

Zamówiła wizytę w przychodni. Od miesiąca Erik cierpiał na powracającą swędzącą wysypkę, chciała, żeby obejrzał go lekarz. Na święta przyjeżdżali jej rodzice, wiedziała, że matka zacznie ją wypytywać. Tak więc również z tego powodu powinna odwiedzić lekarza.

Położyła dziecko do wózka i postanowiła pójść na piechotę. W ciąży przytyła. Urosł jej biust, uda, a jej płaski brzuch był już tylko wspomnieniem. Nie żeby ją to szczególnie martwiło, ale wiedziała, że kobiety w jej wieku łatwo przybierają na wadze, kilogram tu, kilogram tam i ani się obejrzy, a stanie się otyła i coraz trudniej będzie się jej poruszać.

Tycie miało też związek z jej nowym życiem. Mniej się ruszała, jadła częściej i pewnie też nieco więcej. To była jej słabość, lubiła sobie czasem trochę pofolgować. Nigdy nie miała dużego kręgu znajomych, teraz jednak jeszcze rzadziej spotykała się z ludźmi. Wołała siedzieć w domu, oglądać telewizję, jedząc kawałek dobrego sera albo jakiś deser. Zdziwiająco szybko przystosowała się do takiego trybu życia. Oczywiście, brakowało jej pracy, codziennej dawki stresu, rozmów z kolegami i napięcia, które zawsze towarzyszyło kontaktom z ludźmi. Na początku urlopu macierzyńskiego poczuła dużą ulgę, ale ostatnio coraz częściej bywała niespokojna.

Nie prowadziła żadnych dochodzeń, nie uczestniczyła w porannych odprawach, w nocy nie budziły jej telefony z informacjami o nowych aktach przemocy. Zdawała się wolna od wszelkiej odpowiedzialności. Erik był wyjątkowo łatwym dzieckiem. Był zadowolony i szczęśliwy, jeśli tylko dostawał jedzenie na czas i mógł się wyspać. Nawet zwykła kolka była



mu obca. Pierwszym poważniejszym problemem była właśnie wysypka.

Po dwudziestu minutach byli w centrum. Miała na sobie palto i czuła, że się spociła. Wcześniej nigdy nie chodziła w palcie, zwykle wystarczała jej krótka kurtka albo sweter.

– Stałaś się prawdziwą damą – powiedział Ottosson, kiedy ostatnio odwiedziła komisariat.

– Chciał powiedzieć babą – uściślił Sammy Nilsson.

Patrzyli na nią inaczej niż zwykle. Przynajmniej miała takie wrażenie. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić. Była dumna z tego, że jest matką. I to matką syna, którym ona, i tylko ona, się zajmowała. Pewnie nie było to jakimś szczególnym wyczynem, miliardy kobiet tego doświadczały. Tyle że w tym przypadku chodziło o nią, o Ann Lindell. To ona była matką. Była z tego dumna i tego uczucia nikt na świecie, żadna kobieta ani żaden mężczyzna, nie był w stanie jej odebrać. Miała świadomość, że takie myślenie jest zarazem i śmieszne, i szalenie nienowoczesne, lecz nie przejmowała się tym. Miała poczucie wspólnoty ze wszystkimi innymi matkami, tymi już zmarłymi i tymi żyjącymi. Było to wyjątkowe grono, z którego z definicji wykluczona była połowa ludzkości, no i kobiety, które nie mogły albo nie chciały rodzić dzieci.

Czy mężczyźni żywili podobne odczucia? – zastanawiała się czasem. Jej wiedza o mężczyznach była zbyt mała, żeby mogła cokolwiek stwierdzić stanowczo. Oczywiście widywała ojców pchających wózki z tym niemal śmiesznym, błogim spojrzeniem w oczach, ale czy ich uczucia były podobne do tego, co ona sama czuła? Nie miała kogo spytać. Wiedziała, że Edvard, mężczyzna, którego w końcu znała najlepiej, cierpiał z powodu kiepskich kontaktów z dwójką swoich synów. Ale czy kobieta byłaby w stanie uciec tak, jak on to zrobił? Była już trochę zmęczona swoim domorosłym filozofowaniem, ale jednak ciągle do tego wracała. Pewnie po to, by mogła przepracować własną frustrację i samotność. Bo niewątpliwie czuła się samotna mimo macierzyństwa.

Urodzenie dziecka, a potem obserwowanie, jak dorasta i się rozwija, było na pewno niesamowitym doświadczeniem, ale niekiedy bywało też po prostu mało ciekawe. Tak właśnie to określała. Mało ciekawe. Nikomu o tym nie mówiła, ale brakowało jej napięcia związanego z pracą śledczego. Zaczynała rozumieć, dlaczego wybrała zawód policjanta. Nie dlatego, że była filantropką, tylko właśnie z powodu napięcia, czekania na to, co niespodziewane, niezwykle, poczucia, że człowiek znajduje się w samym środku wirującego koła, gdzie kwestie dotyczące życia i śmierci ciągle na nowo powracają.

Tuż po pierwszej dotarła do przychodni dla dzieci. Przyjęła ją jedna z lekarek, Katrin, którą znała z wcześniejszych wizyt. Katrin była drobną kobietą w złotych sandałkach; Ann ją

lubiła. Opowiadała jej o problemach z pokarmem, o poczuciu pustki, o mieszanych uczuciach związanych z zatrzymaniem okresu, uldze, ale i pewnej tęsknoty. Dobrze się rozumiały.

Ann nadal karmiła piersią, lecz zastanawiała się, czy nie powinna już przestać. Malec nie chciał ssać lewej piersi, która w związku z tym wróciła do normalnych rozmiarów, podczas gdy prawa była wielka jak balon. Ann czuła się niekiedy jak krowa. Chciała zachować poczucie bliskości, które dawało jej karmienie piersią, ale chciała też odzyskać swoje piersi. Poza tym ostatnio Erik zaczął ją gryźć.

Rozebrała synka, pokazała lekarce wysypkę na klatce piersiowej i plecach dziecka. Katrin przyglądała się jej uważnie i stwierdziła, że pewnie jest związana z dietą Ann.

– Zastanów się, co jesz. Erik reaguje na coś w twojej diecie. Gdyby było lato, podejrzewałabym, że chodzi o truskawki.

– Lubię hinduską kuchnię – powiedziała Ann. – Kminek, imbir, może to dlatego?

– Ostre przyprawy? Raczej nie, wtedy bolałby go brzusek.

– Może to jakiś wirus?

Ann czuła się bezradna. Podobno przyczyną wielu dolegliwości były właśnie wirusy, tak twierdziła pewna kobieta w klubie dla matek z dziećmi, do którego czasem zaglądała. Nie dlatego, że lubiła tam chodzić, traktowała to raczej jako obowiązek młodej matki.

– Nie przypuszczam, w każdym razie nie, dopóki karmisz go piersią.

Uzgodniły, że Ann będzie zwracała większą uwagę na to, co je, i notowała reakcję dziecka na różne pokarmy.

Rozmawiały pół godziny. Katrin była osobą, do której Ann miała zaufanie. Nie uciekała przed trudnymi, często też drażliwymi pytaniami. Wiedziała, że Ann niekiedy czuje się bezradna w roli matki. Nie ona jedna, na pewno. Wypytywała ją o różne rzeczy, ale robiła to tak taktownie, że Ann nigdy się nie denerwowała. Doceniała jej profesjonalizm. Kiedy Katrin jej coś radziła, robiła to w taki sposób, że Ann nie czuła się krytykowana, bo czegoś nie zrobiła, a powinna.

Rozstały się w korytarzu. Ann odwróciła się, pomachała jej, wzięła rączkę Erika i też nią pomachała. Katrin nagle jakby się zawstydzila, podniosła niepewnie rękę w geście pożegnania.

Ann wyszła na grudniowe słońce, które zaczęło już pospiesznie zachodzić za horyzontem. Ruszyła przed siebie, postanowiła zajrzeć jeszcze na komisariat. Spojrzała na zegarek. Dochodziła druga. Ottosson na pewno był u siebie. Może chętnie wypije z nią filiżankę herbaty i chwilę porozmawia.

Drzwi były otwarte, Lindell zajrzała do środka. Ottosson siedział przy biurku. Wpatrywał się w leżące przed nim papiery. Słyszała, jak coś sobie nucił. Przewrócił kartkę, westchnął.

– Przeszkadzam?

Mężczyzna wzdrygnął się, uniósł głowę, zmieszanie zastąpił uśmiech.

– Przestraszyłam cię?

– Nie ty, tylko to, co właśnie przeczytałem.

Nic więcej nie powiedział, siedział i obserwował ją.

– Wyglądasz świeżo – stwierdził po chwili.

Lindell roześmiała się. Zawsze tak mówił, kiedy czuła się nieszczęśliwa.

– Nad czym pracujecie?

Ottosson nie zareagował, zaczął wypytywać o Erika.

– Zostawiłam go na dole w wózku. Śpi.

Szef wstał z krzesła, Lindell zauważyła, że najwyraźniej jego ból pleców znów powrócił.

– Narzekanie nic nie da – powiedział, kiedy poczuł na sobie jej wzrok.

Wyszli razem z pokoju, Ottosson zatrzymał się obok wózka, przyglądał się chłopcu. Minął ich jeden z kolegów, też się zatrzymał, spojrzał na dziecko w wózku. Ottosson znów zaczął coś nucić, ale nic nie mówił.

– Niedługo będzie rok – westchnęła Lindell. – To znaczy niedługo jak niedługo.

Ottosson pokiwał głową.

– Żona prosiła, żebym cię pozdrowił. Wspominaliśmy cię niedawno.

Lindell wstawiła wózek do pokoju, Ottosson zamknął za nimi drzwi.

– Niedługo święta – stwierdził. – A my mamy nierozwiązaną sprawę morderstwa w Libro, no i jeszcze tego szaleńca, który wdarł się do mieszkania kobiety w Sävja. Obie sprawy są ze sobą powiązane. Mały John, zaatakowana kobieta i ten szaleniec, Vincent Hahn, chodzili razem do szkoły. Właśnie przeglądałem papiery, które znaleźliśmy w mieszkaniu Hahna. To chyba niezły czubek. Wszystkich skarży. Znalazłem pięć grubych segregatorów z kopiami listów, które przez lata systematycznie wysyłał do różnych urzędów i instytucji, i kopiami odpowiedzi.

– Mamy coś na niego?

– Nic. Ani jednej skargi.

– Jakie jest jego powiązanie z Małym Johnem?

– Chodzili do tej samej szkoły. Może to przypadek, ale niewykluczone, że zabójstwo Johna to początek jakiejś prywatnej akcji odwetowej. Sprawdzamy wszystko. Wdowa po

Johnie nigdy nie słyszała o Hahnie.

– A brat Johna?

– Nie udało nam się dzisiaj z nim skontaktować.

Lindell wyczuwała napięcie. Wystarczyło kilka minut, a wszystko wróciło.

– Pamiętam, że Lennart Jonsson był dość niesympatycznym typem. Krzykliwy, nerwowy.

– Na pewno ma swoje wady, ale bardzo przeżywa śmierć brata. Od dnia morderstwa nie pije. I chyba prowadzi jakieś własne dochodzenie. Zadzwoił Nilsson, to znaczy Johan Sebastian, z którym Sammy zwykle się kontaktuje, i wszystko nam opowiedział.

Lindell nigdy nie lubiła donosicieli, ale „Bach”, jak go nazywali, bywał bardzo pożyteczny, może więc niekiedy należało spojrzeć przez palce na pewne wątpliwe cechy jego charakteru.

Nagle coś uderzyło o okno, Ottosson i Lindell wzdrygnęli się. Na szybie pozostało trochę ptasiego puchu.

– Biedak – powiedział Ottosson.

Wstał i podszedł do okna, spojrział w dół, wypatrując ptaka.

– Na pewno nic mu się nie stało – pocieszała go Lindell.

– To już trzeci raz w ciągu kilku ostatnich tygodni – wyjaśnił Ottosson zmartwiony. – Nie mam pojęcia, dlaczego celują właśnie w moje okno.

– Jesteś tu szefem.

– Jakby szukały śmierci.

– Może szkło w twoim oknie wytwarza jakieś optyczne złudzenie, miraż.

– Czasem myślę, że może to jakiś znak – zastanawiał się głośno mężczyzna.

Znów odwrócił się do okna. Stał na środku pokoju. Broda mu posiwiiała. Ból pleców sprawiał, że coraz bardziej się garbił. Lindell poczuła, jak wzbiera w niej czułość. Był najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek miała, ale niekiedy nie dawał już rady. Jakby miał już dosyć otaczającego go zła. Do jego wywodów wdarł się ostatnio filozoficzny ton, jakby zamiast skupiać się na zbrodniach, które mieli rozwiązać, szukał odpowiedzi na bardziej ogólne pytania. To oczywiście też było potrzebne i z pewnością wszyscy policjanci przez to przechodzili, ale filozoficzne dywagacje nie mogły przysłonić konkretnych, codziennych zadań.

Na porannych odprawach Ottosson niekiedy gubił się w swoich myślach. Lindell i pozostali pracownicy zaczynali się wtedy niecierpliwić, ale nikt nie miał serca krytykować szefa.

– Jak sądzisz, co Lennart mógł wymyślić? – spytała, próbując przywołać go do rzeczywistości. Ottosson odwrócił się.

– Wymyślić? Pewnie chodzi i rozpytuje kumpli. Bracia byli sobie bardzo bliscy, byli ze sobą związani, więc nie dziwię się, że rozpoczął polowanie na człowieka, z którego ręki zginął jego brat.

Z którego ręki zginął jego brat. Jakby unikał słowa „morderca”, pomyślała Lindell.

– Opowiedz mi o Małym Johnie – poprosiła.

Ottosson okrążył biurko i usiadł.

– Napijesz się herbaty?

Lindell pokręciła głową.

– Nie był szczególnie sprytny – zaczął szef. – Na pewno był człowiekiem myślącym, ale jednak o dość ograniczonych horyzontach. Kiedy coś przychodziło mu do głowy, uczepiał się tego, jakby nie starczało mu wyobraźni, że jednak może być inaczej, jakby się bał nowych pomysłów.

– Był uparty?

– Tak, obstawał przy swoim, co nawet mi się podobało. No i znał się na rybach, to chyba stało się jego ratunkiem.

– Albo powodem jego śmierci – wtrąciła Lindell. Kiedy zobaczyła minę Ottossona, natychmiast tego pożałowała.

– Czuł, że jest w czymś dobry. Mam wrażenie, że bardzo tego potrzebował. Całe życie borykał się z brakiem pewności siebie. Berglund twierdzi, że to ma coś wspólnego ze środowiskiem, w którym dorastał. Nie należało się wychylać.

– Co masz na myśli?

Ottosson wstał, podszedł do okna, spuścił żaluzję, ustawił ją tak, żeby przepuszczała światło, ale w pokoju zrobiło się jednak ciemniej.

Jak to w grudniu, pomyślała Lindell.

Ottosson jakby czytał w jej myślach, bo zanim z powrotem usiadł do biurka, zapalił trzy świece w stojącym na parapecie adwentowym stroiku.

– Ładnie – pochwaliła go.

Ottosson uśmiechnął się, zadowolony, ale i trochę zażenowany.

– Co mam na myśli? – wrócił do jej pytania. – Może Johnowi nagle zaczęło być za ciasno? Miał swoje pragnienia.

– Na mnie zrobił wrażenie niespokojnego ducha. Chociaż przez kilka lat pracował w jakimś warsztacie jako spawacz.

– To prawda, ale jestem przekonany, że marzył o nieco innym życiu – powiedział Ottosson i zamilkł.

Lindell miała wrażenie, że szef po raz pierwszy rozmawia tak otwarcie o Małym Johnie.

– Co mówi jego żona? – spytała.

– Właściwie nic. Nadal porusza się trochę jak we mgle. Chłopiec wydaje się bardziej podejrzliwy.

W jakim znaczeniu, tego już nie wytłumaczył. Po chwili ciągnął dalej swoją opowieść. Berglund najwyraźniej dostał zadanie dowiedzieć się jak najwięcej o obu braciach. Nadawał się do tego. Pochodził z Uppsali, był nieco starszy, budził zaufanie. Idealny człowiek do tego zadania. Sammy by sobie z tym nie poradził, Beatrice też nie. Haver – być może.

A ona potrafiłaby chodzić i wypytywać mieszkańców robotniczych dzielnic miasta o braci Jonsson? Raczej wątpliwe.

Rozległo się pukanie do drzwi, Sammy zajrzał do środka.

– Cześć, Ann. Chyba coś mamy – zakomunikował podniecony, zwracając się do Ottossona. – Narzędzie zbrodni.

– Którym zabito Małego Johna?

– *Yes!*

Uniósł rękę i pokazał plastikową torebkę z dużym nożem w środku.

– Patrol zatrzymał młodego chłopaka. Miał go przy sobie, za paskiem od spodni.

– Spory – stwierdziła Lindell.

– Dwadzieścia jeden centymetrów – powiedział Sammy i uśmiechnął się. – Francuskiej produkcji.

– Dlaczego zatrzymali chłopaka?

– Jakaś awantura na mieście, groził kumplowi tym nożem.

– On jest mordercą?

– Widywałem go już wcześniej i jakoś trudno mi w to uwierzyć. Ma piętnaście lat, niezły rozrabiaka, ale nie jest mordercą.

– Zabójcą?

Sammy pokręcił głową.

– Imigrant?

– Nie, stu procentowy Szwed. Mattias Andersson. Mieszka z matką w Svartbäcken.

– Dlaczego sądzisz, że to narzędzie zbrodni?

– Na ostrzu i na uchwycie jest krew Johna. Bohlin od razu zauważył plamy i

natychmiast zlecił analizę. Wszystko się zgadza.

– Bohlin z zespołu do spraw młodzieży?

– Tak.

– Dobra robota. A co mówi sam Mattias Andersson? – spytał Ottosson.

– Posłaliśmy po niego.

Sammy spojrzał na Lindell. Ann miała wrażenie, że widzi triumf w jego spojrzeniu, ale pomyślała, że pewnie się myli. W tym momencie zapiszczała komórka Sammy'ego. Odebrał, słuchał chwilę uważnie, zakończył rozmowę krótkim „OK”.

– Już tu z nim jadą – oznajmił.

Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się, odwrócił i ponownie spojrzał na Lindell.

– Chcesz być przy tym?

– Przy czym?

– Przy przesłuchaniu Mattiasa.

– Przyszłam tu z dzieckiem – powiedziała. Sammy podążył za jej spojrzeniem, zobaczył wózek.

– Zostaw go tutaj – zaproponował Ottosson.

Vincent obudził się o wpół do piątej. Vivan posłała mu w pokoju, gdzie stała maszyna do szycia. Otworzył oczy i przyglądał się szpulkom nici w różnych kolorach, ustawionych w rzędzie na półce przysuniętej do ściany. Na stoliku leżał kawałek udrapowanego czarnego materiału.

Ból głowy, który przez całą noc przychodził i odchodził, zleżał, Vincent nadal jednak czuł się ociężały. Szwagierka oczyściła mu ranę na czole.

– Tylko ty jedna mnie nie odtrąciłaś – powiedział.

Jego słowa i okropny stan, w jakim się znajdował, sprawiły, że kobieta zmiękła.

Wyszedł do korytarza. W szparze na listy tkwiła gazeta, wyciągnął ją ostrożnie. Na trzeciej stronie znalazł to, czego szukał. Vincent Hahn został określony jako „nieobliczalny” i „psychicznie zaburzony”. Czterdziestodwuletnia kobieta z Sävja nie odniosła fizycznych obrażeń, ale była w szoku. Policja apelowała do wszystkich, którzy coś widzieli.

Wrzucił gazetę na dno pojemnika na śmieci. Sypialnia szwagierki sąsiadowała z kuchnią, więc poruszał się z największą ostrożnością. Pamiętał, że rano często bywała rozdrażniona. To pewnie się nie zmieniło, pomyślał. Chociaż nie mieszkali pod wspólnym dachem już od przeszło dwudziestu lat.

Nastawił wodę na herbatę, próbował uporządkować myśli. Policja na pewno obserwowała jego mieszkanie. U Vivan mógł zostać jedną, góra dwie noce. Potem na pewno zacznie zrzędzić. Musi mieć jakiś plan. Być może Brent, z którym czasem rozmawiał, kiedy grali w bingo, będzie mógł mu pomóc. Przede wszystkim jednak musi załatwić jakieś pieniądze.

Jeśli Gunilla Karlsson myślała, że się wywinie, to się myliła. Vincenta Hahna można było oszukać raz, ale nie dwa. Odplaci jej pięknym za nadobne, wiedźmie cholernej. Zemści się. Ukarze ją po dziesięciokroć.

O wpół do siódmej do kuchni weszła Vivan. Wyglądała, jakby zapomniała o obecności szwagra, przez moment przyglądała mu się zdziwiona. Vincent patrzył na nią w milczeniu.



– Jak się czujesz? – spytała w końcu.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła do łazienki. Vincent słyszał, jak oddaje mocz, a potem bierze prysznic.

– Jak długo zostaniesz? – spytała, kiedy wyszła owinięta w ręcznik kąpielowy.

Vincent nadal siedział przy stole w kuchni. Ból głowy powrócił. Pomyślał, że – zadając mu pytanie – szwagierka ułatwiła mu sytuację.

– Noc, może dwie – odpowiedział. – Boję się zostać sam. Ale oczywiście, jeśli nie będzie ci to przeszkadzać.

Kobieta była zdziwiona jego łagodnym tonem. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby tak mówił.

– Możesz zostać – stwierdziła krótko.

Wyszła z kuchni, a Vincent po raz pierwszy od wczoraj poczuł ulgę. Słyszał, jak szwagierka wyciąga szuflady, otwiera drzwi szafy. Dlaczego nie wyszła ponownie za męża, zaczął się zastanawiać.

– Brałeś gazetę?

– Nie, nie wiedziałem, że masz prenumeratę.

– Mają okropny bałagan – odezwała się zaskakująco ostro.

– Chyba pójdę się położyć – powiedział. – Wcześniej się obudziłem, no i ciągle boli mnie głowa.

Vincent Hahn niemal się uspokoił. Słuchając ich rozmowy, można było odnieść wrażenie, że on i jego szwagierka są parą albo dobrymi znajomymi.

– Mogę za siebie zapłacić – zaproponował.

– Nie jesteś mi nic winien – zapewniła go Vivan. – Idź się położyć, a ja zjem śniadanie.

Vincent wycofał się do sypialni. Vivan wyjęła jogurt i płatki. Z braku porannej gazety sięgnęła do koszyka po jakieś stare pismo, włączając jednocześnie stojące na parapecie radio.

Rano zintensyfikowano zbieranie informacji na temat Vincenta Hahna. W nocy ustalono, że wynajmuje mieszkanie na Bergslagsresan. Fredriksson wszedł do niego razem z czwórką funkcjonariuszy z wydziału porządkowego. Tak jak się spodziewano, nikogo tam nie zastali.

Dwupokojowe mieszkanie sprawiało wrażenie opustoszałego. Żadnych firanek, niewiele mebli i prawie żadnych rzeczy osobistych. Telefon był wyłączony. Nie było też komputera.

– Najdziwniejszą rzeczą – referował Fredriksson na porannej odprawie – był manekin. Leżał na łóżku Hahna ubrany jedynie w czarne majtki.

Fredriksson zaczerwienił się, opowiadając o nieco wyblakłej pani.

– Żadnego notesu z telefonami, listów, niczego? – dopytywała się Beatrice, mając nadzieję, że może koledzy sobie coś przypomną.

Fredriksson zaczął się szczypać w nos.

– Znaleźliśmy trzy segregatory pism, które Hahn wysyłał przez ostatnie kilka lat. Do władz wojewódzkich, do urzędu gminy, do przedsiębiorstwa autobusowego, do Szwedzkiego Radia i jeszcze Bóg wie do kogo. Narzekał na wszystko, na co się dało. Zbierał też odpowiedzi. O ile zdążyłem się zorientować, były to w większości odmowy, krótkie i zwięzłe.

– Muszą go dobrze znać – uznał Ottosson.

– Pytanie tylko, gdzie teraz jest? – wszedł mu w słowo Sammy.

– Wiemy, że na przejeździe kolejowym w Bergsbrunna zabrał go pewien mężczyzna prywatnym samochodem. Facet, technik, pracujący dla Vattenfall, odezwał się rano, kiedy tylko przeczytał gazetę. Powiedział, że zawiózł go na izbę przyjęć Szpitala Akademickiego.

– Kiedy to było?

– Jakieś pół godziny po napadzie w Sävja. Sprawdziliśmy w izbie przyjęć, nie mieli pacjenta o takim imieniu i nazwisku. Dadzą nam znać, gdyby się u nich pojawił.

– Jakich doznał obrażeń?

– Silnie krwawił, ale trudno powiedzieć, czy rana jest poważna. Facet z Vattenfall

mówił, że miał zakrwawioną twarz, ale był przytomny. Poruszał się samodzielnie.

– To Niemiec? – spytał Ottosson.

– Nie, jest szwedzkim obywatelem. Rodzice zmarli wiele lat temu. Ma brata, Wolfganga, który piętnaście lat temu wyemigrował do Izraela.

– Jest Żydem? – spytał Lundin.

– W połowie. Matka jest Żydówką, przyjechała tu po wojnie. Tak wynika z rejestru ludności.

Fredriksson zamilkł, spojrzął w leżące przed nim papiery.

– W porządku, dobra robota – przerwał milczenie Ottosson. – Nadal będziemy obserwować jego mieszkanie i mieszkanie Gunilli Karlsson. Fredriksson spróbuje się dowiedzieć czegoś o jego rodzinie i znajomych. Gdzieś przecież musi być. Nie sądzę, żeby wyjechał z miasta, na pewno nie korzystał z komunikacji miejskiej. Jego obrażenia zwróciłyby uwagę pasażerów.

– Ma samochód? – spytał Sammy.

– Nie ma nawet prawa jazdy – odpowiedział Fredriksson.

– W porządku – powtórzył Ottosson. – Co wiemy o znalezionym nożu i tym nieszczęsnym chłopaku? Sammy!

– Mattias Andersson został zatrzymany przy okazji awantury na mieście. Miał przy sobie nóż. Bohlin z zespołu do spraw młodzieży słyszał o morderstwie Małego Johna, więc kiedy zobaczył nóż, zaczął mu się dokładniej przyglądać. Były na nim plamy, które okazały się plamami krwi Małego Johna.

– A niech to – westchnęła Beatrice. – Ile chłopak ma lat?

– Piętnaście.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Berglund w towarzystwie prokuratora. Obaj pospiesznie usiedli, zebranie mogło się więc toczyć dalej.

– Chłopak twierdzi, że zwinął nóż z samochodu na parkingu Szpitala Akademickiego. Sprawdziliśmy, nie mamy zgłoszenia o żadnym włamaniu do samochodu. To oczywiście nie musi nic znaczyć, bo Mattias twierdzi, że to była furgonetka i podobno miała otwarty bagażnik. Chłopak sprawdził wszystkie drzwi, zobaczył, że bagażnik nie jest zamknięty, otworzył, a tam w wiadrze leżał nóż.

– Wierzysz mu?

– Być może – powiedział Sammy. – Jest przestraszony, naprawdę przestraszony. Jego matka też. Bez przerwy płacze.

– Rozmawiałaś z agencją ochrony?

– Tak – potwierdził Sammy. – Nie mają odnotowanych żadnych incydentów z tamtego dnia, nikt nie zgłaszał żadnej kradzieży czy zniszczenia mienia, co w zasadzie jest tam na porządku dziennym. Wczoraj wieczorem pojechaliśmy tam z chłopakiem, żeby pokazał nam miejsce, gdzie stała furgonetka. Strażnik miał wrażenie, że go poznaje, natomiast nie potrafił przypomnieć sobie furgonetki. Fakt, że rozpoznał chłopaka, nie powinien nikogo dziwić, bo wygląda na to, że szczeniak odwiedza szpitalny parking dość regularnie.

– Furgonetka – powtórzył Ottosson zamyślony. – Kolor? Model?

– Czerwony, być może z białym pasem. Może toyota, ale to nie jest pewne.

– Jeśli mamy uwierzyć w jego opowieść, dobrze byłoby pokazać chłopakowi różne modele samochodów – zaproponowała Beatrice.

– Ma alibi na wieczór, kiedy Mały John został zamordowany? – spytał szef dochodzeniówki wyjątkowo ostro, zdziwiony, że dotąd nikt nie zadał tego pytania.

– Wątpliwe – odpowiedział Sammy. – Twierdzi, że był na mieście z kumplami. Próbowaliśmy się dowiedzieć, gdzie był i kiedy, ale kumple nie bardzo chcą gadać. „To było wieki temu”, powiedział jeden z nich. Niektórzy uważają, że to git, że Mattias został złapany z narzędziem zbrodni przy sobie.

– Na koniec chcę jeszcze tylko powiedzieć, że wczoraj odwiedziła nas Ann. Była obecna podczas przesłuchania Mattiasa, a potem zajęła się jego rozpaczającą matką. Mam wrażenie, że chyba nawet zabrała ją na kawę.

– Jak ona się czuje? – zainteresowała się Betrice.

– Nudzi się – odpowiedział Sammy. – Zastanawia się, czy nie sprzedać małego.

– Przestań!

– Żółte strony bywają w takich sytuacjach pomocne – roześmiał się Sammy.

Pół godziny później „poranne nabożeństwo” się skończyło. Ola Haver wydawał się wyjątkowo przygnębiony. Rozmowa o Ann Lindell sprawiła, że nagle zatęsknił do domu, do Rebecki. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie zrobić sobie godziny wolnego. Dawniej mu się to zdarzało. Kiedy Rebecka miała wolny dzień. Ale to było, zanim urodziły się dzieci.

Uśmiechnął się na samo wspomnienie, otworzył drzwi do pokoju. W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzał na niego, zczekał, aż sygnał wybrzmi, i podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, mówi Westrup. Przeszkadzam? – spytał kolega i ciągnął dalej: – Zajmujcie się sprawą morderstwa Małego Johna, prawda? Jesienią otrzymaliśmy informacje o

nielegalnych partiach pokera, w tym kontekście pojawiło się też nazwisko Małego Johna.

– O cholera!

Haver natychmiast zapomniał, że jeszcze przed chwilą czuł się znużony.

– Mamy na oku pewnego Irańczyka. Mówią na niego Mossa. To gracz, pewnie też trochę diluje, nie wiem. Podobno grywa na bardzo wysokie stawki.

– Skąd to wiecie?

– Jeden z facetów się wygadał. Åström zatrzymał go za szwindle z lipnymi fakturami. Miał kupę forsy, z której nie bardzo potrafił się wytłumaczyć. Przy okazji wyszło, że gra w pokera. Pewnie trochę wyolbrzymiał pewne rzeczy, bo chciał, żebyśmy dali mu spokój, ale wymienił parę nazwisk.

– Mały John wygrał czy przegrał?

– Wygrał. I to sporo. Podobno kilkaset tysięcy.

– Zwijamy go. Jak facet się nazywa?

Haver przyglądał się nazwisku zapisanemu w notesie. Nic mu nie mówiło. Ove Reinhold Ljusnemark, trzydzieści cztery lata, z wykształcenia mechanik samolotowy. Pracował na lotnisku Arlanda, został wyrzucony za kradzieże.

Adres wskazywał, że wynajmuje mieszkanie gdzieś w Tunabackar. Haver poczuł instynktownie, że nie lubi Ovego Reinholda. Może dlatego, że okazał się kapusiem, który dla ratowania własnej skóry nie zawahał się spalić kumpli. Westrup, który pochodził ze Skanii i dołączył do nich dopiero rok temu, obiecał przyprowadzić Ljusnemarka.

Kiedy czerwony na twarzy mężczyzna godzinę później trafił do gabinetu Havera, ten przyglądał mu się bez słowa. Gestem dłoni pokazał mu, że ma usiąść, po czym skinął głową Westrupowi. Funkcjonariusz ruszył do drzwi, zatrzymał się na chwilę. Uśmiechnął się. Miał w sobie coś sympatycznego. Był potężnie zbudowany, chodził lekko się kołysząc, i miał charakterystyczny uśmiech. Często niejednoznaczny, ale zawsze przyjazny.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Jego gość uśmiechał się niepewnie. Haver udawał, że czegoś szuka, wyjął grubą teczkę, która zawierała dokumenty całkiem innej sprawy, zaczął przerzucać papiery, morze raportów i protokołów z przesłuchań, uniósł głowę i spojrzał na kapusia.

– Sporo tego – powiedział i zamknął teczkę. – Więc jak będzie? Wybierasz współpracę czy konfrontację?

Ove Reinhold Ljusnemark poprawił się w krześle. Uśmiech zniknął już całkowicie z

jego ust, zastąpił go grymas. Odchrząknął. Haver nie był pewien, czy mężczyzna rozumie słowo konfrontacja.

– Znałeś Małego Johna, prawda? Niektórzy twierdzą, że masz coś wspólnego z jego morderstwem.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Jak to, kurna, kto tak twierdzi?

Haver położył dłoń na teczce z dokumentami.

– Będziesz mówił, czy...

– To kłamstwo, do cholery! Kilka razy graliśmy razem i to wszystko.

– Opowiedz coś więcej.

Ljusnemark spojrzał na niego, jakby właśnie zasiedli do partii pokera.

– Graliśmy w karty. Właściwie go nie znałem. Było nas kilku kumpli, spotykaliśmy się od czasu do czasu. Nie były to jakieś wielkie pieniądze, ale czasem zebrało się nieco więcej.

– Jesteś rencistą?

Ljusnemark skinął głową.

– Czterdzieści sześć lat i całkowicie niezdolny do pracy – powiedział Haver.

– Mam reumatyzm.

– Ale grać w pokera całymi nocami możesz. Jakie to były sumy?

– Ostatnio? Zwykle zaczynaliśmy bardzo ostrożnie. Nisko.

– Kto grał?

– Różnie. Ludzie przychodzili, potem odchodzili, trochę to trwało. Kiedy jest miło, czas szybko płynie. Jedliśmy pizzę.

Mężczyzna zamilkł, znów próbował się uśmiechnąć.

– Nie odbiegaj od tematu.

– To było już jakiś czas temu. Nie pamiętam dokładnie.

– Posłuchaj – przerwał mu Haver ostro. – Mamy informacje, które pozwalają nam sądzić, że masz jakiś związek z bronią, której prawdopodobnie użyto do zamordowania Małego Johna.

– Co?!

– Kto grał? I o jakie pieniądze graliście?

– Broń? Jaka broń? W życiu nie miałem żadnej broni. Haver milczał.

– Nie wierzę, przesadzasz – stwierdził Ljusnemark.

W tym momencie Haver najchętniej posłałby go za kratki o chlebie i wodzie na dwadzieścia lat. Ponownie otworzył teczkę z dokumentami.

– No więc byłem ja i Mały John – powiedział szybko Ljusnemark i zaczął opowiadać, dokładnie, zwięźle, z nazwiskami. Haver uznał, że niektóre brzmia znajomo.

– Przegrałeś, tak?

– Pięć, góra sześć kafli. Naprawdę. Musiałem się wycofać, Jerry zajął moje miejsce.

– Jerry Martin?

Ljusnemark skinął głową. Zaczął kręcić się na krześle. Haver przyglądał mu się chwilę.

– Możesz już iść – powiedział.

Osiem nazwisk. Haver czuł, że gdzieś wśród tego wszystkiego znajduje się rozwiązanie zagadki śmierci Małego Johna. Pieniądze i namiętności. Ludzie zwykle ginęli z powodu pieniędzy lub zawiedzionej miłości.

Haver odchylił się na krześle. Istniały społeczeństwa, którymi nie rządziłyby pieniądze? Słyszał kiedyś o pewnym plemieniu w Afryce, którego członkowie nie znali przemocy, nie kradli, nikt tam nie mierzył upływu czasu. Zateęsknił za takim miejscem, ale pewnie to plemię już dawno nie istnieje, pomyślał. Zostało wytępione albo przepędzone i trafiło gdzieś do slumsów, gdzie ludzie umierali z głodu albo na AIDS.

Osiem osób. Haver wziął listę nazwisk i poszedł do Ottossona.

Vincent Hahn wzdrygnął się i obudził. Spojrzał na zegarek. Nieco po dziewiątej. Spał zaledwie kilka minut, ale wiedział, że coś mu się śniło. Gdzieś z głębi mieszkania doszedł go głos mężczyzny. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co to było. Wiadomości w radiu.

Znalazł Vivan w kuchni, przy telefonie. Spojrzała na niego przestraszona i domyślił się, że już wie.

– Odlóż słuchawkę – rozkazał i zrobił krok w jej stronę.

– Jesteś taki sam jak Wolfgang, kłamiesz, bijesz.

– Zamknij się. I nie mieszaj go do tego.

– Dlaczego?

Odebrał jej słuchawkę. Nie protestowała. Zauważył, że się spociła. W radiu leciał walc, Evert Taube śpiewał o orle bieliku. Vincent stanął obok Vivan. Bandaż na jego czole był poplamiony krwią.

– Była dziwką – powiedział cicho.

– Znałeś ją?

Pociągnął za kabel, wyrwał go.

– Chodziliśmy razem do szkoły. Już wtedy była zepsuta.

– To było tak dawno temu. Nie potrafisz jej wybaczyć?

Vivan wiedziała, że Vincent nie czuł się w szkole dobrze, dzieci mu dokuczały, a on czuł się wykluczony. Wolfgang powiedział kiedyś, że jego brat był idealną ofiarą.

– Wszystko pamiętam – powiedział tak cicho, że z trudem wylapywała słowa.

Wziął do ręki kabel.

– Nic nikomu nie powiem.

– Do kogo chciałaś zadzwonić?

– Do Nettan. Rozwodzi się i prosiła, żebym poszła z nią do adwokata.

– Do jakiej znów Nettan?! – wrzasnął.

Jego wybuch był tak niespodziewany, że cofnęła się; gdyby nie chwycił ją za ramiona,



byłaby straciła równowagę.

– Do jakiej, kurna, Nettan?!

– To moja koleżanka – wyszeptała. – Boli.

– Niech to szlag! Za dużo tego gadania, tych wszystkich bzdur.

– To boli – jęknęła Vivan.

Jego uścisk stawał się coraz mocniejszy. Odrażająco cuchnący oddech mężczyzny przyprawiał ją o mdłości.

– To moja najlepsza przyjaciółka – powiedziała. Ledwie była w stanie zaczerpnąć powietrza.

– Przyjaciółka!

– Możesz tu zostać – zapewniła go. – Potrzebuję towarzystwa.

Puścił ją pospiesznie, a ona skuliła się i instynktownie chwyciła się blatu, po czym się wyprostowała. Nie wolno mi płakać, pomyślała. On nie cierpi płaczących kobiet.

– Zostać tutaj? O co ci chodzi?

Przełknęła ślinę, wiedziała, że musi starannie dobierać słowa. Powróciły wspomnienia wybuchów brata, wiedziała, że musi być ostrożna. Z biegiem czasu nauczyła się, jak z nim postępować.

– Jestem sama – powiedziała i spuściła oczy.

– Sama – powtórzył Vincent.

– Tamta kobieta mnie nie obchodzi. Uderzyła cię.

– Tak, uderzyła mnie.

Vincent zastygł w bezruchu, zamyślony. Vivan miała wrażenie, że w jego twarzy widzi tę samą łagodność, która kiedyś, dwadzieścia lat temu, sprawiła, że zakochała się w jego bracie Wolfgangu. Obaj bracia Hahn odziedziczyli łagodne, nieco dziecinne rysy matki, ale też i mroczność ojca. Być może właśnie ta mieszanka była powodem ich nagłych zmian nastroju.

– Uderzyła cię z całej siły. Mogła cię zabić, gdybyś nie miał takiej twardej czaszki.

Vincent opadł na krzesło. Vivan położyła dłoń na jego obandażowanej głowie. Gdyby umarł, pomyślała, nikt by za nim nie tęsknił. Natychmiast jednak zawstydziła się własnych myśli. Tak nie można. W końcu jest człowiekiem.

– Chcesz herbaty?

Vincent pokręcił bezsilnie głową.

– Może soku? Skinął głową.

Nalała soku rabarbarowego do dzbanka i postawiła przed nim. Zaczął pospiesznie pić.

Łagodność w jego twarzy powróciła.

– Masz pozdrowienia od Wolfganga – powiedziała. – Dzwonił kilka dni temu.

Mimo że się rozstali, po latach kłótni i sprzeczek, nadal utrzymywali ze sobą kontakt. Dzwonił do niej z Tel Awiwu kilka razy na kwartał.

– Nie zadzwoniłaś do mnie.

– Próbowałam, ale ciebie nigdy nie ma w domu. Czuje się dobrze, narzekał tylko, że bardzo tam niespokojnie.

– To przez tych cholernych Arabów – powiedział Vincent.

Vivan bardzo uważała, żeby nie poruszać tematu konfliktu między Izraelem a Palestyną. Zaczęła opowiadać mu różne nowinki o Wolfgangu. Jeden z ich kuzynów został dziadkiem, kilkoro innych krewnych odwiedziło Polskę. Vincent słuchał uważnie. Vivan zauważyła, że interesują go informacje o dalekiej rodzinie, pamiętał imiona i nazwiska, i banalne zdarzenia tak dokładnie, że aż się zdziwiła. Miał dobrą pamięć i najwyraźniej interesował się losem kuzynów i ich potomstwa.

– Słyszałam, że Benjamin się ożenił – powiedział, a Vivan udała, że pierwszy raz o tym słyszy.

– Co ty mówisz? Nie wiedziałam. Z kim?

– Z jakąś dziewczyną ze Stanów, która kupiła nieruchomość we wschodniej części Jerozolimy.

Rozmawiali chwilę o wspólnych znajomych. Vincent się uspokoił, wypił kilka szklanek soku. Vivan zabawiała go, zadając mu kolejne pytania, wtrącając różne informacje. Zaproponowała, żeby wspólnie spędzili święta. Miała wrażenie, że nawet trochę się ucieszył.

I nagle nastąpił wybuch wściekłości. Vivan nawet się nie zorientowała, że na coś się zanosi, a już tym bardziej, co go spowodowało. Zmarła nieświadoma tego, co się dzieje, wydając gardłowe dźwięki, podobne do tych, które czasem wydobywają się z kanalizacji, jeśli rury nie zostały dobrze oczyszczone.

Położył ją pod łóżkiem. Przypominała mu nieco Julię. To samo spokojne piękno. Ślady po kablu telefonicznym na jej szyi wyglądały niczym czerwone korale. Z ust wystawał siny język. Vincent zaczął się śmiać, dotknął go, ale szybko cofnął rękę, wyobraził sobie, że może go ugryźć.

Nagle jego śmiech zamienił się w nieartykułowany wrzask, który skończył się tak samo szybko, jak się zaczął; usiadł na podłodze i przyglądał się szwagierce. Prawie rodzina,

pomyślał. Najbliższa, jaką miał tu, w Uppsali. Poczłł dojmującą samotność, wzmocnioną tykaniem budzika, który zdawał się mówić mu: jesteś trup, jesteś trup.

Sięgnął po zegarek, który Wolfgang kupił podczas jednej ze swoich podróży służbowych, rzucił nim o ścianę. W radiu w kuchni leciało argentyńskie tango.

Położył swoją dłoń na jej dłoni. Wciąż jeszcze była ciepła, zakręciło mu się w głowie. Jedna chwila i człowiek przestaje istnieć. Przeciągnął dłonią po jej rękę, pogładził czule. Gdzieś w głębi jego skołowanego mózgu tkwiła myśl, że zrobił coś niewybaczalnego. I to Vivan, która rozpromieniła się na jego widok, a potem przestraszyła jego ran, a mimo to go przyjęła, napoiła. Prawie rodzina.

Domyślał się, że była równie samotna jak on, nawet jeśli zawsze dużo mówiła o swoich przyjaciółkach. Nagle pomyślał, że może powinien odebrać sobie życie, tak, właśnie tak powinien postąpić.

Wstał z trudem, wyszedł do kuchni, podniósł przewrócone krzesło, wypił trochę soku. Kiedy chwycił ręką uchwyt dzbanka, żeby nalać sobie kolejną szklankę soku, ręka go zapiekła, jakby przeszedł go prąd. Pozdrowienie od Vivan, pomyślał. To jej ręka ostatnia trzymała uchwyt dzbanka. Przypomniała mu o sobie. Będzie to robiła do końca życia. Teraz to zrozumiał.

W szafce ze szczotkami znalazł sznur do rozwieszania prania, ale nie był w stanie zrobić pętli, siedział więc z zieloną plastikową linką w rękach, niezdolny odebrać sobie życia.

Po godzinie, może dwóch – nie potrafił określić, ile czasu minęło – upuścił linkę na podłogę i wstał. Zjadł jakieś resztki prosto z lodówki, poszedł do pokoju, gdzie stała maszyna do szycia, i po kilku minutach usnął.

W ciągu dnia Allan Fredriksson ustalił miejsce zamieszkania brata Vincenta Hahna w Tel Awiwie. Dzięki pomocy izraelskich kolegów udało mu się z nim połączyć.

Wolfgang Hahn, który pracował jako nauczyciel informatyki, nie mieszkał w Szwecji już od siedmiu lat. W tym okresie rozmawiał z Vincentem kilka razy, ostatnio jakiś rok temu. Twierdził, że nie zna aktualnego numeru telefonu brata. Na pytanie, czy w Uppsali jest ktoś, kto mógłby udzielić policji nieco bliższych informacji, Wolfgang wymienił byłą żonę, która utrzymywała jakiś kontakt z Vincentem.

– A co słyhać w Szwecji? Słyszałem, że niedługo będzie u was więcej Arabów niż u nas, a my z naszymi mamy wystarczająco dużo kłopotów.

– Może dlatego, że ukradliście im ziemię – powiedział Fredriksson pobłażliwie. – Jak

nazywał się Tel Awiw piętnaście lat temu?

Wolfgang Hahn roześmiał się.

– Słyszę, że policja też już została zarażona – stwierdził, ale bez pretensji w głosie. – Szykują się białe święta? – spytał na koniec.

Kiedy Fredriksson odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że Wolfgang nawet nie spytał, dlaczego policja poszukuje jego brata.

W książce telefonicznej Vivan Molin figurowała jako asystentka laboratoryjna, zamieszkała na Johannesbäcksgatan. Wolfgang twierdził, że od dłuższego czasu była na zwolnieniu, nie potrafił jednak powiedzieć, z jakiego powodu. Nie mieli dzieci, Vivan mieszkała sama. Kilka lat temu była w związku, ale to należało już do przeszłości.

Vivan Molin nie odbierała telefonu.

Fredriksson zadzwonił do ubezpieczalni. Podano mu, że kobieta jest na zwolnieniu. Nie było żadnych adnotacji odnośnie do pracodawcy. Ostatnio była stażystką w centrum biomedycznym. Miała tam umowę do sierpnia.

Czy to możliwe, że Vincent Hahn udał się do swojej byłej szwagierki? Brat w Tel Awiwie twierdził, że nie bardzo się dogadywali. Fredriksson westchnął. Jonsson i Palm chodzili od drzwi do drzwi w Sävja. Dotychczasowe rozmowy z sąsiadami Hahna w Bergslagsresan nic nie dały. Większość nie potrafiła nawet rozpoznać go na zdjęciu. Najbliższy sąsiad Vincenta, Bośniak z Sarajewa, uśmiechnął się pod nosem, kiedy Jonsson spytał, czy utrzymuje jakieś stosunki z Hahnem.

Fredriksson odsunął papiery. Właściwie nie powinien zajmować się Hahnem. Jego myśli zajmowało morderstwo Małego Johna. Był przekonany, że uda im się je rozwiązać, chociaż jego przekonanie nie było oparte na niczym konkretnym, jedynie na latach doświadczeń, z których wynikało, że morderstwa w tym środowisku zwykle zostawały wyjaśniane. Mały John grał w pokera, wygrał dużo pieniędzy, to mogło być motywem. Sprawcy należało szukać wśród graczy. Po nitce do kłębka, pomyślał Fredriksson.

Razem z Haverem rozmawiali o ewentualnym związku między Małym Johnem i Hahnem. Obaj mieli jednak wątpliwości. Mężczyźni chodzili co prawda do tej samej szkoły, ale to pewnie był czysty przypadek. Zabójstwo Johna nie było dziełem Hahna. Co prawda niewiele o nim wiedzieli, nie mieli jego portretu psychologicznego, nie znali jego zachowań, nie wiedzieli, jak wyglądało jego dzieciństwo, w jakim środowisku dorastał, ale już sam fakt, że ciało Johna zostało znalezione na wysypisku śniegu w Libro, przemawiał przeciwko teorii, że to Hahn był mordercą. Bo jak, nie mając ani samochodu, ani prawa jazdy, mógłby tam dotrzeć?

Ktoś podsunął pomysł, że Hahn właśnie w taki okrutny sposób postanowił się zemścić na kolegach z klasy, którzy mieli jakieś zwierzęta domowe. John hodował rybki, Gunilla Karlsson królika. Hahn walczył o wolność dla zwierząt. Fredriksson uznał to jednak za mało prawdopodobne.

Ponownie zadzwonił do Vivan Molin, z równie marnym skutkiem jak poprzednio. Może powinien pojechać do Johannesbäck i sprawdzić sytuację na miejscu? Tak naprawdę miał tylko jej nazwisko. Może kobieta będzie potrafiła powiedzieć, gdzie powinni szukać Vincenta Hahna?

Fredriksson zsunął z nóg buty, włożył zimowe boty, ściągnął z wieszaka futrzaną czapkę i ruszył w drogę.

Grudzień. Słońce ledwie wstawało nad horyzontem. Nie miało to szczególnego znaczenia, bo nad miastem zalegały ciężkie chmury, a w powietrzu wisiał śnieg. Allan Fredriksson wsiadł do samochodu, odczekał chwilę, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce. Przyjęcie bożonarodzeniowe. Słowo pojawiło się znikąd. Takie przyjęcia zaczęli urządzać na komendzie pewnie gdzieś w latach siedemdziesiątych, ale jego wspomnienie było wcześniejsze, jeszcze z dzieciństwa. Hałaśliwe głosy dorosłych, dzieci, podniecone, pełne oczekiwania, odświętnie ubrane, uczesane na wodę, i Święty Mikołaj ze sztuczną brodą.

Kiedyś, dawno temu. Fredriksson jakby smakował słowa. Już one same brzmiały staroświecko.

– Kiedyś, dawno temu – powiedział na głos.

Tak kiedyś mówiono. Kiedyś było lepiej? Przekręcił kluczyk, silnik zareagował warkotem. Za dużo myśli, za dużo gazu.

Na rogu ulic Verkmästargatan i Apelgatan zderzyły się dwa samochody. Zastanawiał się chwilę, czy się nie zatrzymać, ale zrezygnował, kiedy zobaczył minę jednego z kierowców. Nie zajmował się kolizjami drogowymi. Dawniej, kiedy pracował w patrolu, zawsze bardzo przeżywał każdy wypadek, nie ze względu na ewentualnych rannych, tylko dlatego, że właśnie wtedy docierało do niego, ilu kretynów jeździ po drogach.

Allan Fredriksson zadzwonił do drzwi mieszkania Vivan Molin. Odczekał kilka minut i zadzwonił ponownie. Żadnej reakcji. Zerknął na szparę na listy, spróbował zajrzeć do środka. Uderzyła go woń niewietrzonego mieszkania. Na podłodze nie było widać żadnych listów, żadnych gazet. Kiedy opuścił klapkę, miał wrażenie, że gdzieś z głębi mieszkania doszedł go jakiś dźwięk, jakby pstryknięcie, kiedy ktoś włącza światło. Nasłuchiwał w skupieniu, ponownie uniósł klapkę, ale w mieszkaniu panowała idealna cisza. Czyżby się pomylił? Wyprostował się.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i kartkę z zapisanym numerem telefonu Vivan Molin. Zadzwoił, odczekał sześć sygnałów, w mieszkaniu było cicho. Albo połączenie zostało przerwane, albo kobieta wyłączyła dzwonek.

Stał pogrążony w myślach. Odwrócił się i zaczął przyglądać drzwiom sąsiadów. Na jednych z nich była tabliczka „M. Andersson”. Zadzwoił. Natychmiast otworzyła mu kobieta, która najwyraźniej stała za drzwiami z ręką na klamce. Miała pewnie około siedemdziesiątki, długie, siwe, niemal białe włosy, zebrane w warkocz. Dłoń na klamce była chuda, duże, nabrzmiałe granatowoczarne żyły.

Przedstawił się, powiedział, że szuka Vivan Molin.

– Coś tam jest nie w porządku – odpowiedziała kobieta natychmiast.

– To znaczy?

– Przed południem słyszałam jakieś dziwne dźwięki. A wczoraj, późno wieczorem, zjawił się tam mężczyzna.

– Kiedy słyszała pani te dźwięki?

– Koło jedenastej. Właśnie skończyłam robić nóżki w galarecie. Po południu jadę do Kristinehamn. Razem z nóżkami w galarecie. Stał na ulicy i coś krzyczał.

– Jak wyglądał?

– Niewiele widziałam. Miał na głowie czapkę. Vivan go wpuściła.

– Zeszła na dół i otworzyła drzwi od klatki?

– Tak, o dziewiątej zawsze zamykamy.

– Te dźwięki, o których pani mówiła, jak one brzmiały?

– Jak krzyki. Tam na pewno coś się stało. Pomyślałam, że może powinnam zadzwonić na policję, ale z drugiej strony nie chciałam się wtrącać.

– Dobrze zna pani Vivan? Często przyjmuje wieczorem gości?

– Nie, nigdy. To bardzo spokojna klatka.

– Chodzi do pracy?

– Jest na zwolnieniu. Wypalenie, tak to się teraz nazywa.

Fredriksson podziękował za informację i zszedł na dół. Wyszedł na ulicę i zadzwonił do dyżurnego. Osiem minut później na ulicy pojawił się radiowóz, a zaraz potem podjechał ślusarz z firmy Pettersson & Barr. Młody chłopak z dredami, ledwie pewnie skończył dwadzieścia lat.

Fredriksson i jego umundurowani koledzy zastanawiali się, co robić. Jeśli Vincent Hahn był w mieszkaniu, mógł być uzbrojony. Raczej niemożliwe, żeby miał dostęp do broni palnej, więc pewnie miał nóż albo podobne narzędzie.

Rastafarianin z dreadami sforsował zamek w trzydzieści sekund. Cały czas gwizdał, aż wreszcie Fredriksson kazał mu się uciszyć.

– Jasne – powiedział chłopak. – Jesteś takim naszym miejscowym Stevem Carellą?

Fredriksson nie miał pojęcia, o kim chłopak mówi, ale skinął głową, a Slättbrant, z typowym dla siebie spokojem, z którego słychać wśród kolegów, otworzył drzwi.

– Policja! – zawołał przez szparę w drzwiach. – Ktoś jest w domu? – Torsten Slättbrant z policji. Wchodzę!

Otworzył szeroko drzwi, wszedł do mieszkania, trzymając w lewej ręce służbową broń. Zrobił kolejne kilka kroków, zerkając ostrożnie w stronę drzwi. Zapewne kuchennych, pomyślał Fredriksson. Funkcjonariusz stał nieruchomo kilkadziesiąt sekund, węsząc niczym pies myśliwski.

Odwrócił się, pokręcił głową.

– Jest tu ktoś? – powtórzył funkcjonariusz. Fredriksson czuł narastające zniecierpliwienie.

– Luzik – powiedział Rastafarianin. Fredriksson pokazał mu, że ma się trzymać z daleka.

– Nie jesteś Carellą – rzucił chłopak cicho i wycofał się pół piętra w dół.

– Pod łóżkiem w sypialni leży kobieta – oznajmił Göthe, drugi z funkcjonariuszy.

Fredriksson skinął głową, jakby już to wiedział.

– Chyba uduszona – dodał Göthe.

Nagle, tuż za jego plecami, objawił się ślusarz, wsunął głowę do mieszkania.

– Idź stąd! – wrzasnął Fredriksson.

– Możemy wykluczyć Hahna z dochodzenia w sprawie morderstwa Małego Johna?

Pytanie Ottossona zawisło na kilka sekund w powietrzu. Na suficie w sali, gdzie odbywała się odprawa, mrugała świetlówka, podkreślając panującą tu nerwową atmosferę.

– Czy ktoś może naprawić to światło? – spytał Sammy Nilsson.

– Nie sądzę, żeby Hahn miał cokolwiek wspólnego z Małym Johnem – zaczął Fredriksson. – Jego profil psychologiczny nie pasuje do sprawy. Pamiętacie jego korespondencję? To zgorzkniały człowiek, ze skrzywionym spojrzeniem na świat. Czytałem pismo, które wysłał do przedsiębiorstwa autobusowego. Proponuje wprowadzenie specjalnych autobusów dla imigrantów, żeby Szwedzi nie musieli się mieszać z czarnuchami. To, że chodził do szkoły razem z Małym Johnem, to czysty przypadek.

– Nie jestem do końca przekonany – oświadczył Sammy. – Odłożmy na bok motyw. Facet był szurnięty, nagle wpadł na Johna, którego znał jeszcze ze szkoły, i coś przyszło mu do głowy. Może kiedyś się posprzecjali i nagle powróciły dawne urazy?

– Gdzie mogli się spotkać? – spytał Morenius, szef dochodzeniówki. – Na Vaksalagatan, gdzie John czekał na autobus? Gdzie doszło do zabójstwa? Gdzie go torturował? I jak Hahn zawiózł ciało do Libro?

Morenius pokręcił głową.

– Bardzo mało wiemy o Hahn – upierał się Sammy. – Może miał dostęp do jakiegoś mieszkania, może też do samochodu. Nie rozmawialiśmy z ani jedną osobą, która naprawdę go znała, która wiedziałaby, co robił całymi dniami.

Ottosson podrapał się po głowie.

– Mam wrażenie, że jednak możemy go wykluczyć – powiedział, ale po jego głosie słychać było, że nie jest do końca przekonany.

– Morderca Małego Johna jest wśród graczy albo im podobnych, stroniących od światła dziennego typków – stwierdził Berglund.

– Tak czy inaczej, musimy kontynuować poszukiwania – orzekł Ottosson. – Nie wolno nam teraz zwolnić tempa. Wtedy łatwo zgubić ostrość widzenia.

– W porządku – zgodził się Haver. – Wiemy, że tamtego wieczoru w grze brało udział osiem osób, wyjąwszy Małego Johna. Ljusnemark podał nam nazwiska. Pięć plus Ove Reinhold, jak dzisiaj słyszeliśmy. Brakuje nam jeszcze trzech. Jeden jest najwyraźniej za granicą, być może w Holandii, gdzie mieszka jego matka. Jeden zapadł się pod ziemię, a trzeci to Mossa, Irańczyk, którego wszyscy znamy i który najwyraźniej gdzieś wyjechał. Rozmawialiśmy z jego bratem i matką, która mieszka w Uppsali.

– Kto być może jest w Holandii?

– Dick Lindström.

– Ten z zębami?

Haver skinął głową.

– Zgadza się.

– A kto „zapadł się pod ziemię”, jak to określiliś?

– Niejaki Allan Gustav Rosengren, znany też jako „Warga”. Dwa wyroki za paserstwo, ostatni pięć lat temu. Nie ma stałego adresu. Ostatnio, czyli dwa lata temu, mieszkał w Mälarhöjden, wynajmował pokój u jakiejś starszej kobiety. Potem się wyprowadził i zniknął z rejestru ludności.

– Jeden z zębami, drugi z wargą – powiedział Riis.



– Możemy wykluczyć Ljusnemarka? – spytał Morenius.

– Sądzę, że tak – powiedział Haver. – Facet śmierdzi tchórzem. Nie wierzę, że mógłby odciąć komuś palec.

– Motywem są pieniądze?

– Raczej nie długi karciane. Wszyscy potwierdzają, że Mały John wygrał. Podają różne sumy, ale zapewne chodzi o jakieś dwieście kawałków. Jeśli John miałby jakieś długi, to pewnie by je spłacił.

– Może nie chciał?

– To możliwe.

– Może poczuł krew i zdecydował się grać dalej, i narobił długów.

– To też możliwe – potwierdził Haver. – Gra miała miejsce pod koniec października. Do dnia morderstwa mógł grać jeszcze wiele razy.

– Nie sądzą – powątpiewał Ottosson. – Mały John był przebiegły i ostrożny. Nie sądzą, żeby ryzykował tak dużą sumę pieniędzy.

– Żeby tyle wygrać, musiał już wcześniej coś mieć. Wiele osób mówi, że bardzo odważnie obstawiał. Nikt nigdy nie widział, żeby tak grał.

– Może dlatego wygrał? – powiedział Fredriksson. – Wszystkich zaskoczył.

– Może ktoś miał mu to za złe? – nie odpuszczał Morenius. Szef dochodzeniówki zawsze zadawał pytania.

– Nie aż na tyle – odparł Haver.

Żeby wreszcie ktoś powiedział coś nowego, rozmarzył się. O tym wszystkim sam już wcześniej też myślał. Z drugiej strony wiedział, że musi pozwolić ludziom mówić, bo tylko w ten sposób mogą dojść do rozwiązania sprawy.

– Wróćmy jeszcze do Hahna – rzekł Ryde, technik. – Wiemy na pewno, że Vivan Molin została uduszona, dzisiaj przed południem. Hahn nocował u niej, znaleźliśmy jego włosy w łóżku w pokoju, gdzie najprawdopodobniej spędził noc. W wiadrze w kuchni znaleźliśmy zmiętą gazetę, wydaje się, że chciał ją schować. Kabel telefoniczny został wyrwany. Nie chciał dopuścić, żeby kobieta gdzieś zadzwoniła, czy może po prostu był pod ręką, kiedy postanowił, że ją udusi? A ona w jakiś sposób dowiedziała się, że Hahn wtargnął do mieszkania Gunilli Karlsson w Sävja.

– Może usłyszała w radiu albo dowiedziała się z programu lokalnej telewizji? – powiedział Fredriksson. – W kuchni było radio.

Ryde pokiwał głową. Tylko Fredriksson mógł mu przerwać, nie powodując jego niezadowolenia.

– To prawda. Musimy sprawdzić, czy w jakiejś audycji wspomniano coś o napadzie w Sävja. W mieszkaniu nie ma śladów obecności trzeciej osoby, chociaż oczywiście nie możemy tego wykluczyć. Mamy więc morderstwo, motyw pozostaje niejasny, sprawcą może być świr, albo ktoś chciał uciszyć ofiarę, bo za dużo wiedziała – zakończył Ryde.

– Doskonale – podsumował Ottosson i uśmiechnął się, co w tym przypadku świadczyło o dużym zmęczeniu.

Szef wydziału walczył z temperaturą i wielu jego współpracowników uważało, że powinien zostać w domu, między innymi Lundin, który starał się w ogóle do niego nie zbliżać.

– Jak dostał się ze Szpitala Akademickiego na Johannesbäck? – dziwił się Berglund. – Może jednak miał dostęp do jakiegoś samochodu?

– Mało prawdopodobne, żeby jechał autobusem, musimy sprawdzić taksówki – postanowił Fredriksson.

– Jedyne, co teraz możemy robić, to dalej szukać ewentualnych znajomych Hahna i prowadzić dochodzenie. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że wałęsa się po mieście – stwierdził Ottosson. – To ten typ. Allan, zastanów się, gdzie może być?

– Dziękuję wszystkim – powiedział Fredriksson, szczypiąc się w czubek nosa.

– A co ze sprawą Johna? – nie ustępował Morenius.

– Weźmiemy pokerzystów na spytki, sprawdzimy ich alibi i spróbujemy odszukać Holendra, czyli Lindströma, „Wargę”, czyli Rosengrena, no i Mossę – zaproponował Haver. – To chyba jedyne, co w tej chwili możemy zrobić. Ale jest jeszcze jedna rzecz, nad którą się zastanawiałem. Wiele osób twierdzi, że John coś planował, coś dużego. Co to mogło być?

– Podejrzewam, że chciał otworzyć sklep z rybkami akwariowymi – mówił Berglund. – Rozmawiałem z Petterssonem, który twierdził, że John coś o tym wspominał.

– Mogło równie dobrze chodzić o pokera – upierał się Sammy.

– Ktoś rozmawiał z żoną Johna o jego grze w pokera?

– Beatrice jest u niej – poinformował Ottosson.

Siedziały w kuchni, jak za pierwszym razem, kiedy Beatrice przyszła odwiedzić Berit i Justusa. Chłopiec stał chwilę w drzwiach, ale szybko zniknął w swoim pokoju. Rap, który puszczał, słychać było aż w kuchni.

– Za głośno nastawia, ale nie mam serca zwrócić mu uwagi – powiedziała Berit. Nie usprawiedliwiała się, po prostu stwierdziła fakt.

– Jak on sobie radzi?

– Niewiele mówi. Nie chodzi do szkoły, głównie siedzi przed akwariem.

– Byli sobie bliscy?

Berit skinęła głową.

– Bardzo – powiedziała po chwili. – Ciągle coś razem robili. Jeśli ktoś miał na Johna wpływ, to właśnie Justus.

– Jak radziliście sobie finansowo? Mówiła pani, że niekiedy bywało wam trudno.

Berit patrzyła przez okno.

– Było nam dobrze.

– A ostatnio?

– Wiem, do czego pani zmierza. Podejrzewacie, że John wplątał się w jakieś ciemne interesy, ale to nieprawda. Bywał czasem milczący i jakby nieobecny, ale nie był głupi.

– Wcale tak nie uważam. Powiem wprost: wygląda na to, że John jesienią wygrał sporą sumę pieniędzy.

– Wygrał? Na koniach?

– Nie, w karty. W pokera.

– Grywał czasem w karty, ale to nigdy nie były duże sumy.

– Dwieście tysięcy – powiedziała Beatrice.

– Co takiego? To niemożliwe.

Zdziwienie Berit wydawało się autentyczne. Przełknęła ślinę, wpatrywała się w Beatrice, widać było, że nie rozumie o czym policjantka mówi.

– To nie tylko możliwe, ale wręcz bardzo prawdopodobne. Mamy świadków, którzy to potwierdzają.

Berit schyliła głowę, zapadła się w sobie. Przeciągnęła ręką po obrusie, dotknęła haftu przedstawiającego jadącego na sankach krasnoludka. Muzyka w pokoju Justusa ustała, w mieszkaniu zapanowała cisza.

– Dlaczego nic nie powiedział? Dwieście tysięcy to ogromne pieniądze. Musieliście się pomylić. Kto twierdzi, że tyle wygrał?

– Między innymi cztery osoby, które tamtej nocy do niego przegrały.

– Pewnie są na niego wściekli i próbują obrzucić go błotem.

– Można tak na to spojrzeć, ja jednak mam wrażenie, że mówią prawdę. To, co robili, nie jest specjalnie chwalebne, ale teraz czują się pod presją i zdecydowali się mówić prawdę. Poza tym wielu z nich nie potrafi wytłumaczyć, skąd nagle mają tyle pieniędzy.

– Z tego powodu został zamordowany?

– Nie można tego wykluczyć.  
– Gdzie są te pieniądze?  
– Też się nad tym zastanawialiśmy. Może ukradł je zabójca, albo może John ulokował je na jakimś konczie, albo...

– Albo schował je w domu, tak? – weszła jej w słowo Berit. – Tutaj nie ma żadnych pieniędzy.

– Sprawdzala pani?

– Sprawdzalam, jak sprawdzalam. Zaczalam troche sprzatac, poza tym sami tez juz tu szukaliscie.

– Pewnie będziemy musieli jeszcze raz przejrzeć jego rzeczy.

– Niedługo Boże Narodzenie. Myślę o Justusie. Potrzebuje spokoju.

Rozmowa toczyła się dalej. Beatrice wypytywała Berit, czy nie przypomina sobie, czy jesienią nie wydarzyło się coś niezwykłego. Może spróbowalaby sobie przypomnieć, skoro już wiedziała, że właśnie wtedy John wygrał dużą sumę pieniędzy. Berit jednak twierdziła, że John zachowywał się jak zawsze.

Beatrice pokazała jej zdjęcia uczestników sławetnej partii pokera. Berit przyglądała się dokładnie twarzom mężczyzn, ale nikogo nie rozpoznała.

– Jeden z nich może być mordercą Johna?

Beatrice zebrała zdjęcia, nic nie odpowiedział.

– Mogę porozmawiać z Justusem? – spytała po chwili.

– Nie mogę pani tego zabronić – powiedziała Berit cicho. – Chce pani pokazać mu te zdjęcia?

– Nie wiem. Chcę go spytać, czy jesienią zauważył jakąś zmianę w zachowaniu Johna.

– Głównie rozmawiali o rybach.

Beatrice wstała.

– Sądzi pani, że będzie chciał ze mną rozmawiać?

– Proszę spróbować. Mam jeszcze jedno pytanie: kiedy John wygrał te pieniądze?

– W połowie października – odpowiedziała Beatrice.

Beatrice zapukała, a po chwili ostrożnie uchyliła drzwi. Justus siedział na łóżku, z podciągniętymi nogami. Obok leżała otwarta książka.

– Czytasz?

Chłopak nie odpowiedział, zamknął książkę i spojrział na nią wzrokiem, którego

Beatrice nie potrafiła odszyfrować. Zachowuje się z dystansem, pomyślała. Żeby nie powiedzieć z odrazą, ale też z ciekawością.

– Możemy porozmawiać?

Skinął głową, Beatrice usiadła na krześle przy biurku. Justus przyglądał się jej w skupieniu.

– Jak się czujesz?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Wiesz coś, co pomogłoby nam rozwikłać zagadkę śmierci twojego ojca?

– Niby co?

– Coś, co powiedział, co wówczas nie wydało ci się istotne, ale być może było. Może wspomniał o jakimś znajomym, który ześwirował, cokolwiek.

– Nic takiego nie mówił.

– Czasem dorośli chcą coś powiedzieć, ale nie mówią tego wprost, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Beatrice zamilkła, chciała dać chłopcu czas. Po dłuższej chwili wstała, podeszła do drzwi, zamknęła je i wróciła na miejsce.

– Dawał ci czasem pieniądze?

– Dostaję coś co miesiąc.

– Ile?

– Pięć stów.

– To ci starcza? Co za nie kupujesz?

– Ciuchy, płyty, czasem jakąś grę.

– Zdarzało się, że dostawałeś więcej?

– Tak, jeśli na coś potrzebowałem, a rodzice mogli mi dać.

– Jesienią dostawałeś więcej niż zwykle? Masz wrażenie, że ojciec miał wtedy więcej pieniędzy?

– Wiem, o co pani chodzi. Podejrzewacie, że ojciec ukradł komuś kasę, ale on wszystko zarobił sam.

– Był bezrobotny.

– Przecież wiem. To Sagge wszystko popsuł. Nie rozumiał, że nie znajdzie lepszego spawacza.

– Odwiedzałeś ojca w warsztacie?

– Czasem.

– Potrafisz spawać?

– To cholernie trudne – powiedział Justus zdecydowanie.

– Próbowales?

Chłopak skinął głową.

– Sagge wszystko zniszczył. Co chciales przez to powiedziec?

– Tata stracil prace.

– Stał się nerwowy?

– Bywał...

– Zły?

Kolejne skinienie głową.

– O czym najczęściej rozmawialiscie?

– O rybkach.

– Nie wiem nic o rybach i nigdy nie widzialam naprawde duzego akwarium.

– Tata ma najwieksze w mieście. On się na tym znał. Sprzedawał różnym ludziom ryby, a czasem jeździł też i opowiadał o pielęgnicach.

– Wiesz, dokąd jeździł?

– Na różne spotkania. Jest takie stowarzyszenie, do którego może nalezec każdy, kto hodzi pielęgnice.

– Dużo podróżował?

– W przyszłym roku miał jechać do Malmö. Wiosną był w Göteborgu.

– Teraz ty przejmiesz akwarium?

– Tata pokazywał mi różne rzeczy.

– Chodzisz do ósmej klasy. Co potem zamierzasz?

Beatrice natychmiast się zorientowała, że popełniła błąd, zaczynając rozmawiać o szkole. Mina chłopca od razu się zmieniła. Wzruszył ramionami.

– Może zajmiesz się akwariami?

– Może.

– A tata nigdy nie chciał się tym zająć, tak zawodowo?

Chłopiec milczał. Początkowe naburmuszenie zostało zastąpione biernym smutkiem. Wspomnienia o ojcu blokowały wszystko, niczym wielkie kłody, tworzące tamę na i tak już zbyt wąskiej rzece. Beatrice próbowała dalej go wypytywać, ale też nie chciała, żeby chłopak się załamał. Doświadczenie nauczyło ją, że potem z reguły bywało jeszcze gorzej. Teraz mogła jeszcze nawiązać z nim kontakt, zbudować zaufanie, zepchnąć zalegające kłody.

– Jeśli będę miała jakieś pytania odnośnie do akwarium, będę mogła się do ciebie zwrócić? Ludzie pytają policjantów o różne rzeczy, a my też wszystkiego nie wiemy.

Justus podniósł głowę, przyglądał się jej wzrokiem, który trudno było wytrzymać. Chłopiec był mądry, miała wrażenie, że ją przejrzał.

– Niech pani pyta – odrzekł w końcu i odwrócił wzrok.

Beatrice wstała i otworzyła drzwi.

– Chciałabym, żebyś wiedział jedno – powiedziała, zanim zostawiała go samego w pokoju. – Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, mówili same dobre rzeczy o twoim tacie.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, zanim wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Ola Haver opuścił komisariat z poczuciem skrępowania. Wychodząc, przeczytał zwyczajowe życzenia szefa z okazji Bożego Narodzenia. Przy tablicy ogłoszeń zebrała się grupka kolegów. Jedni komentowali życzenia zgryźliwie i z sarkazmem, inni wzruszali ramionami i szli dalej, odporni na komunały szefostwa. Życzenia owocnego roku na przekór problemom brzmiały bardziej fałszywie niż zazwyczaj. Jeden z kolegów, który pracował jako dzielnicowy, wybuchnął śmiechem. Haver odszedł. Nie chciał słuchać ich narzekań, nawet jeśli było w nich sporo racji.

Zamiast pojechać prosto do domu, postanowił jeszcze zajrzeć do Ann Lindell. Nie był u niej już kilka miesięcy. Być może bezsensowna gadanina szefa sprawiła, że nagle poczuł potrzebę rzetelnej rozmowy o morderstwie Małego Johna. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. Domyślał się, że pewnie brakuje jej pracy.

Przyjęła go w fartuszkach, z mąką na piersi i na dłoniach.

– Wejdz, proszę. Piekę – powitała go, nie okazując żadnego zdziwienia z powodu jego niezapowiedzianej wizyty. – Rodzice przyjeżdżają na święta, więc muszę się zaprezentować jako dobra gospodyni.

– Rzeczywiście piękny widok – pochwalił Haver i natychmiast poczuł nic porozumienia, które zawsze było między nim a Ann.

Przyglądał się, jak wyrabia ciasto. Po urodzeniu Erika zaokrągliła się nieco, ale nie za bardzo. Dodatkowe kilogramy służyły jej. Nakryła wyrobione ciasto ściereczką.

– Teraz musi rosnać – wyjaśniła zadowolona. – Co u ciebie?

Usiadła naprzeciwko Havera. Musiał powstrzymać odruch, żeby nie dotknąć jej dłoni.

– Masz mąkę na twarzy – powiedział.

Przyglądała mu się nieco figlarnie, przeciągnęła dłonią po policzku, jeszcze bardziej brudząc twarz mąką.

– Teraz lepiej?

Pokręcił głową. Cieszył się, że znów słyszy tak dobrze znany mu głos. Jej gołe,



pobrudzone mąką ręce podniecały go. Być może to zauważyła, bo na jej twarzy pojawiło się lekkie zmieszanie. Oboje poczuli się zażenowani, napięcie wisiało w powietrzu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak w jej towarzystwie. Skąd ta nagła zmiana? – zastanawiał się. Zawsze uważał, że jest bardzo atrakcyjna, ale nigdy nie czuł tej gorączki, tego ćmiącego pożądania.

Ann patrzyła na niego i nie potrafiła w żaden rozsądny sposób wytłumaczyć sobie tego, co widzi. Znała go na tyle dobrze, że była przekonana, iż jest w stanie niemal czytać w jego myślach, rozpoznawać jego nastroje, to jednak było coś nowego.

– Jak sprawa Małego Johna?

– Podejrzewamy, że w grę może wchodzić wygrana w pokera – powiedział i zaczął opowiadać o przesłuchaniu graczy i rzekomej dużej wygranej Johna.

– Często grywał?

– Podobno mu się zdarzało, nigdy jednak o takie stawki.

– Żeby wejść w grę o taką stawkę, trzeba albo być bardzo odważnym, albo głupim, albo bogatym, albo wszystko razem – stwierdziła Ann.

Haver przyznał, że też mu to przyszło to głowy.

– Musiał mieć jakieś pieniądze – upierała się Ann.

Haver słuchał jej z przyjemnością, chciał, żeby dalej mówiła. Jednak koledzy są ważni, pomyślał. A nasz wydział to Ann.

– Podobno coś tam miał. We wrześniu pożyczył koledze dziesięć tysięcy.

– Nie jest to jakaś ogromna suma.

– Jak na bezrobotnego to sporo.

– Napijesz się kawy?

– Kawy nie, ale w ogóle to chętnie bym się czegoś napił.

Ann postawiła przed nim specjalne świąteczne piwo. Wiedziała, że lubi ciemne.

– Pamiętasz, jak byliśmy na konferencji w Grisslehamn? – spytał, zanim wziął kolejny łyk z butelki.

– Pamiętam, że Ryde się upił i zaczął krzyczeć na Ottossona.

– Powiedziałaś wtedy coś, co sobie zapamiętałem. Coś o warunkach miłości.

Ann poczuła się wytrącona z równowagi, minęła dobra chwila, zanim się otrząsnęła.

– Ja? Czyżbym też się upiła?

– Trochę pewnie wypiłaś – zgodził się z nią Haver.

Niemal natychmiast pożałował, że to powiedział, ale nie był w stanie powstrzymać potoku słów, który już od jakiegoś czasu w nim wzbierał.

– Niczego takiego nie pamiętam – oświadczyła Ann, jakby się broniąc.

– To właśnie wtedy poznałaś Edvarda.

Ann wstała, podeszła do zlewu, zajrzała pod ściereczkę.

– Pewnie musi jeszcze trochę urosnąć – powiedział Haver.

Ann oparła się o zlew, stała i patrzyła na Havera.

– Czulałam się wtedy dezorientowana, zagrożona, nie tylko zawodowo, ale i osobiście.

To było wkrótce po tym, jak Rolf mnie zostawił.

– Nie masz szczęścia do facetów. To nie miała być krytyka – dodał szybko, widząc jej minę. – Może za bardzo angażujesz się w pracę i zapominasz o sobie.

– O sobie – zachnęła się Ann.

Podeszła do spizarki, wyjęła butelkę wina, nalała trochę do kieliszka.

– Kończę karmić piersią.

– Pijesz rioję, jak zawsze – zauważył Haver, jakby z ulgą.

Ann usiadła, wrócili do rozmowy o Małym Johnie. Chciała poznać wszystkie szczegóły w związku z napadem w Sävja i morderstwem na Johannesbäcksgatan. Haver widział jej zapał i po raz pierwszy od rozpoczęcia dochodzenia poczuł, że jego mózg pracuje na pełnych obrotach. Do tej pory skupiał się przede wszystkim na tym, żeby nie popełniać błędów. Formalnie odpowiadał za całe śledztwo. Teraz nareszcie czuł, że znów może swobodnie myśleć. Znów wymieniali się pomysłami, dyskutowali, jak zawsze zwykli to robić. Czy odbierała go jako rywala? – zaczął się zastanawiać. Zajął jej miejsce w wydziale, podczas gdy ona siedziała w domu. Nie sądził, żeby miała mu to za złe. Ann nie goniła za zaszczytami, poza tym cieszyła się takim szacunkiem, że jak tylko wróci do pracy, natychmiast odzyska dawną pozycję.

– Co u dziewczynek? – spytała, kiedy rozmowa o Małym Johnie dobiegła końca.

– Dobrze. Rosną.

– A co u Rebecki?

– Pewnie czuje się podobnie jak ty. Chce wrócić do pracy. Tak przynajmniej sądzę. Chwilami nie potrafi sobie znaleźć miejsca, ale niedawno oświadczyła, że nie chce wracać do swojej dawnej pracy w służbie zdrowia. Ciągłe obcinają im budżet, zwalniają ludzi.

– Czytałam niedawno artykuł Karlssona, tego z samorządu. Nie powiem, żeby podniósł mnie na duchu.

– Rebecka dostaje furii, kiedy widzi jego twarz w kolejnym brukowcu.

Ann dolała sobie wina

– Powinienem chyba iść do domu – stwierdził Haver, ale nawet nie wstał.

Wiedział, że powinien zadzwonić do Rebecki, wstydził się jednak przed Ann, że musi

dzwonić i tłumaczyć się, gdzie jest. Może to dziwne, ale w tej chwili nie chciał myśleć o żonie. Nie chciał myśleć o tym martwym punkcie, w jakim znalazło się ich współzycie, jakby zawarli rozejm, lecz żadna ze stron nie była gotowa opuścić okopów, nie mówiąc już o złożeniu broni.

– Wyglądasz na zmartwionego – powiedziała Ann.

Nagle Haver poczuł ochotę powiedzenia jej o wszystkim, ale powściągnął się. Rzucił coś, że ma za dużo pracy.

– Wiesz, jak to jest. Człowiek cały czas za czymś biegnie, gdzieś gna, załatwia sprawy, a główna wciąż przybywa. Sammy jest sfrustrowany. Nie ma czasu zajmować się młodzieżą. Stworzono specjalny zespół, a teraz nagle nie ma ani ludzi, ani środków.

– Powinniśmy zwrócić się z prośbą do przestępców: „Bardzo prosimy: nie kradnijcie. Przez najbliższe pół roku powstrzymajcie się od napadów i morderstw, bo chcemy popracować trochę z młodzieżą, więc na nic innego nie starcza nam już czasu”.

Haver roześmiał się. Chciał napić się piwa, ale odkrył, że butelka jest pusta. Ann otworzyła kolejną, zaczął pić, nie zastanawiając się, że przecież przyjechał samochodem.

Teraz już naprawdę powinienem zadzwonić do domu, pomyślał i odstawił butelkę.

– Byłeś spragniony – stwierdziła Ann.

– Muszę zadzwonić.

Wyszedł do holu i niemal natychmiast wrócił.

– Wszystko w porządku – powiedział, ale wyraz jego twarzy zdawał się świadczyć o czymś innym.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Ann popijała wino, Haver przyglądał się jej. Ich spojrzenia spotkały się nad krawędzią jej kieliszka. Nagle znów poczuł pożądanie. Niepewną ręką sięgnął po butelkę piwa. Ann położyła dłoń na jego ręce.

– Mów.

– Niekiedy mam wrażenie, że chcę się rozwieść, chociaż kocham Rebeckę. Bawię się tą myślą, zdręczam się, jakbym chciał ukarać siebie albo ją, nie bardzo wiem za co. Kiedy się poznaliśmy, przyciągała mnie jak magnes. Mam wrażenie, że oboje czuliśmy wtedy podobnie. A teraz jest nam wszystko jedno. Czasem patrzy na mnie jak na kogoś obcego.

– Może czasem jesteś obcy – weszła mu w słowo Ann.

– Obserwuje mnie, jakby na coś czekała.

– Albo na kogoś. Nadal jest zazdrosna? Wspominałeś o tym, kiedy mieliśmy jechać do Hiszpanii.

– Nie wiem. Mam wrażenie, jakby jej już nie zależało.

Ann widziała, że Ola pograża się w coraz większym smutku. Bała się, że się załamie, a wtedy sytuacja ją przerosnie. Musi starać się zachować rozsądek, mówić to, co powinna, mądre rzeczy, które pewnie wcale nie są takie mądre. Bała się uczuć, bała się, że da się złapać w pułapkę. Że stanie się ofiarą. Nie kochała go, ale potrzeba bliskości drażyła jej ciało jak głód, tak silna, iż bała się, że jej z trudem wzniesiony mur obronny rozsypie się na kawałki. Nie była z mężczyzną od ubiegłego lata. Wysycham, myślała coraz częściej. Czasem próbowała sama się pieścić, ale nigdy nie osiągała zadowolenia. Pomyślała o Edvardzie na Gräsö, tysiąc kilometrów stąd. Oddałaby wszystko, żeby znaleźć się w jego ramionach. Ale on odszedł na dobre, straciła go z powodu jednej nocy, gdy po pijanemu uległa pożądaniu. Tęsknota szła w parze z pogardą dla samej siebie.

Haver chwycił jej dłoń, a ona mu na to pozwoliła. Cisza między nimi była bolesna, ale nie wolno było im nic powiedzieć.

– Chyba powinienem już iść – odezwał się Haver łamiącym się głosem.

Odchrząknął, spojrzał na nią nieszczęśliwym wzrokiem.

– A jak ty sobie radzisz? – spytał, chociaż właśnie odpowiedzi na to pytanie chciała za wszelką cenę uniknąć.

– Jakoś sobie radzę – odpowiedziała. – Czasem bywa kiepsko, ale mam przecież Erika. Jest cudowny.

Tak właśnie powinna odpowiedzieć. Zresztą to prawda, że niekiedy wystarczało jej dziecko, tyle że ostatnio coraz częściej czuła też potrzebę innego życia.

– Czasem bywa kiepsko – powtórzyła.

– Nadal tęsknisz za Edvardem?

Przestań, rozkazała mu w myślach, nagle zła, że zadaje jej tak osobiste pytania. Szybko jednak się opanowała. W jego pytaniach nie było niczego złego.

– Czasem – przyznała się. – Mam wrażenie, że przegraliśmy swoją szansę, że nie potrafiliśmy się odnaleźć.

Haver ścisnął jej dłoń.

– W końcu na pewno trafisz na jakiegoś rozsądnego faceta – powiedział i wstał.

Zostań jeszcze chwilę, miała ochotę zawołać, ale powstrzymała się. Wyszli do holu. Haver sięgnął po kurtkę, nagle jednak jego ręka, jakby sama z siebie, zmieniła kierunek. Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie. A ona westchnęła, a może był to szloch? Powoli położyła ręce na jego plecach, objęła go delikatnie. Trwali tak dobrą minutę. Uwolniła się z jego objęcia, ale nie cofnęła. Czuła jego oddech i nie było to nieprzyjemne. Pogłodził jej policzki, przeciągnął opuszkami palców po jej uchu. Zadrżała. Nachylił się nad nią. Spojrzeli

na siebie, ułamek sekundy, a potem się pocałowali.

Jak smakował Ola Haver? – zastanawiała się potem, kiedy już odszedł.

Nie patrzyli na siebie, tylko rozstali się, jakby to była scena w teatrze. Po prostu oddalili się od siebie, wymamrotali „cześć”, a on zamknął ostrożnie za sobą drzwi. Ann położyła rękę na klamce, drugą zakryła usta.

Niedobrze, pomyślała, ale zaraz pożałowała swoich słów. W ich krótkim spotkaniu nie było niczego niedobrego. Pocałunek, nieco niepewny, ale i pełen tęsknoty, pełen przyjaźni, ale i pożądania, które pojawiło się nagle, jak lawa, wybuchająca nieoczekiwanie i zamieniająca się w skamielinę, której nazwy nikt nie zna i której właściwości długo pozostają niezbadane.

Wróciła do kuchni. Ciasto wyszło spod ściereczki. Zdjęła ją, spojrzała na ciągle pęczniejącą masę. I wtedy nadszedł płacz. Chciała, żeby Ola został jeszcze chwilę. Jedną krótką chwilę. Wyobraziła sobie, że na pewno chciałby zobaczyć, jak piecze chleb. A ona nie miałaby nic przeciwko temu. Gołe ręce, podwinięte rękawy, cała masa ciasta, lepki opór wyrabianego ciasta i jego wzrok. Upiekłaby piękne złotobrzazowe bochenki. A teraz ciasto zamieniło się w bezkształtną masę, której nawet nie chciała dotykać.

Ola Haver schodził powoli ze schodów, po chwili przyspieszył kroku. Żołądek mu się buntował, w głowie miał chaos, kiedy wyszedł na podwórko, pokryte półmetrową warstwą świeżego śniegu, poczuł palący żal. Czy śnieg już nigdy nie przestanie padać?

Pomyślał o Rebecce i dzieciach i znów przyspieszył kroku. Kiedy dotarł na parking, podniósł głowę i zaczął wyglądać okien Ann, nie był pewien, czy potrafi je znaleźć. Stłumił odruch, żeby do niej wrócić, wsiadł do wyziębionego samochodu, ale nie był w stanie przekręcić kluczyka w stacyjce. Zadrżał i nagle zdał sobie sprawę, że ta jedna chwila w holu już na zawsze zmieni ich wzajemne relacje w pracy. Czy będą potrafili ze sobą współpracować? Westchnął ciężko, przeklinając własną słabość. Ich pocałunek był niewinny, a mimo to groził wybuchem. Od momentu, kiedy spotkał Rebeckę, nigdy nie całował innej kobiety. Zastanawiał się, czy ona się domyśli? Przesunął językiem po zębach. Ślady zewnętrzne znikają po kilku sekundach, ale te tkwiące głębiej zostają. Jednak w jakiś trudny do określenia sposób był zadowolony. Zdobył Ann, która była piękną kobietą i na pewno nie miała opinii łatwej. Wiedział, że to głupio, że o tym pomyślał, ale chłód, który w ostatnim czasie panował między nim a Rebecką, stworzył psychologiczną przestrzeń, w której ten jeden niewinny pocałunek dał mu poczucie zwycięstwa, którym teraz z pewnym oporem, ale

jednak się rozkoszował, jak dobrym cukierkiem. Przez moment bawił się myślą, że mógłby mieć z Ann romans. Czy ona chciałaby tego? Wątpliwe. Czy on by to udźwignął. Jeszcze bardziej wątpliwe.

Zaczął cofać samochód, wyjechał z parkingu. Świeży, nietknięty jeszcze śnieg uzmysłowił mu, że jest bardzo późno, i przypomniał o pokierszowanym ciele Małego Johna na wysypisku w Librobäck.

– Co to za białe plamy na twoim ubraniu?

Spojrzał na koszulę i zrobił się purpurowy na twarzy.

– Ann piekła – wyjaśnił z niezbyt mądrą miną. – Musiałem się pobrudzić.

– Ach tak, piekła – powiedziała Rebecka i zniknęła w sypialni.

Rozejrzał się dookoła. Kuchnia lśniła czystością. Zlew i blat były wytarte do sucha. Jedyne, co zakłócało nieco obraz, to do połowy wypalona świeczka i pojedynczy kieliszek z resztą wina na dnie. Stearyna spłynęła na świecznik, tworząc wymyślny wzór na pokrytej grynszpanem podstawce. Świecznik odziedziczył po babci, matce ojca. Pamiętał go z dzieciństwa. Babcia wyjmowała go na specjalne okazje. Kieliszek był z zielonego szkła, kupił go z Rebecką na Gotlandii, podczas ich pierwszych wspólnych wakacji. Wino było czerwone, Haver kupił je z myślą o sylwestrze, który mieli spędzać razem z Sammym Nilssonem i jego żoną.

Słyszał, jak Rebecka krąży po sypialni, jak opuściła żaluzję, zamknęła szufladę, zapaliła nocną lampkę przy łóżku. Widział ją przed sobą: zawzięta twarz, urywane, szybkie ruchy, jak zwykle, kiedy była wzburzona.

Otworzył lodówkę, wyjął piwo, usiadł przy stole i czekał na nadejście burzy.

Lennart roześmiał się i wstał z łóżka. Budzik zgotował mu brutalną pobudkę. Śmiał się na myśl o tym, jak zdziwieni będą wszyscy, kiedy za kwadrans szósta zobaczą pijaczną i niebieskiego ptaka, Lennarta Jonssona, porządnie ubranego, trzeźwego, z termosem kawy w ręku. Żadnej puszki piwa w drżących dłoniach, żadnego nerwowego szukania petów na poplamionym stole. Przypomniał sobie pewien poranek, gdy obudził się, kiedy Klasse Nordin siorbał własne rzygowiny, które kilka godzin wcześniej stał z podłogi w sklepie, w Konsumie, do torby foliowej.

Szlag by wziął te pijackie, skacowane poranki, pomyślał buńczucznie.

Wiedział, że na pewno nie zmarznie. Jego ojciec zawsze zazdrościł mu ciepłej bielizny firmy Helly Hansen, która pozostała mu z czasów, kiedy pracował na budowach. Albin często skarżył się na zimno. Latem narzekał na upały. Pod tym względem trudno było mu dogodzić, ale z drugiej strony było to chyba jedyne, na co narzekał. Nie narzekał nawet na Lennarta, kiedy świrował w młodości.

– M-m-mus-s-sisz się za-a-achowy-y-ywać ja-ak ludzie – mówił, jękając się. I to wszystko.

Wstając o wpół do szóstej rano, Lennart czuł się nieco nieswojo, ale był zadowolony. Do tego stopnia, że niemal uwierzył, że znów jest robotnikiem, który w ten wczesny grudniowy poranek jak zwykle wstaje do pracy. Śnieg ciągle padał, zasypując wszystko świeżym puchem. To, że miał pracować w dawnej branży ojca, wzmacniało jego poczucie własnej wartości. Dokona dzisiaj czegoś pożytecznego, będzie stał na chodniku, wskazywał ręką na dach i mówił: „Odśnieżamy, proszę przejść na drugą stronę ulicy”. Może doda jeszcze „dziękuję”, jeśli ktoś przypadnie mu do gustu. Chciałby, żeby któryś z jego kumpli od kieliszka akurat przechodził obok. Chociaż nie, chyba jednak nie. Zaczną go zagadywać, przeszkadzać mu w pracy.

Miał odpowiednie buty, ciepłą bieliznę i porządną kurtkę zimową. I rękawice firmy Fosforos, które chroniły nawet w trzydziestostopniowym mrozie. Leżały schowane głęboko w

szafie. Czarne, z szorstkiego materiału, z lekko sfilcowaną rękawiczką wewnętrzną. Był przygotowany.

Termos firmy Condor, na którym ktoś kiedyś wymienił literkę „r” na literkę „m”, był jaskrawo czerwony i miał szary kubek nakrętkę. Lennart pomyślał o kierowcy traktorka z pługiem, którego spotkał na placu Brantinga tej pierwszej nocy po śmierci Johna, kiedy wracał od Berit. Jeszcze długo potem wspominał smak słodkiej kawy i bijące z kabiny ciepło.

Znów wyglądał jak człowiek. Tak powiedziałby Albin.

Był trzeźwy. Czy właśnie dlatego znów zapragnął pracować? Od śmierci Johna właściwie nie pił, no może poza jednym piwkiem od czasu do czasu. Stał i patrzył przez okno. Wspomnienia o Johnie wróciły z całą siłą. Zresztą powracały cały czas, jakby przed jego oczami przewijał się film. Jak długo to będzie trwać? Aż morderca trafi za kratki, a potem jeszcze do końca życia, pomyślał. Utrata kogoś najbliższego, kogo życie było splecione z naszym, jest stratą na całe życie. Z nikim nie będzie potrafił rozmawiać w ten szczególny swobodny sposób, w jaki rozmawiał z Johnem. Nikt mu go nie zastąpi.

Weź się w garść, nakazał sobie w myślach, masz odśnieżać. A potem szukać mordercy. Kiedy zostanie zatrzymany, będziesz mógł zapisać się na śmierć, przemawiał do siebie. Uśmiechnął się pod nosem. Gdzieś w głębi duszy kiełkowało małe nasionko nadziei, że może i jemu uda się zacząć żyć jak ludzie. Oczywiście nie zamierzał zasuwać na posadzie od siódmej do czwartej, na to był zbyt leniwy. Poza tym miał chory kręgosłup. Ale mógłby na przykład na pół etatu pomagać Mickemu. Znał się trochę na blacharce, w końcu był najstarszym synem blacharza. A zimą zawsze padał śnieg. W rękawicach firmy Fosforos mógł pracować na dworze i w chłodzie na wietrze.

Ludzie nadal go poznawali, witali się, mówili „dzień dobry”, dawni kumple z budowy, z Ragnsellsa. Niektórzy nawet się zatrzymywali i zamieniali kilka zdań. Teraz pewnie będą pytać o Johna. A przecież nie może stać napakowany i opowiadać o zamordowanym bracie. Ciągle jeszcze funkcjonował w świecie ludzi, co prawda gdzieś na jego obrzeżach, taka ledwie migocząca gwiazda. Ale teraz znów zacznie silniej świecić! Chciał, żeby ludzie go zauważyli, żeby widzieli, jak dyryguje ruchem, każe babom przechodzić, żeby nie spadł na nie śnieg. Będzie stał tam z łopata w ręku, w tej swojej ogromnej, ciepłej rękawicy z szorstkiego, czarnego materiału.

Szukanie odpowiedzi na pytanie, co brat robił po tym, jak wyszedł od Mickego, uświadomiło Lennartowi, jak niewiele wiedział o Johnie. Jaki był, kiedy spotykał się z innymi ludźmi? Jaką funkcję pełnił w Stowarzyszeniu Akwarystów? Był ekspertem, ludzie słuchali go, kiedy opowiadał o rybach. Nie znali historii jego życia, dla nich był po prostu miłym



facetem, który pasjonował się pielęgnicami. W ich świecie John zachowywał się inaczej. W pewnym sensie Lennart odbierał to jako zdradę, wobec niego i życia, które bracia kiedyś wiedli. Do tej pory uważał pasję brata za hobby, takie jak wiele innych, ani lepsze, ani gorsze. Ludzie grali w kręgle, chodzili na wyścigi, nie było w tym niczego dziwnego. Jasne, że był dumny z akwarium brata, największego w mieście, bo przecież część splendoru spływała także na niego. Teraz jednak dotarło do niego, że John był także szanowanym ekspertem, do którego ludzie dzwonili, którego prosili o radę. To było coś innego, to było inne życie.

No i do tego poker. Nie miał pojęcia, że John wygrał tyle pieniędzy. Dlaczego nic mu nie powiedział? John nie należał do ludzi, którzy chodzą i wszystkim się chwala, ale jednemu bratu mógł chyba powiedzieć, że wygrał niezłą sumkę. Dlaczego milczał? Nawet Berit nie miała o niczym pojęcia. Tylko Micke wiedział, o jaką sumę chodzi, chociaż też nie chciał tego zdradzić.

Co on knuł? W ostatnich dniach Lennart wielokrotnie zadawał sobie to pytanie. Był przekonany, że jeśli w końcu znajdzie na nie odpowiedź, to znajdzie też mordercę. Miał wrażenie, że brat zajmował się czymś zakazanym, co przyczyniło się do jego śmierci.

A przecież był w stanie go chronić. Gdyby tylko John mu się zwierzył, chodziłby za nim dzień i noc. A on go do niczego nie dopuścił. To bolało Lennarta podwójnie.

Micke stał na Dragarbrunnsgatan; firmowy wóz zostawił na chodniku. Kiedy nadszedł Lennart, zdążył już wyładować większość sprzętu.

– Lepiej robić takie rzeczy wcześniej rano w niedzielę – powiedział, wyjmując kolejne czerwone pacholki.

Lennart nie odpowiedział, pomagał mu w milczeniu. Minęło kilka lat od czasu, kiedy ostatnio miał na sobie zimowy rynsztunek, czuł się jak w przebraniu. Usiłował skupić się na pracy. Zadanie nie było trudne. Trzeba było wyładować sprzęt, ustawić tablice ostrzegawcze, wygrodzić teren.

Micke rozmawiał z administratorem budynku, który przekazał mu klucze i pozwolenie na wejście na dach. Lennart spojrzał w górę. Wysoko. Ale poradziłby sobie, tyle że Micke nigdy mu na to nie pozwolił.

Lęk wysokości pojawiał się i znikał. Ojciec wielokrotnie zabierał go ze sobą na różne dachy. Wtedy się nie bał. Strach przyszedł później. Nigdy nie lubił pracować na rusztowaniu czy pod wysokim sklepieniem, nigdy jednak nie dał tego po sobie poznać.

Pierwsza godzina minęła bez problemu. Poranny ruch gęstniał, Lennart rozglądał się bacznie, żeby nikt nie wchodził na wygrodzony teren. Mróz okazał się nie taki straszny, można było o nim zapomnieć, wystarczyło parę razy zabić ręce i przespacerować się kawałek

ulicą.

Kierowcy autobusów, mijając go, kiwali mu głową. Jakaś starsza kobieta narzekała, że blokują ulicę. Stary znajomy z Ymergatam przeszedł obok niego, udając, że go nie widzi, a może rzeczywiście nie poznał go w tym przebraniu?

Koło dziewiątej Lennart zaczął odczuwać pełzający niepokój. To właśnie o tej porze grupki potrzebujących zaczynały się zbierać przy sklepie monopolowym. Na szczęście Micke zszedł z dachu i zarządził przerwę na kawę, więc przez chwilę miał czym zająć myśli. Wypili kawę w furgonetce. Z kubków leciała para, szyby natychmiast zaparowały.

– Dobrze nam idzie – stwierdził Micke. – Jak tam babcie?

– Spoko. Większość nie narzeka. Tylko trochę to nudne.

Micke spojrzał na niego. Może domyślał się, co chodziło mu po głowie? Dolał kawy.

– Nie ciągnie cię na dach? – spytał, jakby czytał w jego myślach.

– Nie, nie powiedziałbym.

– Pracowałeś kiedyś z Albinem?

– Właściwie nie. Czasem trochę mu pomagałem. Teraz nikt mnie już nie weźmie.

Resztę krótkiej przerwy spędzili w milczeniu. Lennart poczuł, że niepokój powraca. Powinienem szukać mordercy, a nie sterczeć tu i udawać, że coś robię, pomyślał z wyrzutem.

Podczas przedpołudnia kilka razy przenosili pachołki, przesuwali się wzdłuż ulicy. Sople lody spadały i z cichym trzaskiem rozbijały się o chodnik. Ludzie zatrzymywali się, zafascynowani przyglądali się iskrzącym się soplom i kaskadom rozpryskującego się lodu.

Lennart odgarniał śnieg i lód na brzeg chodnika, zerkając jednocześnie do góry i na boki. Zrobił sobie krótką przerwę, oparł się na łopacie. Nagle dostrzegł wśród przechodniów znajomą twarz: kobieta szła i pchała dziecięcy wózek. Lennart zrobił kilka kroków w jej stronę. Ich spojrzenia się spotkały.

Kobieta skinęła głową, zwolniła.

– Witaj, Lennart. Widzę, że znalazłeś sposób na ten mróz?

– Cześć. Ktoś musi to robić.

– Jak sobie radzisz? Słyszałam o Johnie.

Lennart spojrzał w górę na fasadę budynku. Podeszedł bliżej do kobiety.

– Wiesz może coś więcej?

– Jestem na urlopie macierzyńskim.

– Ale coś na pewno słyszałaś.

Ann Lindell pokręciła głową przecząco.

– Wiesz, że grał w karty i zgarnął kupę szmalu?

– Słyszałam, ale nie znam żadnych szczegółów.

– Mogę ci coś podpowiedzieć.

– Dochodzenie prowadzi Ola Haver. Znasz go?

Teraz Lennart pokręcił głową.

– Do mnie przyszedł ten Sammy. Nie lubię go.

– Ma swoje wady, ale to zdolny policjant.

– Zdolny policjant – powtórzył Lennart.

Z dachu zleciał kawał śniegu z lodem, Lennart zrobił kilka kroków w stronę jezdni. Na szczęście w pobliżu nie było pieszych. Wrócił na chodnik, podszedł bliżej do Lindell.

– Chcę z tobą pogadać.

– Jestem na macierzyńskim.

– Umówmy się na kawę. Tylko nie teraz. Muszę pilnować, żeby żadnej babci nic się nie stało.

Lindell roześmiała się. Spojrzała na synka w wózek. Wystawał mu tylko czubek noska i usta.

– Wpadnę do ciebie o wpół do szóstej. Może być?

Lennart pokiwał głową. Z góry leciała nowa porcja śniegu. Lindell wiedziała, że źle postępuje, ale może Lennart jednak coś wiedział? Do Sammy'ego najwyraźniej nie miał zaufania, może z nią będzie bardziej szczerzy? Tęskniła za pracą tak bardzo, że uznała, że nie będzie się oglądać na kolegów.

– Mieszkasz tam, gdzie mieszkałeś?

Lennart skinął głową i wrócił na jezdnię. Wysoko w górze dostrzegł głowę Mickego. Mimo sporej odległości wyczuł, że Micke jest rozdrażniony. Rozłożył ręce i demonstracyjnie stanął na środku ulicy.

Ola Haver przyglądał się nożowi. Miał dobre dwadzieścia centymetrów długości, czarną rączkę i ostre ostrze. Kto używa takiego noża? Haver rozmawiał z kolegami, którzy byli myśliwymi, i wszyscy uznali, że nóż był zbyt nieporęczny, żeby służyć myśliwemu czy wędkarzowi. Dla rzeźmieszków na ulicy też się nie nadawał – nie można było schować go pod ubranie. Być może jakiś nastolatek uznałby, że fajnie pomachać komuś przed nosem takim nożem, ale na pewno nie nosiłby go ze sobą cały czas. Berglund zasugerował, że może to nóż, który kupił jakiś turysta. Brakowało pochwy, może była ozdobna i to skusiło nabywcę?

Haver obracał nóż i oglądał go na wszystkie strony. Ponownie przesłuchał chłopaka, który twierdził, że znalazł go w samochodzie na parkingu Szpitala Akademickiego. Haver mu wierzył. W oczach nastolatka widział przerażenie, nie kłamstwo. Mattias nie był mordercą, tylko drobnym złodziejaszkiem, chociaż pewnie też nie stronił od ulicznych burd. Można było mieć nadzieję, że chłopak wyciągnie jakieś wnioski z całej tej historii.

Haver poprosił Lundina, żeby sprawdził, kto zwykle zostawia samochody na szpitalnym parkingu. Okazało się, że mnóstwo ludzi. Przede wszystkim personel szpitala, który miał do dyspozycji własne piętro, poza tym pacjenci i ich rodziny. Setki ludzi korzystało codziennie z parkingu. Głównie pacjenci przychodni. Przecież sam też zostawiał tam samochód, kiedy kilka lat temu chodził do szpitalnej przychodni do ortopedy.

Zastanawiali się, jak ustalić, kto w tym konkretnym dniu mógł tam być, szybko jednak uznali, że to nierealne. Już samo zebranie nazwisk byłoby szalenie skomplikowane i czasochłonne. Jedyne, co policja miała, to niezbyt precyzyjne informacje Mattiasa, że był to pick-up, najpewniej czerwony, z białą plandeką. Kiedy zabrali chłopaka na parking, żeby pokazać miejsce, gdzie stał wóz, Mattias zaczął się nagle zastanawiać, czy plandeka była zamontowana na stałe, czy nie, co oznaczało, że mieli do wyboru co najmniej dziesięć różnych modeli. Jedyne, czego chłopak nadal był pewny, to że wóz był czerwony.

Czy morderca był ranny i dlatego pojechał do szpitala? Policja sprawdziła listę

pacjentów na izbie przyjęć i na chirurgii i nie natrafiła na żaden ślad.

Znalezienie narzędzia zbrodni często posuwało dochodzenie do przodu, w tym przypadku była to raczej ślepa uliczka. Żeby nóż mógł być dowodem, muszą nie tylko znaleźć podejrzanego, ale też powiązać osobę z narzędziem zbrodni.

Haver włożył nóż z powrotem do torebki. Siedział przy biurku i się zastanawiał. W myślach przeskakiwał od dochodzenia do Ann Lindell. Pocałunek, który wymienili, wisiał jak chmura nad jego głową. Dręczyła go niepewność. Po raz pierwszy od ślubu z Rebecką pojawiła się wątpliwość. Potyczki, które prowadzili ze sobą całą jesień, a potem zawieszenie broni, milczenie i niewypowiedziane pytania, doprowadziły ich do stanu wojny. Rebecka nie wracała do jego wizyty w mieszkaniu Ann, nie robiła też żadnych uwag na temat śladów po mące na jego ubraniu. Posłała mu jedynie lodowate spojrzenia, a jej ruchy stały się znów szybkie, nonszalanckie. Unikała go. Ranek spędziła głównie w łazience, wzięła bardzo długi prysznic, a potem wróciła do sypialni. Śniadanie zjedli osobno, co Haver uznał za dobre rozwiązanie. Nie musiał obawiać się jej spojrzeń.

Teraz bał się powrotu do domu. Miał powiedzieć jej prawdę? Będzie wściekła. Nie od dzisiaj wiedział, że jest zazdrosna, przede wszystkim o Ann Lindell. Haver niechętnie opowiadał o niej w domu, wiedział bowiem, że Rebecka nie jest zachwycona ich bliską współpracą. Do tej pory nie miała powodu do zazdrości, ale jeśli powie jej o pocałunku, rozpęta się piekło. Nawet jeśli przyjmie jego tłumaczenie, podejrzliwość pozostanie.

Zdecydował, że nic jej nie powie. Trochę mąki na koszuli i jeden krótki pocałunek, i na tym koniec. Nie zaprzeczał jednak, że czuł dziwną mieszaninę dumy i wstydu z powodu tego, że zawiódł Rebeckę. Jednocześnie cały czas jakiś głos mówił mu, że powinien ponownie odwiedzić Ann i pójść dalej, wkroczyć na zaminowany teren.

Dawno już nie czuł się atrakcyjny jako mężczyzna. A teraz okazało się, że ktoś go pragnie. Nie narzucał się jej. Ann była tak samo winna jak on. Jeśli w ogóle można było w tej sytuacji mówić o winie. Zatrzymali się na pocałunku, ale czuł, że Ann gotowa była pójść dalej. Kiedy sobie to uświadomił, był wściekły. Bo to ona go kuszyła. Wiedziała, że jest z Rebecką, wiedziała też, że Rebecka jest zazdrosna. Ale też oboje byli dorosłymi ludźmi i oboje potrzebowali bliskości drugiego człowieka. Nie licząc Rebecki, Ann była najbliższą mu kobietą. Praca bardzo ich zbliżyła, ale poza wzajemnym szacunkiem dla swoich zawodowych umiejętności zawsze było między nimi pewne napięcie.

Teraz też. Podziemne kanały i gorące źródła w ich ciałach zostały rozbudzone. Czy była to miłość, czy raczej tęsknota za ciepłem? A może był to po prostu wyraz przyjaźni? Niekiedy granice się zacierały.

Między nim a Rebecką wiele się popsulo. Namiętność Ann, kiedy go obejmowała, i reakcja jego ciała były nie tylko wyrazem pożądania i poczucia wspólnoty, ale też dowodem na to, jak nędzne było jego życie uczuciowe. On i Rebecka byli nieszczęśliwi, po prostu. Wystarczył jeden pocałunek, żeby to zrozumiał.

Czy miał nadal żyć z Rebecką? Musiał. Mieli dwójkę dzieci i nadal się kochali.

Tak przynajmniej sądził.

Allan Fredriksson studiował raport Ryde'a z przeszukania mieszkania Vivan Molin. Nic, co mogłoby go zdziwić. Wszędzie było pełno odcisków palców Vincenta Hahna.

Jedynie, co sprawiło, że Allan uniósł brwi, to kajdanki, które technicy znaleźli schowane w szafie, razem z dwoma filmami pornograficznymi i aparatem do masażu. Na baterię, dwustopniowy, odnotował zachwycony Ryde.

Teraz próbowali zebrać informacje o rodzinie kobiety i jej znajomych. Rodzice nie żyli, żadnego rodzeństwa. W notiesie telefonicznym znaleźli numer telefonu do „ciotki Bettan”, zaczynał się na 021. Zadzwonili, nikt nie odebrał. Fredriksson-poprosił jednego z młodych aspirantów, Juliusa Sandemara, żeby ponownie spróbował się skontaktować z bratem Hahna w Tel Awiwie. Wychodziło na to, że był jedyną osobą, która mogła udzielić im informacji na temat ewentualnych krewnych. Poza tym powinien zostać poinformowany, że jego brat był podejrzany, i to na mocnych podstawach, o napaść na kobietę i morderstwo.

Ktoś zaczął się zastanawiać, czy Hahn nie będzie próbował opuścić kraju i udać się do brata w Izraelu, ale okazało się, że Vincent Hahn nigdy nawet nie wystąpił o paszport. Mimo to koledzy na lotnisku Arlanda zostali poinformowani.

Fredriksson nie miał pojęcia, gdzie Hahn mógł teraz być. Dziwne, pomyślał, że człowiek może w ogóle nie utrzymywać żadnych kontaktów z otoczeniem. Dokąd może pójść osoba samotna? Do knajpy? Trudno było mu wyobrazić sobie Hahna siedzącego na wysokim barowym stołku. Do biblioteki? Bardziej prawdopodobne. Każe Sandemarowi wziąć zdjęcie Hahna i pokazać je personelowi biblioteki. Może w Sävja też była jakaś filia biblioteki? Chociaż to raczej mało prawdopodobne. W ostatnim czasie biblioteki raczej zamykano.

Sprawdzili w przychodni w Sävja i w Szpitalu Akademickim, ale Vincent Hahn nigdzie nie figurował jako pacjent. W szpitalu Ulleråker leczył się na depresję, ale to było osiem lat temu. Lekarz, do którego wówczas chodził, pracował teraz gdzie indziej.

Przeszukanie mieszkania dało kiepskie rezultaty. Fredriksson domyślał się, że Hahn wcześniej czy później gdzieś się pojawi, ale bierne czekanie na błąd mordercy mu nie

odpowiadało. Chciał go namierzyć, tylko zaczynało brakować mu wyobraźni.

Sprawa była łatwiejsza, kiedy mieli do czynienia ze zwykłymi przestępcami, kiedy znali ich kryjówki, grono znajomych. Psychicznie chory człowiek, samotnik, był nieobliczalny, a tym samym trudniejszy do odnalezienia. Z drugiej strony doświadczenie nauczyło Fredrikssona, że kiedy lawina już zaczęła się toczyć, tacy ludzie łatwiej popełniali błędy, niekiedy próbowali nawet w jakiś sposób zaznaczyć swoją obecność i wtedy łatwiej było ich złapać.

Fredriksson był przekonany, że mają do czynienia z dwoma różnymi mordercami. Właściwie już tylko Sammy upierał się, że Hahn miał coś wspólnego z morderstwem Małego Johna. Wyznawał teorię, że postanowił się zemścić za swoje szkolne cierpienia z czasów, kiedy cała trójka chodziła do szkoły w Vaksala. Nie wierzył w przypadki, dlatego szukał teraz jakiegoś związku. Ottosson niczego mu na razie nie zabraniał. Zaczął więc szukać kolegów i koleżanek z klasy Johna, Gunilli Karlsson i Hahna. Okazało się, że większość nadal mieszka w Uppsali. Rozmawiał już z wieloma z nich, ale nie znalazł niczego, co wskazywałoby na to, że Hahn realizuje własną, nieco spóźnioną wendetę. Z drugiej strony w mózgu Vincenta mogło pozostać wspomnienie czegoś, co teraz motywowało go do zbrodni.

Po opuszczeniu mieszkania byłej szwagierki Vincent Hahn skierował kroki na Vasalagatan, skąd pojechał autobusem do miasta. Czapka, którą ukraść dzień wcześniej, dobrze zakrywała ranę na czole. W mieszkaniu Vivan znalazł siedemset koron i to było wszystko, co miał. Zostało mu tylko jedno miejsce, dokąd mógł pójść.

Zapach ludzi w autobusie wprowadził go w zakłopotanie, denerwował go. Jednak wspomnienie charczenia Vivan, kiedy coraz mocniej zaciskał kabel wokół jej szyi, dodawało mu pewności siebie. Rósł. Był ponad tych nędznych ludzi w autobusie. Nie miał z nimi nic wspólnego. Byli mali. A on był wielki.

Vivan zapewniała go, że nikomu nic nie powie, ale w jej oczach widział, że kłamie. Kiedy jej ciało zaczęło drżeć, poczuł podniecenie. Próbowała go drapać, ale nie dosięgnęła go. Kolanami przytrzymał jej ręce. Po kilku minutach było po wszystkim. Przeciągnął ją po podłodze, wsunął pod łóżko i zostawił tam, żeby gniła. Kiedy zacznie cuchnąć, wtedy na pewno ją znajdą, ale on będzie już daleko.

Śmiał się cicho sam do siebie. Zadowolenie z tego, że tak świetnie sobie poradził, przepełniało go niemal bolesnym uczuciem błogości. Żałował tylko, że nie ma z kim się nim podzielić. Za tydzień pewnie przeczyta o wszystkim w gazecie. Wtedy ludzie zrozumieją, że z



Vincentem Hahnem nie ma żartów.

Zatrzymał się zdziwiony, kiedy na dworcu zobaczył artykuł w „Upsala Nya Tidning”, z krzyżącym nagłówkiem „Morderstwo w Uppsali pozostaje nierozwiązane”. Wpatrywał się w czarne litery, próbując zrozumieć, o co chodzi. Czyżby Gunilla Karlsson umarła? To chyba niemożliwe. Co prawda pamiętał, że leżała na dziedzińcu i krzyczała, ale on był w znacznie gorszym stanie. Kupił gazetę, wcisnął do kieszeni i szybko ruszył dalej. Na placu przed dworcem odbywała się jakaś impreza. Kilkanaście osób, przebranych za krasnali, wykonywało jakiś taniec, w rękach mieli dzwoneczki. Nagle wszyscy rzucili się na ziemię i leżeli tak przez chwilę, bez życia. Vincent przyglądał się przedstawieniu zafascynowany. Po chwili krasnale zaczęły się budzić, podnosiły się powoli, tworząc koło wokół trzynastego krasnala, który nadal leżał na brukowanym placu.

– Ciemności świąt – krzyknął jeden z krasnali.

Vincent pomyślał, że może to jakaś sekta wieszcząca nadejście Sądu Ostatecznego, ale spektakl mu się podobał. Dźwięk dzwoneczków towarzyszył mu aż do Bangårdsgatan.

W salonie bingo było wyjątkowo mało ludzi. Skinął głową dwóm znajomym, większość pochłonięta była grą. Zajął swoje stałe miejsce, usiadł i rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie zobaczył zdjęcie Johna Jonssona. Dziennikarz, autor artykułu, zastanawiał się, co mogło być motywem zbrodni. Podkreślał barwną przeszłość Johna i fakt, że zawodowo grywał w pokera, chociaż jego prawdziwą pasją były rybki akwariowe.

Wypowiadał się też przedstawiciel Towarzystwa Akwarystycznego. Twierdził, że śmierć Johna to tragedia, a wszyscy pasjonaci pielęgnic ponieśli niepowetowaną stratę.

Najwięcej miejsca poświęcono jednak spekulacjom na temat ewentualnych powiązań Johna z podziemnym światkiem Uppsali i nielegalnymi kasynami gry.

Vincent przeczytał artykuł z dużym zainteresowaniem. Bardzo dobrze pamiętał Johna. Cichy, niski chłopak, którego małomówność zdobywała mu szacunek, ale tworzyła też wokół niego klimat niepewności. Mieszkał niedaleko Vincenta i w pewnym okresie, pod koniec podstawówki, zdarzało się, że razem szli do szkoły. Vincent siedł, na ogół milcząc, obok niego. Miał uczucie, że John docenia jego małomówność.

Odłożył gazetę. Ból głowy powrócił. Wpatrywał się w zdjęcie swojego byłego kolegi szkolnego. Kiedy zmarł? Czy jego plan zemsty też go obejmował? Dręczyciele muszą zostać ukarani. Wzdrygnął się, ożyły wspomnienia. Przypomnił sobie ojca. Stał nad nim, matka była w kuchni, jak zwykle na coś narzekała, i wtedy padały razy.

– Nie! – krzyknął, a siedzący obok niego gracze wzdrygnęli się i spojrzeli na niego z dezaprobatą.

Razy padały. Skulił się. Raz oddał ojcu, ale to tylko pogorszyło sprawę. A teraz wspomnienie ojca drążyło jego ciało niczym robak, pasożytowało na nim. Zdjęcie Johna w gazecie przypomniało mu o ojcu, wymierzanych razach i milczeniu. Dlaczego bił właśnie jego? Był najmłodszy, najbardziej niewinny, bezbronny. Wolfgang dostał miłość, dla niego były razy i upokorzenie.

Czy to on zamordował Johna? Znów spojrzał na zdjęcie w gazecie. Może nadszedł czas zemsty? Nikt się o niego nie troszczył. Skąd brał się gniew ojca, który skłaniał go do wymyślania coraz bardziej sadystycznych kar? Początkowo bił go pięściami, potem paskiem, a potem karał go w najgorszy sposób z możliwych, wkładając mu głowę do umywalki z wodą.

Vincent zadrżał. Ból głowy stawał się nie do wytrzymania, jeszcze chwila, a zamieni się w jęczący worek kości i mięsa. „Dostałeś za swoje, John. Nawet jeśli nie ja cię zabiłem, to ktoś najwyraźniej postanowił mnie wyręczyć”.

Vincent pocił się pod wełnianą czapkę. Swędziała go głowa. Chciało mu się płakać, ale wiedział, że jego kanaliki łzowe nie funkcjonują tak jak u innych ludzi. Przestał płakać, kiedy skończył trzynaście lat.

Oparł głowę o dłonie. Czuł na sobie spojrzenia ludzi. Powinien zacząć grać. John był bardzo blisko. Zdjęcie bez wyrazu, bez emocji, nieostre.

– Umarłeś – wymamrotał. – Niedługo przyjedzie kolej na Janne albo na kogoś innego.  
– Vincent nie pamiętał kolejności na liście, którą kiedyś sporządził. Twarze mu się zlewały. Nagle na zdjęciu nie było już Johna, był ojciec. Obudził się za późno! Kiedy nadeszła pora zemsty, jego ojciec zamknął się już w chorobie, zżarły go toczące jego duszę robaki, został tylko szkielet. Vincent pamiętał jego wychudzoną dłoń, trzymającą się szpitalnego łóżka. Chwycił ją i ścisnął, najmocniej jak potrafił. Ojciec krzyknął, spojrzał na niego swoimi szalonymi oczami, zrozumiał. A potem uśmiechnął się swoim szatańskim uśmiechem, którym uwodził kobiety, ale który zniszczył Vincenta. Wszyscy wokół uważali, że jest czarujący, ale Vincent wiedział swoje.

Zdjęcie ojca w gazecie śmiało się do niego. Uderzył w nie ręką. Podeszedł do niego jeden ze strażników.

– Lepiej będzie, jeśli pan wyjdzie. Przeszkadza pan grającym.

Nie był niemiły, w żaden sposób.

– Tak, już wychodzę – powiedział Vincent pokornie. – Po prostu boli mnie głowa.

Zdjął czapkę, pokazał niezbyt profesjonalny opatrunek.

– Co się stało?

– Tata mnie uderzył.

– Tata?

Vincent pokiwał głową.

– I brat też.

Wstał.

– Pójdę już.

– Powinien pan iść do lekarza – poradził mu strażnik.

– Mój ojciec był lekarzem, tak mi się wydaje. Albo kimś podobnym. Mama mówiła głównie po niemiecku. Była Żydówką, a on był nazistą. A może komunistą. Nie, chyba nie. Komuniści są czerwoni, a on był czarny.

– Był Murzynem?

Vincent wytoczył się na ulicę. Bangårdsgatan przypominała tunel wietrzny, w którym hulał wiatr. Ludzie szli skuleni, zakrywali głowy kapturami, czapkami, zawiązywali mocniej szaliki. Śnieg tłumiał ich kroki. Minęła go karetka. Ciężarówki, przewożące towary, zakorkowały ulicę, zasłaniały widok. Chciał spojrzeć w dal, zaczął iść w dół, do rzeki.

Lennart Jonsson był wykończony. Było wpół do piątej, wszędzie panowała ciemność, na zewnątrz i w środku. Mieszkanie tonęło w ciemności. Ściągnął z siebie ubranie, rzucił wszystko na kupę na podłodze. Czuć było od niego pot, ale zapach nie był szczególnie nieprzyjemny. Przeciągnął dłonią po owłosionej klatce piersiowej, po ramieniu i lewej ręce. Coś jeszcze zostało z jego dawnych mięśni. Podrapał się po łonie, poczuł narastające podniecenie.

Bolały go plecy, ale do tego zdążył już przywyknąć, do tego stopnia, że nie zwracał na to uwagi. Miał jeszcze kilka tabletek voltarenu, postanowił zażyć jedną. W drodze do łazienki jego nozdrza zarejestrowały obcy zapach. Zatrzymał się, powąchał. Perfumy, wyraźny zapach obcych perfum.

Rozejrzał się. Ktoś był w jego mieszkaniu. A może nadal tu jest? Wycofał się ostrożnie do kuchni, chciał się uzbroić. Nie podobało mu się to, że stoi tu goły, sięgnął po bieliznę na podłodze. A może jednak się mylił? Nie, wyraźnie czuł zapach. Kobiety czy mężczyzny? Nasłuchiwał intensywnie.

Poszedł na palcach do kuchni, wyciągnął szufladę ze sztućcami, wyjął nóż do chleba z zębatym ostrzem.

– Odlóż go – usłyszał czyjś głos. – Bo inaczej pożałujesz.

Głos dochodził z kuchni, Lennart domyślił się, że ktoś siedzi przy stole. Rozpoznał głos, ale zdenerwowany nie potrafił go zidentyfikować. Doświadczenie mówiło mu, że nie wolno mu go lekceważyć, rzucił nóż na blat.

– Kim jesteś, do cholery?

– Zapal światło.

Lennart szybko włożył bieliznę, odwrócił się, zapalił lampę nad kuchenką. Przy stole siedział Mossa, Irańczyk. Na stole leżał pistolet.

– To ty? Co, do...

– Siadaj. Musimy pogadać.

Lennart posłusznie wykonał polecenie. Wiedział, co zaraz usłyszy.

– To nie byłem ja – powiedział, a Irańczyk zaśmiał się drwiąco.

– Wszyscy tak mówią. – Chwytał pistolet. – A teraz powiedz mi, kto poleciał z gębą do gliniarzy?

– Na pewno nie ja – zapewnił go Lennart. – Masz mnie za takiego kretyna?

– Owszem. Mogłeś chcieć się im przypodobać. Pomyślałeś, że gliniarze ci pomogą. Jesteś świr. A ja ci zaufałem. Rozmawialiśmy o twoim bracie. Lubilem go, ale ciebie nie lubię.

– Ktoś inny musiał coś chlapnąć. Ktoś, kto tam był.

Nie chciał mówić mu, że to Micke powiedział glinom o tamtej październikowej partii pokera. Poza tym nie był pewien, czy Micke wiedział, kto w niej brał udział. John mógł mu to powiedzieć, ale było to mało prawdopodobne. O takich rzeczach się milczy.

– Sam w to nie wierzysz – rzekł Mossa. – Spaliłeś mnie. Tamci mnie nie obchodzą, ale nikt nie będzie sobie wycierał gęby moim nazwiskiem, rozumiesz?

Lennart pokiwał głową.

– Rozumiem, ale to naprawdę nie byłem ja. Sam też węszę, przecież wiesz. Dlatego do ciebie przyszedłem.

– Usługa za usługę?

– Też masz brata, którego kochasz, Mossa. Więc powinieneś mnie zrozumieć. Zrobię wszystko, żeby dorwać mordercę Johna.

– Nie mieszaj do tego Alego!

– On jest bratem, John też był bratem.

Irańczyk zamilkł, jakby ważył jego słowa.

– Jesteś śmieć – powiedział w końcu. Wstał, w dłoni nadal trzymał pistolet. – Włóż bluzkę. Nie zabiję kogoś, kto ma goły tors.

– A zabij mnie, idioto, myślisz, że mi zależy? – mruknął Lennart. Stał i patrzył na Irańczyka hardo.

Mossa się roześmiał.

– Masz nie po kolei w głowie.

– Ty zabiłeś Johna?

Irańczyk pokręcił głową, uniósł pistolet, wycelował w nogi Lennarta, w kolana.

– To nie byłem ja – powtórzył Lennart, strużki potu spływały mu po twarzy.

Właściwie to poczuł ulgę. Już kiedyś doświadczył podobnego spokoju, pewnej nocy, kiedy się upił, i nagle poczuł, jak ze strachu wali mu serce. Wtedy też gotów był umrzeć,

pogodzony ze swoim zasranym życiem. Wstał, poszedł napić się wody, spojrzął na siebie w lustrze, wrócił i położył się, a serce nadal skakało mu w piersi.

Mossa uniósł pistolet kilka centymetrów.

– Przypominasz mi pewnego Armeńczyka, którego kiedyś spotkałem – powiedział. – Też był odważny przed śmiercią.

Lennart uklęknął.

– Palnij mi kulkę w łeb – wyrzucił z siebie i zamknął oczy. Mossa opuścił pistolet, kopnął Lennarta w usta, nachylił się nad nim.

– Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o życiu twojego brata, to idź pogadaj z tą dziwką, jego żoną – wysyczał i wyszedł z mieszkania.

Kiedy Mossa go kopnął, Lennart upadł. Leżał teraz na podłodze i trząsł się z zimna.

Dwadzieścia minut później zdążył już wziąć ciepły prysznic i teraz siedział owinięty ręcznikiem. Wargę mu pękła, skleił ją taśmą klejącą, żeby powstrzymać krwawienie. Wzdrygnął się, kiedy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Zapomniał, że Lindell obiecała go odwiedzić.

Otworzył, przygotowany chyba na wszystko, ale nie na widok dziecięcego wózka.

– A nich to – powiedział, cofając się do mieszkania.

Usiedli w pokoju dziennym.

– Co się stało?

– Potknąłem się w pracy – zbył Lennart. – Dostałem łopata w twarz.

– Nie masz plastra?

– Wystarczy taśma klejąca.

Poczuł, że wyszło z niego powietrze. Wczesna pobudka, a potem praca na śniegu i niespodziewana wizyta Irańczyka... Gdyby nie to, że naprzeciwko niego siedziała Lindell, zasnąłby w ciągu kilku minut.

– Podobno coś wiesz – zaczęła Lindell. – Dlaczego nie powiedziałeś o tym Sammy'emu?

– Mówiłem, że go nie lubię. Jest zbyt pobudliwy.

– Ty też bywasz – stwierdziła Lindell. – Żebyś sobie nie myślał.

Lennart roześmiał się, ale rozcięta warga sprawiła, że uśmiech zamienił się w grymas.

– Zostałaś prywatnym detektywem?

– Nie, skądże, ale to chyba oczywiste, że interesuję się sprawą.

– Dlaczego gliniarze nie zajmują się szukaniem mordercy mojego brata?

– To chyba nie tak. O ile wiem, sprawa ma wysoki priorytet.

– Gadanie! Traktujecie go jak podstarzałego ćpuna, którym nie warto sobie zawracać głowy. Gdyby to była jakaś gruba ryba, wtedy zrobiłby się ruch.

– Wszystkie morderstwa traktujemy równie poważnie – powiedziała Lindell stanowczo. – Dobrze o tym wiesz.

– Co wiecie? Był w domu u Mickego, a potem zniknął. Sprawdziliście alibi Mickego?

– Zakładam, że tak.

– Zakładasz, że tak, a ja niczego nie zakładam. Wiecie, że John grywał w karty?

Lindell skinęła głową.

– Gadaliście z jego kompanami? Na pewno są wśród nich jakieś podejrzane typki.

– Nie uczestniczę w śledztwie, ale policja na pewno sprawdziła wszystko, co mogło mieć cokolwiek wspólnego z Johnem.

– Czyli krótko mówiąc, nic nie wiecie. Na przykład, co się stało z pieniędzmi?

– Z jakimi pieniędzmi? – spytała Lindell, wiedząc doskonale, że Lennart ma na myśli wygraną brata.

– Przecież wygrał. Nie wiedziałaś?

Lindell pokręciła głową.

– Na pewno wiedziałaś – stwierdził Lennart spokojnie. Przywykł, że policja nigdy nie mówi wszystkiego, i zastanawiał się, jak ją podejść, żeby powiedziała mu coś więcej.

Lindell roześmiała się, wstała i podeszła do wózka.

– A co z Berit, która teraz udaje świętą krowę? Ze mną nie chce gadać, rozmawia tylko z matką i z Justusem. A to ze mną powinna pogadać, tylko że ona ma się za lepszą. To pewnie ona położyła łapy na tym szmalu.

Ann obserwowała, jak mężczyzna zaciska dłonie.

– Jestem jego bratem i to ja muszę załatwić sprawę. Jestem pewien, że baba ściemnia.

Nagle podniósł głowę. Spojrzał na Lindell, ich wzrok się spotkał.

– Ale pewnie nie będziecie naciskać na wdowę, która tonie we łzach.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Została przesłuchana. Tym bardziej że nawet jeśli ty jesteś jego bratem, to Berit pewnie wie znacznie więcej o tym, co ostatnio się z nim działo. Dlaczego miałaby ściemniać, jak to określiłeś?

– Bo ona zawsze... – zaczął Lennart, ale nagle urwał. – Babom nie można wierzyć – dodał po chwili.

Lindell nie bardzo wiedziała, czy ma to potraktować jako żart, czy też za półsłówkami

kryje się coś więcej.

– Dorwę go – wycedził Lennart przez zęby. – Znajdę tego śmiecia, który zabił mi brata, a jeśli Berit się przy tej okazji dostanie, to trudno. Sama się o to prosiła.

Lindell usiadła, czekała w milczeniu.

– Od kogo oberwałeś?

– O co ci do diabła chodzi?

– Na podłodze w kuchni jest krew.

– Krwawiłem, kiedy wróciłem do domu.

– W kuchni?

– A co? To zabronione?

Jego wysoki głos drażnił Erika, który zaczął płakać. Ann podeszła, spojrzała na dziecko, zaczęła kołysać synka.

– Mam wrażenie, że ktoś cię tu odwiedził – powiedziała, kiedy płacz dziecka ustał.

– I co z tego?

– Jeśli chcesz pomóc policji złapać mordercę Johna, to musisz grać w otwarte karty.

– Jesteś taka sama jak Sammy Nilsson – stwierdził Lennart i wstał. Poszedł do sypialni, ciągnąc za sobą prześcieradło kąpielowe.

Lindell słyszała, jak krąży po pokoju, pomyślała, że pewnie się ubiera. I rzeczywiście, kiedy wrócił, miał na sobie spodnie i T-shirt. Taśma na wardze zaczęła się odklejać.

– Ktoś powinien na to spojrzeć. Może trzeba będzie zeszyć ranę.

– A ty wciąż tu jesteś?

Lennart patrzył, jak Ann przechodzi z wózkiem przez ulicę, kierując się w stronę przystanku.

– Cholerna baba – zamruczał pod nosem.

Dopiero teraz dotarły do niego słowa, które rzucił mu Mossa na pożegnanie. Trafiły go jak pociski. Mossa użył słowa „dziwka”, jak na Irańczyka było to bardzo mocne określenie. Był twardym facetem, ale słowa dobierał uważnie. Jeśli powiedział „dziwka”, to miał na myśli dziwkę. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że traktuje kobiety z szacunkiem, swoją starą matkę wręcz ubóstwiał, zawsze też przekazywał pozdrowienia dla żon czy siostr swoich przyjaciół.

Nazwał Berit dziwką. To mogło znaczyć tylko jedno, że Berit zdradziła Johna. „Porozmawiaj z tą dziwką, jego żoną” – tak dokładnie powiedział. Nagle dotarło do niego znaczenie tych słów. Czy Berit kogoś miała?



Zmęczenie zniknęło, włożył więc skarpety, kurtkę i po kilku minutach był już na ulicy. Szedł niemal tą samą drogą, którą wędrował tego wieczoru, kiedy dowiedział się o śmierci Johna. Wtedy znaczył ją łzami, teraz czuł złość. Pytania bez odpowiedzi kłębiły mu się w głowie, kiedy ponieważ biegł ulicą.

Śniegu było równie dużo jak poprzednim razem. Na placu Brantinga nie było pługu, była natomiast hałaśliwa grupka młodzieży, śpiewająca bożonarodzeniowe piosenki. Zatrzymał się, patrzył na nich. Kiedyś, po tym jak został wyrzucony z imprezy organizowanej z okazji świętej Łucji w Brantingsgården, też tak stał i wrzeszczał, ululany. Miał czternaście lat i wiedział, że znalazł się poza nawiasem. Czuł mieszaninę wstydu i nienawiści. Boże, jak on wtedy wszystkich nienawidził! Zbił szybę w oknie biblioteki, zaczął rzucać rowerami. Zatrzymała go policja, a Albin musiał zapłacić odszkodowanie.

Podszedł do młodych ludzi.

– Ktoś ma może komórkę?

Gapili się na niego.

– Muszę zadzwonić.

– To spraw sobie własną.

– Muszę zadzwonić teraz.

– Jest automat.

Lennart chwycił jednego z chłopaków.

– Dawaj komórkę albo cię zabiję – wyszczał do ucha przerażonego chłopaka.

– Weź moją – odezwała się jedna z dziewcząt i podała mu swoją komórkę w kształcie miśka.

– Dzięki – rzucił Lennart i puścił chłopaka. – Dwie minutki – powiedział, odchodząc na bok.

Zadzwonił do Mickego, który zasnął na kanapie. Odebrał lekko nieprzytomny, rozmawiali chwilę, po czym Lennart rzucił komórkę w śnieg i niemal biegiem ruszył w stronę Skomakarberget.

Berit właśnie wyłączyła telewizor. Z jakiegoś powodu po śmierci Johna zaczęła nagle interesować się *Wiadomościami*. Nawet Justus czasem oglądał je razem z nią. Może potrzebowali przymierzyć własne nieszczęście do nieszczęść, które dotykały innych, poczuć, że nie są sami. Na ekranie telewizora przemoc wydawała się nie mieć końca, powtarzała się w nieskończoność.

Berit rzuciła pilot na stół i położyła dłoń na ramieniu Justusa. Zauważyła, że syn zamierza wstać, chciała, żeby jeszcze chwilę został z nią, tu na kanapie. Chłopak odwrócił głowę, spojrzał na nią.

– Posiedź tu chwilę ze mną – powiedziała.

Ku jej zdziwieniu Justus odprężył się, oparł wygodniej o plecy kanapy.

– Kto to są *tattare*?

– Co takiego? – Berit zawahała się. – Jak ci to wytłumaczyć. To właściwie Cyganie, ale nie do końca. I nie do końca też Szwedzi. Są ciemni. Na ogół żyją w swoich rodzinach. Tata czasem używał tego określenia. To „*Tattare*, ci Cyganie”, mówił, jakby to wszystko tłumaczyło. Dlaczego pytasz?

– Ktoś na podwórzu tak powiedział.

– O kim?

– O tacie.

Justus patrzył na nią tym swoim bezlitosnym, bezpośrednim wzrokiem, który nie tolerował żadnych wymijających odpowiedzi, żadnych półprawd.

– Powiedział, że tata od nich pochodził.

– To nieprawda – zapewniła go Berit. – Tata był blondynem.

– Ale Lennart jest ciemny.

– Dzieciaki czasem mówią takie rzeczy. Co to za chłopak? Dokuczał ci?

– To Patrik – odparł Justus. – Jest świrnięty. A jego tata bije swoją nową żonę.

– Co ty mówisz?

– Wszyscy to wiedzą.

Berit zastanawiała się nad słowami chłopca. Wiedziała, że syn na pewno nieraz usłyszy jeszcze różne rzeczy, ale nie bała się o niego. Przywykł się odgryzać. Justus być może sprawiał wrażenie łagodnego, ale nie należało mylić tego ze słabością. Pod tym względem był podobny do Johna, twardy jak skała.

Berit powstrzymała płacz. Justus patrzył prosto przed siebie, po chwili położył rękę na jej kolanie.

– Tata chciał, żebyśmy się stąd wyprowadzili – rzucił. – Ja też tego chcę.

– Dokąd mielibyśmy się wyprowadzić? Kiedy to powiedział?

– Jesienią. Gdzieś daleko.

– Wiesz, że miewał swoje marzenia, ale w gruncie rzeczy było mu tu dobrze.

– Chciał wyjechać z tego gównianego miasta.

– Tak powiedział? – Berit patrzyła zdziwiona na syna. – Z tego gównianego miasta?

Justus pokiwał głową i wstał.

– Dokąd idziesz?

– Nakarmić rybki.

Berit przyglądała się jego plecom i szyi. Poruszał się jak John. I tak samo jak on położył teraz dłonie na wodzie w akwarium. Pielęgnice zaczęły pod pływać; łagodne ruchy ich ciał sprawiały, że mniej wprawne oko nie miało wrażenia, że są to odrębne stada, tylko jedna, piękna ławica.

Nagle usłyszeli dobijanie się do drzwi. Nie dzwonek, tylko walenie w drzwi. Justus upuścił puszkę z pokarmem dla ryb i spojrzął w stronę korytarza. Berit wstała, ale jej drżące nogi nie chciały jej nieść. Spojrzała na stojący na kredensie zegar.

– Mam otworzyć? – spytał Justus.

– Nie, ja otworzę – powiedziała i szybko podeszła do drzwi.

Walenie ustało, założyła łańcuch i ostrożnie uchyliła drzwi. Na zewnątrz stał Lennart.

– Dlaczego tak się dobijasz?

Nie miała ochoty go wpuszczać, ale bała się, że zacznie rozrabiać i hałasować na klatce. Otworzyła więc drzwi, a on wpadł do środka jak strzała.

– Jesteś pijany?

– Tylko nie zaczynaj! W życiu nie byłem bardziej trzeźwy. Cholerna baba!

– Idź stąd! – wycodziła Berit.

Wbiła wzrok w Lennarta i dopiero po chwili otworzyła drzwi na oścież.

– Spokojnie, pójdę, jak będę chciał. Najpierw chcę posłuchać, co masz mi do powiedzenia.

– Justus, idź do siebie – poleciła Berit.

Chłopak stał w drzwiach do pokoju dziennego i nie zamierzał się ruszyć.

– Ludzie różnie mówią.

– Justus, idź do siebie – powtórzyła Berit głośniejszym, cienkim głosem.

Stała między synem a szwagrem.

– Wynoś się! – wysyczała. – Że też masz czelność przychodzić tu i wykrzykiwać takie rzeczy.

– Rozmawiałem z Irańczykiem i z Mickem – powiedział Lennart spokojnie.

Berit spojrzała za siebie. Justus nadal stał w drzwiach, jak sparaliżowany. Tak podobny do Johna.

– Idź stąd, proszę – zwróciła się do Lennarta. – Porozmawiamy innym razem.

– Nie będzie żadnego innego razu.

Między nimi toczyła się walka. Pomyślała, że gdyby był pijany, pewnie byłoby jej łatwiej, ale szwagier wyglądał niezwykle energicznie i zdrowo, policzki miał czerwone, nie czuć było od niego alkoholu czy odoru potu.

– Co ci się stało w wargę?

– Nie twoja sprawa. To nie o moich ustach mamy rozmawiać, jeśli już, to o twoich – powiedział, uśmiechając się, zadowolony z wymyślonego naprędce żartu.

Berit schyliła głowę, wzięła głęboki oddech.

– Lennart, proszę, pomyśl o Justusie. Stracił ojca. Dość już przeszedł. Naprawdę nie potrzebujemy więcej...

Zaczęła szlochać.

– Na płacz już za późno. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Berit odeszła od drzwi, wróciła do syna i położyła rękę na jego ramieniu, spojrzała mu w oczy.

– Justus, proszę, idź do siebie. Lennart jest pijany, albo oszalał. Mówi bzdury. Nie musisz tego wysłuchiwać.

– Ja też tu mieszkam – odrzekł Justus, nie podnosząc głowy.

– Oczywiście, ale teraz proszę, żebyś zostawił nas samych.

– O czym on mówi?

– Nie wiem – odparła Berit cicho.

– Jasne, że wiesz, do cholery! – krzyczał Lennart od drzwi. – Justus też powinien się dowiedzieć różnych rzeczy o swojej matce. Udajesz pogrążoną w żałobie wdowę, płaczesz, a niby skąd mam wiedzieć, że nie miałaś z tym nic wspólnego?

– Teraz już przesadziłeś! Zanim do końca zwariujesz, pomyśl o chłopcu. Justus, idź do siebie. Ja się tym zajmę.

– Nie chcę – oznajmił Justus.

– Porozmawiamy o tym później. Idź do pokoju i zamknij za sobą drzwi – poleciła Berit stanowczym tonem i niemal wypchnęła go z korytarza. – Kto opowiada takie rzeczy? – zwróciła się do Lennarta.

– Dicken, pamiętasz go? Na pewno go pamiętasz, przynajmniej jego zęby.

– Uspokój się, do diabła!

W gniewie jej głos zaczął się łamać.

– Zamknij drzwi! – krzyknęła do syna.

– Nie weźmiesz mnie na swoje krzyki. Są tacy, którzy twierdzą, że masz coś wspólnego ze śmiercią Johna.

Patrzyła na niego.

– Ty cholerny kretynie! – wysyczała. – Idioto!

– Spokojnie!

– Kto opowiada takie bzdury?

– To nie są bzdury. Micke też coś wspomniał.

– Co? Micke Andersson? Myślałam, że mnie znasz – warknęła. – I Johna też – dodała.

– Cicha woda... – zaczął Lennart i nagle poczuł pałający policzek.

– Najwyższa pora, żebyś stąd poszedł.

– Posłuchaj, babo – wydusił z siebie i chwycił ją mocno za rękę.

Z pokoju obok wybiegł Justus.

– Przestańcie się klócić! – krzyczał. – Przestańcie!

Berit objęła syna, ale on wyrwał się jej. Złość zniekształciła mu twarz, drżał jak w konwulsjach, sapał i patrzył na nią bezradny.

– Justus, nie słuchaj Lennarta.

– Tak, zwał całą winę na mnie – powiedział Lennart z pogardą. – Mossa nazwał cię dziwką, a on pewnie wie, co mówi. Pamiętam, jak flirtowałaś z tym waszym sąsiadem.

– Ze Stellanem? To peda! Ze wszystkimi się ściska. Przecież wiesz, prawda, Justus? Znasz Stellana.

– A Dick Lindström? Na niego też byłaś napalona. Niech cię szlag! Jak ci było? Podgryzał cię tymi swoimi ząbkami?

– Niech ci się nie wydaje, że jesteś sprytny – powiedziała Berit spokojnie. – Żyjesz w chorym świecie. Masz chory umysł.

– Kto to jest Dick? – spytał Justus.

– Kolega Johna, z którym Berit kręci na boku. Za plecami Johna.

– Kiedyś rzeczywiście leciał na mnie, próbował mnie obmacywać, ale wyrwałam się mu. Byłeś przy tym. Stałam w kuchni i coś gotowałam, a wy siedzieliście w pokoju i graliście w karty. Nie chciałam nic mówić, bo John by go zabił.

– Teraz tak się tłumaczysz.

– Nie tłumaczę się, tylko tak było. Zaczął się do mnie dobierać, obleś jeden. Naprawdę myślisz, że ja...- urwała, nie dokończyła zdania. – Nie wierz mu, Justus – zwróciła się do syna. – On ma coś z głową.

– Że niby jestem chory, tak?

Chłopiec przypatrywał się im z obojętną miną, po chwili bez słowa wrócił do swojego pokoju, trzasnął drzwiami.

– Jesteś zadowolony, draniu?! I tak jest mu trudno, a ty przychodzisz i opowiadasz takie bzdury. Wynos się, zanim cię zabiję. I nie wracaj tu więcej. Bo wezwę policję.

– Jeśli ktoś powinien wezwać policję, to chyba ja – stwierdził Lennart spokojnie. – John o tym wiedział? Dlatego zginął? Jeśli tak, to już jesteś trup!

Berit patrzyła na niego.

– Ty parszywy draniu! Boże, jak ja cię nienawidzę! Bełkoczący pijaczyna! John próbował i mu się udało, a ty biegasz w kółko jak pies za własnym ogonem. I jeszcze masz czelność przyjść tu i mi grozić, ty zasańcu, szczurze podły! John miał rację, kiedy mówił, że ty nigdy nie dorosłeś. Gardził tobą, wiesz o tym? Nie mógł słuchać twojego bełkotu, kiedy zaczynałeś te swoje wspominki. Ymergatan, bilard. To było pół wieku temu, do diabła! O czym tu gadać? Drobnny gangster, który terroryzował wszystkich dookoła. Spadaj, tchórze! Obyś smażył się w piekle! Wydaje ci się, że byliście kimś. Królowie półświatka! A prawda jest taka, że wążanie kleju i ćpanie niszczy mózg, robi w nim dziurę! Johnowi starczyło rozsądku, żeby z tym wszystkim w porę zerwać, ale ty dalej tkwisz w tym gównie! John nienawidził tej twojej gadaniny! Znosił ją tylko dlatego, że byłeś jego bratem! Gdyby nie to, zerwałby z tobą już dawno temu!

Berit zamilkła, oddychała ciężko. Lennart przyglądał się jej z drwiącym uśmiechem, ale w jego oczach widziała przerażenie. Poczowała wyrzuty sumienia. Uśmiech zastygł na jego twarzy, zamienił się w makabryczną maskę, która po chwili zaczęła się rozplýwać, obnażając desperacki strach. Cofnął się, wyszedł na klatkę i wtedy przeszedł go skurcz. Berit wiedziała, co zaraz się stanie. Wciągnął powietrze przez nos, szybko pochylił głowę i jego ciało zaczęło drżeć. Jakby dopiero teraz ostrze noża, który wbiła mu w pierś, dosięgnęło jego serca. Oczy zrobiły się szare, rozbiegane, odwrócił się i zbiegł po schodach dudniącymi krokami.

Jak przez mgłę usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole. Zamknęła drzwi do mieszkania, osunęła się na podłogę. W mieszkaniu słychać było jedynie pracującą pompę w akwarium. W pokoju Justusa panowała cisza. Berit podniosła głowę. Nawet przez zamknięte drzwi wyczuwała niepokój chłopca i jego niewypowiedziane pytania. Powinna wstać i pójść do niego, ale nie była w stanie, jeszcze nie w tej chwili. Musiała się pozbierać. Jej ciało nie chciało jej słuchać. Rozmowa ze szwagrem pozbawiła ją resztek sił, jakie jeszcze miała w zapasie. Przez jakiś czas udawało jej się zachować maskę. Poświęcała dużo czasu na rozmowy z Justusem. Wieczorami siadywali razem na kanapie, oglądali telewizyjne programy, ale i rozmawiali. Berit wspominała epizody z ich wspólnego życia, jej i Johna, opowiadała o nich Justusowi. Opowiadała mu o młodości Johna, pomijając to, co było najprzykrzejsze. Mówiła, jaki był zdolny, jak bardzo cenili go w warsztacie, jak wiele

wiedział o pielęgnicach i jak bardzo kochał syna. Wiedziała, że zmarli wędrowali obok żywych. Tworzyła mit Johna, obraz ojca, dla którego najważniejsza była rodzina, któremu przyświecał jeden cel: zapewnić Justusowi szczęśliwe dzieciństwo.

Poprzedniego wieczoru zdradziła mu, że John po jego narodzinach, otworzył w banku konto i każdego miesiąca, nawet kiedy było im bardzo ciężko, wpłacał na nie sto pięćdziesiąt koron. Pokazała mu ostatni wyciąg, a Justus wziął go i długo siedział, przyglądając się mu.

Teraz gadanina Lennarta mogła zniweczyć jej zabiegi. Jej żal był podwójny, przytłaczał ją. Jak długo jeszcze wytrzyma? Jej zarobki nie były wystarczające, a możliwości przejścia na pełny etat nikłe. Nie miała wykształcenia, kontaktów. Zapewne dostanie jakieś pieniądze z polisy Johna, nie wiedziała, jaka to będzie suma, ale i tak pewnie niewystarczająca. Chciała zapewnić synowi bezpieczny byt, szczególnie teraz.

Podniosła się z trudem, stanęła przed drzwiami do pokoju Justusa. Było cicho jak makiem zasiał. Zapukała i otworzyła drzwi. Siedział na łóżku, nie zareagował, kiedy weszła do pokoju.

– Chyba mu nie wierzysz? On kłamie.

Justus wpatrywał się w łóżko.

– Jest zdezorientowany. Usłyszał jakieś plotki i teraz szuka kozła ofiarnego. Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

Chłopiec skinął głową.

– Jak byśmy nie mieli dość problemów – westchnęła i usiadła na krześle przy biurku.

– Nigdy nie byłam ojcu niewierna. Nigdy nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę. Ojciec był dla mnie wszystkim, rozumiesz to? Było nam dobrze. Ludzie czasem się dziwili, że jesteśmy razem tak długo, ale dla mnie i dla Johna było to oczywiste.

– Ale jednak... – powiedział Justus, rzucając jej szybkie spojrzenie.

– Nic. Absolutnie nic.

– To dlaczego Lennart tak powiedział?

Znów próbowała mu tłumaczyć, że Lennart żył w innym świecie, że śmierć Johna przysłoniła mu wszystko.

– My możemy wspominać Johna, mamy siebie. A Lennart nie ma niczego.

– Tata lubił Lennarta – powiedział Justus cicho. – Dlaczego powiedziałeś mi te wszystkie rzeczy?

Nie dodał nic więcej, ale w jego oczach pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Smutek i nienawiść, które sprawiły, że jego twarz się postarzała, jakby młodość nie była w stanie pomieścić tak wielkiej nienawiści. Przeklinała szwagra. Wstała, chciała jeszcze

coś powiedzieć, ale tylko westchnęła i wyszła, zostawiając syna samego. Chwilę jeszcze zatrzymała się w korytarzu; usłyszała, jak zamyka za nią drzwi.

Słowa Justusa o tym, że John zamierzał się przeprowadzić, zaniepokoiły ją. Co prawda rozmawiali o tym kiedyś, ale nigdy naprawdę, na serio. Oboje urodzili się w Uppsali, trudno jej było wyobrazić sobie siebie w jakimś innym mieście. Gówniane miasto, powiedział Justusowi.

Poczuła się urażona tym, że rozmawiał o tym z Justusem. Nie z nią, tylko z synem. O czym jeszcze rozmawiali, o czym ona nie miała pojęcia?

Ann Lindell przyglądała się fasadzie stojącego przed nią budynku. Żółta cegła coś jej przypominała, jakiś inny budynek, pewnie kiedyś widziała podobny, podczas innego dochodzenia. Działała teraz na własną rękę i dziwnie się z tym czuła. Normalnie pracowałyby w zespole, miałyby jasno określone zadanie, cel. Oczywiście, że wcześniej też zdarzało się jej błądzić po omacku, ale teraz musiała być szczególnie ostrożna. Przyjemne poczucie wolności mieszało się z wyrzutami sumienia.

Zadzwoiła do biura numerów, dostała telefon Berit Jonsson i jej adres. Mieszkała w którymś z tych rozświetlonych mieszkań. Ann wzięła do ręki komórkę, ale zaraz ją schowała, znów spojrzała na fasadę budynku. Powinna zadzwonić do Havera, ale było późno, jej przeczucia mogły być całkowicie bezzasadne. Gdyby normalnie pracowała, pewnie by zadzwoniła. Jeśli zrobi to teraz, będzie musiała tłumaczyć się ze swoich działań. Westchnęła ciężko, wybrała numer do Havera, po kilku sekundach wahania wcisnęła „zadzwoń”. Rebecka Haver odebrała po pierwszym sygnale. Ann słyszała po głosie, że spodziewała się telefonu od męża.

– Szukam Havera – powiedziała Ann, nie przedstawiając się.

Moment wahania i krótka odpowiedź.

– Jest w pracy.

Milczenie.

– A kto go szuka?

– Dziękuję, wszystko w porządku – odpowiedziała Ann zmieszana i rozłączyła się.

Co ze mnie za kretynka, pomyślała. Na pewno wyświetlił się jej mój numer.

Poczuła wstyd, przeklinała własną niezręczność. Był w pracy. Mogła do niego zadzwonić, ale nie chciała mnożyć błędów.



Zadzwoił telefon, Berit podniosła słuchawkę; wyglądała, jakby spodziewała się wiadomości o czyjejś śmierci. Dzwoniła kobieta. Berit czytała o niej w gazetach, John też jej o niej opowiadał. Ann Lindell. Z wydziału zabójstw, z policji. Miała zmęczony głos, Berit zdziwiła się, że mimo późnej pory chciała przyjść i zamienić z nią kilka słów.

Ann Lindell zjawiała się już kilka minut później. Na ręku miała niemowlę.

– To jest Erik – powiedziała.

– Zabieracie do pracy dzieci?

– Właściwie nie jestem na służbie – powiedziała Lindell. – Działam trochę na marginesie.

– Na marginesie – powtórzyła Berit. – Nie ma pani opiekunki do dziecka?

– Jestem sama – powiedziała Ann i delikatnie ułożyła Erika na kanapie w pokoju dziennym.

Dziecko obudziło się, kiedy stała przed domem Berit, ale kiedy wyjęła je z wózka i zaczęła iść z nim po schodach, szybko znów zasnęło.

Berit zgasiła stojącą na podłodze lampę, żeby nie świeciła dziecku w oczy. Kobiety stały i w milczeniu przyglądały się śpiącemu chłopcu.

– O co chodzi?

W głosie Berit była nuta niecierpliwości wymieszanej z czymś, co Ann odczytała jako strach.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Był przykładnym obywatelem.

Nieświadomie użyła określenia Ottossona.

– Tak – przytaknęła Berit prawie bezdźwięcznym głosem.

– Podejrzewam, że motywem morderstwa były pieniądze. Mam wrażenie, że pani na nich siedzi.

– Co takiego? Ja siedzę na pieniądzach?

Berit pokręciła głową. Za dużo informacji, za dużo pytań. Najpierw Lennart, potem Justus, a teraz policjantka ochotniczka.

– To oznacza, że może pani być w niebezpieczeństwie.

Berit patrzyła na nią i próbowała zrozumieć znaczenie jej słów.

– Pieniądze jako takie mnie nie interesują – ciągnęła Ann dalej. – Należały do Johna, teraz są pani, ale tak duża suma zawsze stwarza pewne niebezpieczeństwo.

Ann zgadywała. Wcale nie była pewna, że motywem zabójstwa były pieniądze ani czy Berit wiedziała o ich istnieniu. Z jej reakcji nie była w stanie odczytać, czy kobieta w ogóle wiedziała o rzekomej wygranej Johna.

Tym bardziej że oczywiście zaprzeczyła, jakoby miała cokolwiek wiedzieć o grze i ewentualnej wygranej.

– Załóżmy jednak, że wygrał – upierała się Ann. – Miał kogoś zaufanego, komu mógł o tym powiedzieć?

– Nie – odpowiedziała Berit natychmiast.

Pomyślała o Mickem i nagle w uszach zabrzmiały jej znów słowa Lennarta.

– A Micke? – spytała Ann, jakby czytała w jej myślach.

– Czego pani chce? Przychodzi tu pani o tej porze, z dzieciakiem na ręku, i zadaje mi mnóstwo pytań. Chce pani zostać wzorową policjantką?

Ann Lindell pokręciła głową, zerknęła na Erika, który nadal spał.

– Nie – zaprzeczyła. – Tylko przyszło mi coś do głowy. Rozmawiałam dzisiaj z kolegą i pomyślałam... No, cóż, sama nie wiem...

Patrzyła na stojącą przed nią kobietę. Słyszała, że jest ładna. Ann widziała jej urodę, ale też i coś więcej. Zmęczenie, smutek i stres wyrzeźbiły swoim ostrzem jej twarz, cała jej sylwetka świadczyła o psychicznym i fizycznym zmęczeniu.

– Jak syn się czuje? – spytała.

Berit zaczęła szlochać. Stała przed Ann bezbronna, patrzyła jej prosto w oczy i płakała. Ann widziała już niejedno, ale chyba nigdy jeszcze nie była świadkiem tak wielkiej rozpacz. Cichy płacz kobiety wydał jej się szczególnie dojmujący. Gdy ludzie głośno wykrzykiwali swój ból i swoje cierpienie, było to w pewnym sensie łatwiejsze, zawzięty wzrok Berit i jej łzy poruszyły ją bardziej, niż się spodziewała. Leżący na kanapie chłopiec zaczął marudzić. Poczula, że niewiele brakuje, a zaraz sama też zacznie płakać.

– Muszę już iść – rzuciła.

Dotknęła ręką policzka, próbowała się pozbierać. Źle zrobiłam, że tu przyszedłam, pomyślała. Nie powinna się kierować przecuciami.

Berit skinęła głową. Ann podniosła Erika.

– Może pani jeszcze chwilę zostać – powiedziała Berit.

– Nie mogę.

Ciepło dziecięcego ciała, ruchy Erika wyczuwalne pod kombinezonem sprawiły, że postanowiła wrócić do domu i w ogóle wycofać się z dochodzenia. Sprawa Małego Johna nie była jej sprawą, była na urlopie macierzyńskim, a za kilka dni przyjeżdżali jej rodzice z Ödeshög.

– Możesz – powtórzyła Berit.

Ann zdziwiła zmiana, jaka zaszła w kobiecie.

– Nie wiem, co sprawiło, że do mnie przysłaś. To zresztą bez znaczenia, ale na pewno musiało to być coś ważnego.

– Właściwie sama nie wiem – przyznała Ann.

Słyszała, jak dziwnie to zabrzmiało i nieprofesjonalnie.

Berit wykonała ruch dłońmi, który pewnie miał znaczyć, że w zasadzie to wszystko jedno, ważne, że tu jest.

– Zostanę chwilę i chętnie bym się czegoś napiła.

Berit przyniosła sok jabłkowy. Ann położyła synka na kanapie, włożyła mu do buzi smoczek. Dziecko znów zasnęło. Odwróciła się w stronę akwarium. Było rzeczywiście ogromne. Zafascynowana śledziła wzrokiem ławicę ryb.

– Mają swoje rewiry – wyjaśniła Berit, która właśnie wróciła z kuchni. – John był z niego bardzo dumny. Odtworzył tu w miniatursce afrykańskie jezioro.

– Był w Afryce?

– Nie, skąd wzięłby na to pieniądze? Ale pomarzyć każdemu wolno, to znaczy on miał swoje marzenia, a ja dbałam o sprawy praktyczne.

Berit odwróciła wzrok od akwarium.

– Miał swoje marzenia – powtórzyła. – I wciągał w nie Justusa. Wiesz, jakie to uczucie, kiedy jest się biednym? – spytała, patrząc na Ann. – Jak to jest, kiedy się żyje na marginesie prawdziwego życia? Ale czasem też pozwalaliśmy sobie na jakieś szaleństwo. Skupiliśmy się na Justusie. Chcieliśmy, żeby miał takie same ciuchy jak wszyscy. Jesienią John kupił mu komputer. Czasem kupowaliśmy też coś ekstra do domu, szczególnie na święta. Nie można cały czas czuć się biednym.

Słowa padały z jej ust jak kamienie. Szare kamienie. W jej głosie nie było dumy, po prostu stwierdziła, że rodzina Jonsson próbowała stworzyć sobie swój mały świat, w którym mogłaby żyć normalnie i czuć się częścią jakiejś większej, lepszej całości.

– Czasem wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy bogaci, nie jakoś niesamowicie bogaci, ale na tyle, żeby było nas stać pojechać gdzieś, wsiąść w samolot i wylądować w jakimś innym miejscu. Chciałbym polecieć do Portugalii. Nie wiem, dlaczego właśnie do Portugalii, ale kiedyś usłyszałam portugalską muzykę i odnalazłam w niej nasze, to znaczy, moje uczucia.

Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała sprawdzić, co im, jej i Johnowi, udało się osiągnąć przez ostatnie lata. Ann podążyła za jej wzrokiem.

– Ładnie mieszkacie – powiedziała.

– Dziękuję – odparła Berit po prostu.

Godzinę później Ann Lindell znów wyszła na mroźną, zimową ulicę. Poczowała znajome zmęczenie. Jedyne dźwięki, jakie do niej docierały, to szum ulicznego ruchu z Vaksalagatan i ciche brzęczenie ulicznej latarni. Ludzi nie było widać, siedzieli w domach, gotowali świąteczną szynkę, pakowali prezenty. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Havera, ale uznała, że jest za późno. Co powie, kiedy się dowie, że włączyła się w dochodzenie? I co powie jego żona na jej telefon?

Postanowiła zaczekać do następnego dnia. Rano do niego zadzwoni. Gdzieś z tyłu głowy miała nadzieję, że może będą mogli się spotkać. Do przyjazdu jej rodziców została już niecała doba. Spotkać się. Przyznaj, że chcesz, żeby znów wziął cię w ramiona, mówiła sobie. Jeśli chciałaby się z nim po prostu spotkać, mogła w każdej chwili pojechać na komisariat. Ale przecież ona chciała, żeby do niej przyszedł, usiadł przy stole w kuchni jak stary przyjaciel, przytulił ją, może nawet pocałował. Była spragniona bliskości mężczyzny.

Wcale się nie cieszyła na wizytę rodziców. Wręcz się jej obawiała. Nie miała siły słuchać rad matki. Ojciec pewnie usiądzie przed telewizorem i będzie milczał, ale coraz bardziej zatroskane pytania matki dotyczące jej życia doprowadzały ją do szału. A teraz na dodatek nie będzie mogła od nich uciec, jak to robiła, kiedy – coraz zresztą rzadziej – odwiedzała rodzinny dom.

Poza tym matka zaczęła ostatnio wspominać coś o ewentualnej przeprowadzce do Uppsali. Willa w Ödeshög stawała się coraz większym obciążeniem. Najlepiej – zdaniem matki – byłoby kupić niewielkie mieszkanie w Uppsali, żeby być bliżej Ann i Erika.

Czy dobrze zrobiła, odwiedzając Lennarta, a teraz Berit? Ann zatrzymała się na śniegu. Czy dlatego, żeby dać ręką chwilę odpocząć – pchanie wózka zasypanym śniegiem chodnikiem nie było łatwe, kółka co chwila się blokowały – czy też dlatego, że nagle zrozumiała, jak bardzo nieprofesjonalnie się zachowała? Nie potrafiła powiedzieć. Stała nieruchomo. Śnieg nadal padał obficie, było w nim coś pięknego, bezpiecznego.

– Jestem chyba mało wyrafinowana – powiedziała cicho sama do siebie. W niczym nie przypominam inspektorów z seriali, pomyślała. Tych, którzy słuchają oper, znają grecką mitologię i potrafią ocenić, jakie wino lepiej nadaje się do ryby, a jakie do jasnego mięsa. Jestem zwykłą dziewczyną, która przypadkiem została policjantką, tak jak inni zostają kucharzami, ogrodnikami czy kierowcami autobusów. Po prostu chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość, do tego stopnia, że zapominam żyć.

Żaden z moich kolegów nie ma szczególnie wyrafinowanych gustów. Niektórzy pewnie nawet nie znają znaczenia tego słowa, myślała dalej. Ciężko pracują. O czym rozmawiają? Na pewno nie o rocznikach win z takiej czy innej fantastycznej winnicy w

nieznanej im części świata. Jeśli w ogóle próbują je porównywać, to na podstawie informacji z gazet i własnych doświadczeń, zdobytych na zakupach w sklepie monopolowym.

Sammy Nilsson od wielu lat prenumerował popularnonaukowe pismo „Wiedza Ilustrowana”. Czytał je regularnie, a potem opowiadał im z dziecięcym zachwytem o wydarzeniach w kosmosie albo prezentował osiągnięcia badań medycznych, rozprawiając o nich z oczywistym autorytetem laureata Nagrody Nobla. Wtedy Fredriksson wchodził mu w słowo i opowiadał, że w Alunda zimą zimują myszołowy i że to niesamowite, albo zaczynał tłumaczyć, dlaczego wilki boją się przekraczać tory kolejowe. I to jest cała nasza wiedza, pomyślała.

Ottosson często sprawiał wrażenie roztargnionego, czasem wręcz nieobecnego. Najchętniej pewnie spędzałby czas w swoim domku letnim, rąbał drwa, uprawiał warzywa. Berglund był nieoceniony, jeśli chodzi o znajomość psychiki ludzkiej, potrafił zjednywać sobie ludzi.

Fredriksson na pewno chętnie zamieniłby coraz bardziej brutalną rzeczywistość na łono natury. Poza tym od czasu do czasu dawał wyraz swojej niechęci do obcych. Oczywiście nie wygłaszał tyrad o wyższości białej rasy nad wszystkimi innymi, po prostu czuł się zdeorientowany. Przyznawał, że nie rozumie młodzieży z imigranckich rodzin, która nigdzie nie potrafiła zapuścić korzeni i coraz częściej trafiała do policyjnych rejestrów. Sammy wściekał się, słysząc kolejne ogólne, dochodziło do kłótni, które zawsze kończyły się tym, że Fredriksson oświadczał: „Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz”.

Dlatego jesteśmy tacy dobrzy, pomyślała Ann, pchnęła wózek i przejechała nim kolejne kilka metrów. Gdybyśmy byli wyrafinowani, bylibyśmy gorszymi policjantami. Być może tacy też istnieją, ale w Uppsali, bastionie wiedzy, policjanci byli zwykłymi ludźmi.

Sammy dogadywał się z młodzieżą, nie dlatego że był uduchowiony, nie był też systematyczny czy wyjątkowo inteligentny, był po prostu taki, jaki powinien być. I właśnie kogoś takiego brakowało tym chłopcom z ulicy. Żadnego ściemniania, pustego gadania, walił prosto z mostu, nie wahał się wypalić z grubej rury. W Gottsunda, najgęściej zaludnionej dzielnicy Uppsali, potrzeba było co najmniej dziesięciu takich jak on, ale kierownictwo wpadło na genialny pomysł, żeby właśnie tam zlikwidować posterunek policji. Pewnie w ramach projektu zacieśniania więzów między policją a mieszkańcami, rzucił błyskotliwie jeden z kolegów, kiedy poinformowano ich o tym na porannej odprawie. Dajmy tam Sammy’ego, a skala zniszczeń i kradzieży natychmiast się zmniejszy, ludzie zaś przestaną się bać, powiedział któryś z kolegów.

Ann Lindell uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że przemawia przez nią zadufanie, i

wiedziała, że właśnie w ten sposób chce usprawiedliwić własne działania. Próbowwała wmówić sobie, że każdy z jej kolegów z wydziału zachowałby się w tej sytuacji podobnie.

To oczywiście była nieprawda. Była świadoma, że jej prywatne śledztwo było nie do pogodzenia z obowiązującymi zasadami etyki. Ottosson na pewno bardzo by się zmartwił jej poczynaniami. Większość kolegów pokręciłaby głowami. Więc co powinna była zrobić? Lennart chciał rozmawiać tylko z nią, z nikim innym. Skoro tak, to nawet z poczucia obywatelskiego obowiązku powinna się z nim spotkać. Tym bardziej z Berit.

Ann nie potrafiła do końca zrozumieć Berit. Być może za zdziwieniem, które malowało się na jej ładnej, aczkolwiek naznaczonej smutkiem twarzy, ukrywała coś, z czego nie chciała się zwierzać policji, nawet w „przyjacielskiej” rozmowie. Na pewno zależało jej, żeby chronić syna, no i pamięć Johna. Jedno było powiązane z drugim. Czy Berit wiedziała, gdzie są pieniądze? Czy miała z kimś romans? Czy w grę mogła wchodzić zazdrość? Ann nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób Berit mogła być zamieszana w morderstwo męża. Nie wierzyła w romans czy odtrąconego kochanka. Wierzyła, że Berit była wierną żoną. Chciała w to wierzyć. Zastanawiała się nawet, czy mogłyby się jeszcze spotkać? Berit sprawiała wrażenie mądrej kobiety, bezpośredniej i niepozobawionej poczucia humoru.

Ann schowała wózek do bagażnika. Erik obudził się dopiero, kiedy posadziła go w foteliku i przypięła pasami. Spojrzał na nią wielkimi oczami. A ona pogładziła go po policzku.

Wiedział, że w jakiś sposób śmierć Johna miała coś wspólnego z nim samym. To nie mógł być przypadek, że jego dwaj dręczyciele zostali ukarani. W pewnym sensie sprawiedliwości stało się zadość.

Z pierwszych pięciu, sześciu lat szkoły Vincent miał jedynie nikłe wspomnienia. Radził sobie nie najgorzej. Kłopoty zaczęły się później, w gimnazjum. Nie wiedział, co sprawiło, że znalazł się poza kręgiem kolegów. Niekiedy wyrażało się to wręcz fizycznie, jakby koledzy nawet bali się go dotknąć. Chłopięca fizyczność, objawiająca się w siłowych zabawach, ominęła go całkowicie. Szukał kontaktów z dziewczynami, ale był zbyt dziwny, żeby mogły go zaakceptować. W pierwszej klasie gimnazjum dziecięce zabawy, w których chłopcy i dziewczynki mogli wspólnie uczestniczyć, poszły w zapomnienie. Młodzież zaczęła dojrzewać, trzeba było od nowa ustalić hierarchię. Vincent nie potrafił się odnaleźć w nowej sytuacji. Nie był sympatyczny, miły. Był milczący. To była jego jedyna zaleta, którą dziewczęta niekiedy nawet ceniły, szczególnie na tle hałaśliwych zachowań innych chłopców. Jednak z czasem jego izolacja pogłębiała się, klasa go odrzuciła.

Próbował zbliżyć się do Gunilli. Czasem towarzyszył jej w drodze do szkoły. Nie przyjaźnili się, ale Vincent był zadowolony. Była kimś, z kim mógł rozmawiać. Najczęściej ich drogi się rozdzielały przy szkolnej bramie, prawdę mówiąc, Gunilla przyspieszała kroku, już kiedy się zbliżali do wielkiej bryły budynku, nazywanego powszechnie „Tripolis”, wychodzili zza rogu i wtedy ona kierowała się prosto do bramy szkoły.

Kiedyś mieli okienko i wtedy opowiedział jej o ojcu, o tym, że ojciec go bije. A wszystko zaczęło się od sińca na szyi, tuż pod lewym uchem. Niektórzy twierdzili, że Vincent ma malinkę. Inni w ogóle nie zwrócili na to uwagi. Gunilla podeszła, spojrzała na niego, nie tak jak inni, nachyliła się i uważnie przyglądała się sinoczerwonej wybroczynie. Dotknęła delikatnie jego szyi. To była sekunda.

I wtedy to powiedział.

– Tata mnie bije.

Cofnęła rękę i patrzyła na niego przerażonym wzrokiem. Przez moment, zanim odwróciła głowę, miał wrażenie, że widzi w nim coś jeszcze.

– Vincent dostaje w domu lanie! – wykrzyczała natychmiast na cały korytarz. Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

– Jesteś niegrzeczny czy sikasz do łóżka? – spytał jeden z chłopców.

– Biedny Vincent – powiedział inny. – Dostajesz w pupę?

A Gunilla triumfowała. Po chwili przyszedł nauczyciel i otworzył drzwi do klasy. Vincent pamiętał, że na lekcji mówili o amebach.

Z Johnem było inaczej. Chodził do innej klasy, ale część zajęć mieli wspólną. Wszystko zaczęło się na lekcjach z gospodarstwa domowego. Ani Vincent, ani John nie rzucali się w oczy, nauczyciele musieli wyciągać z nich wiedzę. Na którychś zajęciach mieli razem upiec ciasto. Niepewnie zaczęli mieszać różne składniki zgodnie ze wskazówkami nauczycielki. Na nieszczęście, kiedy Vincent miał dodać mąki, przewrócił naczynie. Obaj chłopcy stali jak zamurowani i patrzyli, jak szarobiała masa rozlewa się na blacie, a potem po podłodze.

Pojawiła się nauczycielka, która z jakiegoś powodu uznała, że winny całemu nieszczęściu jest John. Żaden z chłopców się nie odezwał. Vincent milczał, przekonany, że dostanie lanie.

John musiał wszystko posprzątać. Vincent został dołączony do innej grupy. Od tamtego zdarzenia John nienawidził Vincenta. Cichą dyplomacją potrafił prowokować kolegów do aktów coraz bardziej wymyślnej penalizacji. Do tej pory Vincent był po prostu szarą myszką, teraz stał się dozwolonym łupem. Raz rozpędzona machina była nie do zatrzymania. Kiedyś nawet poskarżył się wychowawcy, co tylko doprowadziło do eskalacji terroru.

Vincent wiedział, że za tym wszystkim stoi John, mimo że nigdy ze sobą nie rozmawiali, a John nigdy aktywnie nie uczestniczył w jego prześladowaniach.

Teraz John nie żył, a Vincent był z tego zadowolony. Gunilla co prawda nadal żyła, ale udało mu się ją porządnie nastraszyć. Na pewno nigdy go już nie zapomni. Zawsze będzie prześladował ją strach.

Poranne oszołomienie zamieniło się w poczucie harmonii. Wiedział, że działa słusznie. Kabel wokół szyi Vivan, jej przerażony wzrok i charczący głos sprawiły, że znów poczuł się dobrze. Szybko umilkła. Jej oczy, w których początkowo było jedynie niedowierzanie, które z czasem zamieniło się w panikę, prowokowały go do śmiechu. To był ostatni obraz, jaki widziała: jego śmiejącą się, cuchnącą gębę. Chciał, by ten śmiech trwał jak najdłużej.



Niezadowolony kopnął jej ciało, wsunął nogą pod łóżko.

John umarł od noża. „Wielokrotne dźgnięcia nożem”, tak przeczytał w gazecie. Vincent domyślał się, że wzrok Johna był równie przerażony, jak wzrok Vivan czy Gunilli. Może miał pomocnika? Jakiegoś cichego mściciela, który brał za niego odwet, sam o tym nie wiedząc. A może jednak to on tam był? Był coraz bardziej niepewny. Już wcześniej zdarzało mu się cierpieć na zaniki pamięci, szczególnie gdy był wzburzony. Może to on zadźgał Johna nożem?

Jak zwykle zatrzymał się na moście, na Nybron. Stał i wpatrywał się w wodę. Mimo silnego mrozu właściwie przez cały grudzień środek rzeki pozostawał wolny od lodu. Vincent Hahn przyglądał się chwilę strumieniowi wody i ruszył dalej. Znów miał uczucie, że znajduje się w innym kraju niż ten, w którym się urodził, w kraju, gdzie nikt z mijających go ludzi go nie znał, gdzie budowle wznoszone były rękami obcych, w kraju, gdzie już nawet słowa nic mu nie mówiły. Uważnie przyglądał się mijanym ludziom, próbował wyczytać coś z ich oczu, ale większość szybko odwracała wzrok albo była zajęta sobą.

Uniósł rękę i ruszył przez ulicę, nie bacząc na to, że było ślisko i samochody miały problemy z hamowaniem. Ktoś krzyknął za nim słowa, których nie rozumiał. Ludzie byli na niego wściekli, widział to. Wyjął nóż, który wziął z mieszkania Vivan. Kilkoro nastolatków krzyknęło, odwróciło się na pięcie i odbiegło.

Powtórzył manewr. Wyszedł na ulicę, jakiś samochód gwałtownie zahamował, wpadł w poślizg i niemal zderzył się ze stojącą obok taksówką. Kierowca wysiadł i zaczął coś za nim krzyżeć. Vincent zamachał nożem.

Ruszył w stronę St. Eriks Torg. Para starszych ludzi sprzedawała dekoracje świąteczne i bożonarodzeniowe wianki. Zatrzymał się, zaczął się przyglądać błyskotkom. Klientów było mało, para spojrzała na niego z nadzieją.

– Nie mam prawdziwego domu – powiedział.

Mężczyzna, wyposażony w ogromną czapkę futrzaną, zdjął jedną skórzaną rękawiczkę, wziął ze stołu torebkę karmelków domowej roboty i poczęstował go.

– Nie mam też pieniędzy – dodał Vincent.

– Proszę wziąć, potrzebuje pan czegoś słodkiego – poleciła kobieta. – To mieszanka.

Mężczyzna przytaknął. Ręka, w której trzymał torbę, drżała mu lekko. Vincent patrzył na jego szeroką dłoń. Granatowoczarne żyły tworzyły na jej wierzchu wyraźny wzór. Paznokcie były grube, mocno zagięte i nieco żółtawe.

– Miał wylew – pospieszyła z wyjaśnieniem kobieta. – Nie mówi.

Vincent wziął torbę, stał chwilę w milczeniu.

– To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem – wydukał w końcu.

Kobieta skinęła głową. Miała zielononiebieskie oczy z lekkim odcieniem szarości na rogówce. Poza kilkoma plamami wątrobowymi na jednym policzku jej cera była gładka i młodzieńcza. Vincent pomyślał, że w młodości pewnie dużo się śmiała.

Do stoiska podeszła para młodych ludzi, zaczęli oglądać świąteczne wianuszki.

– Mają tu świetne karmelki – zagaił Vincent.

Młoda kobieta podniosła głowę, roześmiała się.

– Poprosimy ten – rzekła, biorąc do ręki wianek z gałązek borówki.

Vincent odszedł od stoiska, ruszył dalej. Szedł bez celu, z wielką pustką w swoim wnętrzu. Nie pierwszy raz tak się czuł. Jak czarna dziura, niepojęcie ciemna i głęboka, gdzie myśli pojawiały się, by zaraz znów schować się pod wodą. Jakby znalazł się w samym środku wiru, który coraz bardziej go wciągał.

Próbował coś powiedzieć, ale dźwięki odbijały się echem w jego czaszce. Zawroty głowy przychodziły falami, pojawiały się i znikaly. Wziął jeszcze jednego karmelka. Zatrzymał się przed szybą wystawową z artykułami mającymi wzbogacać życie seksualne. Ludzie wchodzili i wychodzili, nie wyglądali na skrępowanych, w rękach trzymali barwnie opakowane paczki. Patrzyli na niego, śmiali się.

Dokąd miał iść? Nogi nie chciały go już nieść. Karmelki dodawały mu co prawda nieco energii, ale dokądkolwiek się zwrócił, pojawiały się nowe przeszkody. Na chodniku było coraz więcej ludzi, tłum gęstniał, bez przerwy na kogoś wpadał, wszyscy go popychali.

Kiedy w końcu postanowił ponownie przejść na wschodnią stronę miasta, spotkał mężczyznę w stroju Świętego Mikołaja, który proponował mu przejażdżkę saniami po Starej Uppsali. Dwieście dziewięćdziesiąt koron za niespełną godzinę jazdy. Wziął ulotkę i ruszył dalej. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Oparł się o ścianę i ból zaatakował go jak armia Czarnych Rycerzy. Chciał się schować, zakrył twarz dłońmi, zawołał coś na wiatr.

Godzinę później zjawiała się policja. Zadzwoił właściciel galerii. Stał i dłuższą chwilę obserwował Vincenta, widział, jak zasypuje go śnieg. Obraz był nawet ciekawy. Ładna kompozycja, ciemno ubrany mężczyzna, w czapce głęboko naciągniętej na oczy. Stał skulony pod ścianą, jakby się bał, że ktoś z mijających go ludzi z pakunkami w rękach wpadnie na niego i go uderzy. I padający śnieg. Wyjątkowo autentyczny obraz. To działo się tu i teraz. Właściciel galerii stał w środku, w cieple, na ścianach wisały miniaturki, ludzie przychodzili, wychodzili, wymieniano życzenia.

Scenka przypominała też, że bieda jest ponadczasowa. Tysiące biedaków przechodziło tą ulicą, zmierzając od rogatek na północy do centrum miasta w poszukiwaniu lepszego losu, uciekając od głodu i złych panów. W czasach zarazy tłum ciągnął w drugą stronę, byle dalej od miejskich ruder i smrodu.

Tak było w każdym innym mieście na północnej półkuli.

Dla właściciela galerii wyrzutek stanowił przypomnienie o ograniczeniach współczesnej sztuki, ale też pokazywał jej możliwości. Był to typowy motyw klasycznego malarstwa, dla sztuki wideo stanowił wyzwanie.

W końcu jednak estetyka ustąpiła współczuciu. Mężczyzna zadzwonił na policję, która zjawiała się jakieś pół godziny później. Właściciel galerii wyszedł na zewnątrz. Dwoje funkcjonariuszy nie zamierzało kontemplować walorów nowoczesnej sztuki. Zadanie było rutynowe, mieli zabrać z ulicy pijaka, być może chorego człowieka.

W ciało Vincenta wpełzł mróz. Gołe dłonie schował za pazuchą kurtki, głowę opuścił na kolana. Policjant chwycił go za ramię. Vincent obudził się, otworzył oczy, dostrzegł umundurowanego policjanta. Jego koleżanka rozmawiała z właścicielem galerii.

Vincentowi śniło się, że jest w kraju, gdzie metrowe zasypy śniegu leżą przez cały rok. Kraju chłodu i lodu, gdzie ludzie nie mogli na siebie pluć, tylko chcąc okazać sobie niezadowolenie, musieli stroić miny. Stał na rogu ulicy i sprzedawał losy na loterię, których nikt nie chciał kupować. Gestykułował, ale na darmo. Nie mógł mówić, bo wtedy mróz mógłby dotrzeć do jego serca. I nastąpiłby koniec.

– Co z panem? – spytał policjant uprzejmie.

Nie czuł odoru alkoholu, to nie był żaden ze znanych im pijaczków. Policjant miał jeszcze pół godziny do zakończenia służby. Potem czekał go długi urlop, razem z rodziną miał jechać do domu, do Ångermanland.

Vincent poruszył sztywno głową, próbując wyprzeć z pamięci sen i skupić wzrok na policjancie. Powoli rzeczywistość zaczynała docierać do jego świadomości. Zobaczył nogi w spodniach od munduru, słyszał głos, poczuł dotyk dłoni i błyskawicznie wyciągnął nóż z wewnętrznej kieszeni kurtki, wykonał zamaszty ruch.

Nóż trafił w szyję Jana-Erika Hollmana, urodzonego w Lunde, ochrzczonego w kościele w Gudmundrå, gdzie też tydzień później został pochowany. Trafił w tętnicę, przeszedł przez szyję i wyszedł z drugiej strony.

Jego koleżanka, Maria Svensson-Flygt, robiła, co mogła, żeby powstrzymać krwawienie, ale wszystkie wysiłki okazały się daremne. Jan-Erik Hollman wykrwawił się w ciągu kilku minut na oblodzonym chodniku na Svartbäcksgatan.

Vincent siedział oparty o ścianę i wydawał się całkowicie nieświadomy całego zdarzenia. Maria patrzyła na niego. Wokół nich zebrał się wianuszek ludzi. Panowała całkowita cisza. Ruch uliczny zamarł. Krwistoczerwona róża na ziemi przestała rosnąć. Jedna dłoń Marii dotykała piersi kolegi, druga szukała komórki. Po krótkiej rozmowie Maria sięgnęła po nóż, który Vincent odrzucił, a może nóż po prostu wypadł mu z ręki.

– Ona ma pistolet! – krzyknął jakiś mały chłopiec.

Vincent spojrzał na Marię tępym wzrokiem, zobaczyła w jego oczach szaleństwo. Gdzieś w głębi ulicy ktoś śmiał się głośno, jakiś kierowca taksówki zaczął trąbić poirytowany, poza tym panowała cisza. Po kilku sekundach rozległ się dźwięk syren.

Maria Svensson-Flygt lubiła swojego kolegę. Pracowali razem dwa lata. Nienawidziła siedzącego pod murem mężczyzny, pomyślała, że gdyby byli sami na ulicy, bez gapiących się świadków, odstrzeliłaby mu głowę.

Domyśliła się, że jest to Vincent Hahn, który od przedpołudnia był poszukiwany za napaść na kobietę w Johannesbäck. Rozpoznała go, chociaż podobieństwo między nim a mężczyzną na zdjęciu było niewielkie.

Na komendzie panowała żałoba. Jedni płakali, inni siedzieli skupieni, niemal się nie odzywając. Obraz plamy krwi na Svartbäcksgatan powracał bez przerwy. Myślamy byli z żoną Jana-Erika i ich dziećmi, ale w głowie każdego z nich kołatała myśl, że przecież to mógł być każdy z nich. Nikt tego głośno nie powiedział, ale tak właśnie myśleli. I ta myśl, choć niewypowiedziana, wzmacniała ich poczucie wspólnoty. Dlatego też słowa komendanta podczas krótkiej odprawy zabrzmiały szczerze.

Jego zwykle nieco obojętny, suchy głos zmusił ich dzisiaj, żeby spojrzeli na niego innymi oczami. Mówił cicho, bez wielkich słów, i szybko opuścił podium. Zapadła paralizująca cisza. W końcu podniósł się mężczyzna w średnim wieku, którego twarz wielu z nich była dobrze znana.

Był to szpitalny kapelan, który, gdy nadeszła wiadomość o śmierci policjanta, akurat był w budynku komendy w prywatnej sprawie. Kiedy się zorientował, co się wydarzyło, postanowił zostać. Liselotte Rask, która odpowiadała za kontakty z prasą, rozpoznała go i poprosiła, żeby został, aż skompletują grupę kryzysową.

Ola Haver słuchał słów kapelana, które z trudem docierały do jego oszołomionego umysłu. Obok niego siedział Fredriksson, który pochylił głowę, jakby się modlił.

Ponieważ Haver pierwszy zjawił się w mieszkaniu Gunilli Karlsson, przyjęto, że to on stał na czele pościgu za Hahnem. Teraz Hahn został złapany, ale za jaką cenę?

Fredriksson udał się do aresztu, gdzie siedział podwójny morderca. Chciał go zobaczyć. Jego widok rozgniewał go. Vincent siedział, pił herbatę i jadł kanapkę z serem. Coś było nie tak, sytuacja wydawała się nie na miejscu, była niemal nieprzyzwoita.

Strażnik stał tuż obok i niewiele brakowało, a Fredriksson zacząłby go besztać, ale się pohamował.

Czy Vincent Hahn miał coś wspólnego ze śmiercią Małego Johna? Dorastali w tej samej okolicy, chodzili do tej samej szkoły. Fredriksson pomyślał o nożu. Czy można było w jakiś sposób powiązać Vincenta z nożem, znalezionym u szczeniaka, który ponoć ukradł go z

samochodu na parkingu Szpitala Akademickiego?

Po zatrzymaniu Sammy Nilsson natychmiast poszedł do Vincenta i spytał go, czy znał Małego Johna. Vincent roześmiał się i przyznał, że tak.

– Umarł – powiedział, śmiejąc się.

– Ty go zabiłeś?

– Umarł od noża – dodał Hahn.

I zamilkł, mimo że Sammy zaczął nim potrząsać, podniósł go z pryczy i powtórzył pytanie. W końcu strażnik musiał wyprosić go z celi. Potem opowiedział Fredrikssonowi o incydencie.

– Czasem się śmieje – powiedział mu. – Mam wrażenie, że to wariat.

Fredriksson poprosił strażnika, żeby zawiadomił go, jeśli tylko zauważy, że Hahn chce rozmawiać.

Po zakończonej odprawie Haver włączył komórkę. Po kilku sekundach otrzymał sygnał, że ma nową wiadomość. Dzwoniła Rebecka. Słyszał, że bardzo się stara, żeby jej głos brzmiał normalnie. Prosiła, żeby oddzwonił.

Oddzwonił, Rebecka odebrała natychmiast.

– Dzięki Bogu – powiedziała.

– Co się stało?

– Usłyszałam wiadomość w radiu.

– To kolega z patrolu porządkowego, nie sądzę, żebyś go znała.

– Ma żonę, dzieci?

– Tak, chłopca i dziewczynkę. Cztery latka i osiem.

– To straszne, cholera! – krzyknęła Rebecka, która niezwykle rzadko przeklinała.

– Muszę kończyć.

– Będiesz na siebie uważał?

– Przecież wiesz.

– Chciałabym... – zaczęła Rebecka ostrożnie, ale Haver jej przerwał.

– Naprawdę muszę kończyć – rzucił – Na razie.

Zakończył rozmowę z mieszanymi uczuciami. Był wzruszony jej niepokojem, ale i poirytowany. Kiedy wczoraj późnym wieczorem w końcu dotarł do domu, doszło między nimi do karczemnej awantury. Rebecka siedziała przy stole, milczała i patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Przed nią stał kieliszek i butelka czerwonego wina. Zauważył, że wypila pół butelki. Wszedł do kuchni i rozpętało się piekło. Rebecka była wściekła. Miała pretensję, że Ann Lindell nie przedstawiła się, kiedy do nich zadzwoniła. Haver podejrzewał

jednak, że nie to było głównym powodem jej złości.

Położyli się późno, a potem Haver długo nie mógł zasnąć. Rebecka też przewracała się niespokojnie na łóżku, wzdychała, kilka razy poprawiała poduszkę. Jednak między nimi panowało głuche milczenie. Wiele ważnych słów zostało powiedzianych. Wiele pozostało niewypowiedzianych. O wpół do trzeciej wstał, poszedł do kuchni. Butelka z niedopitym winem stała na stole. Zdziwił się, bo Rebecka zawsze po sobie sprzątała. Nalał sobie pół kieliszka. Powinien spać. Powinien kochać żonę, kochać się z nią, wiedział jednak, że najpierw muszą zacząć ze sobą rozmawiać.

Haver wybrał numer telefonu stacjonarnego Ann. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Zadzwoił na jej komórkę, z takim samym rezultatem. Nagrał krótką wiadomość, prosząc o telefon.

Dlaczego dzwoniła? I dlaczego teraz nie odbierała? Na ogół zawsze była uchwytana. Jej telefon poprzedniego wieczoru musiał być związany ze sprawami służbowymi. Na pewno nie zadzwoniłaby do niego, żeby porozmawiać o tym, co się między nimi wydarzyło. Bo też co tak naprawdę się wydarzyło? Zaczął się zastanawiać. I był coraz bardziej poirytowany. Miał wrażenie, że na wszystko jest już za późno. Podobnie jak wtedy w nocy, czuł, że posunęli się za daleko.

W końcu zasnął, coś mu się śniło. Jakaś kobieta stała i pochylała się nad nim. Dlaczego umarł mój syn? – powtarzała. Raz za razem. Próbował jej odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Siedział bezradny, wsłuchując się w zawodzenie kobiety. I wtedy się obudził, spocony ze strachu.

Rebecka zasnęła. Oddychała spokojnie, regularnie, miał ochotę przytulić się do niej. Po chwili zasnął i koszmar powrócił.

Po odprawie wszyscy wrócili do swoich zajęć. Haver wahał się. Ottosson zarządził zebranie za dziesięć minut. Z udziałem prokuratora Fritzéna. Ponownie zadzwonił do Ann, nagrał kolejną wiadomość. Potem poszedł do łazienki i się rozplakał.

Ottosson zaczął od tego, co dla wszystkich było oczywiste. Mówił o Janie-Eriku, o ryzyku, które wszyscy ponosili, o telefonach, które odbierali od ludzi, i o kwiatkach, które wiele osób przysyłało na komendę.

Jakby fakt, że zbliżały się święta, czynił ludzi bardziej skłonny do okazywania swojego współczucia. Liselotte Rask wykonała kawał dobrej roboty, poinformował Ottosson.

Stała w holu i rozmawiała ze wszystkimi, dla każdego miała czas i dobre słowo, tak że nawet najbardziej zadziorni dziennikarze milkli.

Nagle szef zmienił temat.

– Teraz pewnie lepiej rozumiemy odczucia Berit Jonsson – powiedział. Prokurator spojrzał na niego zdziwiony, ale on niezrażony ciągnął dalej: – Śmierć przychodzi do każdego, to jedno jest w życiu pewne. Śmierć z cudzej ręki jest straszna, wszystko jedno czy ginie złodziej na wysypisku, czy policjant na służbie. Ból ich bliskich jest taki sam.

Haver zaczął się zastanawiać, jakie relacje tak naprawdę łączyły szefa i Małego Johna. O Vivan Molin, która została uduszona, a potem brutalnie wepchnięta pod łóżko, Ottosson nie wspomniał.

– To prawda – przerwał mu Berglund.

Oczy wszystkich zwróciły się na policyjnego weterana, który rzadko zabierał głos w takich sytuacjach. Zawahał się chwilę, ale zaraz znów zaczął mówić.

– Musimy bardziej się starać. My wszyscy. Nikt nie powinien umierać tak jak umarł Jan-Erik, Vivan Molin czy Mały John. Co do tego jesteśmy zgodni. To my tworzymy morderców.

Słowa padały niczym razy. Ottosson uniósł brwi. Fritzén wyglądał wręcz na obrażonego.

– Co pan na myśli? – spytał prokurator. – To chyba nie jest najlepsza okazja do przedstawiania domorosłych teorii na temat winy i niedoskonałości społeczeństwa.

– Każda okazja jest dobra – stwierdził Berglund, już nieco spokojniejszym tonem. – To jest nasza praca i nasza odpowiedzialność. Zawsze musimy zadawać sobie pytanie, co mogliśmy zrobić, żeby temu zapobiec.

Prokurator najwyraźniej zamierzał mu przerwać, ale Lundin chrząknął znacząco.

– Chcę posłuchać, co Berglund ma do powiedzenia.

– Odwiedziłem ostatnio ponownie Oskara Petterssona na Marielundsgatan, starszego mężczyznę, który znał Małego Johna i jego rodziców. To mądry człowiek – powiedział Berglund, zerkając na Fritzéna. – Mówimy tym samym językiem. Jesteśmy stąd, w przeciwieństwie do większości z was. Poza tym pamiętamy dawne czasy, wy jesteście na to za młodzi. Dlatego chcę wam przypomnieć, że szkoła i uniwersytet to nie wszystko, że jest jeszcze szkoła życia. To w niej uczył się Oskar Pettersson. I zapewne także Mały John. Dorastał w świecie, który próbował się przeciwstawić współczesnemu szaleństwu. Oczywiście w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych też było dużo draństwa, ale społeczeństwo próbowało stawiać mu opór. Dzisiaj jest inaczej.



– Kto stawiał opór? – zdziwił się Sammy.

– Zwykli ludzie, ale także rządzący.

– Szwecja nie jest już taka jak kiedyś – wszedł mu w słowo Riis. – Przyjechało do nas wielu obcych, więc niekiedy bywa niespokojnie.

Berglund odwrócił głowę, spojrzał na Riisa.

– Wiem, że nie lubisz imigrantów, ale zarówno Mały John, jak i Vincent Hahn są produktami naszego Domu Ludowego, państwa opiekuńczego, będącego podstawą polityki socjaldemokratów. Samotność niszczy ludzi. Wszyscy mamy marzenia, ale i wszyscy możemy popełnić błąd. O czym marzyliśmy? O czym marzył Oskar Pettersson?

Zapadła cisza tak wielka, że niemal bolesna. Takie pytania zwykle nie padały, a jeśli, to bardzo rzadko. Berglund czuł, że nie jest w stanie wyrazić dokładnie, co czuje, czego doświadczył, odwiedzając starego robotnika, pracującego kiedyś przy betoniarce. Było coś na rzeczy w tym, co mówiono o palaczach z huty szkła w Ekeby, że z czasem stawali się drażliwi. To właśnie tam rodziły się w swoim czasie nowe pomysły, które później wydawały owoce. Podczas ostatniej wizyty Pettersson przypomniał sobie wiele szczegółów dotyczących Małego Johna i jego rodziny. Jego opowieść przerodziła się w opowieść o społeczeństwie, o pewnym marzeniu, które okazało się utopią. Berglund słuchał uważnie emerytowanego budowlańca, który wspominał dawne czasy, ale też wybiegał w przyszłość, sprawiając, że Berglund nagle zobaczył wiele rzeczy w zupełnie innym kontekście. Chętnie powróciłby teraz do tych myśli, pogłębił je, ale uznał swoje ograniczenie.

– Nie chodzi mi o czarnuchów – powiedział Riis urażony.

– Jest coś w tym, co mówisz – przyznał Sammy. – Sam miewam podobne myśli. Nie sądzę, żeby wiek odgrywał tu jakąś rolę ani nawet pochodzenie społeczne.

– Mam wrażenie, że odbiegliliśmy od tematu – wtrącił prokurator.

– Nie przerywaj – uciszył go Ottosson. – Pozwól nam rozmawiać. Jesteśmy policjantami, nie gromadą skacowanych członków obrony cywilnej, których postawiono na straży nikomu niepotrzebnego schronu gdzieś w lesie.

Trudno powiedzieć, dlaczego Ottossonowi przyszło do głowy akurat takie porównanie, ale większość uznała je za trafne. Nawet Riis się uśmiechnął.

– Weźmy na przykład chłopaków z Gottsunda czy Stenhagen – podjął wątek Sammy.

– Są pogubieni. Czasem zaczynam wątpić, czy wybrałem właściwy zawód. Może powinienem być zostać trenerem? Zmierzyć się z chłopakami, jak ten facet z klubu sportowego, ten, który ma nazwisko, którego nikt nie potrafi wymówić, ale odwala kawał świetnej roboty. Właśnie na rzecz społeczeństwa. Wszyscy politycy gadają o bezrobociu i

rosnącym rozwarstwieniu, ale nic nie robią. Żyją we własnym świecie.

– To prawda – wszedł mu w słowo Berglund. – Oni tu nie mieszkają, nie znają żadnych imigrantów, boją się. Wysyłają nas, kiedy już dochodzi do wybuchu.

Fritzén poruszył się, wyraźnie zamierzał wstać, ale opadł z powrotem na krzesło.

– Mam wrażenie, jakbym się znalazł na lewackim zebraniu z lat siedemdziesiątych – powiedział.

– Chodziłeś na nie? – spytał Ottosson łagodnie.

– Wypraszam sobie – obruszył się prokurator. Między nim a zebranymi w pomieszczeniu policjantami powstało nagle pęknięcie. Wiedzieli, że trudno będzie im od niego abstrahować. Mieli dobre doświadczenia ze współpracy z prokuratorem, ale teraz wkradła się między nich polityka. I nie chodziło tu o słowne przepychanki, tylko o kwestie podstawowe.

– Kiedyś o tym porozmawiamy – odezwał się szef, usiłując wybrnąć z sytuacji. – Teraz musimy wracać do konkretów. Proponuję, żeby Haver i Beatrice przesłuchali Hahna. Jest chyba w dość kiepskim stanie, pewnie trzeba będzie wezwać lekarza. Zajmiesz się tym, Ola?

Haver skinął głową.

– Rozmawiałem z Liselotte – ciągnął dalej Ottosson. – Jutro rano o dziewiątej odbędzie się konferencja prasowa. Ona i szef zajmą się wszystkim. Wiem, co myślicie, ale szef nalegał. Pytanie brzmi, czy Hahn ma coś wspólnego z morderstwem Małego Johna. Osobiście nie bardzo w to wierzę. To przypadek, że chodzili do tej samej szkoły.

– Powiedział, że znał Małego Johna – wtrącił Sammy. – Wiedział też, że John został pchnięty nożem.

– Mógł o tym przeczytać w gazecie.

– To prawda, ale powiedział też... Sam nie wiem, ale mam wrażenie, że jakby triumfował.

– Mamy coś nowego, jeśli chodzi o ten nóż? – zmienił temat Ottosson.

– Nie. Próbowaliśmy ustalić, gdzie został kupiony, ale do niczego nie doszliśmy – raportował Sammy. – Prawdopodobnie pochodzi z zagranicy.

Riis uśmiechnął się, Sammy podniósł głowę, ale nie pozwolił się sprowokować. Mówił dalej.

– Wierzę Mattiasowi, kiedy twierdzi, że zwędził go z jakiegoś samochodu. Najwyraźniej należał do kogoś, kto miał jakąś sprawę w szpitalu.

– Czy obok nie ma jakiegoś placu budowy? – spytał Berglund. – Skoro to był pick-up.

– Jest, ale ma własny parking.

Haver uniósł rękę, jakby mimowolnie, bo zaraz ją opuścił. Ottosson jednak zauważył jego gest, bo spojrzał na niego z wyraźnym pytaniem w oczach.

– Nie, nic takiego – powiedział Haver. – Nagle tylko coś mi się przypomniało.

– Coś, co ma związek ze szpitalem?

– Nie wiem. Raczej z placem budowy. Wiecie, jak to czasem jest.

Zamyślony poprawił się na krześle. Próbował się odseparować od kolegów, skupić na swoich myślach. Szpital, parking, budowa, furgonetka, nóż – obrazy przelatywały mu przed oczami, nic nowego, o wszystkim już wielokrotnie rozmawiali.

– Przesłuchania pokerzystów można uznać za zakończone – powiedziała Bea. – Warga w listopadzie trafił do zakładu leczenia uzależnień, i nadal tam przebywa. Koledzy z Kalmar wybiorą się dzisiaj do niego. Został nam tylko jeszcze Dick Lindström. Poprosiliśmy Holendrów o pomoc. Prawdę mówiąc, nie ma nic, co wiązałoby któregokolwiek z nich z zabójstwem Małego Johna. Wszyscy mają alibi na wieczór, kiedy John zaginął.

– Może to było morderstwo na zlecenie? – zasugerował Fritzen. – Może jest to dzieło płatnego mordercy.

– To możliwe – zgodziła się Beatrice. – Ale w dalszym ciągu nie mamy żadnych tropów, którymi moglibyśmy podążać.

– W porządku – przerwał Ottosson. – Przesłuchamy Vincenta Hahna. Na pewno możemy powiązać go z napadem na Gunillę w Sävja i z morderstwem Vivan w Johannesbäck. Zobaczmy, co ma do powiedzenia o Małym Johnie.

Sprawiedliwości stało się zadość – oświadczył Vincent Hahn jasnym, wyraźnym głosem.

Jego stanowczość zdziwiła Beatrice. Spodziewała się, że będzie skonfundowany, zagubiony.

– Ma pan świadomość, że jest pan podejrzany o popełnienie dwóch morderstw, o nielegalne wtargnięcie do cudzego mieszkania, o napaść na tle seksualnym i groźby karalne?

Vincent nie odpowiedział, Beatrice powtórzyła pytanie.

– Tak – potwierdził w końcu.

– Co to znaczy, że sprawiedliwości stało się zadość?

– Nic nie rozumiecie? Nareszcie będę miał spokój.

– Znał pan Johna Jonssona?

– Jasne – zareagował błyskawicznie Vincent Hahn. – Należał do oddziałów.

– Do jakich oddziałów?

– Do oddziałów zła.

– Nie żyje.

– To dobrze.

Haver i Beatrice spojrzeli na siebie.

– Zamordował pan Johna Jonssona?

– Pchnąłem go nożem.

Vincent wykonał zamaszty ruch ręką, aż przesłuchującym go funkcjonariuszom przeszły ciarki po plecach.

– Może pan opisać ten nóż?

– Nóż jak nóż. Długi. Zadałem kilka ciosów. John nie miał szansy.

– Co to za nóż?

– Taki, którym można zabić.

– Ma pan go nadal?

Hahn dotknął niepewnie prawej nogawki spodni.

– Nie – powiedział. – Ja... Ten nóż...

– Wyrzucił pan go?

– Nie wiem. Miałem go w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Proszę opisać wasze spotkanie.

– To było na rynku Vaksala, przed szkołą. Stał obok mnie. Dźgnąłem go.

– Na rynku?

– Nie wiem. Nie na tym rynku.

Po raz drugi w jego głosie zabrzmiała niepewność. Zawahał się, odwrócił wzrok od policjantów, zaczął się kołysać. Po chwili wrócił do swojego wywodu.

– On się śmiał. Drwił sobie ze mnie. Wytykał mnie palcami. Był zły. Tego dnia wszyscy byli źli.

– Kiedy to było?

– To było... Trzymał w ręku choinkę.

– Choinkę? Kupował choinkę na rynku Vaksala?

– Rozmawialiście?

Beatrice i Haver zaczęły wchodzić sobie w słowo.

– John nigdy się do mnie nie odzywał. Tylko sobie ze mnie drwił.

– Powiedział pan, że dźgnął go nożem. Gdzie?

– Wiele razy.

– Ale gdzie to miało miejsce? Na rynku?

– Kiedyś mnie tam gonił.

– Kiedy chodziliście do szkoły, tak?

– Nie był dobrym człowiekiem. Ten drugi też nie.

– Kto?

– Ten w kaszkiecie. Głośno mówił. Nie lubię, kiedy ludzie krzyczą.

– On też był na rynku?

Hahn pokiwał głową.

– Jak wyglądał?

– Krzyczał, a John uśmiechał się pogardliwie.

– Może pan go opisać?

Ola Haver czuł narastającą niecierpliwość, jakby tysiące robaczków pełzało mu pod skórą. Beatrice wzięła głęboki wdech, który na taśmie, kiedy ją później odsłuchiwali, brzmiał jak desperacka próba wciągnięcia powietrza.

– Wyglądał jak wojskowy. Stałem obok niego, na wypadek gdyby John i jego chciał

dręczyć – powiedział Vincent i zamilkł.

– Może pan opisać, jak był ubrany?

Milczenie.

– Chciał go pan chronić przed Johnem. Tak?

– Teraz wiem, że miałem rację.

– W czym?

– Że chciałem się zemścić. Chodzi o sprawiedliwość.

– Co działo się dalej z mężczyzną i Johnem?

– Poszli, z choinką.

– Dokąd?

Na twarzy Hahna pojawiło się nagle cierpienie. Skulił się, zamknął oczy. Haver spojrzał na zegarek. Rozmawiali już kwadrans. Jak długo Hahn jeszcze wytrzyma?

– Napije się pan soku?

– Poszli w stronę szkoły, weszli pod sklepienie – odezwał się Hahn nieoczekiwanie. – Kiedy się tam stoi i krzyczy, to aż echo niesie.

Haver był niedawno w szkole Vaksala z prelekcją o narkotykach. Pamiętał dość dobrze budynek szkoły. Od strony rynku wchodziło się na dziedziniec szeroką sklepioną bramą. I wychodziło wprost na stołówkę, która teraz była w przebudowie. Kolejny plac budowy, pomyślał. I nagle powróciła myśl, która dręczyła go podczas porannej odprawy. To było coś, co słyszał albo może widział. Czyżby naprawdę chodziło o jakiś plac budowy? Na terenie Szpitala Akademickiego, a może ten koło szkoły?

– Poszedł pan za nimi.

– Czasem tam cuchnęło. W tej bramie – wyjaśnił Hahn. – Wtedy tam nie wchodziłem.

– Ale tym razem pan wszedł?

Kolejne skinięcie głową.

– John rzucił nią we mnie.

– Co?

– Taką cuchnącą bombą.

– Teraz jednak nie było żadnych przykrych zapachów i mógł pan spokojnie tam pójść?

– Wrzucili choinkę do samochodu, musiałem się pospieszyć, żeby za nimi nadążyć.

– I udało się panu?

Vincent podniósł głowę, spojrzał na Beatrice.

– Zdążył pan, zanim odjechali?

Beatrice mówiła do niego cicho, łagodnie. Hahn milczał. Jego świdrujące spojrzenie

przeraziło ją. To bydlę zamordowało naszego kolegę, pomyślała. Bydlę, bydlę, powtarza w duchu raz po raz. Opanowała się, wytrzymała jego spojrzenie.

Vincent Hahn opuścił głowę.

– Chcę do domu – powiedział wykończony.

Haver wstał, wyłączył magnetofon, skinął głową strażnikowi, który chwycił Hahna za rękę. Mężczyzna był bezwolny, pozwolił się wyprowadzić. Haver ponownie włączył magnetofon i szybko wypowiedział kilka słów, które oznaczały zakończenie przesłuchania.

– Co o tym sądzisz? – spytał Beatrice.

– Kompletny świr, ale mam wrażenie, że naprawdę widział Johna na rynku, może nawet właśnie w dniu morderstwa. To wydaje się prawdopodobne. John wychodzi od swojego kumpla, Anderssona, który mieszka niedaleko rynku. Dochodzi do wniosku, że powinien kupić choinkę, zaczyna się rozglądać, spotyka kogoś, kto proponuje, że podrzuci go z choinką do domu. Niewykluczone, że samochód stał na dziedzińcu szkoły. Można stamtąd wyjechać wieczorem? – zainteresowała się Beatrice.

– Sądzę, że tak. I to zarówno na Salagatan, jak i na Väderkvarnsgatan.

– Kim był mężczyzna, który wyglądał jak wojskowy?

– No właśnie. Jak wojskowy. Co to może znaczyć? Czy to jego zachowanie tak się Hahnowi skojarzyło, czy raczej jego wygląd?

– Jakie wojsko stacjonuje w Uppsali?

– Pułki F16 i F20, ale czy ktoś ze stacjonujących tam wojskowych chodzi w mundurze poza służbą?

– Może wypożyczymy kilka rodzajów mundurów, żeby Hahn mógł się im przyjrzeć?

– To niekoniecznie musiał być mundur wojskowy. Po prostu tak mu się skojarzył.

– Mundur noszą kierowcy autobusu, straż miejska. Jest dużo różnych mundurów, które Hahn mógł skojarzyć z wojskiem.

Haver milczał chwilę, cofnął taśmę, zaczął słuchać. Głos Hahna na taśmie miał metaliczne brzmienie, jakby nagranie wymazało z niego wszelkie wahanie.

– Co ty na to?

Beatrice wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ścianę. Haver złapał się na tym, że przez moment miał wrażenie, że rozmawia z Ann Lindell. Usłyszeli delikatne pukanie do drzwi. Fredriksson, pomyślał Haver, ale kiedy drzwi się uchylły, do salki zajrzał Sammy Nilsson.

– Odesłaliśmy go na dół – poinformował i wszedł do środka.

Haver po raz kolejny włączył taśmę.

– Sądzę, że to on – stwierdził Sammy, kiedy Haver wyłączył magnetofon.

– Motyw pewnie by się znalazł, ale co z okolicznościami? – spytał Haver nieobecny głosem.

Beatrice przyglądała mu się z boku.

Za dużo na siebie bierze, stwierdziła w duchu. Można by pomyśleć, że sam odpowiada za wyniki całego dochodzenia. A może to śmierć Hollmana tak go przytłoczyła? – zastanawiała się.

– A jak dostał się do Libro? Jak to rozwiązał?

– Odcięte palce. To chore, ale właśnie Hahn mógł coś takiego zrobić – podsumował Sammy, nie zwracając uwagi na zastrzeżenia Beatrice.

Ale ona nie ustępowała.

– Jak go tam przewiózł? – powtórzyła.

– Jeśli dźgnął Johna na dziedzińcu szkoły, powiedział przecież, że to nie stało się „na tym rynku”, a dziedziniec szkolny też można uznać za rodzaj rynku, to może pomógł mu ktoś, kto wyglądał jak wojskowy.

– To chyba jednak za bardzo naciągane – uznała Beatrice. – Dlaczego ktoś, kto był świadkiem morderstwa, miałby pomagać mu przewieźć ciało ofiary do Libro?

– Może się znali?

Beatrice pokręciła głową.

– Zmusił go do tego – wtrącił Haver. – Może Hahn mu groził?

– Tak mogło być – powiedział Sammy, wstając. – Groził mu.

– Ale dlaczego... Myślisz, że jego Hahn też zamordował?

Sammy pokiwał głową.

– *Yes*. Gdzieś jest jeszcze jedno ciało.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu, próbując wyobrazić sobie możliwy scenariusz. Wszyscy zgodnie uznali, że wcale nie wydawał się taki nieprawdopodobny.

– Musimy ponownie przesłuchać Hahna – stwierdził kategorycznie Sammy.

– To jasne – burknął Haver. – Pogadam z Ottossonem. – Wyszedł z pokoju, zanim pozostali zdążyli zareagować.

– Skąd ten pospiech? – spytał Sammy zdziwiony.

– Jest wykończony.

– Pewnie tęskni za Rebecką – stwierdził Sammy tonem, który nie spodobał się



Beatrice.

– Płakał – powiedziała. Zamknęła notes i opuściła pokój, nie mówiąc już nic więcej.

Ann Lindell właśnie skończyła karmić Erika. Apatycznie wykonywała swoje poranne obowiązki. Nagłówki wszystkich gazet krzyczały o śmierci Erika Hollmana. Oszołomiona czytała o zdarzeniach ubiegłego wieczoru. Pamiętała go jako miłego chłopaka. Pochodził z północy, z Norrlandii, dobrze grał w badminton, no i, jak wynikało z artykułu, był ojcem dwójki dzieci.

Stała i wyglądała przez okno. Na kuchence stał garnek. Jej matka zaproponowała, że ugotuje szynkę, ale Ann odmówiła. W kuchni unosił się lekki zapach przypraw i bulionu. Wiedziała, że ojciec lubił potem maczać w nim chleb; musi pamiętać, żeby kupić bochenek żytniego chleba.

Ponownie sięgnęła po pierwszą stronę gazety. Zdjęcie ze Svartbäcksgatan z ciemną plamą na chodniku przypominało nieco to, które zwykle pojawiała się w prasie przy okazji artykułów o zabójstwie Olofa Palmego. Krew na ulicy.

Widok ogromnej szynki napawał ją obrzydzeniem.

Szarobiałe burzyny i pływający po powierzchni tłuszcz. Zebrała cedzakiem trochę piany. To pierwsza szynka od wielu lat, którą sama gotowała. Myśl o rodzicach, o ich trosce i zmartwionych minach, sprawiła, że się zawstydziła. Poczula wyrzuty sumienia.

Wbity w szynkę termometr pokazywał niecałe czterdzieści stopni. Jeszcze co najmniej godzina gotowania. Zwiększyła temperaturę gotowania, ale natychmiast znów ją zmniejszyła. Tutaj nie dało się niczego przyspieszyć.

Ola dzwonił, ale nie odebrała. Może chciał porozmawiać z nią o śmierci Hollmana, a może o ich krótkim spotkaniu. Poczula lekkie łaskotanie w podbrzuszu. Niespodziewane uczucie do kolegi, które pojawiło się tak nieoczekiwanie, wprawiło ją w zakłopotanie. Czowała niesmak, gardziła sobą. Od czasu zerwania z Edvardem nie pociągał ją żaden mężczyzna. No, może nie do końca, ale na pewno nie w ten sposób. Ola był żonaty. Nie może pozwolić, by posunęli się dalej. Kiedyś bawiła się myślą o flircie, prowadzącym może do czegoś poważniejszego, do ukrywanego przed wszystkimi związku. Potem jednak odrzuciła takie

pomysły. Zrozumiała, że były nierealne, a przede wszystkim niemoralne. Czyży upadła już tak nisko? Ola był żonaty, był ojcem dwójki dzieci, był jej kolegą, pracowali razem na co dzień.

O wpół do dziewiątej zadzwoniła Berit Jonsson. Justus zniknął. Po śniadaniu spakował do plecaka trochę rzeczy, Berit nie wiedziała dokładnie co, ale było tego sporo, bo plecak, w którym zwykle nosił podręczniki, był pełen. Nie powiedział, dokąd idzie, ale zwykle jej nie mówił, więc nawet się nie zdziwiła. Zaniepokoił ją wyraz jego twarzy. Z zawziętą miną zjadł rano płatki z jogurtem, posprzątał po sobie, poszedł do swojego pokoju, a kwadrans później wyszedł ze spakowanym plecakiem. Powiedział „cześć” i wyszedł z mieszkania. Było tuż po ósmej.

– Od kilku dni był markotny, no i nagle wczoraj wyszedł – powiedziała Berit. – Coś jest nie tak.

– Uprawia jakiś sport? – spytała Ann. – Zastanawiam się, czy wziął ze sobą jakiś sprzęt.

– Nie.

– Pewnie się pojawi.

– Nie nakarmił rybek, nawet do nich nie zajrzał.

– Lennart się odzywał?

– Nie, a jeśli spróbuje, to wyrzucę go za drzwi.

– Justus na pewno niedługo się zjawi, nie martw się – powiedziała Ann.

Umówiły się, że Berit zadzwoni, jeśli chłopak nie wróci w ciągu kilku godzin. Miał ze sobą komórkę. Berit dzwoniła do niego, ale nie odbierał.

Za kilka godzin mieli przyjechać rodzice. Temperatura szynki wzrosła do czterdziestu ośmiu stopni. Ann wpatrywała się obojętnie w wywar, w którym tańczyły ziarenka pieprzu, wirującym ciałem niebieskie po ustalonym torze.

Odeszła od kuchenki, czuła obrzydzenie. Podobnie się czuła, kiedy odkryła, że zaszła w ciążę z mężczyzną, którego praktycznie w ogóle nie знаła. Katrin z przychodni wytłumaczyła jej, że najprawdopodobniej przyjmowane przez nią roślinne suplementy diety zawierały dziurawiec, który osłabił działanie pigułek antykoncepcyjnych.

Skąd u niej ta pogarda? Czyżby wynikała z tego, że stała i gotowała szynkę tylko dlatego, że jej rodzice przyjeżdżali na święta do Uppsali? Gdyby nie to, pewnie w ogóle nie

przejmowałaby się świętami, nie zdążyła nawet udekorować mieszkania. Radość ze spotkania przysłaniały obowiązki i poczucie, że powinna pokazać się jako dobra córka i matka.

Bała się wzroku matki, jej uwag. Nie pamiętała, żeby matka zachowywała się tak, kiedy Ann dorastała. Pogarszający się stan zdrowia ojca, jego bierność, zapewne wzmogły u niej potrzebę kontroli córki. Jakby nie wierzyła, że Ann poradzi sobie w roli matki. Jakby nie wierzyła, że potrafi zadbać o Erika. A może rzeczywiście nie potrafię? – zastanawiała się. Może nie nadaję się do bycia samotną matką?

– Bo zawsze będę już sama – powiedziała głośno.

Poszła do pokoju synka, stanęła obok łóżeczka, przyglądała się dziecku. Był zdrowy, rozwijał się zgodnie ze wszystkimi tabelkami. Dlaczego miałyby być gorszą matką niż inne kobiety? Ann wiedziała, że to jej brak wiary w siebie każe jej stawiać te wszystkie pytania.

Poczuła wibrowanie telefonu. Wyłączyła głos, żeby nie przeszkadzał Erikowi. Dzwoniła Berit.

– Uśmiercił prawie wszystkie rybki – powiedziała.

– Co takiego?

– Wyjął je i poobcinał im łebki.

Berit zaczerpnęła powietrza, jakby chciała zdusić podchodzący jej do gardła krzyk.

– Dzisiaj rano?

– Tak. Myślałam, że zapomniał nakarmić rybki, więc poszłam sprawdzić. Rzeczywiście zapomniał, ale poza tym wyjął wszystkie Księżniczki i zabił je. Nie jestem w stanie tego pojąć.

Berit zaczęła głośno szlochać, po chwili szloch przeszedł w pełen rozpaczony krzyk. Ann próbowała nawiązać z nią kontakt, ale miała wrażenie, że Berit odeszła od telefonu, może usiadła na krześle albo osunęła się na podłogę. Jej płacz coraz bardziej się oddalał.

– Przyjadę do ciebie – obiecała Ann i rozłączyła się.

Termometr wbity w szynkę wskazywał sześćdziesiąt stopni.

Dłoń Karoliny Wittåker była spocona i wiotka.

– Ale pozory mylą – powiedział Haver Berglundowi, kiedy opowiadał mu o spotkaniu.  
– Natychmiast przejęła dowodzenie. Czuję się przy niej jak mały chłopiec. Zrobiła mi wykład na temat zaburzeń osobowości...

– Co powiedziała? – przerwał mu Berglund.

– Oczywiście decyzja należy do nas, ale chciałaby uczestniczyć w przesłuchaniach.

– Ach tak – mruknął Berglund niezadowolony i ruszył w stronę korytarza.

Haver patrzył za nim zdziwiony, wzruszył ramionami i wszedł do Ottossona. Szef wydziału zabójstw siedział pochylony nad krzyżówką w „Aftonbladet”.

– Muszę trochę przewietrzyć myśli – oznajmił przeprasząco, odsuwając na bok gazetę.

– Psycholog chce być obecny podczas przesłuchania Hahna – zakomunikował Haver.

– Nie widzę przeszkód. Sprawił na tobie dobre wrażenie?

– Sprawiała, to kobieta. Trzydzieści pięć lat, ładna i bardzo pewna siebie.

– Ach tak, rozumiem – roześmiał się Ottosson. – Pewnie się nam ułoży.

– Co się stało Berglundowi?

– A coś mu się stało? Myślisz o tym, co ostatnio mówił?

– Wydaje się cholernie ponury.

– Wszyscy jesteśmy ponurzy. Poza tym wkrótce Boże Narodzenie. Dla Berglunda to wyjątkowy czas. Zbiera wokół siebie cały swój klan, siadają do uroczystej kolacji, potem układają puzzle i co tam jeszcze. Rzadko spotyka się kogoś tak rodzinnego jak on i tak przywiązanego do tradycji. Pewnie najchętniej siedziałby teraz w domu, robił karmelki i wieszał bombki na choince.

Haver mógł się tylko roześmiać. Ottosson spojrzał na niego przyjaźnie.

– Załatw wszystko z tą psycholożką, ale pamiętaj, że Hahn to wariat. Zabił jednego z nas, to chory człowiek. Chory, ale człowiek – podkreślił.

Ola Haver miał mieszane uczucia. Cieszył się z ciepłych słów szefa i jego wyraźniej zachęty do działania, ale czuł też gniew. Nie rozumiał wyrozumiałości szefa w stosunku do podwójnego mordercy. Ale Ottosson właśnie taki był – wyrozumiały, łagodny; pewnie dlatego był dobrym szefem. Tyle że w tej chwili komenda pogrążona była w żałobie. Hahn był człowiekiem, to prawda, ale odrażającym człowiekiem.

– Janne miał żonę i dwoje dzieci – wycedził przez zęby Haver.

– Wiem – odpowiedział Ottosson. – Ale my nie jesteśmy od osądzania.

Czyżby zamierzał bawić się w kaznodzieję? – zdumiał się Haver.

– Wiem, co myślisz, ale kiedyś zarówno Mały John, jak i Vincent Arnold Hahn byli małymi chłopcami. Dziećmi, takimi, co to biegają po ulicach. Pewnego dnia jesienią, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, patrzyłem, jak grupa małych chłopców szła wzdłuż drogi do szkoły, w krótkich spodenkach, z plecakami. I pomyślałem sobie, że wśród nich idzie pewnie i złodziej, i facet, który kiedyś będzie bił żonę, i jakiś ćpun, może diler. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie do końca – przyznał Haver.

– Byli w drodze do szkoły, wchodzili w życie. A co my z nimi robimy?

– Uważasz, że takie rzeczy są już postanowione zawczasu? Kto zostanie dilerem, a kto mordercą?

– Przeciwnie – odpowiedział Ottosson nadspodziewanie ostro.

– Pewnie wszyscy ponosimy jakąś odpowiedzialność.

– Co do tego nie mam wątpliwości, ale chcę, żebyś miał to na uwadze, kiedy będziesz przesłuchiwał Hahna. Twoim zadaniem, naszym zadaniem jest dociec, co się wydarzyło, a potem opowiedzieć o tym prokuratorowi i społeczeństwu. Cały czas miej w pamięci wędrujących do szkoły chłopców z plecakami.

Ottosson przeciągnął ręką po brodzie, spojrzał na Havera i skinął głową. Haver też odpowiedział mu skinieniem i wyszedł z pokoju.

– Może pan opisać mężczyznę, który wyglądał jak wojskowy?

Vincent Hahn westchnął. Karolina Wittåker siedziała nieco obok, z rozstawionymi nogami, na tyle, na ile pozwalała jej wąska spódnica od kostiumu. Haver nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerkać w jej stronę. Psycholożka patrzyła na Hahna.

– Był zły – powiedział Hahn nagle.

– Krzyczał?

– Tak, krzyczał, grzmiał. To nie było przyjemne.

Beatrice i Lundin byli na rynku i rozmawiali ze sprzedawcami choinek. Żaden nie przypominał sobie ani Johna Jonssona, ani starszego mężczyzny, który wyglądałby jak wojskowy.

– Dlaczego sądzi pan, że to był wojskowy?

– Tak wyglądał.

– Ma pan na myśli ubranie?

Hahn nie odpowiedział od razu, tylko odwrócił się w stronę psycholożki. Jego spojrzenie padło na jej nogi. Kobieta patrzyła na niego spokojnie.

– Kim jesteś? – spytał Hahn, mimo że kobieta chwilę wcześniej mu się przedstawiła.

– Mam na imię Karolina – odparła i uśmiechnęła się. – Przysłuchuję się temu, co mówisz, i próbuję sobie wyobrazić tę scenkę na rynku Vaksala. Kiedy ten mężczyzna zaczął krzyczeć, a ty się go przestraszyłeś.

Hahn spuścił wzrok. Zapadło pełne oczekiwania milczenie.

– Wyglądał jak Hitler – powiedział Hahn. Mówił, jakby wypluwał słowa jak pociski.

– Miał wąsy? – spytała Beatrice.

Hahn pokiwał głową. Haver czuł, jak rośnie napięcie.

– Proszę powiedzieć coś więcej. – Wychylił się do niego, usiłując nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Dogoniłem ich.

– W jakim wieku był ten drugi mężczyzna? – spytał Haver.

– Miał sześćdziesiąt trzy lata – wyjaśnił Vincent szybko.

– Proszę powiedzieć coś o jego ubraniu.

Hahn nie odpowiadał. Minęło pół minuty, minuta. Haver czuł narastające zniecierpliwienie. On i Beatrice wymienili spojrzenia.

– Jak się czuleś, kiedy za nimi biegłeś? – spytała psycholożka. – Zadyszałeś się?

Hahn uniósł wzrok, spojrzął na nią, pokręcił głową.

– Wiedziałeś, że musisz za nimi biec?

Tym razem Hahn tylko skinął głową.

– Myślisz, że John się bał?

– John nigdy się nie bał. Nawet kiedy ciężarówka wjechała w ścianę i nauczycielka zaczęła krzyczeć. A on tylko się śmiał.

– Może się śmiał, ale pewnie też się bał – stwierdziła Karolina Wittåker.

Haver zrozumiał, że przesłuchanie się przedłuży. Nie bardzo wiedział, co sądzić o

zachowaniu psycholożki. Założył, że będzie raczej słuchaczem, ona jednak nie tylko aktywnie uczestniczyła w przesłuchaniu, ale wręcz sterowała jego przebiegiem. Musiał przyznać, że Hahn przynajmniej zaczął rozmawiać. Zerknął na Beatrice, która skinęła głową.

– To był samochód z papryką. Wyleciało z niego mnóstwo puszek. Takich z czerwoną papryką. Wszyscy zaczęli je zbierać. Ja też wziąłem dwie. Tata uznał, że je ukradłem, ale powiedziałem, że wszyscy brali. Przecież leżały na ulicy.

– Zezłościł się?

– Tak.

– Jak ten mężczyzna na rynku?

Hahn skinął głową.

– Co robił twój tata?

– Był nazistą.

– Kim był?

– Nikim. Krzychał mi prosto w ucho.

– Ty nie chciałeś być nazistą?

– Jestem talibem – oznajmił Vincent Hahn.

Haver roześmiał się, psycholożką posłała mu lodowate spojrzenie.

Nagle Hahn się podniósł, Haver też, ale usiadł z powrotem, kiedy Hahn znów zaczął mówić.

– Szybko się poruszał. To nie była ładna choinka. Po co ludziom coś takiego? To dużo kosztuje. I jeszcze te bombki, te wszystkie błyskotki. Powiedziałem to Johnowi. A on tylko się roześmiał. Ciągłe się śmiał. Ten drugi też się roześmiał, chociaż był zły.

– To było na szkolnym dziedzińcu? – spytała Beatrice.

– Nie powinno się trzymać choinek w domu.

– Ten mężczyzna, który był zły, rozmawiał z panem?

– Rozmawiał ze mną. Powiedziałem mu, że choinki nie lubią, kiedy się je ścina. A potem odjechali, mimo że za nimi krzychałem, chociaż nie powinno się krzyżeć.

– Co pan krzychał?

– Żeby zostawili choinki w spokoju. Nie mam racji?

– Uważam, że jak najbardziej – zgodził się Haver.

Sam nie kupił jeszcze choinki. Zwykle kupowali ją dzień przed Wigilią.

– Musimy złapać tego mężczyznę, który tak się złościł – powiedziała Beatrice. – Rozumie pan, prawda? Może zrobił komuś coś złego? Skoro tak się złościł. Musimy z nim porozmawiać.



Dziwnie się czuła, mówiąc tak dziecinnym językiem, ale zauważyła, że Hahn właściwie nadal był dzieckiem. Psycholożką z pewnością potrafiłaby to dokładniej wyjaśnić, ale Beatrice czuła instynktownie, że powinna właśnie tak się do niego zwracać.

– Jak był ubrany? Ładnie?

– Nie, nieładnie. Jak ci w telewizji, ci z takimi kieszeniami.

– Był w wojskowym mundurze?

– Ci, którzy strzelają.

– Myśliwi?

W głosie Karoliny Haver wyczuwał napięcie. Pomyślał, że jest równie spięta jak on.

– Myśliwi – powtórzył Hahn. – Polują.

Skulił się na krześle. Jego wewnętrzna udręka nagle stała się widoczna. Zaczął drżeć, dotknął ręką rany na czole. Haver domyślał się, że pewnie wróciły wspomnienia wczorajszych wydarzeń w Sävja. Vincent Hahn wymamrotał coś niemal niesłyszalnie. Pochylił się nad biurkiem, podniósł głowę i spojrzał Haverowi w oczy. Policjant poczuł się dziwnie. Miał wrażenie, że w oczach mordercy widzi pytania: Dlaczego tu jestem? Zamordowałem?

Czuł, jak Hahn przez kilka sekund szuka na nie odpowiedzi, a może także zrozumienia, wsparcia? Potem jego twarz się zmieniła, powrócił tak dobrze im znany nieobecny wzrok.

Kontakt się urwał, przez ostatnie dziesięć minut przesłuchania Hahn odpowiadał nieskładnie na ich pytania. Psycholożka podjęła jeszcze próbę dotarcia do niego, ale mężczyzna pozostał nieosiągalny.

Justus Jonsson wyruszył w drogę. Nie wiedział dokąd, wiedział tylko, że nie może zostać w domu. Rano przyszedł mu do głowy pewien pomysł, nagle wydał mu się oczywisty i rozsądny. Był ktoś, komu John ufał. Justus wiedział, gdzie mężczyzna mieszka, był u niego kilka razy. Erki był dla Johna jak dodatkowy ojciec. John, który zwykle obstawał przy swoim, w rozmowie z Finem miękł, ustępował. Justus słyszał wielokrotnie, jak w rozmowach z innymi John powtarzał coś, co mówił mu Erki.

Chłopak widywał ich też razem w warsztacie i był niemal zazdrosny, widząc, jak wspaniale ze sobą współpracują. Gdzieś ponad hałasem, ostrymi dźwiękami, wydawanymi przez piły tnące blachę i stal, i zawodzącymi maszynami, toczyła się między nimi rozmowa bez słów, wiązała ich ze sobą, sprawiała, że warsztat stawał się wspólnotą. Kiedy Erki i John pracowali, wszystko wydawało się takie proste. Krótka chwila namysłu, a potem już tylko praca. Justus obserwował zafascynowany tę trwającą ułamek sekundy pauzę, poprzedzającą moment rozpoczęcia pracy. Nie potrzebowali jej, żeby ustalić działania. To był raczej rodzaj umowy między nimi a materiałem, który mieli przed sobą. Jedno spojrzenie, jeden niemal niedostrzegalny ruch głową i błysk palnika. Wciskali palcem zielony guzik i ostrze zaczynało ochoczo ciąć blachę.

Fin na pewno go zrozumie. Może wiedział, co John planował?

Oskarżenia Lennarta zostawiły pustkę w piersi chłopca. Dlaczego matka powiedziała, że John nienawidził Lennarta? To nie była prawda! Przeciwnie, Lennart od samego początku miał miejsce w planach Johna. Ojciec powtarzał to wiele razy. Mieli razem budować nowe życie. John, Berit i Justus, no i Lennart. Na pytania o babcię John unikał odpowiedzi. „Zobaczymy”, powiedział kiedyś. Justus słyszał w jego głosie niepewność. „Jest stara”, dodał ojciec. Może chciał poczekać, aż babcia umrze?

Justus już po raz drugi minął dom Erki Karjalainena. Na podjeździe stał stary samochód. Na tylnej szybie była naklejka z fińską flagą. W oknie, za stojącymi na parapecie doniczkami z gwiazdami betlejemskimi, widać było kobietę. Wyjrzała przez okno, Justus zaś

przyspieszył kroku. Jakies sto metrów dalej ulica kończyła się placem, na którym można było zawrócić. Dalej był już tylko las. Chłopiec zatrzymał się na środku placu. Zasypane śniegiem świerki przypomniały mu o wycieczce, na którą kilka lat temu zabrał go John. Mimo wewnętrznej pustki i zmęczenia wspomnienie radości ojca, kiedy znaleźli się w lesie, wywołało na ustach chłopca uśmiech. Potem przyszły łzy. Mieli ściąć choinkę. „Zaoszczędzimy kilka stów”, powiedział ojciec. Czy to właśnie choinka, czy fakt, że jest w lesie i że jest tam razem z Justusem, wprowadziła ojca w radosny nastrój, było bez znaczenia. I wtedy, i teraz. John roześmiał się, chwycił Justusa za rękę i razem zaczęli oglądać drzewka. Obejrzeliby chyba ze dwadzieścia, zanim w końcu się zdecydowali.

Nadjechał samochód, Justus zszedł na pobocze. Samochód zaczął zawracać, wpadł w lekki poślizg. Był na fińskiej rejestracji, Justus śledził go chwilę wzrokiem, zobaczył, że staje przed garażem Karjalainena.

Wszedł do lasu. Śnieg padał i chociaż był środek dnia, zaczęło się już ściemniać. Na skraju lasu były jeszcze ślady butów, ale już kilkadziesiąt metrów dalej śnieg był nietknięty. Szedł dalej. Plecak podskakiwał, czuł jego ciężar, ale nie przeszkadzało mu to. Po kilku minutach wędrówki las nagle się skończył, zobaczył przed sobą niewielki czerwony domek. W oknach paliło się światło, na dziedzińcu stał słomiany bożonarodzeniowy koziołek. Podszedł do niego. Słomiany koziołek był obwiązany jedwabną, czerwoną wstążką. Chłopiec poklepał go, odgarnął nieco śniegu, który zebrał się na jego plecach. Znow zaczął płakać, mimo że bardzo się starał, żeby tego nie robić.

Domek wyglądał jak z bajki. Dziwił się, że taka chatka leżała tak blisko miasta. Kto w niej mieszka? – zdążył pomyśleć, zanim chwilę potem drzwi się uchyliły i starsza kobieta wystawiła głowę na mróz.

– Wesołych świąt – powiedziała. Gdyby nie ciężar w jego piersi, pewnie by się roześmiał.

– Wesołych świąt – wymamrotał. – Chyba zabłądziłem – dodał pospiesznie, jakby chciał wytłumaczyć, dlaczego wszedł na cudzy teren.

– To zależy, dokąd szedłeś – powiedziała kobieta i wyszła na werandę.

– Domek z bajki – stwierdził Justus.

Nadal trzymał dłoń na szorstkim łbie koziołka.

– Ładny, prawda? Wybierasz się na świąteczne spotkanie?

Justus skinął głową, chociaż nie bardzo wiedział, co kobieta ma na myśli.

– To musisz wrócić na drogę, a potem skrócić w prawo. Po chwili zobaczysz tabliczkę z napisem „UKS”. To niedaleko.

Justus zaczął iść w kierunku, który mu wskazała.

– Wesółych świąt – powtórzyła.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów, odwrócił się. Kobieta nadal stała na werandzie. Zatrzymał się.

– Nie idziesz na spotkanie?

Pokręcił głową. Przez kilka sekund panowała cisza. Śnieg przestał padać.

– Możesz wejść, jeśli chcesz – zaproponowała kobieta. – Może zjesz coś ciepłego?

Justus patrzył na nią, po chwili namysłu pokręcił przecząco głową.

– Muszę iść dalej – powiedział.

– Widzę, że płakałeś.

Niewiele brakowało, a chłopiec powiedziałby jej wszystko. Jej przyjazny głos, zasypany śniegiem domek, który wyglądał jak domek dla lalek z watą na dachu, i jego tęsknota za ciepłem sprawiły, że się zawahał.

– Myślałem, że zabiłem – wyznał i przełknął głośno ślinę.

– Wejdz i chociaż się ogrzej.

Pokręcił głową, wydukał „dziękuję”, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie długimi, zdecydowanymi krokami. Nagle zaczął biec. Plecak podskakiwał mu na plecach. Po kilkuset metrach minął tabliczkę, o której wspominała kobieta. Na kiepsko odsnieżonej drodze mignął mu tył jakiegoś samochodu. Po chwili nadjechał kolejny. Zaczął biec jeszcze szybciej, para leciała mu z ust, tworząc wokół niego białą chmurę, łzy zamarzały mu na twarzy. W pewnym momencie zatrzymał się, wierzchem dłoni otarł policzki i postanowił już nigdy nie wracać do mieszkania w Gränby. Ruszył dalej, ale już w wolniejszym tempie, starał się zachowywać niefrasobliwie, ale rozpacz napinała jego mięśnie jak stalowe linki. Serce łomotało mu w piersi.

Minął go trzeci samochód. Kierowca przyglądał mu się z zaciekawionym. Justus pokazał mu palec i szedł dalej. Kiedy szum samochodu umilkł, obejrzał się. Nad drzewami unosił się słup dymu z komina małego domku. Zaraz potem droga skręcała.

Justus wiedział, że wszystko, co złe, zaczęło się po tym, jak John stracił pracę w warsztacie. Wcześniej byli szczęśliwi. Nigdy nie słyszał, żeby John i Berit się kłócili, tak naprawdę. Wtedy jednak zaczęły się ich nocne rozmowy. Myśleli, że on ich nie słyszy, ich ściszone głosy docierały do niego z kuchni albo z pokoju dziennego. Powtarzane w kółko słowa. Czasem trudno było mu je rozróżnić. Wiedział, że chodzi o pieniądze. Czasem zakradał się i podsłuchiwał. Raz rozmawiali o nim.

Justus szedł przed siebie, podświadomie przyspieszył, a z każdym krokiem rosła jego

tęsknota za ojcem. Jak długo musiałby iść, żeby ból zniknął?

Dotarł do skrzyżowania, zatrzymał się niezdecydowany. Nagle przyszło mu na myśl, że może powinien zniszczyć to, co zniszczyło Johna. A może to Berit była wszystkiemu winna? Jeśli rzeczywiście spotkała kogoś innego...

Osunął się na ziemię, jakby ktoś wbił nóż w jego ciało. Zaszlochał, gdy przypomniał sobie, jak kiedyś zajrzała do jego pokoju, sądząc, że już śpi. Stała w drzwiach i przyglądała mu się. Czy to ona zawiodła Johna? Czy dlatego zginął?

Nie chciał w to wierzyć, ale myśl ciągle powracała i cięła jego wnętrze niczym ostry, czarny kawał lodu. Czy to ją chciał ukarać? Czy słusznie zrobił, zabijając Księżniczki?

Samotność przygniatała go; usiadł obok zwałów śniegu na poboczu, do jego ciała wdarł się chłód. Schylił się, podciągnął nogi, oparł głowę o kolana. Nadjechał samochód, zwolnił, ale jemu było już wszystko jedno. Samochód zatrzymał się, otworzyły się drzwi, usłyszał głosy płynące z samochodowego radia. Kroki kierowcy tłumili śnieg, ale Justus słyszał, jak się zbliżają.

Tak umarł tata, pomyślał. W śniegu. Chciał upaść do tyłu, na śnieg. Ktoś położył rękę na jego ramieniu.

Ann Lindell zadzwoniła do Havera z mieszkania Berit i powiedziała, że wcześniej rano Justus wyszedł z mieszkania i potem już się nie odezwał. Ann dała się przekonać Berit, że nie było to normalne zachowanie chłopca. Widok martwych rybek był wystarczającym dowodem. Berit zebrała z podłogi dwadzieścia Księżniczek i położyła je na talerzu.

Ola nie pytał Ann o wczorajszy, wieczorny telefon. Nie wiedziała, czy jest na nią zły. Jego głos brzmiał normalnie. Obiecał, że wpadnie i porozmawia z Berit.

Ann zastanawiała się, czy nie powinna wyjść, ale nie chciała zostawiać Berit samej. No i pewnie chciała się zobaczyć z Haverem. Miała wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało, i chciała przynajmniej spróbować wytłumaczyć mu, dlaczego włączyła się w dochodzenie.

Przyjechał po kwadransie, skinął głową Ann, podał rękę Berit. Usiedli w kuchni i Berit opowiedziała, co się wydarzyło. Talerz z rybami stał na blacie. Ann miała wrażenie, że ryby już zaczęły cuchnąć.

Spojrzała na Havera. Wyglądał na zmęczonego. Zmarszczki na jego twarzy stały się wyraźniejsze, zwykle nawet ich nie zauważała. Patrzyła na niego inaczej niż dotąd, jakby był obcym mężczyzną, którego dopiero poznała. Pomyślała, że jest przystojny. Chociaż przystojny nie było może właściwym określeniem, był miły. Jego dłonie leżały spokojnie na stole, oczy były przyjazne, wzrok skupiony na Berit. W pewnym momencie spojrzał także na nią, ale już po chwili ponownie skupił całą swoją uwagę na Berit.

Nie obchodzę go, pomyślała. Jest wściekły, zły jak osa, tylko robi dobrą minę do złej gry. Na pewno pokłócił się z Rebecką z mojego powodu.

Miała mieszane uczucia. Żałowała tego, co się stało, ale czuła też dziwne podniecenie. Zakazana miłość, pomyślała i niemal się uśmiechnęła, kiedy uświadomiła sobie, że zabrzmiało to jak tytuł z plotkarskiego tygodnika.

Berit zamilkła, nagle Ann zdała sobie sprawę, że oboje, i ona, i Haver, siedzą i patrzą na kobietę.

– Przepraszam – powiedziała. – Zamyśliłam się.

Ola spojrzał na nią zdziwiony.

– Może pani zrobić listę jego kolegów, do których mógłby pójść? – poprosił i spojrzał na Berit.

– Już do wszystkich dzwoniłam. Nigdzie go nie ma.

– Sądzi pani, że on wie coś o morderstwie?

Ann rozumiała podtekst pytania. Ola chciał wiedzieć, czy Justus mógł czuć się zagrożony. Do Berit to jednak najwyraźniej nie dotarło.

– Nie, a co miałby wiedzieć?

– Może coś usłyszał albo zobaczył?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie.

Stanowczo odrzuciła taką możliwość, ale coś w jej tonie świadczyło o tym, że bynajmniej tego nie wyklucza.

– Dlaczego zabił ryby?

Ann już wcześniej zadała jej to samo pytanie, wtedy Beirt odpowiedziała, że nie ma pojęcia. Teraz się zawahała.

– John czasem nazywał mnie Księżniczką Burundi – powiedziała cicho. – Kiedy był w dobrym humorze.

Sprawiała wrażenie skrępowanej, zawstydzonej i nieco niepewnej. Ann wzięła jej dłoń. Była zimna. Powoli kobieta zaczęła mówić, jakby słowa same zaczęły się toczyć. Opowiedziała o wizycie Lennarta i jego oskarżeniach.

Kiedy skończyła, Ann zauważyła, że Haver zastanawia się, co powiedzieć. Wahał się.

– Jest coś na rzeczy w oskarżeniach Lennarta?

Berit patrzyła na niego pustym wzrokiem.

Jest śmiertelnie zmęczona, pomyślała Ann. Jeszcze trochę, a się załamie. Widywała już takie przypadki, obserwowała, jak napięcie stopniowo rosło, żeby w końcu wybuchnąć krzykiem. Berit jednak się nie poddawała.

– Kochaliśmy się – odparła cicho, ale stanowczo.

Nie dodała nic więcej, pozwoliła słowom zawisnąć w powietrzu. Ann miała wrażenie, że tak naprawdę jest jej wszystko jedno, czy ktoś jej uwierzy, czy nie. Jakby wystarczyło jej, że John o tym wiedział.

Haver spojrzał na nią i przełknął ślinę.

– A John mógł być zainteresowany kimś innym? – spytał. Ann słyszała, że pytanie

sporo go kosztuje.

Berit pokręciła głową

– Znałam Johna – powiedziała, wciągając powietrze przez nos.

Haver spojrzał na Ann.

– Wy pewnie tego nie rozumiecie, ale my mamy tylko siebie.

Haver znów głośno przełknął, po chwili kontynuował pytania.

– Justus uwierzył Lennartowi – powiedział dziwnie mechanicznym głosem, jakby próbował się za nim schować. – Dlaczego, skoro byliście szczęśliwi?

– Justus jest chłopcem, który stracił ojca – odparła Berit.

– Chce pani powiedzieć, że próbuje znaleźć jakieś wytłumaczenie?

Berit skinęła głową.

– Mógł usłyszeć albo zobaczyć coś, co byłoby jakąś wskazówką, kto jest mordercą?

– Nie sądzę.

Głos kobiety był cienki jak tafla lodu po pierwszej mroźnej nocy.

– Wiele osób twierdzi, że John coś planował. Domyśla się pani, co to mogło być?

Berit spuściła głowę.

– Nie wiem – powiedziała ledwie słyszalnie. – Podobno rozmawiał z Justusem o przeprowadzce, ale my o tym nigdy nie rozmawialiśmy.

– Dokąd mielibyście się przeprowadzić?

– Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem.

– Okej, wszczynamy poszukiwania – zarządził Haver. – Nie sądzę jednak, żeby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Pewnie wałęsa się gdzieś po mieście.

Berit wyglądała, jakby nie miała już siły. Ann wstała i wyszła do korytarza, gdzie Erik drzemał w wózku. Domyślała się, że wkrótce się obudzi. Haver i Berit rozmawiali dalej w kuchni.

Nagle Ann przypomniała sobie szynkę, którą zostawiła w garnku na kuchence. Poszła do kuchni i oznajmiła, że musi natychmiast wracać do domu. Haver spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. Ann podeszła do Berit, żeby ją pocieszyć, ale zabrakło jej słów. Berit patrzyła na nią oczami bez wyrazu.

Oby chłopiec żył, przeszło Ann przez głowę.

Zaczęła biec do samochodu z Erikiem kwilącym w wózku. Za wycieraczką znalazła mandat za złe parkowanie. Wzięła kartkę, wrzuciła na tylne siedzenie.



Za kilka godzin zjawią się jej rodzice. Muszę kupić nową szynkę, pomyślała i skręciła w Vaksalagatan. W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Wcisnęła guzik, pewna, że dzwoni Haver.

– Wiem – rzuciła. – Ale wygotowała mi się szynka.

– Cześć – usłyszała znany jej głos i niewiele brakowało, a wjechałaby w jadący przed nią samochód, który zatrzymał się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z E4.

Justus wiedział, jak ma się dostać do środka. W płocie była dziura. Plac budowy obok warsztatu wiele ułatwiał. Zaslaniał niemal cały widok od ulicy.

Miał poczucie władzy. Nikt go nie widział, nikt go nie słyszał, nikt nie wiedział, co zamierza. Zatrzymał się chwilę przy plamie oleju, błyszczącej metaliczną czernią na białym tle, odwrócił się za siebie. Zostawiał ślady na śniegu, ale postanowił się tym nie przejmować. Będzie wracać tą samą drogą, to wtedy zatrze je jakąś miotłą czy czymkolwiek.

Kawałek blachy, wystający z kontenera, drżał na wietrze i wydawał dźwięki, które sprawiły, że chłopiec znów się zatrzymał. Spojrzał na znaną sobie fasadę budynku i po raz pierwszy zobaczył, jaka jest zniszczona. Kiedy był mały, warsztat wydawał mu się pałacem, a John był królem. Przypomniawszy sobie wszystkie dźwięki i zapachy. To tutaj ojciec w deszczu iskier wyrastał na olbrzyma. Z taką pewnością siebie i oczywistością chwycił czarne, ciężkie arkusze blachy. Cięta blacha wydawała głucho dźwięki i pachniała zupełnie wyjątkowo, jej woń zostawała na palcach jeszcze przez wiele dni. Były też arkusze stali nierdzewnej, w których można było się przegłądać i które podczas cięcia rzucały błyskawice na czarny od sadzy parkan wokół warsztatu.

Kiedy John i jego towarzysze pracy szli na przerwę do niewielkiej szopy na podwórzu, warsztat odpoczywał. Justus zwykle spacerował wtedy w ciszy po podwórzu i dotykał spawów, które były jak blizny. Z szopy dochodziły go głosy i śmiech. Potem zwykle wołano go i częstowano sokiem z rokitnika zbieranego w fińskich szkierach i kanapkami z serem, na którym były odciski czarnych palców.

Ulicą przejechał samochód. Justus schował się za kontenerem, po chwili zaczął się skradać na tyły warsztatu, gdzie nisko nad ziemią było kilka okien. Metalowym prętem wybił szybę w jednym z nich. Nie bał się, że ktoś go zobaczy. Podwórze otaczał wysoki parkan, a na budowie panowała cisza.

Odgiał haczyki w jednym z okien, położył na ziemi trzy palety, jedną na drugiej, i wszedł do środka. Pokój śniadaniowy wyglądał jak zwykle. Na stole, na miejscu Johna, leżała

gazeta, zrzucił ją więc na podłogę. Na miejscu, gdzie zwykle siadywał Erki, leżało pudełko zapalek, wziął je do ręki. W jego ruchał nie było już niepewności. Jakby widok zniszczonego pomieszczenia wzmocnił jego postanowienie. Otworzył drzwi ze sklejki i wytargał kanistry z olejem i benzyną. W magazynku były też pojemniki i butelki z chemikaliami. Wyniósł kilka, rozlał ich zawartość po podłodze i w różnych kątach i zakamarkach. W biurze Sagandera rozlał pięć litrów rozpuszczalnika.

Przeszedł się jeszcze ostatni raz po warsztacie, spojrzął na dawne miejsce pracy Johna. Od zapachu rozpuszczalników i benzyny zakręciło mu się w głowie. Na zewnątrz i w pokoju śniadaniowym rozlał kanister benzyny z jeepa, pochlapał nią stół i krzesła, a potem wyszedł przez okno.

Wiatr przybrał na sile. Stał chwilę pod oknem, potem sięgnął po zapaliki. Pierwsza natychmiast zgasła, druga też. Policzył, ile mu jeszcze zostało, zdenerwował się, że mu nie starczy. Znów wszedł do środka, podniósł z podłogi gazetę, zamoczył w benzynie i wyszedł na podwórze.

Zanim zapalił gazetę i wrzucił ją przez okno, pomyślał o Johnie. O czymś, co kiedyś powiedział, co dotyczyło marzeń.

Rozległo się lekkie pyknięcie, a potem nastąpił wybuch. Szyby wyleciały w powietrze, niewiele brakowało, a trafiłby go odłamek szkła. Oniemiały patrzył, jak snop ognia wyleciał przez okno. Potem zaczął biec. Kiedy przechodził przez dziurę w parkanie, przypomniał sobie o śladach na śniegu. Zawahał się chwilę, ale wrócił i zaczął się rozglądać za czymś, czego mógłby użyć, żeby je zatrzeć.

Z warsztatu dobiegały go odgłosy drobnych wybuchów, nagle przypomniał sobie o gazie. Wewnątrz było całe mnóstwo butli z gazem, wiedział, że były niebezpieczne. John mówił mu o tym. Chwycił kawałek blachy i pobiegł na tył warsztatu. Nie mógł dojść do samego okna, zatarł blachą jedynie te ślady, do których miał dostęp, potem zaczął biec, ciągnąc ją za sobą, aż dotarł do ulicy. Wrzucił blachę do innych śmieci z budowy i oddalił się roześmiany.

Uciekał, kierując się na zachód, w stronę miasta, ale już po pięćdziesięciu metrach się zatrzymał. John szedłby spokojnie. To było rozsądniejsze.

Zastanawiał się, czy zostawił jakieś ślady pod oknem, ale pomyślał, że bijące od ognia gorąco na pewno stopi śnieg wokół warsztatu. Miał na sobie rękawiczki, nie zostawił żadnych śladów palców. Mężczyźnie, który położył rękę na jego ramieniu, a potem podwiózł go do miasta, nie przyjdzie do głowy skojarzyć go z pożarem. Wypuścił go na Kungsgatan, jakiś kilometr od warsztatu. Justus powiedział mu, że był w odwiedzinach u kumpla, chciał skrócić

sobie drogę przez las i zablądził.

Alarm rozległ się o 14.46. Pożar zgłosił kierowca, który przejeżdżał obok warsztatu. Straż pożarna dotarła w ciągu siedmiu minut. Kilka minut później pojawiły się dwa policyjne patrole. Natychmiast zaczęły wygradzać teren.

- Warsztat mechaniczny – rzucił strażak krótko do policjanta, który do niego podszedł.
- Przykro mi z powodu waszego kolegi. Zapaliliśmy świeczkę, kiedy dostaliśmy wiadomość.

Umundurowany funkcjonariusz stał chwilę w milczeniu, sięgnął po telefon i zadzwonił do dyżurnego na komendzie. Przeczytał napis na tabliczce: „Warsztat mechaniczny Sagandera”. Wiedział, że właśnie tu kiedyś pracował zamordowany John Jonsson.

- Mam akwarium – tłumaczył później Haverowi.

Ola Haver otrzymał wiadomość, kiedy wracał od Berit. Pięć minut później był już na miejscu pożaru. Musiał przedostać się przez ogrodzenie od strony Björkgatan.

- Pali się jak cholera – podsumował krótko funkcjonariusz w mundurze.

Haver, który widział dym i iskry na tle nieba, zdenerwował się, właściwie bez powodu, i odburknął koledze, że przecież widzi, do diabła! Kolega spojrzał na niego i mruknął coś pod nosem.

Wiał wschodni wiatr, grożąc, że ogień przeniesie się na nowy budynek, który jeszcze nie był skończony. Składowane pod plandeką drewno zajęło się, ale strażacy natychmiast opanowali ogień.

Haver patrzył na budynek. Ogień przeszedł przez dach, żółtopomarańczowe płomienie buchały przez poszarpaną blachę. Piękne przedstawienie. Widział stres w twarzach strażaków, ale ich ruchy były zdecydowane. Nie był w stanie w żaden sposób im pomóc, co było frustrujące. Chwytał dowodzącego strażakami mężczyznę za ramię.

- Jak sądzicie? Ogień został podłożony?
- Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że zaczął się gdzieś na tyłach budynku, ale teraz pali się już wszędzie.
- Wybuchy?
- Owszem. Zostań, to zobaczysz.

Strażak odszedł, a za nim Haver. Żar, promieniujący od budynku, był większy niż wcześniej. Musiał usiąść i przysłonić dłonią twarz.

- Doszli do dziury w parkanie. Dowódca w milczeniu wskazał na ślady po obu stronach

sztachet. Haver uklęknął i zaczął się wpatrywać w śnieg.

– Ktoś szedł i próbował zatrzeć ślady – powiedział i wstał.

Wybuch w budynku warsztatu sprawił, że drgnął.

– Lepiej stąd iść – poradził strażak. – Tam w środku jest gaz.

Haver spojrzał na niego.

– Co zamierzacie?

– Schłodzimy go – odpowiedział strażak krótko.

Cała jego uwaga była teraz skupiona na kolegach usiłujących stłumić gwałtowny ogień.

Po chwili strażak odszedł. Haver wycofał się w stronę ulicy, wszedł na pobliski plac budowy, stanął za metalowym kontenerem na narzędzia.

Powinien trochę wytrzymać, pomyślał i sięgnął po komórkę.

Ryde odebrał po pierwszym sygnale. Haver zaczął tłumaczyć, gdzie jest, ale technik mu przerwał. Warknął, że już jest w drodze.

Haver nie zdążył schować komórki, kiedy znów rozległ się dzwonek. Dzwoniła Ann Lindell. Przez moment Haver miał wrażenie, jakby wszystko było jak dawniej. Ann zaczęła wyjaśniać, dlaczego tak nagle wybiegła z mieszkania Berit. Mówiła coś o szynce i o rodzicach.

– Pali się w warsztacie Sagandera – przerwał jej. – Być może ogień został podłożony.

Usłyszał, jak Ann zaczerpnęła powietrza.

– Chłopak się znalazł?

– O ile wiem, to nie.

Domyślał się, o czym myślała.

– Co o tym sądzisz? – spytał.

– To może być przypadek – odpowiedziała zamyślona.

W jej głosie słyszał napięcie.

– Najważniejszy w tej chwili jest chłopiec – stwierdziła.

Haver wyrzwał zza kontenera. Kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem, ale nie sądził, żeby to był wybuch gazu. Wtedy huk byłby większy.

– Hajcuje się jak diabli.

– Gdzie jest ten warsztat? Jest jakieś zagrożenie dla innych? – zapytała Lindell.

– Silnie wieje – rzekł Haver i zaczął jej tłumaczyć, gdzie leży warsztat.

– Jak myślisz, gdzie może być Justus? Teraz szybko się ściemnia. Na pewno jest zrozpaczony. Myślę, że powinniśmy potraktować sprawę bardzo poważnie.

– Jasne – zgodził się Haver.

Zobaczył idącego w jego stronę Ryde'a, jeden ze strażaków deptał mu po piętach. Strażak gestykułował, jakby chciał go do czegoś przekonać, ale Ryde tylko na niego spojrział i kroczył dalej. Haver uśmiechnął się i powiedział Ann, że musi kończyć.

– Jeszcze ostatnie pytanie – zatrzymała go. – Rozmawialiście z Lennartem? Chłopiec może być u niego.

– Idzie Ryde. Na razie. – Haver się rozłączył. Pomachał technikowi, który był wyraźnie ożywiony.

– Strasznie marudzą – powiedział.

Haver domyślił się, że koledze chodzi o strażaków.

– Tam w środku jest gaz – poinformował go Haver.

– Ktoś podłożył ogień?

Haver opowiedział mu o śladach przy parkanie. Zanim zdąży dokończyć, Ryde już się odwrócił, okrążył kontener i ruszył w stronę parkanu.

– Idiota – mruknął Haver pod nosem.

Wystawił głowę zza kontenera i zobaczył technika klęczącego przy parkanie. Z torby na ramieniu wyjął aparat fotograficzny i zaczął pracować. W powietrzu znów zaczęły wirować płatki śniegu. Ryde wyraźnie się spieszył. Haver rozumiał jego pośpiech, szczególnie w obliczu możliwej eksplozji.

Zadzwoiła jego komórka, ale przestała, zanim zdążył wyjąć ją z kieszeni. Nawet nie sprawdził, kto dzwonił. W tym momencie rozległ się głośny huk. Technik instynktownie rzucił się na ziemię. Część ściany szczytowej zawałiła się. Haver patrzył zafascynowany, jak fragment ściany jakby zastygł na chwilę w powietrzu, a potem błyskawicznie się złożył i zniknął w gejzerze iskier, które zamieniły niebo w olśniewające widowisko.

– Ryde, do diabła! – krzyknął.

Zobaczył, jak kolega przeczołguje się przez dziurę w parkanie, wstaje, a potem biegnie pochylony na plac budowy.

Wielkie nieba, pomyślał Haver. Nagle przyszło mu do głowy, że niewykluczone, że jacyś ludzie mogli znajdować się w pobliżu miejsca wybuchu. Zobaczył, jak strażacy odwracają drabinę i kierują strumień wody w stronę czeluści płonącego warsztatu. Pojawiły się chmury pary, które na kilka sekund zakryły część budynku. Podjechał kolejny dźwig strażacki; na górze w koszu Haver dostrzegł dwóch strażaków.

– Jezu, co za faceci – mruknął. Przez trzask i huk ognia słyszał krzyki dowodzącego akcją strażaka.

Pojawił się Ryde. Szedł drogą, zatrzymał się pod latarnią i zaczął oglądać swój aparat. Miał krew na policzku, ale chyba był tego całkowicie nieświadomy. Haver podbiegł do niego.

– Niezły huk – powiedział Ryde. – Na szczęście aparat wytrzymał.

– Krwawisz – zauważył Haver, wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć rany na policzku kolegi.

– Potknąłem się – uciął Ryde krótko. – Ktoś wszedł przez dziurę w parkanie, nie ma żadnych wątpliwości. Trudno powiedzieć, czy było ich kilku, czy chodzi o jednego człowieka. Komuś bardzo zależało, żeby zatrzeć wszystkie ślady. To wygląda podejrzanie.

– Zostały jakiegokolwiek ślady?

Ryde pokręcił głową.

– Ktoś przeciągnął deską po śniegu. Muszę dokładniej się temu przyjrzeć. Myślisz, że znów może dojść do wybuchu?

Haver wzruszył ramionami. Mimo dramatyzmu sytuacji czuł spokój. Wiedział, że nerwy i szok przyjdą później.

Szynka była do niczego, Anna stwierdziła to, jak tylko weszła do kuchni. Termometr wskazywał prawie dziewięćdziesiąt stopni. Zdjęła garnek z kuchenki. Powstrzymała odruch, żeby od razu wyrzucić szynkę do kosza. Nie chciała wyrzucać jedzenia; może użyje jej do gulaszu, pomyślała.

Westchnęła, usiadła przy stole w kuchni, spojrzała na zegarek i pomyślała o Justusie. Gdzie teraz był? Berit obdzwoniła już wszystkich. Zadzwoiła nawet do Lennarta, ale nie odebrał. Bierit wiedziała, że jej numer wyświetlił się mu na ekranie komórki. Może świadomie postanowił nie odbierać jej telefonów? Jeśli Justus był u niego, to na pewno rozumiał jej niepokój i może właśnie na złość chciał ją potrzymać w niepewności.

Ann wstała, ponownie spojrzała na zegarek i poszła do Erika. Synek dostał już jedzenie i teraz spał w łóżeczku. W mieszkaniu było cicho, za cicho. Niespokojnie zaczęła chodzić od okna do okna, wypatrywała w popołudniowym zmroku. Jakiś samochód zatrzymał się na parkingu, wysiadł mężczyzna z siatkami pełnymi jedzenia, zniknął w drzwiach do klatki oznaczonej ósemką.

Pomyślała o Edvardzie. Zadzwoił i życzył jej wesołych świąt. Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od momentu rozstania w przychodni w Östhammar, tego nieszczęsnego wieczoru ubiegłego lata.

Musiała zjechać na pobocze, mimo że stojący na wąskiej drodze samochód stwarzał

niebezpieczeństwo. Nie była w stanie rozmawiać z Edvardem i jednocześnie prowadzić. Co jeszcze mówił? Nie pamiętała. Jego słowa zniknęły gdzieś we mgle, jakby rozmowa miała miejsce lata temu. Spytała go, jak się czuje i co nowego u jego dwóch nastoletnich już synów. Czy spytał ją o Erika? Nie potrafiła sobie przypomnieć, ale w jego głosie wyczuwała troskę o nią i o jej synka.

Skończyli po kilku minutach; mijające ją samochody trąbiły, była zestresowana. On brzmiał jak zwykle – w jego głosie było ciepło, zdawał się nieco zamyślony, dokładnie jak wtedy, kiedy jeszcze się kochali.

Wkrótce zjawią się jej rodzice. Ann zastanawiała się, czy powinna pójść do sklepu, do ICI, i kupić nową szynkę. Nagle uznała, że jest jej wszystko jedno, co sobie o niej pomyślą. Poda suchą szynkę, trudno. Wywar nie wygotował się do końca, ojciec będzie miał w czym maczać chleb. Na pewno będzie zadowolony.

Tuż przed czwartą rozległ się dzwonek do drzwi.

– Jesteśmy! – zawołała matka radośnie, kiedy Ann otworzyła.

Zaskoczona poczuła, jak bardzo się ucieszyła na widok rodziców. Mama miała w ręku wielkie torby z Konsumu, pełne paczek i prezentów. Tata niósł jedzenie.

– W samochodzie zostało jeszcze trochę rzeczy – powiedziała matka, widząc jej wzrok. – Mały śpi?

Rodzice rozebrali się i zaczęli się rozglądać. Ann poczuła się dziwnie nieprzyjemnie. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo będzie ograniczona przez najbliższe cztery dni. I nie będzie mogła uciec. Poczuła wyrzuty sumienia. Przecież to byli jej rodzice, od miesięcy czekali na ten przyjazd. Od razu poszli do Erika. Mama miała łzy w oczach, kiedy zobaczyła śpiące w łóżeczku dziecko.

– Jaki jest słodki – rozczuliła się i delikatnie przeciągnęła dłonią po rzadkich loczkach chłopca.

Ojciec nie powiedział nic, zamruczał coś pod nosem, co Ann uznała za wyraz aprobaty.

– Szynka trochę za długo się gotowała – powiedziała, przerywając zaczarowaną ciszę. Uznała, że najlepiej od razu się przyznać.

– W ilu stopniach? – spytała mama.

– W dziewięćdziesięciu – rzuciła Ann i wyszła z pokoju synka.

– Zostało trochę wywaru? – zaniepokoił się ojciec.

Ann odwróciła się, spojrzała na niego.

– Mnóstwo – zapewniła i się roześmiała.



- To dobrze – odetchnął ojciec zadowolony.
- W dziewięćdziesięciu – powtórzyła matka.
- Erik cały czas płakał, zapomniałam o szynce. Maluszek chyba ma kolkę.
- Dużo płacze?
- Trochę, głównie w nocy.

Wyszła do kuchni, miała wrażenie, że wszystko jest nie tak. Spojrzała na szynkę, która skurczyła się tak, że została z niej grudka szaropopielatego mięsa. Zapach ją odrzucił.

Słyszała, jak mama przemawia do Erika. Ojciec pewnie rozsiadł się już w pokoju. Powinna rozpakować przywiezione przez rodziców rzeczy, zachwycić się nóżkami i marynatami, sałatką śledziową i pasztetem domowej roboty, ale nie była w stanie.

- Wyjdę na chwilę – zawołała i wyszła do korytarza.

Matka natychmiast wyszła z pokoju Erika, stanęła w drzwiach i spojrzała na nią pytająco.

- Wychodzisz?

– Muszę coś załatwić. Jeśli Erik się obudzi, daj mu trochę kaszki. Na blacie w kuchni stoi całe opakowanie.

- Wychodzisz, kiedy dopiero przyjechaliśmy?

- Tylko na chwilę. Może kupię nową szynkę. Czegoś jeszcze brakuje?

Matka wydawała się zraniona, ale była też wyraźnie zaniepokojona.

- To jakieś sprawy służbowe? – spytała.

Dobrze znała córkę.

- Nie bezpośrednio – odpowiedziała Ann wymijająco, wkładając palto.

Zastanawiała się, jak załagodzić sytuację, usprawiedliwić ucieczkę, rzucając coś miłego, ale nic nie przychodziło jej do głowy. W końcu po prostu uśmiechnęła się do matki, nie do końca szczerze, i otworzyła drzwi.

– Podaj mu tylko jedną porcję – powtórzyła jeszcze. – Jeśli dostanie za dużo, rozboli go brzusek. Możesz dodać trochę rozgniecionego banana – poradziła i wyszła.

Natychmiast zadzwoniła do Havera, ale Ola nie odbierał. Spojrzała na zegarek, postanowiła pojechać do warsztatu Sagandera, może jeszcze tam był.

Kiedy dotarła na miejsce, z warsztatu niewiele już zostało. Najstarsza część, ta drewniana, spłonęła w całości. Zostały tylko dwie dłuższe ściany z cegły i jedna krótsza, czarne od sadzy zgliszcza. Resztki niestopionego śniegu były pokryte płatami sadzy. Strażacy

nadal gasili ogień, ale płomieni nie było już widać.

Szukała wzrokiem Havera. Zawiedziona uznała, że pewnie już odjechał, kiedy nagle dostrzegła jego sylwetkę.

Podeszła do niego, stanęła tuż obok. Nie zauważył jej od razu, stał i rozmawiał z jednym z dowodzących akcją strażaków. Rozpoznała mężczyznę, musieli już gdzieś się spotkać. Strażak skinął jej głową, Ola odwrócił się. Roześmiał się na jej widok.

– Widzę, że nie mogłaś się powstrzymać.

– Rodzice zostali z Erikiem. Masz jakieś wiadomości o Justusie?

Haver pokręcił głową przecząco. Zakończył rozmowę ze strażakiem, który patrzył na Ann rozbawiony.

– Zadzwoniliśmy do Sagandera. Sądziliśmy, że przyjedzie, ale leży uziemiony w domu.

– Jak to uziemiony?

– Jest po operacji i wdała się jakaś infekcja – wytłumaczył Haver. Nagle jego twarz zmieniła się do tego stopnia, że Ann pomyślała, że pewnie coś go boli.

– Co się stało? – spytała, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Kula – powiedział krótko. – Wiedziałem. Szpital – rzucił, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Mów – zachęcała go Ann.

Znała to jego spojrzenie i wiedziała, że sprawa jest poważna. Odciągnął ją nieco na bok. Poczula dotyk jego dłoni na swojej ręce.

– Sagander przeszedł niedawno operację, pewnie w Szpitalu Akademickim. Nóż został skradziony z samochodu z parkingu szpitala. Może to był samochód Sagandera? Może to on jest tym „złym człowiekiem” z rynku?

– Za dużo tych może – zauważyła Ann.

– Powinienem był wcześniej na to wpaść! Kiedy rozmawiałem z Saganderem, cały czas siedział albo przesuwiał się na krześle, a obok drzwi stała kula.

Teraz wszystko stało się jasne. Zrozumiał, dlaczego jego myśli cały czas krążyły wokół placu budowy. Tego obok szpitala i tego na działce sąsiadującej z warsztatem. Przypomniał sobie, jak stał i przyglądał się pracującym tam robotnikom, a jeden z nich nawet mu pomachał. Jako syn budowlanica zawsze lubił widok szkieletów, budów, baraków. Budowa miała tu oczywiście kluczowe znaczenie, ale to jego miłość do budownictwa w ogóle pozwoliła mu zrozumieć kontekst.

– O co chodzi z tym „złym człowiekiem”? – spytała Ann.

Haver streścił jej pokrótce opowieść Vincenta.

– Jeśli dobrze myślisz, to niewykluczone, że Justus doszedł do wniosku, że Sagander miał coś wspólnego z morderstwem.

Haver spojrzał na nią zamyślony. Teraz, kiedy pierwsze kawałki układanki zaczęły pasować, pewnie szukał kolejnych.

– Nie wiem – powiedział cicho i się rozejrzał.

Przy krawężniku stał strażak, pochylony wcierał śnieg w twarz. Plunął, mruknął coś pod nosem, wyprostował plecy i spojrzał na spalony budynek. Był czujny, jakby się spodziewał, że lada chwila ze zgliszcz znów buchną płomienie, pokaże się ogień.

– Wykonują kawał fantastycznej roboty – pochwaliła strażaków Ann.

Haver nie odpowiedział. Stał, trzymając w ręku komórkę.

– Trzeba wezwać Berglunda. I samochód.

Ann domyśliła się, że Haver zamierza jechać do Sagandera, do domu.

– Gdzie on mieszka? – spytała.

– Gdzieś w okolicach Börje. Poproszę Berglunda, żeby sprawdził.

Wybrał numer. Ann cofnęła się nieco. Też wyjęła komórkę i zadzwoniła do Berit. Kobieta odebrała dopiero po kilku sygnałach, mówiła bezbarwnym głosem, jakby spodziewała się złych wiadomości.

– Nie mam nic nowego – powiedziała cicho. – Wydzwaniam do ludzi, ale nikt nie widział Justusa.

– Czy Justus znał dobrze Sagandera? – spytała Ann.

– Sagandera? Dlaczego o to pytasz?

Ann zastanawiała się, czy ma powiedzieć Berit, że spłonął jego warsztat, ale zrezygnowała.

– Pomyślałam, że...

– W naszej rodzinie nienawidzimy Sagandera. Justus nigdy nie pojechałby do niego. Zresztą po co miałby tam jechać?

Wtedy Ann postanowiła powiedzieć jej o wszystkim. Słyszała, jak Berit z trudem łapie powietrze. Sama to przed chwilą powiedziała: ich rodzina nienawidziła Sagandera. Od nienawiści do podłożenia ognia nie było tak daleko.

– Podejrzewacie, że to Justus podłożył ogień?

– Nie, po prostu spytałam.

– Jesteś tam na miejscu? Co mówi Sagander?

– Nie ma go tu. Podobno nie może chodzić. Jedziemy do niego do domu.

– Ty też? A co z twoim synkiem?

– Moja mama się nim opiekuje.

Ann zostawiła samochód niedaleko warsztatu. Pojechali na komendę, zabrali stamtąd Berglunda; wkrótce dołączył do nich radiowóz z trzema kolegami z wydziału porządku.

– Nie powinno cię tu być – zauważył Berglund, jak tylko wsiadł do wozu Havera.

– Wiem, ale jestem.

– A co z małym?

– Rodzice przyjechali.

– A ty od razu dałaś nogę? Niepojęte. Zaraz są święta.

– Właśnie dlatego – wyjaśniła Ann, drażniąc się z nim trochę.

Siedzący z tyłu mężczyzna westchnął.

– Nigdy nie wierzyłem, że to Hahn zamordował Małego Johna – powiedział Haver, który nie zwracał uwagi na przepychanki między Ann a Berglundem.

– Tylko Sammy nadal obstaje przy Hahn – stwierdził Berglund.

– Bardziej chyba, żeby zwrócić na siebie uwagę – powiedziała Ann, odwracając się do niego.

Dobrze się czuła w towarzystwie kolegów.

– Ottosson wie, że tu jesteś? – spytał Berglund nieco opryskliwie.

Ann pokręciła głową.

– Nawet moja mama tego nie wie – odpowiedziała, posyłając mu swój najpiękniejszy uśmiech.

Haver nastawił radio. Ann spojrzała znacząco na Berglunda. *I'm So Excited* leciało z radiowych głośników.

*I'm so excited*

*I just can't hide it*

*Fm about to loose control*

*and I think I like it.*

– *Oh, yeaah* – zawtórowała Ann.

– Jesteś niemożliwa – powiedział Berglund, ale uśmiechnął się. – Ścisz to – dodał.

– To dobry kawałek – zaprotestował Haver.

– Obiecuję, że będę cicho – zapewniła Ann.

– Jasne – skwitował Haver. Roześmiał się, ale i Berglund, i Ann widzieli, że jest

zdenerwowany.

Dom Sagandera leżał na wzgórzu. Gdyby nie przykry powód ich wizyty, Ann pewnie uznałaby, że wygląda idyllicznie. Dom był piętrowy, czerwony z białymi narożnikami i zabudowanym przedsionkiem, który służył też jako balkon. Stały na nim dwie niewielkie choinki przyozdobione świetlnym łańcuchem, podobny rozświetlał wielką, prawie ośmiometrową choinkę na podwórzu. Dom miał dwa boczne skrzydła, wszystkie okna były rozświetlone. Typowe, zamożne gospodarstwo z okolic Uppland.

– To gospodarstwo rolne? – spytał Haver, jadąc powoli podjazdem.

– Ziemia została pewnie rozparcelowana – powiedział Berglund.

Wzdłuż podjazdu rosły jałowce. Na gałęziach były krasnoludki.

– Wszędzie jakieś dekoracje świąteczne – burknął Haver niezadowolony.

– Mnie się podoba – wtrącił Berglund.

Ann nie odzywała się, wyglądała czerwonego pick-upa.

– Nie widzę samochodu – oświadczyła.

Koledzy natychmiast zrozumieli, co ma na myśli, mimo że na dziedzińcu stały trzy samochody. Haver zaparkował za zniszczonym nissanem, koledzy tuż za nim. Wyszli z samochodów jednocześnie. Sześciu policjantów, w tym pięciu uzbrojonych i na służbie. Nawet Haver miał przy sobie służbą broń, co zdziwiło Ann.

Umundurowane trio czekało na dziedzińcu. Kosmaty pies podszedł i zaczął obwąchiwać im nogi, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Ann zastanawiała się, czy może też powinna zaczekać na dziedzińcu, ale Berglund, niemal niewidocznym gestem ręki, dał jej do zrozumienia, że może iść z nimi.

Otworzyła im sześćdziesięcioletnia kobieta. Wydawała się spokojna i odprężona, ale oczy ją zdradzały. Spoglądała rozbieganym wzrokiem na trzech policjantów, na chwilę zatrzymała wzrok na Ann, jakby szukała u niej kobiecej solidarności.

– Pani Sagander? – spytał Berglund.

Jego przyjazny głos, tak niepasujący do jego ponurej powierzchowności, sprawił, że kobieta uśmiechnęła się niepewnie i skinęła głową.

– Rozumiem, że szukacie Agnego – powiedziała i usunęła się na bok.

Ann uśmiechnęła się do niej i weszła do domu.

– Ann Lindell – przedstawiła się, podała kobiecie rękę.

– Gunnel. – Kobieta odwzajemniła uśmiech.

W obszernym holu pachniało świątecznymi wypiekami. Ann zaczęła się rozglądać. Drzwi do kuchni były otwarte, jedna ze ścian zastawiona była miedzianymi przedmiotami, ale wzrok przyciągała głównie podłoga z szerokich lakierowanych sosnowych desek, bardzo zadbana, błyszcząca. Rustykalny charakter wnętrza podkreślała ogromna komoda w stylu ludowym, kilka krzeseł z Östervåla i ręcznie tkane dywaniki w wyrazistych kolorach.

Na parapecie w jednym z okien stał świąteczny stroik. Na podkładzie z białej waty stał małeńki kościółek, wokół były rozstawione krasnoludki. Kobieta zauważyła spojrzenie Ann i zaczęła jej tłumaczyć, że kościółek i krasnoludki zrobił jej ojciec w latach czterdziestych. Opowiadała z zapalem, zadowolona, że może mówić o czymś codziennym, normalnym.

– Święta są takie piękne – oświadczyła Ann.

Agne Sagander przyjął ich, siedząc w fotelu, z jedną nogą opartą na niewielkim pufie. Haver, który pamiętał go z warsztatu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w małym, przytulnym pokoju mężczyzna wyglądał jakby nie na miejscu. Widać też było, że cała sytuacja jest dla niego niewygodna. Westchnął ciężko, kiedy funkcjonariusze weszli do pokoju.

– Siedzę tu, jak jakiś kretyn inwalida – zaczął bez zbędnych grzeczności.

– Ależ Agne – zareagowała jego żona zmęczonym głosem.

– A co, do cholery – odburknął Sagander.

– Przykra sprawa z warsztatem – zaczął Berglund.

– Całkiem pokaźna delegacja – stwierdził Sagander.

Spojrzał na Ann.

– Widziałem cię w gazetach. Morderstwa, tragedie, to takie zabawne?

Ann podeszła do mężczyzny, wyciągnęła do niego rękę, przedstawiła się. Sagander ścisnął jej dłoń. Ann się uśmiechnęła.

Także Berglund podszedł i przedstawił się mężczyźnie.

– Poluje pan?

– Tak. Tego ustrzeliłem w Jämtlandii – powiedział Sagander, spoglądając na ogromny

łeb łosia nad kominkiem. – Poroże z osiemnastoma odrostkami. Z okolic Ström. Jest tam ich mnóstwo, to znaczy było kiedyś – dodał z zadowolonym uśmiechem. – Też polujesz?

– Kiedyś polowałem – uciął krótko Berglund.

– Ach tak. A co was tu sprowadza? Jak tam wygląda? Że też człowiek nie może się ruszyć.

– Agne bardzo cierpi – wtrąciła kobieta. – Miał operację kręgosłupa i chyba coś poszło nie tak.

– To te konowały ze Szpitala Akademickiego – przerwał jej Sagander. – Kroją, jak im podejdzie.

– Pewnie masz infekcję – odezwała się Gunnel, tym razem już bardziej stanowczo. – Powinieneś wrócić do szpitala.

– I spędzić tam święta? O nie!

– Jeśli to infekcja, to przepiszą ci antybiotyki – powiedziała kobieta. – Może napije się pani kawy? – zwróciła się do Ann, zmieniając temat.

– Chętnie, dziękuję – odpowiedziała Ann.

Kobieta wyszła z pokoju. Mężczyzna patrzył za nią, zamyślony.

– Warsztat spłonął doszczętnie. – Haver postanowił być bezlitosny. – Nawet przysłowiowe gówno nie zostało.

Można było pomyśleć, że Haver postanowił się dostosować do poziomu swojego rozmówcy.

– Słyszałem – potwierdził Sagander.

– Nie jest panu przykro? – spytała Ann.

– Przykro? Co to za pytanie, do diabła!

– Podejrzewamy, że ktoś podłożył ogień – wyjaśnił Berglund.

– Może byście usiedli. Leżę tu jak kłoda, jakbym już był trupem.

Policjanci usiedli. Ann miała wrażenie, że jest z wizytą u kapryśnego krewnego.

– Ktoś podłożył ogień? A niby kto?

– Nie pokłócił się pan z kimś?

– Chyba że z urzędem skarbowym, ale nie sądzę, żeby mieli podpalaczy na etacie. Jest jeszcze Ringholm. Niezłe z niego ziółko, ale coś takiego by nie zrobił.

– Mamy pewne przemyślenia – odezwał się Haver, wychylając się do przodu. – Niedawno zamordowano jednego z pana byłych pracowników, a teraz spłonął pański warsztat. Myśli pan, że te zdarzenia mogą być ze sobą powiązane?

Sagander pokręcił głową.



– Co pan robił siedemnastego grudnia? – spytał Berglund.

Sagander przyglądał mu się chwilę. Ann miała wrażenie, że widzi cień zawodu na jego twarzy, jakby Berglund go zawiódł, okazał się nielojalny wobec kolegi myśliwego.

– Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, to akurat mnie kroili – powiedział, wskazując ręką na plecy.

– Szybko pan doszedł do siebie. Kiedy odwiedziłem pana w warsztacie dziewiętnastego, wyglądał pan całkiem rześko – odezwał się Haver.

– Wypadł mi dysk. Zaraz po zabiegu odsyłają człowieka do domu.

– Kiedy pan wrócił?

– Po południu osiemnastego, w moje urodziny.

– Jaki ma pan samochód? – spytał Berglund.

– To volvo na zewnątrz – odpowiedział Sagander pośpiesznie.

Widać było, że coś go boli i z trudem znosi nie tyle ból, co całą tę sytuację, a szczególnie fakt, że musi leżeć.

– Jak dotarł pan do domu?

– Żonka mnie przywiozła.

– Volvo?

– A niby czym? Limuzyną?

Gunnel Sagander weszła do pokoju z tacą wypełnioną filiżankami i talerzykami z bułeczkami i ciastem.

– Może pani przesunąć te gazety? – poprosiła Ann.

Filiżanki zastukały jedna o drugą. Ann pomogła kobiecie nakryć do stołu.

– Jak ładna porcelana – pochwaliła, a Gunnel spojrzała na nią, jakby szukała u niej ratunku.

– Pewnie wszyscy macie już dość świątecznych pierniczków? – rzuciła.

Gdyby nie obecność Sagandera, byłoby to całkiem przyjemne miejsce, pomyślała Ann.

– Kawa będzie gotowa za chwilę – powiedziała kobieta.

– Zauważyłam, że ma pani dużo ładnej miedzi. Mogę obejrzeć? – spytała Ann.

– Pewnie, proszę.

Wyszły do kuchni. Ann cały czas czuła na sobie wzrok Sagandera.

– Jest dzisiaj trochę marudny – usprawiedliwiała męża Gunnel. – Ma bóle.

– To widać. Poza tym pewno należy do ludzi, którzy cały czas muszą być w ruchu.

Kobiety stały i przyglądały się formom i naczyniom. Gunnel powiedziała, że większość rzeczy odziedziczyła, a część wylicytowała na aukcjach.

– Agne dostaje szału, kiedy przynoszę coś nowego, ale potem mu się podoba.  
– Typowy facet – skwitowała Ann. – Słyszałam, że przywiozła go pani ze szpitala?  
– To prawda – przyświadczyła Gunnel, a jej oczy straciły coś ze swego błysku.  
– To było osiemnastego?  
– Tak, w jego urodziny, ale w tym roku przyjęcie było raczej mało udane. Agne był zły. Chciał jechać do warsztatu.

– Że też tak szybko wypuszczają ludzi do domu. Dzień po zabiegu.  
– Pewnie oszczędzają – powiedziała Gunnel. – Ale on chciał do domu. Gorzej mają ci, którzy są samotni.

– Nie ma ich kto obsługiwać, tak?

Gunnel roześmiała się.

– Nie ma ich kto obsługiwać – powtórzyła zamyślona. – Nie myślę o tym w ten sposób. Lubię, kiedy w domu jest porządek, a on nie jest taki straszny, jak to by się mogło wydawać.

Ann pomyślała, że Gunnel ładnie się starzeje. W jej głosie było coś miękkiego, jakieś głębokie ciepło, które pozwalało sądzić, że niejedno widziała i słyszała, ale potrafiła przebaczyć i pogodzić się z tym, że nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Czy była szczęśliwa? Czyżby bycie dobrą gospodynią i żoną marudnego faceta uczyniła cnotą?

Ann widziała wiele kobiet o podobnym nastawieniu. Ulegały pokusie wejścia w tradycyjną rolę kobiety. Naśladować własną matkę jest łatwo. I pozornie bezpiecznie. Chętnie porozmawiałaby o tym z Gunnel Sagander, ale wiedziała, że nie jest to właściwy moment i że taki pewnie nigdy się nie trafi.

Kawa zaczęła bulgotać. Gunnel spojrzała na Ann, jakby czytała w jej myślach.

– Mężatka? – spytała, przelewając kawę do dużego dzbanka termosu.

– Nie, wychowuję samotnie małego Erika.

Kobieta pokiwała głową i poszła do pokoju.

Ann widziała po Haverze, że jest zawiedziony. A może to zmęczenie sprawiało, że wyglądał na wykończonego? Siedział na krześle i przyglądał się swoim dłoniom. Spojrzał na Ann i na Gunnel, które właśnie wróciły do pokoju. Sagander mówił, nie dopuszczając nikogo do głosu, Berglund cały czas słuchał go uważnie.

– Mały John był zdolny, ale był też trochę dziwakiem. Szkoda, że tak skończył.

– To pan go zwolnił – wszedł mu w słowo Berglund.

- Byłem do tego zmuszony, ale tego pewno żaden urzędnik nie zrozumie.
- Jasne – przytaknął Berglund i się uśmiechnął.
- Jeszcze trochę kawy? – spytała Gunnel, sięgając po dzbanek.
- Dziękuję, starczy – powiedział Berglund i wstał.

Haver spojrzał na niebo. Chmury rozeszły się niczym kurtyna, odsłaniając rozgwieżdżone niebo. Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i wyszedł na podwórze.

- Dziękuję za kawę – zwrócił się do Gunnel.

Kobieta nie odpowiedziała, skinęła tylko głową. Berglund pożegnał się, podając jej rękę. Ann została jeszcze chwilę z kobietą.

- Pani też знаła Johna, prawda? – spytała.
- Oczywiście. Pracował w warsztacie wiele lat. Lubiłam go.
- Zniknął jego syn, Justus. Nie wie pani, dokąd mógł pójść?

Gunnel pokręciła głową.

- Uciekł? Biedny chłopak.

Radiowóz ruszył. Policjanci z patrolu odjechali. Ann pożegnała się z kobietą, podziękowała jej. Haver i Berglund mieli właśnie wsiadać do samochodu, kiedy Haver nagle zastygł w bezruchu, jakby chwyciło go lumbago. Ann zobaczyła, że odchodzi od samochodu, kuca i woła coś do Berglunda. A ten sięga ręką do samochodu i coś z niego wyjmuje.

- Co się stało? – spytała zaniepokojona Gunnel Sagander.

- Nie wiem – odpowiedziała Ann.

– Coś przyszło mi do głowy – odezwała się kobieta. – Chyba wiem, dokąd Justus mógł pójść. John bardzo się przyjaźnił z Erkim.

Ann nie potrafiła się skupić na słowach kobiety. Miejsce, gdzie kucali Haver i Berglund, było słabo oświetlone. Berglund włączył latarkę. Po sposobie, w jaki Haver zwracał się do kolegi, widać było, jak bardzo jest podniecony. Po chwili Berglund pokręcił głową, spojrzał na dom, wstał i wyjął komórkę.

– Erki był dla Johna jak ojciec, szczególnie na początku – ciągnęła Gunnel Sagander. – John był wtedy nieco zdezorientowany. Łatwo wpadał w złość, ale Erki się tym nie przejmował.

Ann wyciągnęła szyję.

- Co oni tam robią? Zgubili coś? – spytała Gunnel.

– Prędzej znaleźli – odparła Ann. – Co pani mówiła o koledze Johna?

– Może Justus pojechał do niego? Wiem, że zawsze go lubił.

– Wie pani, gdzie on mieszka?

– Dawniej mieszkał w Årsta, ale ostatnio przeniósł się chyba do Bålinge.

Haver wyprostował się, dotknął ręką pleców i powiedział coś Berglundowi.

– Mogę spytać Agnego. Albo sami do niego zadzwonimy.

Gunnel ruszyła w stronę domu, Ann zaś podeszła do kolegów. Temperatura znacznie spadła, na dworze był trzaskający mróz. Owinęła się szczelniej szalikiem. Oddech kolegów był niczym para wokół ich głów.

– Co się stało? – spytała.

Haver spojrzał na nią, a w jego oczach nie było już zmęczenia.

– Ślady – odparł krótko, wskazując na ziemię tuż obok swoich stóp. Ann miała wrażenie, że widzi na jego ustach uśmiech.

– Mów – zażądała.

Opowiedział jej o wysypisku śniegu w Libro, gdzie znaleziono ciało Małego Johna.

– Myślicie, że to ten sam samochód?

Haver skinął głową.

– Eskil jest już w drodze – powiedział. Dopiero teraz Ann zauważyła, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Może spytamy żonę Sagandera, kto tu przyjeżdżał? – zaproponowała i w tym momencie zadzwoniła jej komórka.

Dzwoniła mama, pytając, co się z nią dzieje. Erik się obudził, dostał kaszkę, zasnął, a teraz znów się obudził.

– Płacze? – spytała Ann i odeszła nieco od kolegów.

– Nie, raczej nie – powiedziała mama, a Ann zaczęła się zastanawiać, co to może znaczyć.

– Niedługo wrócę – obiecała. – Daj mu banana. Lubi banany.

– Nie potrzebuje banana, potrzebuje matki.

– Ma babcię – stwierdziła Ann i natychmiast pożałowała swoich słów.

W słuchawce zapadła cisza.

– Wracaj do domu – powiedziała w końcu matka i rozłączyła się.

Ann stała z komórką w ręku, patrzyła na Havera i Berglunda, udała, że spokojnie kończy rozmowę i wróciła do kolegów.

– Opiekunka do dziecka? – spytał Berglund.

Ann skinęła głową i zobaczyła, jak Berglund i Haver wymieniają spojrzenia. W tym momencie na drodze pokazał się stary samochód Ryde'a. Technik zahamował i chwilę się zawahał, zanim podjechał pod dom Sagandera.

Ann podeszła do Gunnel, która wciąż stała na zewnątrz. Marzła.

– Może wjedziemy? – zaproponowała Ann.

Kobieta pokręciła głową.

– Co się stało? – spytała, wpatrując się w Ann.

– Na śniegu są ślady kół. Ktoś was tu dzisiaj odwiedzał?

Kobieta odwróciła wzrok.

– Brat męża – powiedziała krótko. – Ruben. Był tu kilka godzin temu. Postanowił zapolować na zające, przyjechał coś pożyczyć.

– Amunicję?

Kobieta przytaknęła.

– Miał ze sobą broń?

– Na ogół miewa – odparła Gunnel. – On... – zaczęła i urwała.

Stała teraz w milczeniu. Obie kobiety przyglądały się, jak policyjny technik wysiada z samochodu, podchodzi do kolegów i natychmiast kuca. Berglund poświecił mu latarką.

– Gdzie mieszka Ruben?

– Na wzgórzu – powiedziała Gunnel, wskazując ręką w stronę domków na zboczu.

– Tam, gdzie pali się światło? W domu z dwoma kominami?

Gunnel przytaknęła.

Ann wróciła do kolegów. Ryde spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. Wyjął miarkę i zaczął mierzyć ślady na śniegu.

– Ta sama szerokość – potwierdził.

Wyjął aparat fotograficzny i szybko zrobił kilkanaście zdjęć. Flesz rozświetlał śnieg. Haver wzdrygnął się. Ann powiedziała kolegom, że ślady prawdopodobnie zostawił samochód brata Sagandera, że brat był uzbrojony i że mieszka w pobliżu.

Haver spojrzał na nią, ale Ann miała wrażenie, że myślami jest gdzieś daleko.

– Nóż, który ukradł Mattias, leżał w samochodzie. W samochodzie, który zostawił ślady w Libro, a teraz również tutaj – powiedział Haver. – Ruben odwiedził brata w szpitalu dzień po morderstwie.

– Cholerny amator – skomentował Ryde.

– Ruben Sagander – powiedziała Ann i wszyscy czworo spojrzeli w stronę domu z dwoma kominami na północnym zboczu.

– Jest uzbrojony – ostrzegł Haver.

Jak na dany znak ruszyli w stronę domu Sagandera. Gunnel domyśliła się, co się stało, widzieli to po niej. Zawiązała mocniej szalik, wyprostowała plecy. Była gotowa.

– Wie pani, czy Ruben odwiedzał brata po operacji? – spytała Ann.

– Tak, razem do niego pojechaliśmy.

– Samochodem Rubena?

Kobieta przytaknęła.

– Czerwonym pick-upem?

Kolejne skiniecie głową.

– Co się stało? – spytała kobieta, ale Ann podejrzewała, że Gunnel wie o wszystkim.

– Ruben znał Johna? – rzucił Berglund.

– Oczywiście.

Weszli do domu. Haver zaczął gdzieś dzwonić. Berglund rozmawiał z Saganderem, który tkwił w tej samej pozycji, w jakiej go zostawili. Nawet Ryde sięgnął po komórkę; Ann stała w holu razem z Gunnel.

– Może pani odszukać numer telefonu Erkiego?

Powinna wracać do domu. Nagle poczuła, że morderstwo Małego Johna nie interesuje jej już tak bardzo. Może dlatego, że jednak nie brała udziału w całym dochodzeniu. Czyżby to niepokój o Justusa kazał jej tu pozostać?

Haver zakończył rozmowę i już miał coś powiedzieć, kiedy z pokoju wyszedł Berglund. Bardzo dokładnie zamknął za sobą drzwi.

– Trzeba wezwać karetkę i patrol – powiedział. – Sagander nie chce się ruszyć. Twierdzi, że nie jest w stanie.

Berglund nie miał w sobie zapалу Havera. Będący przed emeryturą policjant najchętniej wróciłby już do domu, do żony, do dzieci, wnuków i choinki. Ale Ann wiedziała, że jeśli będzie trzeba, to bez szemrania będzie pracował nawet w Wigilię. Stał teraz z dłonią na klamce i patrzył na Gunnel, jakby chciał powiedzieć, że jest mu bardzo przykro. A może oczekiwał od niej wyjaśnień co do stanu męża?

– Jest bardzo uparty – wyjaśniła Gunnel.

– Jaki jest jego brat? – spytał Haver.

Kobieta się zawahała, zauważyli, że starannie dobiera słowa.

– Pod wieloma względami przypomina brata, są bliźniakami, ale pewnie jest bardziej

zapalczywy.

– Bywa gwałtowny?

– Ma wspaniałą żonę – oznajmiła Gunnel, jakby to była odpowiedź na pytanie Havera.

Zadzwoiła komórka, Havera odebrał po pierwszym sygnale. Ann zauważyła, że się poci. Pomyślała o Edvardzie. Poczowała ukłucie w piersi, kiedy przypomniała sobie, jak kochali się w drewnianym domu na Gräsö, aż przestali słyszeć wiejący z północnego wschodu wiatr. Pewnej nocy wstała tuż przed wschodem słońca, podeszła do otwartego okna, zdjęła siatkę chroniącą przed komarami i wychyliła się na zewnątrz. Ptaki śpiewały, morze było idealnie gładkie, a temperatura już zbliżała się do dwudziestu stopni. Odwróciła się i spojrzała na leżącego w łóżku Edvarda. Pomyślała, że bardziej szczęśliwa chyba nie może być. W nocy Edvard ściągnął z siebie kołdrę, na jego brzuchu lśniło kilka kropel potu.

– Chyba udamy się do Rubena – powiedział Haver, przerywając jej rozmyślenia. – Zaraz będą tu dwa radiowozy. Kazałem im się pospieszyć.

– Mogę wziąć twój samochód, Eskil?

Technik odwrócił się i spojrzał na nią, jakby nie rozumiał jej pytania.

– Muszę dostać się do miasta – wyjaśniła zawstydzona, chociaż nie prosiła go o pożyczenie jej spodni, tylko samochodu.

– Możesz wziąć mój – zaproponował Haver, chcąc oszczędzić jej dalszego tłumaczenia się. Rzucił jej kluczyki.

– Dzięki! – Roześmiała się. – Jestem pewna, że pójdzie wam jak po maśle – dodała, używając ulubionego powiedzenia Edvarda.

Ruszyła, wzięła kartkę z numerem telefonu Erkiego i wybrała go. Fin odpowiedział po pięciu, może sześciu sygnałach. W tle słychać było kołędy i pobrząkiwanie zastawy.

Przedstawiła się, ale nie zdążyła wyłożyć mu sprawy, kiedy jej przerwał.

– Jest tutaj – powiedział krótko, głosem jak z *Muminków*.

Ann poczuła ulgę, roześmiała się.

– Zadzwoiliście do Berit?

– Nie, chłopak nie chce.

– Mogę przyjechać?

– Chwileczkę – poprosił Erki.

Ann słyszała, jak odchodzi od telefonu. Próbowwała wyobrazić sobie, jak mieszka, jak wygląda, jak rozmawia z chłopcem. Przerwa przedłużała się. Stała, patrzyła na łąki przed domem Sagandera, na drogę z jałowcami z krasnalami na gałęziach i na dom brata na wzgórzu, zaledwie kilkaset metrów dalej. Czy Agne zadzwoni i uprzedzi brata? Sądziła, że

nie. Nie dlatego, że miał problemy z poruszaniem się, na pewno miał pod ręką komórkę, ale i tak nie sądziła, żeby to zrobił. Jej przekonanie wynikało z reakcji jego żony. Gunnel wiedziała, że coś się szykuje, pewnie domyślała się, że jej rodzina może zostać oskarżona o pomoc w zbrodni, ale Ann widziała po niej, że w głębi duszy była zadowolona, kiedy zobaczyła podjeżdżający pod dom radiowóz. Może Agne też, chociaż tego nie okazywał. Nie miała zaufania do bliźniaków. Przypomniała sobie dawną sprawę gwałtu. Mężczyzna napadł na kobietę w parku, w Engelska Parken, a jego brat bliźniak, chociaż potępiał jego czyn, zgodził się zeznawać przeciwko niemu z bardzo dużym oporem.

Erki Karjalainen wrócił do telefonu. Mogła przyjechać, ale prosił, żeby nie dzwoniła do Berit.

– Obiecuję – powiedziała i rozłączyła się.

Karjalainen mieszkał dwadzieścia minut drogi od domu Sagandera, na skróty przez las. Nie miała pewności, czy droga będzie przejezdna. Jechała nią kilka razy z Edvardem, który właśnie w tych rejonach miał swoje najlepsze „grzybowe” miejsca.

Idąc do wozu Havera, wybrała numer Berit. Miała ją przed oczyma, niemal widziała, jak niespokojnie krąży po mieszkaniu.

– Znaleźliśmy go – powiedziała bez zbędnych wstępów.

Berit zaczęła płakać, minęła chwila, zanim Ann mogła z nią rozmawiać.

– Trochę jeszcze potrwa, zanim wróci do domu, ale możesz mi wierzyć, że jest w dobrych rękach.



Ruben Sagander kopnął leżący przed nim kawałek plastiku. Dobrze, że ojciec już nie żyje, pomyślał. Próbował się uspokoić. Wciągnął powietrze nosem, napelnił płuca, podciągnął ramiona. Patrząc na zgliszcza warsztatu, miał ochotę zacząć krzyczeć, żeby wykrzyczeć całą swoją złość.

Wzniesiony w 1951 roku. Spłonął pięćdziesiąt lat później. Tabliczka z napisem „Warsztat Mechaniczny Sagandera” obluzowała się, spadła i leżała teraz na ziemi. Noga strażackiego dźwigu zostawiła na niej swój ślad, tak że wyraźnie widoczny był tylko fragment nazwiska: Saga.

Czuł złość, czarną jak sadza na jedynej ścianie, która ostała się w całości. Zamienił kilka słów ze strażakami. Przedstawił się, opowiedział, jak to on i brat pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęli pracować tu, u ojca. Strażacy wzięli jego złość za żal i próbowali go pocieszyć. Nie było żadnych wątpliwości, że ogień został podłożony. Oczywiście zostanie przeprowadzone badanie techniczne, ale znalezione w zgliszczech ślady wskazywały wyraźnie, że było to świadome działanie. Ktoś połał wszystko łatwopalnymi chemikaliami i podpalił.

– Kto? – spytał Ruben.

– To sprawa dla policji – odpowiedział strażak.

Teraz zostało już tylko sprzątanie po pożarze. Pod kilkoma belkami zobaczył kasę pancerną. Była pusta, ale jeszcze pół roku temu było w niej pół miliona koron. Jego pieniędzy. Agne wiedział, że były to pieniądze zarobione na czarno przez firmę budowlaną Rubena. Kiedy brat zwrócił się do niego z prośbą, żeby je dla niego przechował, Agne miał sporo wątpliwości.

Potem się okazało, że ktoś wyczyścił sejf, i musiał to być ktoś, kto znał kod. Ruben nawet przez moment nie podejrzewał o to brata. Wspólnie próbowali dojść, kto mógł to zrobić. Nikomu w firmie o tym nie powiedzieli, starali się zachowywać jak zawsze, nikt niczego nie zauważył. Kiedy skończyły się urlopy, wszystko z pozoru wróciło do normy.

Niemal natychmiast zaczęli podejrzewać Johna. Kiedy w pewnym momencie Mattzon wspomniał coś, że pewnej niedzieli na początku sierpnia widział Johna w pobliżu warsztatu, byli właściwie pewni. To John okradł Rubena z jego ciężko zarobionych pieniędzy. To pół miliona miało pójść na wyposażenie domu w Hiszpanii, gdzie on i Maj-Britt planowali się osiedlić.

Zadzwoiła komórka Rubena, sprawdził numer na wyświetlaczu. Nie odebrał. Nie miał siły znów rozmawiać z bratem. Wsiadł do samochodu i zastanawiał się, co powinien zrobić. Pół miliona zniknęło, a teraz nie było też warsztatu. Najchętniej uciekłyby od wszystkiego. Nawet od Maj-Britt.

Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu Johna. John był złodziejem, przyznał się do tego. Roześmiał się Rubenowi prosto w twarz. „Spróbuj mi to udowodnić”, powiedział, śmiejąc się. Żałował tylko, że potraktował go tak brutalnie. Powinien był go puścić, a potem chodzić za nim, może zagrozić, że zrobi coś Justusowi, żeby w ten sposób zmusić go do oddania pieniędzy. Ale teraz było już za późno. Chociaż była przecież Berit. Spodziewał się, że zaprzeczy, że wie o kradzieży, ale wtedy on zagrozi, że zrobi coś Justusowi.

Rzucił ostatnie spojrzenie na zgliszcza warsztatu. Zamontowane reflektory dawały nieprzyjemną poświatę. Gdzieś w głębi placu śmiali się strażacy. Pewnie się cieszyli, że udało im się powstrzymać ogień.

Przekręcił kluczyki w stacyjce. Nagle wydało mu się, że na tylnym siedzeniu siedzi John i śmieje się z niego. Odwrócił się, ale na siedzeniu leżał tylko jego sztucer i torba myśliwska. Włączył silnik i ruszył do Gränby.

Czuł, jakby znalazł się na rozstaju dróg. Ważyły się jego dalsze losy. Wiedział, że nie zostało mu już wiele lat życia. Lekarze mówili o pięciu, może dziesięciu. Dawali mu pewną nadzieję, ale pod warunkiem że zwolni tempo, przestanie palić, odstawi alkohol. Sprzedał firmę, rzucił palenie, z wieczornego kieliszka koniaku jednak nie zrezygnował. Ostatnie lata swojego życia chciał spędzić w Hiszpanii. Czterdzieści lat harował, najpierw w warsztacie, potem jako operator dźwigu i kierownik budowy. W końcu stanął na nogi, stał się właścicielem dobrze prosperującej firmy budowlanej, dysponującej ponad dwudziestoma maszynami.

Był dumny z tego, co zbudował. I nikomu nic do tego, że miał trochę grosza odłożonego gdzieś na boku. Zarobił je ciężką pracą, należały mu się. Mały John śmiał się z niego, ale teraz nie było mu do śmiechu. Pieniądze musiały gdzieś być. Postanowił pojechać do Berit i je od niej wyciągnąć.

Leżąca na stole broń była jak magnes. Co chwila szedł do kuchni, żeby spojrzeć na rewolwer. Nigdy nie miał własnej broni palnej. Zwykle wystarczał mu nóż. Nigdy nawet nie pomyślał, żeby sprawić sobie rewolwer albo pistolet. Wiedział, że kiedy był na kacu, różne rzeczy mogły się zdarzyć, a za napad z bronią palną kara zawsze była większa. Sądy znacznie surowiej traktowały złodzieja z pukawką za pazuchą niż drobnego pijaczka z nożem.

Białorusin, od którego Lennart kupił rewolwer, nie wydawał się zdziwiony. Słyszał, co przytrafiło się Małemu Johnowi, i w pełni rozumiał zgłoszone przez Lennarta zapotrzebowanie. Nawet zgodził się, żeby Lennart zapłacił mu w ratach, co zwykle się nie zdarzało. „Uważaj na siebie, żebyś przeżył”, powiedział lakonicznie. „I spłacił mi dług”.

Siergiej mieszkał w Szwecji cztery lata. Przyjechał tu z Estonii i wystąpił o azyl polityczny. Gdyby to zależało od Lennarta, natychmiast odesłałby go z powrotem, teraz jednak czuł wobec niego nawet pewną wdzięczność.

Lennart nie chciał nikogo zabić, pomyślał jednak, że broń może mu się przydać. Mając rewolwer, mógł pokazać, że nie żartuje.

Nie mógł oderwać od niego wzroku. Dotknął go. Był piękny, przerażający, groźny i napawał go pełną napięcia nadzieją. Nagle jakby urósł, stał się ważny. Położył go na wierzchu, żeby oswoić się z myślą, że jest uzbrojony.

Od trzydziestu sześciu godzin nie wypił ani kropli alkoholu, nawet piwa. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak długo trzeźwy. Może kiedy zatrzymały go gliny? Pamiętał, że w pewnym momencie był wtedy gotów przyznać się do wszystkiego, byle tylko mógł napić się piwa.

Czuł się innym człowiekiem, jakby dawny Lennart opuścił swoje ciało i teraz z zewnątrz oglądał jego cielesną powłokę. Widział, jak krąży po mieszkaniu, podchodzi do okna, patrzy na padający śnieg, bierze do ręki rewolwer, ubiera się.

Dzisiaj musi się wszystko wyjaśnić. Był przekonany, że Berit w jakiś sposób była w to wszystko wpłątana. Teraz prawda wyjdzie na jaw. Nie chciał zrobić jej krzywdy. Nie mógł

zrobić jej krzywdy. Była żoną Johna i matką Justusa.

Chciał wierzyć jej zapewnieniom, kiedy mówiła, że była wierna Johnowi, ale słowa Mossy nadal brzmiały mu w uszach. „Dziwka”, powiedział Irańczyk. W jego ustach było to mocne słowo. Lennart zawsze mu ufał, dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Może zdradziła Johna z Dickiem, tym z zębami? Nie widział go od jakiegoś czasu. Ktoś powiedział mu, że Dick jest Holandii. Być może, pomyślał Lennart. Pojadę za nim. Jeśli sądzi, że mu się upiecze, to się myli. Pójdę za nim na koniec świata.

Wyszedł na śnieg, trzeźwy jak sam Bóg, wolny od swojego poprzedniego życia. Czuł w sobie wielki spokój i, o dziwo, chociaż raz w ogóle nie myślał o ojcu. Zastanawiał się, czy to nie jego krótka przygoda z odśnieżaniem sprawiła, że coraz częściej powracał do dawnych wspomnień. Albin był nie tylko dobrym blacharzem, ale i dobrym ojcem. Z upływem lat Lennart rozumiał to coraz lepiej, szczególnie kiedy obserwował Johna z Justusem.

Westchnął ciężko. Znow powrócił pamięcią do placu Brantinga. Nie było tam już pługu ani hałasujących nastolatków, było tylko mnóstwo śniegu dookoła i on. Potrzeba alkoholu zamieniła się w ssanie w żołądku, metalowa linka powoli zaciskała się wokół kiełkującego w nim kruchego ziarenka strachu. W każdej chwili wszystko mogło się rozsypać. Mógł wrócić do domu, napić się, ale uznał, że jeszcze za wcześnie, żeby zrezygnował z poszukiwań mordercy Małego Johna.

Zagryzł zęby i szedł dalej, kierując się w stronę wzgórza Skomakarberget. Widział wiszące w oknach rozświetlone adwentowe gwiazdy, z balkonów mrugały kolorowe lampki.

– Albin i John – mamrotał cicho w takt swoich kroków.

Miał wrażenie, że ojciec jest przy nim, jakby Albin zszedł na ziemię ze swoich dachów, ze swojego nieba, żeby go teraz wesprzeć. Czuł, że kroczy w milczeniu obok niego. Czasem wskazywał ręką na któryś z dachów, Lennart domyślał się, że wskazywał mu te, na których kiedyś pracował.

Ann jechała powoli. Nie była przyzwyczajona do samochodu Havera, poza tym warunki na drodze były ciężkie. Wiatr nawiewał śnieg, na drodze tworzyły się trudne do pokonania zaspasy, a kiedy dotarła do lasu, droga zrobiła się zdradziecko śliska.

Dopiero gdy dojechała do kościoła w Bälinge, wiedziała, że najgorsze ma za sobą. Na mapie Havera zaznaczyła ulicę, przy której mieszkał Erki Karjalainen. Krążyła chwilę po wąskich uliczkach wśród gęsto stojących domków, w końcu wjechała w ślepią uliczkę i musiała zawrócić. Zorientowała się, że – mimo mapy – zabłądziła.

Czuła narastającą irytację, denerwowała się. Rozpoznawała objawy, miały swoje źródło w poczuciu zagrożenia. Justus był co prawda bezpieczny, ale było coś, co ją niepokoiło: świadomość, że morderca nadal jest na wolności. Jej nerwowość wynikała z niepokojów o kolegów. Ruben Sagander był tu gdzieś, w tych grudniowych ciemnościach. Wziął od brata amunicję, wybierał się przecież na polowanie na zające, może nadal był uzbrojony? Haver i Berglund na pewno zaczekają, aż przybędą posiłki, potem włożą kuloodporne kamizelki i z największą ostrożnością zaczną się zbliżać do domu Rubena. Wiedziała o tym, ale wiedziała też, że zbrodnie i zbrodniarze mieli własną logikę.

W końcu dotarła do domu Karjalainena, wysiadła z samochodu i zaczęła nasłuchiwać, jakby miała nadzieję, że dojdą ją jakieś dźwięki z oddalonego o ponad kilometr Börje. Haver nienawidził broni, szczególnie po incydencie w okolicach Biskops-Arnö, gdzie kiedyś, bez powodu, otworzył ogień do seryjnego mordercy, ponieważ sądził, że ten grozi Ann pistoletem, tym samym prowokując i ją do otwarcia ognia. Mężczyzna zmarł.

Haver i Ann już nigdy później nie wracali do tego zdarzenia. Ale teraz Haver znów znalazł się w pobliżu domniemanego mordercy. Ann przed wyjazdem od Sagandera spytała go, czy ma przy sobie broń. Haver skinął głową, ale nic nie powiedział. Była przekonana, że i on wracał w myślach do incydentu, który rozegrał się w leśnej chatce tamtej nieszczęsnej letniej nocy, nie tak bardzo dawno temu. I który oboje skrętnie wyparli gdzieś na obrzeża pamięci.

Sięgnęła po komórkę, zadzwoniła do domu. Tym razem odebrał ojciec, co ją zdziwiło, ale i ucieszyło. Erik nie spał już od godziny, babcia się nim zajęła.

– Dziarski z niego chłopak – stwierdził ojciec.

Ann uśmiechnęła się, zakończyli rozmowę.

Erki Karjalainen otworzył jej drzwi z szerokim uśmiechem na twarzy. Bez słowa wpuścił ją do środka. Ann była mu wdzięczna, nie miała siły na żadne grzeczności i opowieści o zbliżających się świętach.

Justus siedział w kuchni. Przy kuchence stała kobieta, mieszała coś w garnku. Podniosła głowę i uśmiechnęła się. W kuchni unosił się słodki zapach. Chłopiec zerknął na nią i spuścił wzrok. Przed nim na stole stał talerz i szklanka mleka.

Ann usiadła naprzeciwko niego. Erki stanął w drzwiach, zawahał się chwilę, wszedł i usiadł przy stole. Kobieta odstawiła garnek i wyszła z kuchni. Erki patrzył za nią.

– To moja siostra – powiedział.

Ann skinęła głową, patrzyła na Justusa. Ich spojrzenia się spotkały.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Dobrze.

– Cieszę się, że się znalazłeś. Niepokoiliśmy się o ciebie.

– Nie zgubiłem się – odparł Justus buńczucznie.

– Twoja mama nie wiedziała, gdzie jesteś.

Rozmowy z nastolatkami były trudne. Nastolatki nie były już dziećmi, ale też nie były jeszcze dorosłe. Ann zawsze miała wrażenie, że robiła coś nie tak. Albo zwracała się do nich zbyt dziecinnym językiem, albo przeciwnie. Brakowało jej wrodzonego talentu Sammy’ego.

Justus przeciągnął nożem po talerzu. Sprawiał wrażenie roztargnionego, ale Ann podejrzewała, że wewnątrz wszystko się w nim gotuje.

– Słyszałeś, że warsztat Sagander spłonął? – zapytała cicho i pochyliła się bliżej chłopca.

Justus pokręcił głową.

– Przecież wiesz – powiedział Erki.

Justus rzucił mu pospieszne spojrzenie. Ann zobaczyła w jego oczach strach, jakby bał się mężczyzny, ale rozumiał, że nie ma sensu zaprzeczać temu, co przed chwilą powiedział dawnemu przyjacielowi ojca. Skinął głową.

– Mów – zachęcała go Ann.

Z pewnym wahaniem Justus zaczął opowiadać, po chwili słowa płynęły już wartkim strumieniem. Nagle urwał w środku zdania, spojrzął na Ann.

– Sagander to idiota – oświadczył bojowo.

– Bardzo chwalił twojego tatę.

– Wywalił go – powiedział Justus. – Jego pochwały są niewiele warte.

– To prawda – przyznała mu rację Ann i uśmiechnęła się. – Jego pochwały są niewiele warte – powtórzyła.

Kiedy Justus skończył opowiadać, dotarło do niego, że pożar pozbawił Erkiego pracy. W jego oczach znów pojawił się strach, z trudem łapał powietrze.

– Nie denerwuj się – uspokoił go Erki, jakby czytał w myślach chłopca.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Ann.

– Nie wiem.

– Może zadzwonisz do mamy i powiesz jej, gdzie jesteś?

– Pójdę do więzienia?

– Nie masz jeszcze piętnastu lat, więc nie poniesiesz kary. Możesz mieć kłopoty, ale wiemy, że twój tata zginął i że było ci bardzo smutno.

– Jeszcze jedno – wszedł jej w słowo Erki, do którego Ann czuła coraz większą sympatię. – Justus ma sporo pieniędzy. Chcesz, żebym ja o tym powiedział? – zwrócił się do chłopca.

Justus milczał. Erki odczekał chwilę i zaczął opowiadać.

– Przyjechał tu taksówką. Zastanawiałem się nawet, jak to możliwe, że go na to stać.

Erki sięgnął po stojący pod ścianą plecak. Ann domyślała się, co w nim jest, ale i tak wstrzymała oddech. Kiedy mężczyzna otworzył zniszczony plecak, ich oczom ukazały się grube zwitki pięćsetkoronowych banknotów.

– Ile tego jest?

– Nie wiem – odpowiedział Erki, stawiając plecak na podłodze. – Nie liczyłem, ale na pewno kilkaset tysięcy koron.

– Nie wziąłem wszystkiego – tłumaczył się cicho chłopiec.

– Co to za pieniądze? – spytała Ann.

– To pieniądze taty.

– Zacznij od początku, dobrze?

– Mieliśmy jechać do Afryki – wyjaśnił Justus, znów gotów do walki. – Tata odkładał, żebyśmy mogli zacząć tam hodowlę ryb. Może w Burundi.

– Wiesz, skąd miał tyle pieniędzy?

Chłopiec pokręcił głową.

– Ja wiem – wtrącił Erki. – Z warsztatu.

– Mów – poprosiła Ann.

Erki i Justus spojrzeli na siebie. Ann zauważyła, jak chłopiec zmienił się na twarzy. Wcześniejsza agresja wymieszana z biernością zniknęły. Zauważyła, że odziedziczył po ojcu jego łagodne rysy. Mur obronny, który wznosił wokół siebie, runął. Patrzył błagalnie na Erkiego. Mężczyzna wziął jego rękę, która niemal zginęła w jego potężnej dłoni robotnika. Ann podniosła głowę, ich spojrzenia się skrzyżowały, zobaczyła, że mężczyzna jest wzruszony.

– Nie wiem, czy pani wie, ale John był ekspertem od ryb. Wszyscy mamy swoje marzenia, prawda? Nasze życia... – urwał nagle.

Ann czekała, co powie dalej, ale on milczał.

– Skąd pan wie, że pieniądze pochodziły z warsztatu?

– Wiele lat tam pracuję. Widzę różne rzeczy. Po prostu wiem.

Ann postanowiła zmienić temat. W swoim czasie na pewno dowie się wszystkich szczegółów.

– Berit wiedziała o plecaku?

Justus pokręcił głową.

– Nie wziąłem wszystkiego. Zostawiłem jej połowę.

– Gdzie są te pieniądze?

– W domu, w szafie.

– Ale ona o nich nie wie?

– Wiedzieliśmy tylko tata i ja.

– W porządku, rozumiem – powiedziała Ann.

Odwróciła się do mężczyzny, spytała, czy może skorzystać z toalety. Erki wskazał ręką na hol. Ann wyszła z kuchni, zamknęła za sobą drzwi. Na podłodze w holu siedziały dzieci. Bawiły się butami – ułożyły je w stos przed drzwiami. Na samym dole Ann zauważyła swoje buty. Z innego pokoju doszły ją dźwięki muzyki i głośne śmiechy. Zwyczajny, normalny dom.

W łazience wyjęła komórkę i zadzwoniła do Havera. Dowiedziała się, że Rubena nie ma w domu. Jego żona czeka na niego już od wielu godzin, próbowała się do niego dodzwonić, ale mąż nie odbiera komórki.

– I co teraz? – spytała Ann.

– Wszczęliśmy alarm. Zastanawiamy się, dokąd mógł pójść.



– Jest uzbrojony – wtrąciła Ann.

– Wiemy o tym.

– To on?

– Pewności nie mamy, ale ślady najpewniej się zgadzają. Poza tym Ruben ma czerwonego pick-upa i był w szpitalu w dniu, kiedy skradziono nóż.

– Pytaliście o nóż?

– Jego żona powiedziała nam, że mąż ma mnóstwo różnych noży. Cała chałupa jest pełna różnej broni i trofeów.

– A motyw?

– Pewnie pieniądze.

Na linii zapanowała cisza. W końcu Ann ją przerwała.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało.

– W porządku – powiedział Haver.

Słyszac jego głos, Ann pomyślała, że chyba jednak nie do końca.

– Muszę wracać do domu, do Erika. Justus jest u Erkiego, nie chce jeszcze wracać do matki. Myślę, że może tu chwilę zostać.

Potem opowiedziała mu o kradzieży w warsztacie i o pieniądzech w plecaku. Zrobiła to z pewnym oporem. Wiedziała, że prawda i tak wyjdzie na jaw, ale w tym momencie czuła, że zdradziła Justusa i Erkiego.

– Czyli pieniądze – powtórzył Haver.

– Ola, bądź ostrożny.

Ann rozłączyła się, urwała kawałek papieru toaletowego, wytarła nos. W holu dzieci śpiewały wysokimi głosami jakąś fińską piosenkę. Wybrała numer do Berit. Kiedy kobieta odebrała, musiała bardzo się starać, żeby opanować swoje emocje. Wiedziała, że Berit czekała na wiadomości o synu.

– Dzięki Bogu – wyszeptała.

Ann widziała ją przed sobą. Przełknęła ślinę i mówiła dalej.

– Jest jeszcze coś. W szafie w pokoju Justusa są pieniądze, dużo pieniędzy. Należały do Johna. Później wszystko ci wyjaśnię, ale te pieniądze to nie tylko jego wygrana w pokera. Będę niedługo u ciebie, wtedy porozmawiamy. Zanim zjawią się moi koledzy – dodała.

– A co z Justusem?

– Jest bezpieczny. Daj mu jeszcze kilka godzin. Zapewniam cię, że nic mu nie jest.

– Co to za pieniądze?

– Niedługo u ciebie będę, dobrze?

Ann wróciła do kuchni. Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Właśnie wysłuchałam koncertu po fińsku – powiedziała Ann lekkim tonem i spróbowała się uśmiechnąć.

– To wnuki – wyjaśnił Erki. – Później zadzwonimy do Berit, a potem odwiozę go do domu.

Ann skinęła głową.

– Wracam do domu – powiedziała z lekkim wahaniem w głosie. – Cześć, Justus. Na razie.

Spojrzała wymownie na mężczyznę. Erki wstał powoli, a kiedy Ann wyszła z kuchni, podążył za nią do holu.

– Jest jeszcze coś – dodała, szukając swoich butów w stosie innych.

Erki zamknął ostrożnie drzwi od kuchni.

– Chciałabym... Wiem, że nie powinnam tego robić, ale to ważne.

Ann wyciągnęła swój jeden but ze stosu innych, odwróciła się do mężczyzny.

– Chodzi o marzenia. Bo przecież dzieci są najważniejsze, prawda?

Erki przytaknął.

– Pomyślałam, że Justus marzył o Afryce.

Erki zerknął w stronę drzwi do kuchni i podszedł bliżej do Ann.

– Afryka nie jest taka, jak ta z jego marzeń. Ale rzeczywiście o niej marzyli, on i Mały John. Co teraz z nim będzie?

Z salonu wypadła gromadka dzieci. Zatrzymały się, kiedy zobaczyły Ann. Spojrzały na but, który trzymała w ręku, i na leżący pod drzwiami stos. Erki powiedział coś po fińsku i dzieci natychmiast się wycofały, zamykając za sobą drzwi.

– Chciałabym – powiedziała Ann, wracając do przerwanej wątku – żeby odliczył pan sto tysięcy z pieniędzy w plecaku. Proszę je schować, a kiedy wszystko się uspokoi, proszę przypilnować, żeby Berit i Justus pojechali do Afryki. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Erki skinął głową.

– Musi zobaczyć tę swoją Afrykę, nawet jeśli tylko spędzi tam tydzień.

– Nie popełnia pani błędu? – spytał Erki.

Ann pokręciła głową.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, natychmiast mnie wyleją, ale przecież zależy panu na dobru chłopca.

Erki Karjalainen roześmiał się. Ann miała wrażenie, że czuje w jego oddechu woń grzanego wina.

- Niech pan pojedzie do Berit taksówką. I wróci taksówką.
- To będzie kradzież – nie ustępował Erki. – Co sobie chłopak pomyśli?
- Proszę mu powiedzieć, że John tak chciał.

Erki wychylił się do przodu, przez chwilę myślała, że chce ją objąć, ale Fin tylko intensywnie się jej przyglądał. Jakby chciał coś sprawdzić, jakby chciał wyczytać z jej twarzy, czy naprawdę jest twarda.

- Spędza pani świętą sama z synkiem?

Ann pokręciła głową, schyliła się i wyciągnęła ze stosu drugi but.

– Pomyśleliśmy, że zaprosimy do nas Berit z Justusem – zaczął Erik. – Jeśli ma pani ochotę wpaść...

Ann rozejrzała się, usiadła na taborecie i w skupieniu zaczęła wkładać buty. Z jednej strony chciała uciec od rodziny Karjalainen, z drugiej pragnęła tu zostać. Westchnęła ciężko, włożyła drugi but, zaciągnęła zamek.

– Przyjechali moi rodzice – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Ale bardzo dziękuję, to miła propozycja.

Wyszła na mróz z uczuciem wielkiej tęsknoty. Rozejrzała się dookoła. W którymś z okien zobaczyła przyciśnięty do szyby nosek, pomachała dziecku. Nosek zniknął.

Włączyła silnik i chwilę siedziała w samochodzie bez ruchu, jak zwykła to robić. Kiedy w końcu wrzuciła bieg, zrozumiała, dlaczego tak postępuje. Bo tak zawsze robił jej ojciec, kiedy zasiadał za kierownicą swojej ciężarówki. Zawsze wychodził kilka minut przed planowanym wyjazdem, włączał silnik, wracał do domu, gdzie dopijał resztkę porannej kawy, i dopiero wtedy ruszał w swój objazd.

Zadzwoniła do domu. Tym razem odebrała matka, mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Masz wracać do domu – oświadczyła.
- Jakiś chłopiec się pogubił.
- Sama też masz małego chłopca – przypomniała matka cierpko.
- Jemu nie dzieje się żadna krzywda – odpowiedziała Ann, ale poczuła wyrzuty sumienia.

– Gdzie jesteś?

– Niedługo wracam! Muszę tylko jeszcze odwiedzić pewną kobietę.

Matka odłożyła słuchawkę. Ann nie zdziwiła się. Jej i matce trudno się ze sobą

rozmawiało, za bardzo się od siebie oddaliły.

Odsunęła od siebie myśli o rodzicach, jak zawsze to robiła, i zaczęła myśleć o pracy. Czy słusznie postąpiła, prosząc Erkiego o odłożenie stu tysięcy koron? Spytał, czy to moralne, ale w końcu były to przecież pieniądze Johna. Nawet jeśli wkład w grę pochodził z kradzieży, to wygrana była jego. Jeśli odliczyć pieniądze zabrane z warsztatu, na pewno zostanie znacznie więcej niż te sto tysięcy, a wszystko i tak przypadnie Berit i Justusowi. W ten sposób Ann próbowała zabezpieczyć się przed moralnym kaczem.

Roześmiała się sama do siebie. Po chwili wciskania różnych guzików udało się jej uruchomić radio. Łagodna muzyka wypełniła kabinę wozu, budząc w niej wspomnienie innej podróży samochodem. Pewnego letniego dnia wiele lat temu wyruszyła samochodem na południe Szwecji, do swoich rodziców. Wtedy muzyka w połączeniu z jej poczuciem zagubienia sprawiła, że zatrzymała samochód, zawróciła i po raz pierwszy pojechała do Grasö, do Edvarda.

Wtedy było lato. Wtedy miała Edvarda. Teraz była mroźna zima. Wyłączyła radio, nagle zła na siebie i swój smutny los i swoją niezdolność zatroszczenia się o siebie.

Ruben Sagander pocił się, miał wrażenie, że pot zamarza na jego ciele, tworząc wokół niego pancerz. Spojrzał na rozświetlone okna Berit. Wszedł na klatkę, ale nie włączył światła. Zaczerpnął powietrza i zaczął iść na górę. Na klatce pachniało świętami. Mijał kolejne drzwi. Słyszał muzykę, rozmowy. Znow zaczął się obficie pocić, jak kiedy podczas polowania nagle w polu widzenia pojawiał się łoś, a on powoli, wstrzymując oddech, podnosił sztucer.

Jeszcze jedno piętro. Przed oczyma stanęła mu zniszczona tabliczka z warsztatu, przypomniał sobie dźwięk pierwszej tokarki, którą zamontowali w warsztacie. Zatrzymał się, stał kilka sekund. Piętro niżej ktoś otworzył drzwi, usłyszał kroki na schodach.

– Zabierz też kartony! – zawołała jakaś kobieta.

Kroki ucichły. Mężczyzna piętro niżej wymamrotał coś pod nosem i wrócił do mieszkania. Krótka dyskusja i kroki powróciły. Ruben Sagander stał bez ruchu, zadowolony, że mężczyzna piętro niżej nie zapalił światła. Drzwi zewnętrzne się otworzyły. Sagander czekał, dotknął ręką noża w kieszeni kurtki myśliwskiej. Po kilku minutach mężczyzna wrócił; Sagander usłyszał, jak otwierają się jakieś drzwi, na klatkę wylała się muzyka, drzwi znow się zamknęły. Sagander wziął głęboki wdech i ruszył dalej po schodach.

Przed drzwiami Berit naciągnął na głowę czapkę, którą wziął ze sobą z samochodu. Wyjął nóż z pochwy, zmierzył ostrzem odległość, zrobił w czapce dwie dziury i ponownie naciągnął ją na głowę i twarz. Dotknął ręką klamki. Drzwi nie były zamknięte.

Berit siedziała przy kuchennym stole i gapiła się na karton z banknotami. Tysiące koron. Nigdy jeszcze nie widziała takiej sumy pieniędzy. Włożyła rękę do kartonu i rozłożyła na stole garść banknotów pięćsetkoronowych. Nagle zaczęła płakać.

– Dlaczego, John? – szlochała.

Nagłym ruchem zrzuciła banknoty na podłogę.

Mechanicznym ruchem zaczęła je liczyć. Układała w kupki banknoty pięćsetkoronowe. Kiedy doliczyła do pięćdziesięciu tysięcy, przysłała złość. Miała wrażenie,

że John ją zawiódł. Boże, jak ona oszczędzała całą jesień, jak bała się o ich przyszłość, że nie starczy im pieniędzy. Nawet zastanawiała się, czy nie powinni zrezygnować z mieszkania własnościowego i po prostu coś wynająć. A John cały czas siedział na pieniądzach, miał setki tysięcy koron. Justus najwyraźniej też wziął trochę ze sobą. On wiedział. John i Justus mieli wspólne plany. Podwójna zdrada.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Wychyliła się i ściszyła nieco radio.

– Justus! – zawołała. – To ty?

Lennart widział, jak mężczyzna patrzy w okna Berit. Na kiepsko oświetlonym dziedzińcu trudno było dostrzec szczegóły, ale postać mężczyzny wydała mu się znajoma. Czyżby to był Dick Lindström? Nie był co prawda tak potężnie zbudowany, ale zimowe ubranie mogło każdego zwieść. Może wrócił z Holandii napalony jak kot w marcu? Lennart zaklął.

Przylapię cię na gorącym uczynku, pomyślał.

Jak on ma czelność tu przychodzić? Że też Justus, ten biedak, musi oglądać, jak ten diabeł z wystającymi zębami dosiada jego matkę i to zaledwie tydzień po śmierci Johna.

Lennart podszedł do drzwi klatki, ale szybko się wycofał, kiedy zobaczył wychodzącego z klatki mężczyznę, niosącego w jednym ręku worki ze śmieciami, w drugim duży karton. Mężczyzna kierował się w stronę śmietnika, gdzie stał Lennart. Słyszał, jak się zbliża, jak mamrocze coś pod nosem, chrząka i pluje na śnieg.

Drzwi do śmietnika się otworzyły, Lennart poczuł odór śmieci. Mężczyzna zamknął drzwi, znów odchrząknął i zawrócił w stronę klatki. Lennart odczekał minutę i podążył za nim.

Ruben Sagander patrzył zdziwiony na leżące w kuchni pieniądze. Na podłodze, na stole, wszędzie leżały stopy banknotów. Jego pieniądze. A więc się nie pomylił. Roześmiał się.

Berit mimowolnie przysunęła do siebie banknoty, wpatrywała się w stojącego przed nią zamaskowanego mężczyznę. Zaczęła wkładać pieniądze do kartonu.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała, rozglądając się za czymś, czym mogłaby się bronić.

Mężczyzna roześmiał się, schylił, podniósł z podłogi jeden banknot. Berit wstała z krzesła, próbując dosięgnąć leżącego na blacie noża do chleba. I natychmiast poczuła na rękach jego żelazny uchwyt. Doszedł ją intensywny zapach potu. Mężczyzna nic nie mówił, oddychał ciężko. Jego twarz skrywała maska, ale jego sylwetka wydała się jej znajoma. Próbowwała wyswobodzić się z jego uchwytu, ale on tylko zacisnął go jeszcze mocniej i znów

się roześmiał. Kopnęła go w nogę, ale chyba tego w ogóle nie poczuł.

Nie chcę umrzeć, pomyślała zdesperowana. Przed jej oczami pojawiła się przerażona twarz Johna, kiedy żegnała się z nim w kostnicy. Ponownie spróbowała rzucić się w bok, zamachnęła się. Usłyszała odgłos uderzenia. Mężczyzna na moment rozluźnił uchwyt. Rzuciła się na blat, ale mężczyzna znów na nią napadł. Rzucił ją na podłogę, zdążyła jeszcze unieść rękę i podrapać go po twarzy. Poczowała, że ma wilgotną dłoń, domyśliła się, że to krew przesiąkła przez czapkę. Mężczyzna zawył z bólu, zamachnął się, trafił ją w ramię. Uderzył z taką siłą, że Berit upadła.

I znów się na nią rzucił. Do tej pory walka toczyła się w ciszy, teraz Berit zaczęła krzyczeć. Mężczyzna puścił ją, wolną ręką próbował zatkać jej szeroko otwarte usta. Berit wykorzystała moment nieuwagi i kopnęła go kolaniem w krocze. Skulił się z bólu, próbował wstać, sięgnął do kieszeni palta, wyjął nóż.

Teraz umrę, zdążyła pomyśleć, widząc uniesioną rękę z nożem nad swoją głową. Nagle rozległ się głośny wybuch, zamaskowany mężczyzna wzdrygnął się. Rozległ się kolejny huk. Berit zobaczyła, jak czapka mężczyzny zostaje porwana na strzępy, obnażając straszliwą ranę na jego głowie.

Upadł na nią. Jego członki drgały jeszcze chwilę, potem wszystko się uspokoiło. Ciężar jego ciała i unoszący się powietrzu ostry zapach krwi wprawiły ją w panikę. Z całych sił próbowała odsunąć od siebie ciało mężczyzny. Krew kapała jej na twarz i piersi.

Kiedy w końcu się wyswobodziła, zobaczyła stojącą w drzwiach postać człowieka. W jego rękę zauważyła broń, zrozumiała, że to on uratował jej życie. Udało się jej odczołgać nieco od ciała, stanęła na czworakach, przetała rękawem zakrwawioną twarz. Zauważyła Lennarta. Był blady jak kreda. Ręka, w której trzymał broń, drżała, całe jego ciało drżało, jakby ktoś poraził go prądem. Zaczerpnął powietrza, próbował coś powiedzieć.

– Lennart – wyszeptała.

Mężczyzna zaczął się trząść jeszcze bardziej, szlochał.

– Lennart – powtórzyła.

Szwagier odwrócił się i chwiejąc na nogach, wyszedł z mieszkania. Patrzyła za nim, wyciągnęła rękę, jakby chciała go powstrzymać, ale w miejscu, gdzie przed chwilą stał, leżał tylko rewolwer. Berit oparła głowę o blat, rozplakała się. Patrzyła z odrazą na ranę na czaszce w miejscu, gdzie kula trafiła mężczyznę, i gwałtownie z wymiotowała.

Lennart biegł. Piętro niżej, w mieszkaniu pod mieszkaniem Berit, otworzyły się drzwi dokładnie w chwili, kiedy przed nimi przebiegał, wpadł na nie z wielką siłą, przewrócił się, niemal natychmiast się podniósł i zaczął dalej zbiegać po schodach.

Zastrzelił człowieka. Zabił człowieka. Kogo? Na pewno nie był to Dick. Przez moment miał ochotę podejść i ściągnąć mu z głowy czapkę, ale się nie odważył. Czyżby mylił się co do Berit? Mężczyzna na pewno nie był jej kochankiem. Był złodziejem. Lennart widział pieniądze na stole, domyślił się, że to wygrana Johna w pokera. Berit okłamała go, mówiąc, że nie wiedziała, że John grywał w pokera.

Zatrzymał się przy drzwiach na dole, wziął kilka głębokich oddechów, dotknął kieszeni palta, żeby sprawdzić, czy rewolwer nadal tam jest, i wtedy przypomniał sobie, że zostawił go na podłodze w kuchni Berit. Zrozumiał, że wpadł. Nawet jeśli Berit będzie milczeć, to na broni zostały jego odciski palców.

Otworzył drzwi. Uderzyło go mroźne powietrze, w śnieżnej zamieci zobaczył idącą w jego stronę kobietę. Ann Lindell. Była blisko, ale go nie widziała. Odwrócił się na pięcie i zaczął biec po schodach. Drzwi się otwierały, wyglądali zza nich zaniepokojeni sąsiedzi, nie przejmowali się nimi, biegł dalej.

Zrozumiał, że został złapany w pułapkę. Lindell na pewno nie przyjechała tu sama. Na podwórzu pewnie aż roilo się od policjantów. Nagle uprzytomnił sobie, że nie uda mu się ukryć na strychu. Zatrzymał się chwilę przed szeroko otwartymi drzwiami do mieszkania Berit, wbiegł do środka.

Zajrzał do kuchni. Berit nadal siedziała obok ciała zastrzelonego mężczyzny. Jej spojrzenie było puste. Patrzyła na niego, ale go nie widział. Lennart zatrzymał się, pohamował odruch, żeby wejść do kuchni i usiąść na podłodze obok niej. Chciał powiedzieć jej coś, jakieś jedno słowo, może zdanie, które by wszystko tłumaczyło. Wiedział, że była dobrą żoną dla Johna, dlatego tak bardzo ją lubił. Nie brakowało mu słów, a jednak się wahał.

Nagle z niemal paraliżującą jasnością zrozumiał, że jego życie było już stracone, że jego słowa nie miały żadnej mocy. Wbiegł do dużego pokoju, spojrzął na akwarium i nagle przed oczami znów stanął mu John. Śmiał się, jak tego wieczoru, kiedy inaugurowali akwarium. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć brata, ale nikogo tam nie było.

Na balkonie zebrało się tyle śniegu, że drzwi niemal nie dawały się otworzyć. Pchnął je i przypomniał sobie dzień spędzony z Mickem, odśnieżanie i poczucie, że robi coś pożytecznego. Zakręciło mu się w głowie. Dziedziniec był pusty, ale z daleka dochodziło go wycie syren.

Zerknął na dach, zawisnął na poręczy balkonu, chwycił się zamontowanej na ścianie



suszarki na bieliznę, sięgnął do rynny. Udało mu się jej uchwycić. Była zimna i śliska. Poczul śnieg na twarzy.

Z wielkim wysiłkiem – sam nie wierzył, że go na taki stać – zaczął się podciągać. Odbił się stopami od ceglanej ściany, udało mu się postawić jedną stopę na suszarce, podciągnął się na rękach. Zamachał nogami, zaczerpnął powietrza.

– Dam radę, dam radę – powtarzał cicho.

Był świadom, że wycie syren jest coraz bliżej. Oparł głowę o dach i czuł, jak ubywa mu sił. Zaczął się osuwać. Odwrócił głowę i zobaczył niebieskie światła odbijające się od fasady po przeciwnej stronie dziedzińca.

Odwrócił głowę, spojrzał na kalenicę, zobaczył zaśnieżone barierki jakieś pół metra od skraju dachu.

– Jestem najstarszym synem blacharza – wymamrotał. – Jestem synem blacharza.

Odepchnął się nogami, świadom, że to jego ostatnia szansa. Wyrzucił do przodu prawą rękę i dosięgnął barierki. Wyciągnął lewą rękę, chwycił się barierki. Powoli, bardzo powoli zaczął się podciągać. Mruzczył coś, na twarzy miał śnieg, w ustach czuł smak krwi, ale pokonał dach, dotarł do barierki i odetchnął.

– Jestem synem blacharza! – zawołał triumfująco.

Poczul skurcz w nodze, marzył, jego ciało drżało, ale udało mu się wejść na dach. Pomyślał o Albinie, o tym, że ojciec byłby z niego dumny. Spojrzał na niebo, było zakryte chmurami.

– Albinie, tato – powiedział i się roześmiał. – Tato, tato.

Spojrzał w dół i nagle ogarnął go lęk wysokości. Zamroczyło go, przylgnął do dachu. Poczul, że bolą go kolana, którymi opierał się o barierkę. Silny podmuch wiatru wzniecił chmurę śnieżnego puchu. Ale podmuch wiatru przyniósł ze sobą też spokój. Lennart odwrócił głowę i spojrzał na światła miasta. Zamięć nieco ustała, widział zamek i wieże katedry.

– Tam umarłeś, tato – powiedział.

Kiedy odwrócił głowę nieco na południe, widział dzielnicę swojego dzieciństwa, Almtunę. Dom po domu, dach po dachu. I ludzi szykujących się do świąt.

Lęk wysokości nie był już tak dojmujący, zastąpiło go uczucie bycia ponad wszystkim, ponad cczą gadaninę i gwar. Dotarł aż tu. Były gorsze miejsca. Trochę dziwnie się czuł, leżąc na brzuchu. Jakby był tchórzem, jakby się poddał, jakby każdy, ktokolwiek, w każdej chwili mógł postawić mu stopę na karku. Odwrócił się, wyprostował plecy i usiadł. Roześmiał się.

– Siedzę na dachu! – zawołał na wietrze.

Wstał, stanął z szeroko rozstawionymi nogami, oparł się o barierkę, usiłując oprzeć się podmuchom wiatru, i wykrzyczał całą swoją nienawiść do miasta, które było świadkiem jego narodzin. Nagle się uspokoił.

Przestań wrzeszczeć, napomniął się w myślach.

Powinien był powiedzieć Berit te kilka słów. Żeby przekazała je dalej, powiedziała Justusowi, że John i Lennart byli synami blacharza, że potrafili się razem śmiać, że w ich życiu były chwile szczęścia. Mogła też powiedzieć mu o tym, co było takie trudne, o śmierci ich siostrzyczki, może nawet pokazać jakieś zdjęcia.

Zabił nieznanego mężczyznę, dlatego musiał teraz uciekać. Popsuł nawet to, co wydawało się takie proste: zemstę. Plunął na wiatr. Ale przecież zabił tego, który groził Berit. Zadrzał z zimna. Może powinien wrócić do Berit i przynajmniej raz powiedzieć jej coś istotnego?

Wiatr zaatakował kalenicę, skrzył obok komina, wył w szczelinach, targał kawałkami blachy.

– Braciszku – szepnął Lennart.

Zrobił chwiejny krok i poleciał do przodu. Uderzył z ogromną siłą o dachówki, poczuł, że rozbił twarz, przechylił się i przekoziółkował przez skraj dachu.

Na dole, na ulicy stał Ola Haver. Widział, jak Lennart spada. Usłyszał krzyk i mimowolnie wyciągnął rękę, żeby powstrzymać upadek. W tym samym momencie ciało Lennarta uderzyło o zamrzniętą ziemię.

Niebieskie światła radiowozów migotały w oknach po drugiej stronie ulicy, gdzie między amarylisami i gwiazdami betlejemskimi stali ludzie i spoglądali w dół.

Ziemia była biała, a krew Lennarta czerwona. Na chwilę ulica zamarła. Berglund podszedł do ciała, które leżało zgięte w nienaturalnej pozycji, i zdjął z głowy kaszkiet.